

Robbins Harold

Kaznodzieja

Czy można sprzedawać Jezusa za pieniądze? Czy biznes może przysłonić postannictwo boże? Jak pogodzić wolną miłość w komunie z małżeństwem z kalkulacji? To tylko niektóre wątpliwości, które musi rozstrzygnąć kaznodzieja.

Akcja toczy się w czasach rozkwitu hippisowskich komun w USA. Jedna z takich komun, której założycielem jest pastor C. Andrew Talbot, staje się, dzięki przypadkowemu spotkaniu z biznesmenem i milionerem Jake'iem Randlem, największym kościołem Ameryki. Sam pastor kreowany jest na najpopularniejszego kaznodzieję.

Księga pierwsza
Jezus i miłość

1

- Pastorkuuu! - zawołał ktoś chrapliwym szeptem, który zawisł ciężko w parnym półmroku dżungli.

W zaroślach zaszeleściło, ptaki z dzikim skrzykiem uleciały na drzewa, po czym nastąpiła cisza. - Gdzie jesteś? - odezwał się stłumiony głos Pastora.

- Tutaj. W dziurze. Pospiesz się, Pastorku. Niedobrze ze mną.

W chwilę później nad krawędzią leja ukazała się głowa i ramiona Pastora. Pokiwał głową na widok rannego Murzyna. Podciągnął się na łokciach i zaczął niezgrabnie gramolić się do środka. Stoczywszy się na dno, usiadł. Białą opaskę z czerwonym krzyżem na jego ramieniu pokrywało błoto, czyniąc ją prawie niewidoczną. Zsunął z pleców tornister sanitariusza, postawił go obok siebie na ziemi i zabrał się do rozpakowywania.

- Gdzie cię trafili, Washington? - spytał, nie podnosząc wzroku znad tornistra.

Żołnierz złapał go za rękę. - Ja umieram, Pastorku - powiedział przerażonym głosem. -

Wypowiadasz mnie?

Pastor spojrział na niego. - Zwariowałeś, Joe? Ani ty nie jesteś katolikiem, ani ja nie jestem księdzem.

- No to co z tego? - szepnął Joe. - Przecież jesteś pastorem.
 - Wcale nie - odparł Pastor. - Nie jestem duchownym.
 - A niby czemu wołają na ciebie „Pastor”? - upierał się Joe. - Wszyscy wiedzą, że nie rozstajesz się z Biblią.
 - To jeszcze o niczym nie świadczy - odparł Pastor.
 - No, ale jesteś pacyfistą, tak czy nie? Żeby nie wiem co, nie weźmiesz do ręki karabinu. Gdybyś nie był duchownym, nie udałoby ci się od tego wykręcić.
 - Nie uznaję zabijania - rzekł Pastor. - To wszystko. - Apteczka stała już przed nim otwarta.
 - Może powiesz mi wreszcie, gdzie cię trafili?
 - W plecy - odparł Joe. - Najpierw bolało jak wszyscy diabli, a teraz to taka drętwa rozchodzi mi się po ciele. Stąd wiem, że umrę. Jak dojdzie do serca, będzie po mnie. Wszystko mi jedno, jaki z ciebie pastor, musisz mnie wypowiadać. Nie chcę iść do piekła z tyloma grzechami na sumieniu.
 - Proszę cię bardzo - zgodził się Pastor. - Ale najpierw się odwróć, żebym mógł zobaczyć te twoje plecy.
- Joe, stękając, przewrócił się na brzuch. - O Jezusie, jak boli - jęknął. - Przepraszam, Pastorku. Wypnęło mi się.
- W porządku - odparł Pastor, pochylając się nad nim. Spodnie Joe'ego na siedzeniu przesiąknięte były krwią. Pastor wyjął z apteczki nożyczki i zabrał się do rozcinania materiału.
 - Odpuść mi moje winy, Boże w niebiesiech - zaczął mamrotać Joe. - Piłem, przeklinałem, wzywałem Twe imię nadaremno. W Sajgonie popełniłem grzech

cudzołóstwa z dwiema siostrami, ponadto zmusiłem je do sodomii i do ssania mojego...

- Daruj sobie resztę - przerwał mu Pastor. - Nie umrzesz.

Joe odwrócił do niego głowę. - Skąd wiesz?

- Bo jeszcze nikt nigdy nie umarł od tego, że oberwał w tłuste czarne dupsko - stwierdził Pastor. Sięgnął po tampon i zaczął przemywać pośladek Murzyna środkiem dezynfekującym.

- Piecze! - Joe aż podskoczył.

- Nie ruszaj się - upomniał go Pastor. - Muszę położyć kompres, żeby zatamować krwawienie.

- Mógłbym zapalić? - spytał Joe.

- Pewnie.

- W kieszeni bluzy mam parę skrętów. Wyciągniesz mi jednego?

Pastor bez słowa odpiął kieszeń i podał mu skręta. Joe jedną ręką wsunął go sobie między wargi, drugą zaś przysunął niewielką zapalniczkę. Krótki błysk i papieros się rozjarzył. Joe zaciągnął się głęboko i odetchnął z zadowoleniem. - O, teraz czuję się znacznie lepiej.

W parę minut później Pastor uporał się z zakładaniem kompresu. - Na razie leż na brzuchu - powiedział. - Nie chciałbym, żebyś zabrudził sobie to dupsko. Od tutejszej ziemi można złapać nielichą infekcję. Przyślę po ciebie nosze.

Joe oparł się na łokciu, żeby go widzieć. - Jesteś w porządku facet, Pastorku - stwierdził, wyciągając ku niemu skręta. - Masz ochotę się sztachnąć? Towar super.

Pastor pokręcił głową. - Nie, dzięki. - Zabrał się do składania apteczki.

- Właściwie to jakiego jesteś wyznania? - spytał Joe już odprężony.

Pastor spojrział na niego. - Moja matka należała do kościoła greckokatolickiego, ojciec natomiast do metodystów. Ale w mieście, gdzie się wychowywałem, byli tylko unicy, więc do nich chodziłem. Chyba jestem unitą.

- I wszyscy unicy są pacyfistami?

- Nie wszyscy - odparł Pastor. - Ja jestem pacyfistą, gdyż Pan Jezus powiedział...

Joe się roześmiał. - Słyszałem już tę gadkę, bo zostałem wychowany jako baptysta. Nie zamierzasz chyba wygłosić mi tu kazania, co?

Pastor przyglądał mu się przez chwilę w milczeniu. - Nie zamierzam.

- Jak myślisz? Odeślą mnie do domu? - spytał Joe. - Prawdopodobnie.

- Nieźle. Odznaka Purpurowego Serca i powrót do domu za kulę w dupę.

- Nie najgorzej. - Pastor zatrzasnął apteczkę.

- Po powrocie do domu wstąpię do Czarnych Muzułmanów. Tym to się teraz powodzi. -

Zauważył, że Pastor zbiera się do wyjścia. - Ostrożnie, nie podnoś głowy, Pastorku - ostrzegł go. - Te żółte skurwiele widzą po ciemku.

Niemal jednocześnie z ostatnimi słowami Joe'ego rozległo się stłumione echo wystrzału.

Ugodzony w ramię Pastor zrobił pół obrotu i zwałił się z nóg.

Przez chwilę leżał nieruchomo, potem usiadł, krzywiąc się z bólu i popatrzył na krew tryskającą poprzez rękaw bluzy. Spojrział na Joe'ego. - A wiesz, że miałeś rację?

Zdrową ręką wyciągnął z tornistra apteczkę i znowu wyjął z niej nożyczki. Nie tracąc czasu odciął rękaw. Krew bluzgała z umięśnionego ramienia. - Pomóż mi założyć opaskę uciskową.

- Już się robi, Pastorku. - Joe podczołgał się do

niego. We dwóch zdołali założyć krępulec i zatrzymać krwotok. - Jezu, Pastorku, tak mi przykro. Pastor uśmiechnął się z wysiłkiem. - Wola boska.

- I po chwili milczenia dodał: - Wiesz, chętnie sztachnąłbym się teraz tym twoim papierosem. Przypaliwszy, żołnierz podał mu skręta. Obserwował, jak Pastor zaciąga się raz po raz. - Bardzo cię boli? Pastor odwrócił do niego głowę. - Nie tak bardzo

- rzekł. - W każdym razie będę mógł siedzieć w drodze do domu.

- Tak się zastanawiam... - zaczął Joe, wpatrując się w niego intensywnie. - Bo widzisz... zdreptały mi jaja. Czy sądzisz, że kula mogła dojść aż do jaj?

Pastor roześmiał się. - Nie sądzę. Masz za tłuste dupsko. - Oddał mu skręta.

Joe przyssał się do niego. - A jak długo, twoim zdaniem, będziemy czekać, żeby nas stąd zabrali?

- Niedługo - uspokoił go Pastor. - Wiedzą, dokąd poszedłem.

- Po trawce zawsze bierze mnie chęć na kobitki

- zwierzył mu się Joe. - Przypomniały mi się te dziewczyny. No wiesz, te, z których ci się spowiadałem. Chyba zaczyna mi stawać.

- Mówiłem, że nic ci nie jest. - Pastor roześmiał się i wziął od niego skręta. Zaciągnąwszy się głęboko kilka razy, oparł się plecami o ścianę leja. - Staraj się mieć czyste myśli - powiedział. - Tak mawiała moja matka.

*

Wyszedł spod prysznic, wytarł się ręcznikiem, rozłożył go na desce klozetowej i usiadł. Przystąpił do ostrożnych oględzin swego penisa. Przesunął w tył czerwony, gorący, obolały napletek, by przyjrzeć się żołądzi. Żołądz też była spuchnięta i nabrzmiała

fioletowymi żyłkami. Bez sensu, pomyślał, nakładając cienką warstwę wazeliny. Zbyt często to robił. Codziennie przysięgał sobie, że więcej już nie będzie i codziennie historia się powtarzała. Jak teraz, pod prysznicem.

A przecież tak się starał. Zimna woda. Lodowata woda. Cóż, kiedy to się stało w trakcie namydlenia genitaliów. Zanim się zorientował, robił to już, podniecony śliskością mydlin. W chwilę potem rwący strumień spermy rozplasnął się na kafelkach, a on poczuł pustkę i wstyd. Spojrzał w dół na siebie. Przecież wcale tego nie chciał. Trysnął mocz, sprawiając mu piekący ból i zażółcił wodę spływającą do kanalizacji. Bolało, okropnie go bolało.

* * *

Wyszedł spod prysznica z mocnym postanowieniem, że skończy z tym raz na zawsze. Ale ledwie to pomyślał, wiedział już, że nie skończy. To się stanie jak zwykle w szkole. Ilekroć widział dziewczęta w obcisłych, skąpych kostiumach gimnastycznych, z miejsca musiał pędzić do toalety. A po południu, w cukierni, gdzie wszyscy spotykali się ponownie na coca-coli, dziewczęta tak drażniły się z nim tymi swoimi jędrnymi piersiami i pośladkami, że znowu lądował w toalecie. Czasami nie mógł nawet zdążyć, bo ledwo usiadł z nimi przy stole, a już czuł w gatkach lepka wilgoć. To choroba. Nie ulegało wątpliwości, że to choroba.

- Constantine! - dobiegło go wołanie matki zza drzwi łazienki.

Nienawidził tego imienia. Jego matka urodziła się w Chicago w rodzinie greckokatolickiej i imię to otrzymał po jej ojcu. W szkole nikt go tak nie

nazywał. Dzieciaki wołały na niego „Andy”, od Andrew, jego drugiego imienia.

- Pośpiesz się, Constantine! Spóźnisz się do szkoły!

- Już wychodzę, mamó - odkrzyknął. Zszedł do kuchni, usiadł przy stole. Matka postawiła przed nim parującą patelnię z trzema jajami na bekonie. Sięgnął po ciepłą grzanekę z masłem i zaczął jeść żarłocznie. - Gdzie tata? - spytał pomiędzy jednym kęsem a drugim.

- Ojciec wyszedł dziś wcześniej, bo ma spotkanie w kościele unickim - odpowiedziała. - Zaproponowali mu stanowisko członka zarządu, o ile formalnie przystąpi do ich kościoła.

- Zrobi to? - spytał.

- Chyba tak - odparła. - W końcu i tak od lat do nich chodzimy. Twój ojciec mówi, że w gruncie rzeczy nie ma to wielkiego znaczenia. Też są chrześcijanami.

- Poza tym to jedyny kościół w tym mieście

- zauważył.

Skinęła głową, siadając po drugiej stronie stołu.

- No właśnie.

- A ty? - zainteresował się. - Co ty o tym myślisz?

- Bo ja wiem - odparła. - Najbliższa cerkiew greckokatolicka jest dopiero w Chicago.

Sześćset mil stąd.

Spojrzał na nią uważnie. - Ale to nie to samo, prawda?

- Nie całkiem - pokręciła głową.

- Po co więc ten pośpiech? Tak jak dotąd było dobrze.

- Interes twojego ojca nabiera w mieście coraz większego znaczenia. I zarząd kościoła uznał, że ojciec powinien ich wspomóc.

- A co będzie, jeśli do nich nie wstąpi?
 - Nie wiem - powiedziała zmartwionym głosem.
 - Ale znasz ich tak samo dobrze jak ja. Mogliby się pogniewać. Tak jak na tego Żyda, Rosenbloom. Po sześciu latach musiał zwinąć interes i się wynosić.
 - Może nie będzie aż tak źle - pocieszył ją, wstając od stołu.
 - Może - zgodziła się. Podniosła na niego wzrok.
 - Jest coś, o czym muszę z tobą porozmawiać.
 - Co takiego? - spytał z nagłym niepokojem. Spuściła głowę, wyraźnie zmieszana. - Mandy pokazała mi prześcieradła, które ściągnęła dziś rano z twojego łóżka.
 - No i co? - spytał zaczepnie.
- Wciąż nie podnosiła głowy. - Są poplamione. Mandy mówi, że to się powtarza od dłuższego czasu. - Niech ta czarnucha lepiej pilnuje swojego nosa. Ma pracować, a nie wtrącać się do nie swoich spraw - warknął gniewnie.
- Uznała, że powinnam o tym wiedzieć - rzekła matka. - Nie mówiłam nic twojemu ojcu, bo wiem, jak bardzo by się zdenerwował. Musisz z tym skończyć.
 - Nie potrafię, mam - powiedział. - To ode mnie nie zależy. To mi się zdarza przez sen. Matka uniosła głowę. - Oczywiście, że potrafisz, Constantine. Po prostu staraj się mieć czyste myśli. Wyłącznie czyste myśli. I tyle.
- Wytrzymał jej spojrzenie, myśląc jednocześnie o dziewczynach w szkole i o ich wyzywających wypukłościach. - To nie takie łatwe, mam.
- Poradzisz sobie, Constantine - powiedziała. - Po prostu staraj się mieć czyste myśli.

2

Gorące, oślepiające słońce prażyło niemiłosiernie na Nabrzeżu Rybackim, gdy samochód patrolowy wtoczył się na obszar objęty zakazem parkowania i przystanął po przeciwnej stronie ulicy. Dochodziła trzecia po południu; z restauracji zaczynały wylewać się tłumy sytych turystów w jaskrawych koszulach i kapeluszach, którzy dłubiąc bez skrępowania w zębach włóczyli się po ulicach, zaglądali do sklepów z pamiątkami i na stragany.

- Ci to zbijają forszę - powiedział sierżant z satysfakcją w głosie do siedzącego za kierownicą patrolowego. - Aż przyjemnie popatrzeć.

- Taa... - potwierdził patrolowy. W gruncie rzeczy mało go to obchodziło. Patrolował z sierżantem tę okolicę od lat. Znał ją już jak własną kieszeń.

- DiMaggio wciąż ma powodzenie - skostatował sierżant. - Zawsze znajdują się chętni, by obejrzyć Joe'ego Trzęsawkę, nawet teraz.

- Taa... - Głos patrolowego niezmiennie wyrażał brak zaangażowania. Naprawdę chciał tylko jednego

- zapalić papierosa, ale w obecności sierżanta nie mogło być o tym mowy.

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. - Widzisz to?

- spytał nagle sierżant.

Patrolowy rozejrzał się. Niczego nie widział. - Co?

- O tam. W tym tłumie na nabrzeżu.

- Nic nie widzę.

- No, te dziewczyny w długich staromodnych sukniach. Potrząsają metalowymi puszkami. Jest ich sześć czy siedem.

- To co?
- Nigdy ich dotąd tutaj nie widziałem - stwierdził sierżant.
- Eee, zawsze jakieś dzieciaki tu żebrzą - rzekł patrolowy.
- Ale nie tak - rzekł sierżant. - Te dziewczyny są wyraźnie zorganizowane. One działają według planu. Widzisz, jak się rozdzielają i atakują tłum? Jeśli pierwszej się nie uda nic od gościa wyciągnąć, zaraz podchodzi następna.
- Sądzi pan, że one kradną? - zainteresował się patrolowy.
Sierżant przyglądał się w skupieniu. - Nie, nie sędzę. Zbyt daleko trzymają się jedna od drugiej, nie zbliżają się też zanadto do frajerów. Te swoje metalowe puszkę trzymają na odległość wyciągniętej ręki.
- Ładne panienki - stwierdził patrolowy. - I czyste. Zupełnie nie jak te hippiski czy narkomanki.
- No właśnie - zgodził się sierżant. - Ciekawe, co one kombinują?
- Przyciśnijmy kilka z nich, to się dowiemy.
- Nie - odparł sierżant. - Lepiej poczekajmy i popatrzmy.
- Miałby pan coś przeciwko temu, żebym sobie zapalił, panie sierżancie? - nie wytrzymał patrolowy. Sierżant spojrział na niego z politowaniem. - Dobra. Ale trzymaj papierosa w dole. Jeszcze porucznik się tu przyplącze i zobaczy.
- Dzięki, panie sierżancie. - W głosie patrolowego zabrzmiała autentyczna wdzięczność. Schylił się obok kierownicy, zapalił i wciągnął dym głęboko w płuca. Jeszcze raz pociągnął pospiesznie i spojrział z dołu na sierżanta. - Co się tam dzieje?
- Te panienki sobie nieźle radzą. Frajerzy wrzucają monety do dziurek, jak się patrzy.

Patrolowy zaciągnął się jeszcze raz, pstryknięciem palców wyrzucił papierosa ostrożnie za okno i usiadł prosto. - Dzięki, panie sierżancie, strasznie tego potrzebowałem.

Sierżant spojrział na niego przelotnie. - Powinieneś nauczyć się żuć tytoń. Na tym nikt cię nie przyłapie.

- Kto wie, może się nauczę - roześmiał się patrolowy.

Sierżant dalej obserwował dziewczęta. - Ludzi jakby już mniej, więc panienki szykują się do odejścia. Przykleimy się do ostatniej, to się dowiemy, dokąd też one idą.

Patrolowy zapuścił motor. - Pan mi powie kiedy, sierżancie.

- Teraz - zdecydował sierżant. - Weszły w ulicę za straganem „Pomarańczowy Juliusz”.

Patrolowy skręcił za rogiem i zahamował gwałtownie. - O cholera, panie sierżancie. To jest ulica jednokierunkowa. Z tej strony nie ma wjazdu.

- Znam tę ulicę - odparł sierżant. - Bardzo długa. Pojedź tędy, to złapiemy je z tamtej strony. Ale kiedy znaleźli się u wlotu ulicy, nie było na niej nikogo. - Zwiały, panie sierżancie - zmartwił się patrolowy.

- Nie, nie zwiały - uspokoił go sierżant. - W połowie odchodzi w bok ślepa uliczka. Musiały tam skręcić.

Patrolowy zatrzymał samochód tak, że zablokował wjazd w ślepa uliczkę. Sierżant nie mylił się. Na jej końcu stał mikrobus. Z przodu, z tyłu i na bokach miał napis wykonany z dużych białych liter:

WSPÓLNOTA BOŻA.

- Połącz się z bazą - polecił sierżant. - Niech przyślą wóz z ochroną, ale zaznacz, że nie spodzie-

wany się kłopotów... po prostu chcemy sprawdzić parę panienek.

Boczne drzwi mikrobusu były odsunięte i zgromadzone przy nich dziewczęta nie zauważyły zbliżających się policjantów. Dopiero gdy ci niemal na nie weszli, odwróciły się, a ich wesoła paplanina i śmiech gwałtownie zamarły.

Sierżant dotknął uprzejmie daszka czapki. - Dobry wieczór paniom. - Dostrzegł strach i zaniepokojenie na ich twarzach. - Nie ma powodu do zdenerwowania. To tylko zwykła kontrola - wyjaśnił. - Czy mógłbym zobaczyć wasze dowody tożsamości albo prawa jazdy? Jedna z dziewcząt, która robiła wrażenie nieco starszej od pozostałych, przepchnęła się do przodu.

- Po co? - spytała trochę wojowniczo. - Nie robiłyśmy nic złego.

- Wcale nie powiedziałem, że panie robiły coś złego. Chodzi o to, że jesteście tu nowe, a naszym obowiązkiem jest wiedzieć, co się tutaj dzieje.

- Znamy nasze prawa - upierała się dziewczyna.

- Nie musimy panu niczego pokazywać, dopóki nie jesteście o nic oskarżone.

Sierżant spojrzał na nią z niesmakiem. Ta dzisiejsza młodzież. Sami prawnicy, myślałby kto. - To może zacznijmy od zebrania na ulicy bez zezwolenia - odpowiedział tonem towarzyskiej rozmowy. -1 dodajmy zakłócanie porządku publicznego przez tamowanie ruchu pieszych i stwarzanie zagrożenia dla życia innych osób. Stałyście na nabrzeżu, a ludzie, chcąc was ominąć, mogli powpadać do wody.

Dziewczyna przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu, potem spojrzała na koleżanki. - Pastorku! - krzyknęła w stronę otwartych drzwi mikrobusu.

Z ciemnego wnętrza wynurzył się mężczyzna.

Zeskoczył na ziemię. Ubrany był w sprane dżinsy wetknięte w wojskowe buty, roboczą koszulę koloru khaki i znoszone, tu i ówdzie przetarte kimono. Nie był wysoki, tak między metr siedemdziesiąt dwa a metr siedemdziesiąt pięć. Miał długie, opadające na ramiona rudawoblond włosy, obwiązane wokół głowy ciasną opaską z indiańskimi paciorkami. Z zarostu wokół ust i na policzkach przypominał Jezusa. Z początku sierżant odniósł wrażenie, że jego oczy są ciemnoniebieskie i że potrafią przejrzeć człowieka na wylot, lecz po chwili oczy te przybrały dobrotliwy wyraz, jak gdyby przykrył je szary welon. Gdy przemówił, okazało się, że ma głęboki, dźwięczny i przyjemny głos. - Witamy we Wspólnocie Bożej, panie sierżancie. Czym mogę panu służyć?

Masz ci los, znowu jakiś Jezus, pomyślał, patrząc na niego, sierżant. Widywał takich ze dwudziestu dziennie, zazwyczaj naćpanych do nieprzytomności. Sierżant zbyt długo był już gliniarzem, by zdradzać się z tym, co myśli i czuje. - Poprosiłem panie o okazanie dowodów tożsamości lub praw jazdy, ale one, zdaje się, nie chcą ze mną współpracować. Mężczyzna pokiwał w zamyśleniu głową. - W porządku, dzieciaki - powiedział do dziewcząt. - Zróbcie to, o co prosi pan sierżant.

W chwili, gdy dziewczęta zaczęły podawać sierżantowi dokumenty, nadszedł samochód z obstawą i kolejnych dwóch policjantów rzuciło się biegiem w ślepią uliczkę. - Tom - sierżant zwrócił się do swego kierowcy - zbierz te papiery, weź je do samochodu i przekaż telefonicznie na posterunek dla dokładnego sprawdzenia. Czy mógłbym zobaczyć - odwrócił się ponownie do mężczyzny, który wciąż stał w tym samym miejscu - także pańskie prawo jazdy i rejestrację pojazdu?

- Oczywiście, panie sierżancie - odparł tamten.

- Są w mikrobusie. Z przyjemnością je panu pokażę.
- Zrobił krok ku drzwiom.
- Chwileczkę - powiedział prędko sierżant.
- Miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy wszedł tam z panem?
- Ależ skąd - odrzekł mężczyzna bez wahania. Wskoczył do mikrobusu. Sierżant wdrapał się ciężko za nim. Nie był już taki żwawy jak kiedyś.

Wnętrze mikrobusu przedstawiało zupełnie inny widok, niż się spodziewał. Zazwyczaj wałały się tam stosy starych poplamionych materacy i brudnych ciuchów zajeżdżających narkotykami, winem i nie mytymi ciałami. To wnętrze było czyste, schludne, pomalowane na biało. Przywodziło na myśl biuro na kółkach. Pod ścianą szoferki stały - przyśrubowane do podłogi, żeby się nie przesuwały - mały stolik biurowy i krzesło. Ścianę na wprost przesuwanych drzwi wypełniały od góry do dołu stalowe półki, na których leżały ryzy papieru. Na drugim stole, także przyśrubowanym do podłogi, stała starannie przykryta maszyna do pisania, a obok niej - mały powielacz z tacką do połowy wypełnioną powielonymi drukami. Po tej samej stronie co drzwi znajdowały się dwa rzędy ławek, oczywiście przyśrubowanych do podłogi, a każda ławka wyposażona była w cztery pasy bezpieczeństwa. - Nie możemy wszyscy siedzieć z przodu. A drogi bywają wyboiste. Wolę mieć pewność, że dzieciakom nic nie grozi - powiedział mężczyzna widząc, że sierżant bacznie się im przygląda.

Sierżant odchrząknął i pociągnął nosem. Mawiał, że potrafi lepiej wyczuć narkotyk, niż przyuczony do tego pies. To wszystko tutaj wyglądało zbyt pięknie, żeby mogło być prawdziwe. Ten porządek był mocno podejrzanym.

Mężczyzna usiadł za biurkiem. Wysunął szufladę, wyjął z niej kartę rejestracyjną pojazdu oraz prawo jazdy i podał je sierżantowi. Policjant obejrzał najpierw prawo jazdy. Wydano je w styczniu 1967 roku, czyli przed dwoma laty, na nazwisko Constantine Andrew Talbot. Rzucił okiem na zdjęcie. Niewątpliwie był to ten sam mężczyzna, choć teraz wyglądał zupełnie inaczej. Na zdjęciu miał jeszcze krótkie włosy. Okazał się też starszy. Sierżant dawał mu dwadzieścia parę lat, a on tymczasem dobiegał trzydziestki. Zgadzał się kolor włosów i oczu. Tylko jednej rzeczy sierżant nie mógł się dopatrzeć. - Ma pan bliznę na lewym ramieniu - stwierdził. - Jak do tego doszło?

- Rana postrzałowa. Byłem w Wietnamie.

- Mój syn służył w Zielonych Beretach - oświadczył dumnie sierżant.

- Ja byłem w batalionie medycznym. - Jak długo?

- Cztery lata. Zgłosiłem się na ochotnika.

- Czemu do medycznego?

- Jestem przeciw zabijaniu - odparł mężczyzna.

- Ale również jestem przeciw uchylaniu się od obowiązku wobec ojczyzny.

- Słyszałem, jak ta dziewczyna zawołała na pana „Pastor” - rzekł sierżant. - Ma pan święcenia kapłańskie?

- Nie, panie sierżancie - odpowiedział mężczyzna.

- Ale zamierzam kiedyś je uzyskać.

Sierżant włożył prawo jazdy pod dowód rejestracyjny. - A ta Wspólnota Boża to jakiś legalny kościół? - Oczywiście. Jesteśmy zarejestrowani w stanie Kalifornia.

- A tak dokładniej, to gdzie znajduje się ten kościół?

- Naszą siedzibą jest Los Altos, co może pan przeczytać w dowodzie rejestracyjnym - odparł Pastor. - Lecz, jak mawiała moja matka, wspólnota boża zakorzeniona jest w sercu każdego człowieka.

*

Jedli obiad w całkowitym milczeniu. Dopiero przy kawie zdecydował się odezwać.

Popatrzył poprzez stół na rodziców. - Wyjeżdżam w końcu tygodnia.

- Ale od twojego powrotu do domu minęło dopiero sześć miesięcy - powiedziała prędko matka. - W czasie których nic nie robił, tylko wylegiwał się, łąził dokądś po nocach i palił to świństwo przywiezione z wojny. Ani razu nie zaproponował, że pomoże mi w sklepie - rzekł ojciec z wyrzutem. - Nie rozumiem, co zrobiły z nim te cztery lata wojska. Ma dwadzieścia pięć lat i najwyższy czas, żeby się ustatkował. Ja w jego wielu byłem już żonatym mężczyzną i miałem obowiązki.

- Co ty chcesz robić, Constantine? - spytała matka.

- Nie wiem, mamó - odparł. - Czuję w sobie powołanie, tylko jeszcze nie jestem pewny do czego. Czuję, że powinienem głosić ludziom słowo boże. Nie mam jednak pojęcia, jak to robić i gdzie. Wiem natomiast, że widziałem zbyt wielu umierających ludzi, którzy nie zatroszczyli się o swe dusze i stracili prawo do życia wiecznego, obiecanego nam przez Pana Jezusa. Ojciec wybałuszył na niego oczy. - Jeśli naprawdę tak myślisz, to czemu nie pójdziesz do kościoła i nie porozmawiasz z pastorem?

- Chodziłem, ojczu. Wiele razy. Ale on nie ma dla mnie odpowiedzi. Według mnie, Bóg należy do wszystkich chrześcijan, a nie tylko do unitów. To wspólnota znacznie większa od tego małego kościoła.

- Kłopot z tobą polega na tym, że tak naprawdę to tobie nie chce się pracować. Wystarczy ci, że dostajesz rentę z Biura Weteranów, z premią za odniesioną ranę. I że możesz się wylegitymować - skostatował ojciec gorzko.
- Constantine - zaczęła matka. Spojrzał na nią.
- Czy to jest to, w co prawdziwie wierzysz?
- Tak, matko.

Odwróciła głowę do ojca. - Więc nie nam go oceniać, ojczy - powiedziała. - Pozwólmy mu odejść i poszukać tego, w co wierzy. Możliwe, że to on ma rację, gdyż wspólnota boża zakorzeniona jest w sercu każdego człowieka.

3

- Patrolowy wsadził głowę w drzwi. - One wszystkie są czyste, sierżancie. Żadna nie ma u nas kartoteki. Sierżant pokiwał głową. - Sprawdź jeszcze to
- podał mu prawo jazdy i dowód rejestracyjny Pastora.
- Patrolowy zniknął. - Pan nikomu nie ufa, prawda, sierżancie? - rzekł Pastor.
- Na tym polega moja praca - przytaknął sierżant.
 - Jak długo zamierzacie zostać w tych stronach?
 - Tylko przez weekend. Potrzebujemy trochę gotówki, żeby zapłacić za nasiona i nawozy dla naszej komuny. Okazało się, że kosztuje to więcej, niż myśleliśmy.
 - A co wy tam hodujecie?

- Lucernę, słoneczniki, szafran i rozmaite fasole. Staramy się sami wyżywić. Jesteśmy wegetarianami.

Sierżant pokiwał głową. Wszystko pasowało. - Ile was tam mieszka w tej komunie?

- Jakież czterdzieści pięć osób - odparł Pastor.

- Ciągłe ktoś do nas przybywa. Co tydzień jedna, dwie osoby.

- Same dziewczyny? - spytał sierżant podchwytliwie.

Pastor roześmiał się. - Jest wśród nas mniej więcej piętnastu mężczyzn.

- Jakoś żadnego tu nie widzę.

- Potrzebni są na miejscu do cięższych robót. Mogłem zabrać jedynie dziewczyny.

Ten Pastor ma łeb na karku, pomyślał sierżant. Przywiózł dziewczyny, bo wiedział, że lepiej poradzą sobie z kwestą. Przeciętny przechodzień na ogół nie obawia się młodych kobiet. Wrócił patrolowy. - Też czysty - powiedział podając dokumenty sierżantowi.

Ale sierżanta dręczyła jeszcze jedna sprawa. - Chyba nie śpicie wszyscy w tym samochodzie?

Pastor znów się uśmiechnął. - Właściciel tego magazynu za nami był tak uprzejmy, że zgodził się go wynająć po dziesięć dolarów za noc. W magazynie nocują dziewczęta. Ja śpię tutaj. Sierżant podniósł się ciężko. - Musi pan jeszcze załatwić zezwolenie na kwestowanie. Pastor wyjął z szuflady kolejny papier. - To już załatwione, sierżancie. Wydano nam je wczoraj w urzędzie miejskim.

Policjant spojrział na dokument. Ten Pastor niczego nie przeoczył. Zezwolenie opiewało na piątek, sobotę i niedzielę. Oddał mu je niechętnie. - No dobra

- rzekł. - Bądźcie ostrożni i niech dziewczyny nie

wpakują się w jakąś awanturę, to ja dopilnuję, żeby policja zostawiła was w spokoju.

Pastor wstał. - Bardzo dziękuję, sierżancie - powiedział z iskierką uśmiechu w oczach. -

Niech Bóg ma pana w opiece.

- Bardzo dziękuję, Pastorze - odparł niemal bezwiednie sierżant, dziwiąc się własnym słowom.

Policjanci, odprowadzani spojrzeniami stojącego w drzwiach mikrobusu Pastora i dziewcząt, wrócili do swych samochodów i odjechali. Gdy już zniknęli na dobre, dziewczęta, znowu wesołe, popatrzyły porozumiewawczo na Pastora. Roześmiał się.

- Dali się nabrać - orzekła starsza dziewczyna, ta, która pierwsza rozmawiała z sierżantem.

Pastor powoli pokiwał głową. - Tak. Ale w dalszym ciągu musimy być bardzo czujni. Ten sierżant nie jest głupi. Zobaczycie, że złożą nam jeszcze parę niespodziewanych wizyt.

Macie się pilnować, póki nie załatwię naszych spraw i nie wyjedziemy.

- Aż mnie skreca, żeby zapalić - powiedziała dziewczyna.

- Weź na wstrzymanie, Charlie - rzekł Pastor. - W tym magazynie mamy pięćdziesiąt paczek, których musimy się pozbyć. Jak je opchniemy, to wyjedziemy stąd i urządzimy sobie prawdziwą fetę.

- Ależ Pastorku - zaprotestowała jedna z dziewcząt.

Pastor spojrział na nią surowo. - Słyszałaś, co powiedziałem, Alice. Róbcie to, co wam każę. Jeśli chcemy nadal służyć Jezusowi, to ta forsa będzie nam bardzo potrzebna. -

Zeskoczył na ziemię. - Która z was ma klucze od furgonetki? Muszę jechać do miasta, żeby złapać jakiś kontakt.

Pastor znalazł miejsce do zaparkowania na początku California Street. Wsiadł z samochodu, włożył monetę do parkometru i pomaszerował z powrotem ku Grant Street. W powietrzu unosił się, niczym perfumy, delikatny zapach chińskiej kuchni, zapraszający do tysiąca restauracji, które wypełniały Chinatown.

Szedł tak długo Grant Street, mijając restauracje i sklepiki z pamiątkami, aż w końcu dotarł do miejsca, o kilka przecznic dalej, gdzie ulica nabierała bardziej prozaicznego charakteru. Tu zaczynały się stare kamienice czynszowe i rozmaite składy postawione z pieniędzy podatników. Zatrzymał się przed jednym z nich. Pomieszczenie na parterze było czymś w rodzaju magazynu z oknami zamalowanymi szarą farbą podkładową.

SPÓŁKA SOONG DING. EKSPORT. SPRZEDAŻ HURTOWA

informowała tablica nad wejściem. Drzwi okazały się zamknięte na klucz. Pastor nacisnął dzwonek.

W chwilę później drzwi się uchyliły i wyrżał przez nie jakiś mężczyzna. - Słucham.

- Ja do Barbary Soong.

- Pana nazwisko?

- Proszę jej powiedzieć, że przyszedł Pastor. Mężczyzna skinął głową i zamknął drzwi.

Wrócił

po kilku minutach. Tym razem otworzył drzwi szeroko. - Proszę wejść.

Pastor wszedł do środka i przystanął, czekając, aż mężczyzna zamknie drzwi na klucz, a następnie poprowadzi go przez magazyn wypełniony skrzyniami i pudłami na zaplecze.

Tam mężczyzna nacisnął guzik windy. - Drugie piętro - powiedział, gdy drzwi się rozsunęły. Pastor wszedł do windy.

Na drugim piętrze, gdzie Pastor wysiadł z windy wprost do luksusowo urządzonego apartamentu, powitał go elegancki mężczyzna w ciemnym garniturze, białej koszuli i czarnym krawacie. - Proszę za mną.'

Poprowadził Pastora szerokim korytarzem udekorowanym pięknymi chińskimi obrazami malowanymi na jedwabiu oraz statuetkami z bezcennego jadeitu i kości słoniowej. Gdy doszli do misternie rzeźbionych drewnianych drzwi, otworzył je i ruchem ręki zaprosił Pastora do środka.

Potem sam wszedł i zamknął drzwi. Stał przed Pastorem. - Pan pozwoli? - spytał uprzejmie. - Rodzina Soong ma wielu wrogów.

- Oczywiście - zgodził się Pastor i uniósł ramiona. Obszukawszy go od góry do dołu, mężczyzna wyprostował się, usatysfakcjonowany. - Dziękuję.

- Podeszedł do biurka, nacisnął guzik. Drzwi po drugiej stronie pokoju otworzyły się i stanęła w nich kobieta. Była wysoka jak na Chinę. Uśmiechając się, wyciągnęła przed siebie obie ręce w geście powitania - Dawno się nie widzieliśmy, Pastorku - powiedziała ciepło. - Już myślałam, że nas zapomniałeś. - Nie zapomina się starych przyjaciół, Barbaro - odrzekł, biorąc ją za rękę. Po chwili je puścił, a jego głos nabrał poważnego brzmienia. - Dopiero teraz dowiedziałem się o śmierci twego szanownego ojca. Pozwól, że złożę ci spóźnione kondolencje. Barbara podeszła do biurka, które należało kiedyś do jej ojca i usiadła. - Dziękuję, Pastorku. Trudno mi się z tym pogodzić. Ale takie jest życie. Musi się toczyć dalej, cokolwiek byśmy mówili. - Przerwała na chwilę. - Czym Rodzina Soong może ci służyć?

Pastor wciąż stał, bo nie wypadało mu siadać bez zaproszenia. - Czy znana jest ci moja umowa z twoim ojcem? Skinęła twierdząco.

- Mam pięćdziesiąt paczek - oznajmił. Uniosła głowę. - Przychodzisz w trudnej chwili - stwierdziła. - Na rynku panuje zastój. Uliczni sprzedawcy nie są w stanie upłynnić swego towaru.

- Nie dziwię się - odparł. - Sprawdziłem parę próbek. Sprzedają straszne świństwo. Po co ktoś miałby to kupować?

- Co jednak nie zmienia faktu, że towaru jest pod dostatkiem - zakończyła.

- Zgoda - przytaknął. Uśmiechnął się. - Wobec tego nie będę ci zawracał głowy.

Dotrzymałem słowa danego Rodzinie Soong i przyszedłem tu w pierwszej kolejności.

Mam jeszcze kilka kontaktów w Los Angeles. Nie wątpię, że tam to upchnę.

- Nie powiedziałam, że nie jesteśmy zainteresowani, Pastorku - wtrąciła szybko. -

Powiedziałam tylko, że na rynku panuje zastój. - Towaru najlepszej jakości nigdy nie zbywa - stwierdził Pastor. - A mój jest najlepszy. Pochodzi z naszej własnej uprawy i został chemicznie sprawdzony. Zawartość czterohydrokanabinolu o czterdzieści procent wyższa niż przeciętnie. - Co chcesz za to? - spytała.

- Pięćset dolarów za paczkę. Oczywiście, minus twoje dwadzieścia procent prowizji.

- Za drogo jak na ten rynek - odparła. - Cena zbytu na ulicy wynosi najwyżej trzydzieści pięć. - Widzę, że jednak muszę to opchnąć w Los Angeles - stwierdził. - Tam jakoś ludzi stać na małe przyjemności życiowe. Zresztą potrzebuję forsy, jeśli chcę utrzymać komunę przez następny rok. - Może dałoby się to jakoś załatwić - rzekła.

- Usiądź, proszę. Pogadamy przy filiżance herbaty.

Samochód patrolowy powoli przeciskał się przez wieczorny sznur samochodów przy North Beach. - Panie sierżancie, niech pan spojrzy - powiedział Tom. - Tam, z przodu. Wzrok sierżanta podążył za gestem patrolowego. Na rogu ulicy stał fioletowy mikrobus; jego tylne drzwi były szeroko otwarte, lecz wgląd do środka uniemożliwiała czarna zasłona z namalowanym białym krzyżem. Przed drzwiami wystawał niewielki drewniany pomost, z którego Pastor mówił coś do trzymanego w ręce mikrofonu.

- Zatrzymajmy się na chwilę - powiedział sierżant. - Chcę posłuchać, co też on ma do powiedzenia. Głos Pastora był donośny, jednocześnie łagodny i sympatyczny.

Rozbrzmiewał z głośników, zamontowanych po obu stronach pomostu, ze zniewalającą intensywnością i przekonaniem. - Jeśli wasze serca zaakceptują fakt, że Pan nasz, Jezus Chrystus, umarł na krzyżu za nasze grzechy, to uczynicie pierwszy krok w kierunku Wspólnoty Bożej. Bowiem we Wspólnocie Bożej człowiek nie grzeszy, nie ponosi winy, nie toczy wojen. We Wspólnocie Bożej panuje miłość do Boga i do bliźniego. We Wspólnocie Bożej doznacie prawdziwego pogodzenia ze sobą i ze swoimi sąsiadami. We Wspólnocie Bożej podacie ręce sąsiadom i zaczniecie żyć cnotliwie. Uwierzcie w Jezusa Chrystusa i zamieszkajcie we Wspólnocie Bożej.

- Przerwał na moment i spojrział w dół, na ludzi zgromadzonych przed pomostem. Gdy uniósł ręce w geście błogosławieństwa, jego cień, padający w światłach nadjeżdżających samochodów na biały krzyż, zdawał się tworzyć sylwetkę Chrystusa.

- Niech Bóg was wszystkich błogosławi. Znieruchomiał na chwilę z wyciągniętymi rękoma,

delektując się nagłą ciszą, jaka zapanowała na dole,

a gdy w końcu je opuścił, zza furgonetki wyszły dziewczęta; każda z nich w jednej ręce trzymała puszkę na pieniądze, w drugiej zaś powielone ulotki. Pastor zniknął za czarną zasłoną.

- Gada jak z nut - stwierdził sierżant. - Prawie mnie przekonał.

Tom roześmiał się. - To nie on, sierzancie. To te dziewczyny. Jeśli o mnie idzie, to takie świeże, młode dziewczuszki przekonałyby mnie do wszystkiego.

Jakiś przechodzień upuścił ulotkę obok samochodu patrolowego. Sierżant wysiadł, żeby ją podnieść. Wróciwszy do samochodu odczytał ulotkę w świetle tablicy rozdzielczej.

**JEŚLI PRAGNIESZ UZYSKAĆ DODATKOWE
INFORMACJE O WSPÓLNOCIE BOŻEJ, WYPEŁNIJ I PRZEŚLIJ TEN
FORMULARZ (WSPARCIE FINANSOWE MILE WIDZIANE, ALE
NIEKONIECZNE) NA ADRES: WSPÓLNOTA BOŻA SKR. POCZT. 119, LOS
ALTOS, KALIFORNIA**

Sierżant uniósł głowę. Zdjęto już czarną zasłonę, wciągnięto pomost, zamknięto drzwi.

Kierowca mikrobusu szykował się do włączenia w ruch uliczny. Sierżant obejrzał się.

Dziewczęta szły ulicą, rozdając przechodniom ulotki i pobrząkując puszkami na pieniądze.

Spojrzał na zegarek. Była dziewiąta. - No, zwijamy się - stwierdził. - Sześć godzin w tym samochodzie to dosyć.

- Jestem za, panie sierzancie - rzekł Tom z entuzjazmem.

- Złożmy im jutro znowu wizytę - powiedział sierżant w zamyśleniu. - Jest w tym wszystkim coś, co nie daje mi spokoju.

4

- Ty naprawdę wierzysz w Boga, Pastorku? Przewrócił się na wznak, by ją widzieć. Siedziała oparta o jedwabne poduszki. W czerwono-złotawym świetle, łagodnie sącącym się przez małe chińskie lampiony, jej ciało miało delikatny odcień kości słoniowej. Począł z odpowiedzią, aż ona skończy zapalać papierosa. - Wiesz przecież, że tak Spojrzała na niego z góry. - Czasami jednak mam wątpliwości. Jeśli wziąć pod uwagę twoje postępowanie... Hasz... Dziewczynki... żyjesz tak swobodnie. Czy twój Bóg nie mówi, że to wszystko jest grzechem?
- To kwestia interpretacji - odparł. - Żaden uczynek nie jest grzechem, jeśli towarzyszy mu miłość Nie grzeszymy, o ile wierzymy, że Chrystus Odkupiciel umarł za nasze grzechy i oddajemy się mu w opiekę. Dotknęła jego twarzy, powiodła palcami od kości policzkowej ku brodzie. - Dziwny i piękny z ciebie mężczyzna, Pastorku.
- Dzięki ci - odparł cicho.
- Tyle czasu minęło od naszego spotkania - powiedziała. - Ileż to razy myślałam o tobie.
- Ja o tobie też często myślałem, Barbaro
- Zastanawiałam się, jak to będzie, kiedy wrócisz O ile wrócisz. Czy będzie tak samo, jak za życia ojca, kiedy nie spoczywała na mnie odpowiedzialność za Rodzinę Soong?
- I co, było? - spytał przyglądając się jej bacznie. Ich oczy spotkały się. - I tak, i nie.

- Na czym polega różnica?
 - Zadaję sobie pytania, których przedtem nie stawiałam.
 - Interes, tak? - spytał po chwili milczenia. Skinęła głową. - Tak. Czy jesteś ze mną, bo mnie pragniesz? Czy chodzi ci o te pięćset dolarów za paczkę?
 - I do jakich wniosków dochodzisz? - spytał Pastor.
 - Sama nie wiem - odparła. - Ty mi powiedz. Wsunąwszy dłoń w jedwabistą miękkość wnętrza jej ud, poczuł w odpowiedzi ciepłą wilgoć. - Jestem z tobą, Barbaro, z tego samego powodu, co zawsze. Z miłości.
 - A te inne kobiety? - spytała. - Czy i z nimi jesteś z miłości?
- Spojrzał jej w oczy. - Nie może być innego powodu, Barbaro. Jesteśmy dziećmi tego samego Boga i wszystko, co możemy sobie dać, to miłość.
- Dzwonek telefonu wydał się dźwiękiem zupełnie nie na miejscu w tym pokoju wymoszczonym chińskim jedwabiem. Podniosła słuchawkę. Przez chwilę trzymała ją przy uchu, potem powiedziała coś szybko po chińsku. W końcu zakryła słuchawkę dłonią i odwróciła się do niego.
- Możemy zabrać to wszystko jeszcze dziś, o ile zgodzisz się na cztery dwadzieścia pięć. Zamyślił się.
 - Posłuchaj mojej rady, Pastorku - odezwała się tonem kobiety interesu - i zgódź się. Pięćdziesiąt paczek to kupa śmierdzącego towaru, a tutejsza policja nie jest głupia. Od naszych informatorów w policji wiemy już, że mają na ciebie oko. Niech tylko się rozejdzie, że w mieście była dostawa, zaraz będziesz miał ich na karku.

Spojrzał jej w oczy. - Zupełnie jakbym słyszał twojego ojca.

- No myślę - odparła. - Inaczej nie mogłabym być głową Rodziny Soong.

- Dobra - zgodził się. - Kiedy i gdzie odbiorą towar?

Znowu powiedziała coś po chińsku do słuchawki. - Teraz - zwróciła się do niego. - Tam, gdzie zechcesz. Wyskoczył z łóżka i zaczął się ubierać. - Powiedz im, że zaraz będę na rogu najbliższej przecznicy. Przyniosą forszę?

- Nie - odparła. - Pieniądze otrzymasz ode mnie jutro rano.

- Niech będzie - przystał łatwo.

Jeszcze raz powiedziała coś szybko do telefonu, po czym odłożyła słuchawkę. Kończył się ubierać.

- Pastorku.

- Tak?

- Nie rób tego więcej - powiedziała. - Nie warto. To przecież tylko pieniądze.

- Ale ja potrzebuję pieniędzy - odparł. - Inaczej nie utrzymałbym mojej rodziny.

- Musi być jakiś lepszy sposób. Taki, który nie grozi pójściem do więzienia.

Popatrzył na nią uważnie. - Pomyślę o tym - obiecał.

Sięgnęła po kimono, by wstać z łóżka. - Muszę cię wypuścić. Po ósmej wieczorem trzeba mieć klucz do windy. - Dobrze.

Podeszła do niego, a on objął ją i pocałował.

- Pamiętaj, co powiedziałem. Tylko z miłości. Popatrzyła mu w oczy i uśmiechnęła się. -

Tak,

Pastorku.

Poszli do windy. Barbara włożyła klucz do zamka i nacisnęła guzik. Drzwi się rozsunęły. Przytrzymał je nogą, żeby móc jeszcze coś powiedzieć. - Dam im klucze od furgonetki. Towar znajduje się pod podłogą. Przekaż im, żeby po wyładowaniu towaru zostawili samochód gdzieś w bezpiecznym miejscu, a ja klucze odbiorę od ciebie jutro rano. Skinęła głową. - Przyjdź koło dziesiątej, Pastorku.

- Koło dziesiątej - powtórzył i nacisnął guzik.

Gdy drzwi się zamknęły, Barbara czekała, aż światelko wskaźnika piętra znajdzie się na jedyńce. Kiedy zgasło, wyjęła klucz z zamka i nie spiesząc się wróciła do pokoju.

*

Idąc nabrzeżem spowitym nocną mgłą, usłyszał cztery uderzenia dzwonu w pobliskim kościele. Pierwsze łodzie wróciły już z połowu; specjalnymi żurawiami przenoszono sieci pełne krabów do ustawionych na nabrzeżu kotłów z wrzącą wodą. Przystanął i przez chwilę się temu przyglądał, a następnie przeszedł na drugą stronę i pomaszerował w stronę ślepej uliczki. Głuchy odgłos stukania jego butów o bruk towarzyszył mu do samego mikrobusu. Zaczął szperać w kieszeni w poszukiwaniu klucza, ale ktoś otworzył drzwi od środka. - Charlie? - zdziwił się. - Co się stało, że nie śpisz?

Patrzyła na niego z góry. - Nie mogłam zasnąć. Martwiłam się o ciebie.

Wspiął się do samochodu. - Nie było się o co martwić.

Zasunęła drzwi. - Byłeś z tą Chinką.

- Tak.

Zbliżyła się do niego. - Czuć nią twoją brodę. Roześmiał się. - To *chow mein*, Charlie. Nie miałem czasu się umyć.

- A mnie wcale nie jest do śmiechu - odparła.
- Potrafię odróżnić zapach cipy od zapachu chińskiego żarcia.
Zdjął bluzę, koszulę i usiadł na krześle, by ściągnąć buty. - Nie jesteś chyba zazdrosna? -
spytał głosem pełnym wyrzutu.
Uklękła przed nim i zaczęła ściągać mu buty. - Nie
- odrzekła. - Mam więcej oleju w głowie. Zazdrość to choroba. Po prostu chciałam być z
tobą.
- Jesteś ze mną - odparł. - Wiesz o tym. Drugi but ściągnęła prawie ze złością. - Co ty mi
tu wciskasz, Pastorku. Nie jestem taka głupia, jak inne dziewczyny. Mam dwadzieścia pięć
lat i wiesz, o czym mówię. Im wystarczy, że czekają na swoją kolejkę, wierząc, że kiedyś
przyjdzie ci na nie ochota. Aleja chcę więcej. Chcę, żeby twój ptak rósł i strzelał we mnie,
a nie w cipie jakiejś głupiej Chinki.
Spojrzał na nią z góry. Jego głos był zimny. - To złe myśli, Charlie.
Rozpłakała się. - Nie mogę ich zmienić, Pastorku. Tak cię kocham.
Zdjął jej rękę z twarzy. - To Boga kochasz, Charlie. Tego samego Boga, który jest w nas
wszystkich. - Wiem - potaknęła, wciąż szlochając. - Ale czy chcieć ciebie to grzech?
- Grzech, jeśli zachowujesz się egoistycznie - odparł.
Usiadła i spuściła głowę. - A więc popełniłam grzech - rzekła niemal szeptem.
Pastor wstał. - Musisz pomodlić się, żeby Bóg ci go odpuścił, Charlie - powiedział do niej
z wysoka. - A ty mi odpuścisz, Pastorku?
- Ja nie jestem od odpuszczania grzechów, Charlie
- stwierdził. - Tylko Bóg może to uczynić. Pocałowała go w rękę. - Przepraszam, Pastorku.

- Wracaj do łóżka. - Podniósł ją z podłogi.
- Zaraz będzie świtało, a my mamy jutro dużo roboty.

*

Skręciwszy w ślepią uliczkę, sierżant zobaczył, że drzwi mikrobusu są odsunięte. Zajrzał do środka. Przy biurku siedział Pastor i coś pisał.

- Pastorze! - zawołał sierżant.

Pastor podniósł głowę. - Dzień dobry, sierżancie.

- Nie przeszkadzam? - spytał sierżant. Pastor uśmiechnął się. - Ależ skąd.

- Mogę wejść? - Proszę bardzo - zachęcił go Pastor.

Sierżant wdrapał się niezgrabnie do środka. Rzucił okiem na kartki leżące na stole. - Co pan pisze? - Jutrzejsze kazanie - odparł Pastor.

- Słyszałem pana wczorajsze kazanie. Ma pan złote usta, jak mawiano, kiedy byłem chłopcem. Pastor uśmiechnął się. - Łatwo się mówi słowami Boga.

Sierżant potaknął. - A jak idzie zbiórka pieniędzy?

- Bardzo dobrze - odparł Pastor. - Do naszego wyjazdu wieczorem powinniśmy mieć z siedemset dolarów. - Nie zostajecie do jutra? - zdziwił się sierżant.

- Przecież w niedzielę przychodzi na nabrzeże najwięcej ludzi. Zebralibyście dwa razy tyle, co każdego innego dnia. Pastor uśmiechnął się. - Ale to jest niedziela. A siódmego dnia Pan odpoczywał. Zresztą musimy wrócić do domu na niedzielne nabożeństwo.

- Jednak skoro już tu jesteście... - upierał się sierżant. - Wydaje mi się, że szkoda machnąć ręką na tyle forsy.

- Aż tyle jej nie potrzebujemy. Mamy proste

potrzeby. Przybyliśmy tu głównie po to, by słuwić naszego Pana.

Sierżant przyglądał mu się w milczeniu. Ten Pastor wydawał się szczery. Nawet porucznik w Los Altos, z którym rozmawiał rano, uważał ich za uczciwych. Powiedział mu, że mają za miastem farmę na dwudziestu akrach i że nawet jego żona kupuje od nich jajka i warzywa. Dodał, że według niego, prędzej można byłoby ich podejrzewać o to, że są Świadcami Jehowy lub Adwentystami Dnia Siódmego, niż o cokolwiek innego. Chodzą od drzwi do drzwi ze swymi produktami, wręczają przy okazji broszurki, zachowując się przy tym cicho i kulturalnie. Wszystko byłoby dobrze, pomyślał sierżant, gdyby nie doszły go słuchy, że na miasto rzucono tonę marihuany, która przecież nie spadła z nieba.

- Taki pan dziś samotny - zauważył sierżant. - Gdzie się podziały te dziewczyny?

- Kwestują.

- Nigdy nie byłem w tym magazynie, gdzie one nocują - stwierdził policjant.

- Jest otwarty - rzekł Pastor. - Może pan sobie obejrzeć.

- Zaprowadzi mnie pan?

- Chętnie - zgodził się Pastor. Wstał i wyszedł z mikrobusu, sierżant za nim. Otworzył drzwi budynku, a następnie obaj weszli do środka.

Na niedawno zamiecionej podłodze leżało dziesięć porządnie zwiniętych śpiworów. Poza nimi w tym niewielkim magazynie nie było niczego. Sierżant rozejrzał się wokół. Nie wyczuwał zapachu trawki. Spojrzał na Pastora. - Bardzo tu miło. Widzę, że są już gotowe do odjazdu.

Pastor przytaknął.

Gdy się znaleźli z powrotem na zewnątrz, sierżant

odwrócił się do zamykającego drzwi Pastora. - Zebraliście sporo forsy - rzekł. - Miejcie oczy otwarte, na wypadek gdyby komuś przyszło do głowy was zaczepić.

- Do tego chyba nie dojdzie - odparł z uśmiechem Pastor. - Bóg troszczy się o swoje owieczki.

- Po prostu bądźcie ostrożni - upierał się sierżant.

- W razie czego, walcie do nas śmiało.

- Dziękuję, sierżancie - powiedział Pastor. Odchodząc, sierżant jeszcze raz się odwrócił.

- Krążą plotki, że do miasta trafił duży ładunek haszyszu. Pan coś może o tym słyszał?

Pastor wytrzymał jego spojrzenie. - Nie słyszałem żadnych plotek - odparł.

Sierżant nie spuszczał z niego wzroku przez dłuższą chwilę. - Bo niby jak miał pan słyszeć

- pokiwał głową. - Mieszkacie tak daleko. - Wyciągnął rękę.

- Pan mnie rozumie, Pastorze. To należy do moich obowiązków.

Uścisk Pastora był silny. - Rozumiem, sierżancie.

- Do widzenia, Pastorze. Powodzenia.

- Do widzenia, sierżancie. Niech Bóg pana błogosławi.

Odprowadził go wzrokiem do samochodu patrolowego, zaparkowanego na jednokierunkowej ulicy. Barbara miała rację. To musi być ostatni raz. Odniósł dziwne wrażenie, że sierżant nie dociskał go, bo go polubił. Tak jakby mówił: - Dobra. Ale żeby mi to było ostatni raz.

Zamyślony, wrócił do mikrobusu. Popatrzył na biurko. Jego wzrok trafił na pierwsze zdanie przygotowywanego kazania: „Idźcie i nie grzeszcie więcej”.

5

Dochodziła siódma rano, kiedy Pastor dotarł furgonetką na wzgórze i skręcił w polną drogę, która prowadziła na farmę należącą do Wspólnoty Bożej. Minąwszy umieszczone po obydwu stronach ogromne napisy

PRZEJŚCIA NIE MA - WŁASNOŚĆ PRYWATNA,

zatrzymał samochód i wysiadł. Podszedł do krawędzi drogi, spojrzął w dół.

W małej dolinie poniżej Wspólnota Boża miała swoje gospodarstwo. Cztery schludnie pomalowane drewniane domy. Największy należał do kobiet, jako że musiał pomieścić największą część populacji komuny - dwadzieścia osiem kobiet i siedmioro dzieci.

Mężczyźni zajmowali mniejszy dom. Razem z Pastorem było ich tylko siedemnastu.

Między tymi dwoma stał drugi co do wielkości budynek - tu mieściła się jadalnia i kuchnie, oraz najmniejszy, w którym odbywały się zebrania i który spełniał również funkcję kościoła oraz świetlicy. Za domami znajdowały się wiaty, gdzie parkowano wszelkie samochody i maszyny należące do komuny lub do jej członków, a jeszcze dalej stał domek, w którym mieszkał on sam i który służył także za biuro.

Z komina nad kuchnią unosił się siny dymek, a pod wiatą odpoczywał fioletowy mikrobus. Pastor pokiwał głową. A więc dziewczęta nie miały problemów w drodze powrotnej z San Francisco. Szybciej pokonały odległość, bo jechały autostradą. On wracał bocznymi drogami, chcąc uniknąć ewentualnego zatrzymania przez policję na autostradzie. Tył furgone-

tki cuchnął marihuaną. Chińczycy tak się śpieszyli z wyładowaniem towaru, że rozerwali parę starannie zapakowanych paczek. A może nie tyle się śpieszyli, co po prostu sprawdzali, czy aby na pewno dostają to, za co zapłacili. W każdym razie po powrocie do domu należało zamieść podwójne dno furgonetki i splukać je strumieniem wody. A najlepiej je zlikwidować, bo przecież nie będzie im więcej potrzebne.

Wrócił do furgonetki i ruszył w dół. Pokonanie tej wąskiej i wyboistej drogi zajęło mu dziesięć minut. Gdy wjechał na teren farmy, niemal wszyscy członkowie komuny wylegli przed domy, żeby go powitać. Mijał ich powoli, a oni uśmiechali się i machali do niego rękoma. - Dobrej niedzieli, Pastorku!

- Dobrej niedzieli, dzieci! - odpowiadał im.

Zatrzymał samochód przed swym domkiem. Natychmiast zjawił się przy nim Tarz, zwany Organizatorem, wysoki, szczupły blondyn w staroświeckich okularach, pełniący rolę jego głównego asystenta, a tuż za nim Charlie. To ona przyprowadziła mikrobus z San Francisco. - Dobrej niedzieli, Pastorku - przywitał go Tarz, odsłaniając w uśmiechu duże białe zęby. Pastor podał mu rękę. - Dobrej niedzieli, Tarz. Jak się jechało? - spytał Charlie. Uśmiechnęła się. - Bez kłopotów. Kaszka z mleczkiem.

- Cieszę się - odrzekł. - A jak się mają dzieciaki?

- Wspaniale - powiedziała. - Bardzo je podnieciło głoszenie ludziom słowa bożego i wprost nie mogą się doczekać, żeby to znowu robić.

Uśmiechnął się. - Wiem, co czują. - Odwrócił się do Tarza. - Czy mógłbyś odstawić furgonetkę pod dach? Chcę wziąć prysznic i doprowadzić się trochę do porządku, zanim siądę do śniadania.

Tarz skinął głową. - Oczywiście. - Zawahał się. - Dobrze poszło? Zebraliśmy tyle, że wystarczy na zapłacenie raty hipotecznej za ten rok?

Pastor pokiwał twierdząco głową. - Będiesz miał okazję uszczęśliwić dyrektora banku.

Tarz uśmiechnął się od ucha do ucha. - To fajnie. Bo im bliżej było końca miesiąca, tym on stawał się drażliwszy.

- Zobaczysz, jak się teraz zmieni - rzekł Pastor kierując się ku domowi.

Charlie weszła za nim do środka. - Wyglądasz na zmachanego - stwierdziła. - Pozwól, że zagrzeję ci wody na kąpiel.

- Wystarczy mi prysznic.

- Posłuchaj mnie choć raz, Pastorku.

Spojrzał na nią i westchnął. - Niech ci będzie. Jestem zmęczony. - Opadł na krzesło.

- Tak lepiej - rzekła. - Z kieszeni koszuli wyjęła skręta, przypaliła go. - Masz, pociągnij sobie. To ci przyniesie ulgę, a ja tymczasem rozpalę ogień pod kuchnią. Potem wrócę, żeby cię rozebrać. Zaciągnął się głęboko. - Traktujesz mnie jak dziecko.

Roześmiała się. - Każdy mężczyzna lubi myśleć o sobie, że jest duży i silny. Ale nawet najlepszemu z was nigdy nie zaszkodziło, że był traktowany trochę jak dziecko.

Zaciągnął się drugi raz, a ona wyszła do drugiego pomieszczenia rozpaścić ogień. Oparł głowę na krzesło. Nagle poczuł, że jest bardziej zmęczony, niż sądził. Miała rację. Czasami dobrze być traktowanym jak dziecko.

*

Tarz wszedł do kuchni w chwili, gdy Charlie nalewała wrzątek z metalowego czajnika do wielkiej

drewnianej balii ustawionej na podłodze. - Gdzie jest Pastor?

Uniosła głowę. - Obok. Zasnął na siedząco.

Tarz stanął w otwartych drzwiach i zajrzał do pokoju. Charlie mówiła prawdę. Pastor miał zamknięte oczy, głowę opartą na krześle. Był wciąż w ubraniu. Zdjął jedynie swe wysokie buty. Tarz wrócił do Charlie. - Czekają na niego w świetlicy.

- On nie da rady - odparła. - Całą noc był na nogach.

- To co im powiedzieć? - spytał.

- Prawdę - odparła. - Jest niedziela. Nawet Pan Bóg zrobił sobie jeden dzień odpoczynku.

Milczał. - Niech na razie się modlą, a on do nich przyjdzie, jak się trochę wyśpi. Po południu będzie znowu w formie.

Pokiwał głową. - No dobra. A ty jak sobie z nim poradzisz?

Roześmiała się. - Poradzę sobie. Nie jest taki duży.

Gdy wyszedł, Charlie wlała do balii jeszcze jeden czajnik wrzątku. Z papierowej torebki stojącej na stole wyjęła słoiczek kolorowych kryształków, wsypała je powoli do wody i zamieszała dużą drewnianą łyżką. Wraz z parą rozszedł się po kuchni zapach sosny.

Wciągnęła go nosem. Bardzo miły zapach, skonstatowała.

Czując na ramieniu jej dłoń, Pastor otworzył oczy. - Zasnąłem.

- Wiem - odparła.

- Która godzina? - zaniepokoił się. - Kazanie mam gotowe.

- Można z tym poczekać do popołudnia - uspokoiła go. - Już im powiedziałam. Wyskakuj z ubrania, bo kąpiel czeka.

Podniósł się powoli i zaczął rozpinąć koszulę. Pociągnął nosem. - Co to za dziwny zapach?

- Sól sosnowa do kąpieli - zachichotała. - Kupiłam w mieście. Facet w drogerii powiedział, że dobrze robi na zmęczenie.

- Chcesz, żebym pachniał jak fabryka perfum?

- Najpierw spróbuj, a potem narzekaj - powiedziała. - Zawsze to lepsze od zapachu chińskiej kuchni. - Zobaczymy - roześmiał się, wchodząc do wody.

- No i jak? - spytała, patrząc na niego z góry. Zanurzył się po szyję, oparł głowę o krawędź bali. - Wspaniale - powiedział, odwracając się, żeby ją widzieć. - Ja już zapomniałem, jaką wspaniałą rzeczą jest prawdziwa kąpiel.

- Wiedziałam, że ci się spodoba.

- Miałaś rację, Charlie.

Podawała mu gąbkę i mydło. - Teraz wyszoruj się do czysta. Ja w tym czasie przygotuję ci śniadanie. - Matka zawsze mnie myła - uśmiechnął się szeroko.

- Po pierwsze nie jestem twoją matką - odparła wesoło. - Po drugie jesteś wystarczająco duży, żeby się sam umyć. - Niech będzie - zgodził się. - Ale skoro już tam idziesz, to przyślij do mnie Tarza. - Nie można by z tym poczekać? - zaprotestowała.

- Chciałam, żebyś trochę odpoczął. - To ważne - upierał się.

Wycierał się, kiedy wszedł Tarz. - Jak się czujesz, Pastorku?

- Doskonale - odparł. - Byłem trochę zmachany, to wszystko.

- Charlie mówi, że masz jakąś ważną sprawę. Pastor popatrzył mu w oczy. - Bardzo ważną.

Jutro

z samego rana weź oba traktory i sześciu mężczyzn.

Trzeba zaorać pole numer dziesięć. Ale musicie zrobić to naprawdę porządnie, żeby przypadkiem nic nie odrosło. A potem posiejecie lucernę.

Tarz wytrzeszczył oczy. - Na lucernie nic nie zarobimy.

- Na pewno nic nie zarobimy, jeśli cała komuna pójdzie siedzieć za uprawianie i sprzedawanie wiesz czego - odparł Pastor.

- No to jak spłacimy dług hipoteczny?

- Musimy znaleźć inny sposób - stwierdził Pastor. - Tak nam dobrze szło w San Francisco.

Być może zaczniemy kwestować regularnie, co tydzień w innym mieście.

- Dzieciakom to się nie spodoba. Większość z nich przyłączyła się do nas, bo sądziła, że żyjemy tu po swojemu. Podobała się im wolność panująca we Wspólnocie Bożej i to, że nikt się tu do niczego nie wtrąca.

- Przecież mogą dalej robić to, co chcą - stwierdził Pastor. - My tylko wycofujemy się z tego interesu. Tarcz pokręcił głową. - Oni inaczej to rozumieją. Powiedzą, że poszedłeś na ugodę. Pastor patrzył na niego. - Poniekąd będą mieli rację. Ale ze względów praktycznych inaczej się nie da. Nie sądzę, żeby któremuś z nich, bardziej niż mnie, uśmiechało się pójść za kratki.

- Ale z własnej porcji nie zrezygnują.

- To ich sprawa - powiedział Pastor. - Mogą to robić. Mówię tylko, że nie będziemy tego uprawiać tutaj. I każdy, kto złamie ten zakaz, zostanie ukarany.

Tarcz milczał przez chwilę. - Dobra. O szóstej rano zaczniemy orać.

- Pomogę wam - rzekł Pastor.

- Co się stało, Pastorku? Nie ufasz mi? - Tarcz był trochę dotknięty.

Pastor roześmiał się. - Niepotrzebnie się obrażasz, Tarz. Po prostu chcę mieć pewność, że zostanie to dobrze zrobione. Bądź co bądź jestem chłopakiem ze wsi. Wy, miastowi, nie umiecie jeszcze wszystkiego.

Tarz uśmiechnął się szeroko. - Jak chcesz, Pastor-ku. Ale to ty wytłumaczysz dzieciakom, o co tu chodzi. Ode mnie tego nie kupią.

- Biorę to na siebie - zgodził się Pastor. - Musimy pamiętać, że naszym najważniejszym zadaniem jest służyć Bogu. Reszta to nieistotne szczegóły.

6

Przewracał się w łóżku z boku na bok, aż w końcu usiadł. Od powrotu z San Francisco upłynął już tydzień, a jemu nie udało się jeszcze przespać porządnie ani jednej nocy.

Gnębiło go jakieś dziwne złowrogie przeczucie, ale nie potrafił znaleźć jego przyczyny. I nic nie było w stanie zagłuszyć tego niepokoju. Ani modlitwa, ani post, ani narkotyki, ani nawet seks. Przynosiły chwilową ulgę, a potem tamto dręczące uczucie wracało.

Pokój tonął w nieprzeniknionych ciemnościach, bo za oknami panowała czarna bezksiężycowa noc. Poczul obok siebie jakiś ruch. Wyciągnąwszy rękę natrafił na młode nagie ciało. Daremnie próbował sobie przypomnieć, kto leżał obok niego, kiedy zasypiał. Wiedział tylko, że było z nim kilka dziewczyn, ale tyle palił, że wciąż miał mętlik w głowie.

- Pastorku - usłyszał czyjś szept.

- Tak?

- Dobrze się czujesz?

- Dobrze. Tylko nie mogę zasnąć. - A po chwili dodał: - Tak tu ciemno, że nic nie widzę.

- To ja, Melanie. - Rozległ się stłumiony chichot.

- Nieźle się zaprawiłeś. Z trudem położyliśmy cię do łóżka.

- Kto my? - zdziwił się. - Sara, Charlie i ja.

Poczuł, że inna dziewczyna, z drugiej jego strony, usiadła. Ten głos poznał. - Nic ci nie jest, Pastorku? - spytała Charlie.

- Nie mogę spać - poskarżył się.

- Spać to ty nie możesz od powrotu z Frisco

- powiedziała z lekkim wyrzutem w głosie. -1 w ogóle mało co możesz. Coś mi się wydaje, że ta chińska czarownica rzuciła na ciebie urok.

- Błędnie, Charlie - zganiał ją. - Czarownice nie istnieją. Odeszły wraz ze średniowieczem.

- Zaparzę ci ziółek - powiedziała Charlie wstając z łóżka. Zapaliła świecę. W jej migotliwym świetle Pastor dojrzał trzy dziewczyny. Tak jak on, były nagie. Z drewnianej skrzynki pełniącej rolę nocnego stolika Charlie wzięła buteleczkę i podała ją Melanie.

- To olejek piżmowy „Kamasutra”. Oszczędzałam go na specjalną okazję. Połóż się płasko i pozwól dziewczętom, żeby cię natarły. To ci przyniesie ulgę.

- Chcę papierosa - powiedział. - Już się dość naćpałeś. - Mam na myśli normalnego papierosa. - Wytrzymałeś bez palenia cały rok. Chyba nie chcesz zacząć od nowa?

- Nie kłóć się ze mną - odparł rozdrażnionym tonem.

Pomilczawszy chwilę, podała mu paczkę papierosów. Wyciągnął jednego, ona przysunęła mu świecę.

Przypalił, zaciągnął się głęboko. Poczł drapanie w gardle. Zakrztusił się.

- No i co, lepiej ci? - spytała ironicznie.

- Znacznie lepiej - uciał, zaciągając się ponownie.

- To się połóż i pozwól dziewczętom, żeby się tobą zajęły - poleciała.

Pokiwał głową na znak zgody. Ułożył się na wznak. Charlie zapaliła drugą świecę i umieściła ją w lichtarzu stojącym na skrzynce. - Zaraz wracam - rzuciła, idąc do drzwi.

Popatrzył za nią. - Dziękuję, Charlie.

- Nie dziękuj nam, Pastorku - powiedziała. - My cię kochamy.

- Ja was też kocham.

- Przesuń się w tę stronę, Pastorku - powiedziała Sara, siadając za nim po turecku. - I połóż mi głowę na kolanach. Uniósł się lekko, spełniając jej życzenie. Jeszcze raz się zaciągnął. To było naprawdę przyjemne. Co mu strzeliło do głowy z tym rzuceniem palenia? Uniósł do góry papierosa, Melanie wzięła go od niego i odłożyła do popielniczki. Poczł w nozdrzach delikatny zapach olejku „Kamasutra”, który dziewczęta roztarty sobie na dłoniach i zaczęły go nacierać. Sara, sięgając zza jego głowy, zajęła się szyją i ramionami, Melanie, klęcząc w drugim końcu łóżka, zaczęła od stóp i stopniowo posuwała się ku kostkom i łydkom. Charlie miała rację. Lekkie uciskanie ich palców i łagodny olejek, przynosiły mu ulgę i ukojenie. Zamknąwszy oczy, poddał się zmysłowej pieszczocie dotknięć, które były jak muśnięcia piórkiem i zdawały się dosięgać koniuszków nerwów umiejscowionych tuż pod naskórkiem.

Dłonie Sary ześlizgiwały się z jego ramion ku klatce piersiowej, zataczając powoli kręgi wokół su-

tków i żeber, Melanie zaczęła miesić uda. - Nie walcz z nami, Pastorku - powiedziała. - Napinasz mięśnie. Rozluźnij się.

- Ciekawe, jak mam to zrobić?

- Porozmawiaj z nami o Bogu - zaproponowała Sara. - Jak skoncentrujesz się na Bogu, to przestaniesz myśleć o sobie.

Otworzył oczy. Sara pochylała się nad nim, starając się dosięgnąć jego brzucha. Ciało dziewczyny pokrywała cieniutka warstwa potu, a spomiędzy jej nóg wydobywała się lekka kobieca woń. - To mi się raczej nie uda - stwierdził. - Czuję twój zapach.

Zachichotała. - Wobec tego ja ci coś opowiem. - Doskonale.

- Widzisz... - zaczęła z wahaniem. - Ostatnio męczy mnie pewien sen, ale nie miałam śmiałości ci go opowiedzieć. Boję się, że jest bluźnierczy.

- Jedynym prawdziwym bluźnierstwem w naszej Wspólnocie jest strach przed podzieleniem się wszystkim z innymi. Choćby wątpliwościami.

- Melanie zna ten sen. Opowiedziałam jej.

- To i mnie możesz go opowiedzieć - stwierdził. Zaczęła ugniatać mu mięśnie brzucha, robiąc to o wiele silniej niż przedtem, gdy masowała ramiona. - Otóż śni mi się, że jest noc, ja zaś klękę pod krzyżem kalwaryjskim. I gdy się tak modłę u stóp Zbawiciela, coś mnie zmusza, żebym spojrzała w górę. Podnoszę głowę i napotykam wzrok Jezusa. Czuję, jak nagle jakaś światłość przenika moją duszę. Przez chwilę jest tam tak jasno, że nic nie widzę, a kiedy to mija, okazuje się, że to nie jest Jego twarz, lecz twoja i nie Jego oczy, a twoje. Dostrzegam w nich taki ból, że chciałabym cię dotknąć i pocieszyć, ale mimo że wyciągam wysoko rękę, nie mogę dosięgnąć

nawet twych stóp. Zaczynam płakać i wtedy się budzę.

Pastor poczuł wilgoć na policzkach. Otworzył oczy. Sara płakała, nie przestając go masować. Nie odezwał się.

- Co to znaczy, Pastorku? - spytała. - Czy mam objawienie? Może ty jesteś prawdziwym Jezusem Chrystusem?

- Jedno, co wiem na pewno - odparł - to to że nie jestem Jezusem Chrystusem. Co do reszty' to trudno mi się wypowiadać. Wydaje się, że szukasz Boga tak intensywnie, że podświadomie widzisz Go w kimś bliskim; kimś, kogo możesz dotknąć, osiągnąć.

- Czy to bluźnierstwo?

Pokręcił głową. - Nie. Wszyscy szukamy Boga, albo w sobie, albo w znanych wizerunkach. Ważne jest to, żeby nie stwarzać fałszywych bogów tylko pamiętać, że jeden jest Bóg prawdziwy i że zesłał On na ziemię Swego Syna, by odkupił nasze grzechy i zbawił nas. W tej chwili śliskie palce Melanie dotknęły jego członka i jąder. Poczuł ogień w lędźwiach.

Dziewczęta gwałtownie cofnęły ręce. - Przewróć się na brzuch - poleciła Sara. - Charlie powiedziała że jak tylko zaczniesz się podniecać, mamy zająć się twymi plecami.

- Czemu? - spytał niezadowolony.

- Bo zioła masz pić całkiem rozluźniony - wyjaśniła Melanie.

- Jestem już rozluźniony.

- Odwróć się. Będziesz jeszcze bardziej rozluźniony, kiedy skończymy.

Zanim wróciła Charlie, Pastor prawie drzemał - No jak się czujesz? - spytała.

- Rozluźniony - odrzekł, unosząc głowę.

- Świetnie - ucieszyła się. - Usiądź i wypij to. Przewrócił się na plecy, usiadł i posłusznie wziął od niej kubek. Podniósł go do ust.

- Uważaj - ostrzegła. - Gorące.

Spróbował i skrzywił się. - Okropnie niesmaczne. Co to jest?

- Wypij. Dobrze ci zrobi.

- Ale co to jest? - dopytywał się.

- Wywar z żen-szenia. Prawdziwy. Z korzenia, a nie z torebek. Dlatego zajęło mi to tyle czasu. - Czy to pomoże? - spytał.

- Doda ci energii - odparła.

Popatrzył na nią porozumiewawczo. - Chińczycy powiedzieliby „wigor”.

- To też - zgodziła się z uśmiechem.

Wypił jeszcze jeden łyk. - Sądzisz, że brakuje mi wigoru?

- Próbuję różnych sposobów. Ostatnio nie jesteś sobą.

- Wiem - odparł. - Ale nie pomyślałaś, że może mam co innego w głowie?

- Tak czy inaczej, dzięki temu wywarowi powinieneś odzyskać jasność myślenia.

Spróbował ponownie. - Naprawdę okropne.

- Wypij - ponaglała go. - Im prędzej skończysz, tym prędzej wrócimy do łóżka.

- Czy to pomoże mi zasnąć?- spytał. - Nie będziesz miał kłopotów z zaśnięciem - po-

wiedziała uśmiechając się pod nosem. Poczekała, aż Pastor skończy, po czym wzięła od niego kubek i odstawiła na skrzynkę przy łóżku. - Zgasić świece? - spytała Melanie.

- Nie. Ze świecami jest romantycznie - orzekła Charlie. Odwróciła się do niego przodem, położyła

mu dłonie na ramionach i całując, pchnęła go na łóżko. Jednocześnie któraś z dziewcząt położyła mu rękę na genitaliach, a potem otoczyły je czyjeś ciepłe, miękkie wargi.

- Hej, co to ma być? - spytał z niepewnym uśmiechem. - Zaczynam się czuć jak jagnię szykowane na rzeź.

- Nie wiesz? - zdziwiła się Charlie odrywając od niego usta. Pokręcił głową.

- Chcemy, żebyś każdej z nas zrobił dziecko - wyjaśniła.

- Dziś w nocy? - spytał z niedowierzaniem.

- Tak - odpowiedziały chórem.

- Po co?

- To jedyny sposób, byśmy zachowały ciebie na zawsze. Jeśli odejdiesz, nam pozostanie jakaś częśćka twojej świętości.

- Czy wyście powariowały? - zawołał.

- Ani trochę - odpowiedziała Charlie. - Wszyscy wiedzą, że zamierzasz nas opuścić.

- Skąd wam to przyszło do głowy?

- Nic już nie jest tak, jak było - stwierdziła. - To znaczy, odkąd kazałeś zaorać to pole.

Zmieniłeś się, Pastorku. Pomyślałyśmy, że może gdybyśmy były znowu razem z tobą, to wróciłbyś do nas.

Wyskoczył z łóżka i zapalił papierosa. - Kto was do tego namówił? - spytał patrząc na nią z niedowierzaniem.

- Nikt - odparła. - Ale komuna jest naprawdę wściekła. Połowa chce odejść już zaraz.

Zaciągnął się głęboko. - Więc pomyślałyście, że wszystko się ułoży, jeśli każda z was zafunduje sobie po dzieciaku, tak?

- Tak.

- Nie zamierzam stąd odejść - oświadczył dobitnie. - A teraz zabierajcie się stąd i powtórzcie to innym. Możecie im też powiedzieć, że jeśli mają jakieś pretensje, to niech przyjdą z nimi bezpośrednio do mnie.

Charlie zaczęła płakać. Spojrzał na Melanie i Sarę. Też płakały. Pokręcił głową z rezygnacją. Nie było sposobu, żeby je przekonać.

- Nie gniewasz się na nas, Pastorku? – spytała Charlie.

- Nie gniewam się - odparł. - Jesteście moimi dziećmi.

- Kochamy cię, Pastorku - powiedziała Sara i pocałowała go w rękę.

Melanie schyliła się do drugiej. - Chcemy być z tobą, jak dawniej.

- Ależ jesteście - zapewnił ją. - Nic się me zmieniło.

- To pozwól nam dziś tu zostać, Pastorku - poprosiła Melanie. - Obiecujemy, że już nic takiego nie zrobimy.

Spojrzał ponad jej głową na Charlie. Łzy spływały po jej policzkach. - W porządku - powiedział łagodniejszym głosem. - Zgaście świece i chodźmy spać.

Ale sen nijak nie chciał do niego przyjść i dopiero rano zrozumiał, czego się obawiał, ujrawszy przed świetlicą samochód i wysiadających z mego brodatych mężczyzn w czarnych kapeluszach z szerokimi rondami.

Byli to Brat Elias i Brat Samuel z Kościoła Synów Bożych. Wiedział już, komu Rodzina Soong sprzedała jego towar.

7

Przed świetlicą stał biały kabriolet marki Cadillac. Dach miał opuszczony; wyściełane czerwoną skórą wnętrze lśniło w porannym słońcu. Pastor podszedł do niego od lewej strony i nachylił się nad kolumną kierownicy, by przeczytać kartę rejestracyjną, przyczepioną taśmą klejącą. Samochód należał do Kościoła Synów Bożych w San Francisco. Pastor wyprostował się, wszedł do świetlicy.

Przy stole siedział Tarz w towarzystwie dwóch przybyszów. Obaj mężczyźni ubrani byli od stóp do głów na czarno - czarne duże kapelusze, czarne koszule i spodnie, nawet ich długie brody były czarne. Na widok Pastora obaj wstali.

Nie wyciągnął do nich ręki. Powiedział tylko: - Bracie Eliaszu, Bracie Samuelu.

Niższy z nich, Brat Eliaz, uśmiechnął się. - Cieszę się, że znów was widzę, Pastorze.

Pastor skinął głową. Nie uśmiechnął się, ani nie odpowiedział na to powitanie.

- Słyszeliśmy, że byliście w mieście - powiedział Brat Samuel. - Czemu do nas nie wpadliście?

- Nie miałem powodu - uciał Pastor.

- Ale byliście aż trzy dni - zauważył Brat Eliaz. - Powinniście byli do nas zajrzeć. Wiecie, że Brat Robert ma o was wysokie mniemanie. Mówi, że nikt tak jak wy nie angażuje się w służbie bożej.

Pastor przez chwilę patrzył na niego w milczeniu. Potem usiadł naprzeciwko nich, zapalił papierosa, oparł się wygodnie. Minę miał poważną. - Jestem

pewien, że Brat Robert nie przysłał was do mnie po to, żeby mi to powiedzieć.

- Brat Robert życzy sobie, żebyśmy odbyli rozmowę bez świadków - powiedział Brat Eliasz patrząc znacząco na Tarza.

- W naszej komunie nie mamy przed sobą tajemnic - odparł Pastor. - Możecie mówić śmiało. Nie mamy nic do ukrycia.

Brat Samuel poderwał się z miejsca. Był dużym, krzepkim mężczyzną, liczącym ponad metr osiemdziesiąt wzrostu i chyba tyle samo w ramionach. - Wiadomość, którą mamy wam przekazać w imieniu Brata Roberta, jest przeznaczona wyłącznie dla waszych uszu - powiedział z naciskiem. Pastor podniósł na niego wzrok. Wiedział, co o nim mówią. Brat Samuel pracował jako wykidajło w podrzędnych klubach nocnych i wyduszał forszę od dłużników na zlecenie wierzycieli-rekinów, którzy rzekomo doznali oświecenia i przystąpili do Kościoła Synów Bożych. U Brata Roberta trudnił się mniej więcej tym samym: zastraszaniem i wymuszaniem posłuszeństwa na członkach innych sekt. - Traciecie czas, Bracie Samuelu - rzekł Pastor.

- Siadajcie, Bracie Samuelu - polecił mu Brat Eliasz. - Pastor wie, co robi.

Brat Samuel usiadł ciężko; jego mina nie wróżyła niczego dobrego. Splótł ręce przed sobą i utkwiał w nich wzrok.

- Może słyszeliście - Brat Eliasz zwrócił się ponownie do Pastora - że przeprowadziliśmy niedawno nader udaną misję na terenie stanu, w wyniku której pozyskaliśmy dla naszego Kościoła dwustu nowych członków.

- Słyszałem - potwierdził Pastor. To była prawda. Objechali stan wzdłuż i wszerz, wabiąc małe sekty

i zabiedzone komuny obietnicami ratunku przed całkowitym upadkiem i zepsuciem moralnym społeczeństwa, co według przepowiedni Kościoła Synów Bożych miało już wkrótce nastąpić. - Dwustu - podkreślił Brat Elias z dumą. - Posiadamy obecnie ponad pięciuset członków i dwa kościoły, jeden w Los Angeles, drugi w San Diego.

Pastor pokiwał głową. - Stajemy się prawdziwą siłą - dodał Brat Elias.

- Niebawem nikt nie odważy się nas ignorować.

- Moje gratulacje - powiedział Pastor ironicznie.

- Mamy ponad osiemset tysięcy dolarów w gotówce i nieruchomościach plus tysiąc tygodniowo z kwesty. W obu tych miastach, gdzie są nasze kościoły, rozkręciliśmy jakiś mały biznes. Nasza komuna rośnie z dnia na dzień.

- Macie też Szalonego Karolka - zauważył Pastor.

- Już nie - odparł pośpiesznie Brat Elias. - Brat Robert go wywalił. On chciał czegoś zupełnie innego, niż my. My hołdujemy czystości moralnej. Karolek zaś udawał Chrystusa, a naprawdę chodziło mu tylko o seks.

- Ale przecież Szalony Karolek towarzyszył Bratu Robertowi od czasów Scjentologii - zdziwił się Pastor. - To nieprawda - zaproponował Brat Elias. - Brat Robert opuścił Hubbarda bardzo dawno temu. Nie znał jeszcze wtedy Karolka. Brat Robert mi mówił, że Karolek wyssał to wszystko z palca, bo kiedy on zajmował się Scjentologią, Karolek siedział w pudle. - A teraz gdzie się podziewa Szalony Karolek? - spytał Pastor.

- W okolicach Los Angeles - odparł Brat Elias.

- Zebrał jakieś dzieciaki i narkotyzuje je do nieprzytomności kwasem i haszem. Inaczej nie byłby

w stanie im wmówić, że jest Chrystusem i że zbawi je w Dzień Sądu Ostatecznego.

- To drań - stwierdził Pastor. - Któregoś dnia kogoś zabije.

- On? Nie - uspokoił go Brat Elias. - To tchórz.

- W takim razie popchnie do tego któregoś ze swoich dzieciaków - powiedział Pastor.

- A to już jego kłopot - odparł Brat Elias. - Nas nic z nim nie łączy.

Pastor milczał przez chwilę. - Przyjechaliście jednak nie w tej sprawie?

- Brat Robert chce, żebyście rozważyli możliwość przyłączenia się do nas - rzekł Brat Elias. - Uważa, że razem możemy być naprawdę silni. Może nawet silniejsi od Hubbarda.

Pastor roześmiał się. - To się nie uda. Jesteśmy prostą komuną chrześcijańską. Nie trzymamy, jak wy, z wyznawcami Jehowy, Jezusa Chrystusa i Lucyfera jednocześnie. My wierzymy wyłącznie w święte odkupienie obiecane nam przez naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

- Ale Brat Robert dowiódł, że Jezus doprowadził do pojednania między Swym Ojcem, Jehową, a Swym Wujem, Lucyferem. W Dniu Sądu Ostatecznego Jezus odda wszystkich sprawiedliwych w opiekę Swemu Ojcu, a pozostałymi zajmie się Lucyfer.

- Mnie tego nie dowiódł - powiedział Pastor. - Ani nikomu, kto wierzy w naukę Biblii. Tak więc nie ma podstaw, żebyśmy się połączyli.

- Ile dzieciaków macie tutaj? - spytał Brat Elias.

- Czterdzieścioro kilka - odparł Pastor.

- Przyłączcie się do nas, a wkrótce będzie was ponad setka.

- Mnie to nie interesuje - rzekł Pastor cicho.

- Ale może powinno - warknął Brat Elias.

- Policja ma na was haka. Wiedzą, że sprzedajecie trawę w San Francisco. Moglibyśmy załatwić, żeby się od was odczepili.

- Dużo nam zrobią - odrzekł Pastor. - My jesteśmy tu czyści. Niczego nie znajdują.

- Gadaj zdrów. Pięćset paczek to co najmniej pięć akrów uprawy.

- Ktoś was źle poinformował - odparł Pastor.

- My tutaj zielska nie hodujemy.

Brat Eliasz spojrział na niego zdziwiony. - Zupełnie coś przeciwnego słyszeliśmy od Rodziny Soong. - Kupiliście od nich trawę? - spytał Pastor.

- Pięćset paczek. W tym samym czasie, kiedy wy byliście w mieście dla podreperowania swoich funduszy.

- Interesujące - stwierdził Pastor. - I z tego wywnioskowaliście, że uprawiamy i sprzedajemy trawę?

- Nie - odparł Brat Eliasz. - Wiemy o tym od naszego informatora. W Rodzinie Soong jest ktoś, komu się nie podoba, że robisz to z Barbarą. Chcą się jej pozbyć. W takim ważnym tajnym stowarzyszeniu, jakim jest ten tong, nie ma miejsca dla kobiety.

Pastor wstał gwałtownie. - To wszystko są bzdury. Możecie wracać i powiedzieć Bratu Robertowi, że Wspólnota Boża nie jest zainteresowana jego propozycjami.

Brat Eliasz podniósł na niego oczy. - Jeśli jesteście komuną z prawdziwego zdarzenia, to powinniście pozwolić dzieciakom, aby sprawę poddały pod głosowanie i same podjęły decyzję co do swej przyszłości.

- Proszę bardzo - odparł Pastor. - Nikt im nie zabrania przejść do was. Ja jednak nie zamierzam wchodzić w żadne układy z Bratem Robertem.

- Więc nie miejcie do nikogo pretensji, jak policja dobierze się wam do skóry.
Brat Samuel znowu wstał. - Mówiłem od razu, że z takim frajerem nie ma co dużo gadać, tylko trzeba go od razu nauczyć rozumu - warknął, patrząc groźnie w stronę Pastora.
Pastor nie spuszczał zeń wzroku. - Nie radzę ci uczyć mnie czegokolwiek.
Brat Samuel wycelował swą tłustą pięść w jego twarz. Pastor nieznacznie się uchylił i pięść tamtego trafiła w powietrze.

- Lepiej się uspokój - rzekł cicho Pastor. - Wiesz, że my nie uznajemy przemocy.
- Ja ci pokażę, co powinniście uznawać - warknął Brat Samuel i drugi raz rzucił się do ataku. Tym razem Pastor wykonał taki gest, jakby szykował się do ucieczki. Brat Samuel twardo parł do przodu. Nie zauważył nogi Pastora, póki ciężki but nie spotkał się z jego policzkiem. Rozległ się chrzęst łamanej kości i Brat Samuel potoczył się na podłogę. Z ust i nosa bluznęła mu krew. Rzucając wściekłe spojrzenie na Pastora próbował oprzeć się na rękach i podnieść, ale był to dla niego za duży wysiłek. Jęcząc, osunął się z powrotem na podłogę.

Pastor przeniósł wzrok na Brata Eliasza, który nieporuszony siedział na krześle. - Zabieraj go stąd i powtórz moje słowa Bratu Robertowi. Nie chcemy mieć nic wspólnego z Synami Bożymi.

- Mówiłeś, zdaje się, że nie uznajesz przemocy - zauważył Brat Eliasz.
- Mówiłem - potwierdził Pastor. - Nie twierdziłem jednak, że nie uznaję samoobrony.
Wszyscy wciąż zapominacie, że spędziłem trzy lata w Wietnamie.
Brat Eliasz milczał przez chwilę. Nie spieszył się z pomocą leżącemu na podłodze. - Tak czy inaczej,

chciałbym, żebyś przemyślał propozycję Brata Roberta.

- Już przemyślałem. - Pastor zakończył dyskusję i wyszedł ze świetlicy.

Z okna w swym domku przyglądał się, jak Brat Elias i Tarz taszcą tamtego ogromnego faceta do samochodu. Brat Samuel trzymał przy twarzy duży biały ręcznik. Naraz powiedział coś do Tarza i Tarz obróciwszy się na pięcie ruszył z powrotem do świetlicy.

- Co się stało? - spytała Charlie, podchodząc do okna. Biały cadillac właśnie zawracał i odjeżdżał.

- Nic - odparł Pastor. Odprowadzał wzrokiem Tarza. Coś tu nie pasowało. Normalnie Tarz przyszedłby do niego. W głowie Pastora powstało podejrzenie, że Tarz kontaktował się z nimi, zanim tu przybyli. Jednakże stanowczo odepchnął tę myśl.

Wspólnota Boża stanowiła jedność. To niemożliwe żeby był wśród nich Judasz.

8

Siedział w furgonetce, czekając na Charlie, która poszła na pocztę. Rzadko jeździł do miasta po listy, dziś jednak nie potrafił sobie znaleźć miejsca. Wizyta tych dwóch wytrąciła go z równowagi bardziej, niż się przed sobą przyznawał. A przecież Kościół Synów Bożych był tylko jedną z wielu dziwacznych sekt, które przeniknęły do Kalifornii. Przyciągały one do' siebie wałęsających się, zde gustowanych życiem hippisów i szukające czegoś bliżej nie określonego dzieciaki, i na nich żerowały.

Do tej pory największe ich rzesze zjednywali sobie właśnie tacy ludzie, jak L. Ron Hubbard, Brat Robert czy Szalony Karolek, którzy głosili rozbrat ze społeczeństwem i obiecywali utopię. Ludzie ci omamili już niejednego dzieciaka, by potem wykorzystać go na wszystkie możliwe sposoby. Niezwykły w tym wszystkim był fakt, że dzieciaki to uszczęśliwiało, ponieważ nareszcie czuły się potrzebne i ważne.

Nie to Bóg im obiecał, nie to im przeznaczył, a jednak w tamtych była jakaś dziwna siła, której Pastor nie rozumiał. Pan kazał mu nieść pomoc zbłąkanym owieczkom i on ją niósł. Ale to jakby nie wystarczało. Niewykluczone, że czegoś mu brakowało. Być może przyczyna tkwiła w tym, że on powoływał się na autorytet Boga, a oni szukali jakichś doczesnych autorytetów. Nie może udawać kogoś, kim nie jest. Jest człowiekiem głoszącym słowo boże. Przecież nie będzie postępował jak tamci i jako wysłannik boży stawiał się ponad innymi, wymagając od nich posłuszeństwa. Wszyscy byli dziećmi Boga, on również. Przez szybę w samochodzie dojrzał Charlie, która wyszła właśnie z poczty z torbą listów. Uśmiechała się. - Dostaliśmy ponad sto listów - oznajmiła wsiadając do samochodu. - Z tego, co widzę, wszystkie z Frisco.

- Świetnie - ucieszył się, zapuszczając silnik. - Widać podziały te nasze ulotki.

- Och! - krzyknęła. - Byłabym zapomniała. Jest telegram do ciebie.

Rozerwał żółtą kopertę i odczytał:

WAŻNE STOP ZADZWOŃ DO MNIE NATYCHMIAST NUMER 777-2121 STOP BARBARA STOP

Spojrzał na datę u góry. Telegram został nadany przed dwoma dniami w San Francisco.

Zatem powi-

nien był otrzymać go wczoraj. To dziwne, że Tarz, który odbierał pocztę, nie przywiózł go. Być może telegram nadszedł już po jego wizycie na poczcie.

Wysiadł z samochodu. - Zaraz wracam - powiedział.

- Coś się stało? - spytała Charlie, zaniepokojona wyrazem jego twarzy.

- Nie wiem - odparł. Skierował się do budki telefonicznej na skraju parkingu.

Przez szklane drzwi budki widział, jak Charlie przegląda listy. Monety opadły z brzękiem na dno aparatu, na drugim końcu linii odezwał się sygnał.

- Halo - odezwał się głos Barbary po drugim dzwonku. - Tu Pastor.

- Dlaczego dzwonisz tak późno? - jej głos był dziwnie stłumiony i nerwowy.

- W tej chwili dostałem telegram - odparł.

- Będziesz miał gości - szepnęła.

- Już miałem. Dziś rano - powiedział. - Wyrzuciłem ich.

- Ooo!

- Co ciebie łączy z Synami Bożymi? - spytał.

- Mnie nic - odpowiedziała szeptem. - Ale mój wuj postanowił, że kobieta nie może być głową Rodziny Soong. To on właśnie przeprowadzał transakcję i powiedział im, od kogo to kupił. - Nie mogłaś go powstrzymać?

- Nie mogłam - odparła. - On wszystko przejął. Cóż ja? Ja jestem w areszcie domowym, zamknięta na klucz. Przeciągnął na swoją stronę większość krewnych.

- Nikt nie pozostał ci lojalny?

- Jak to sprawdzić? Nie pozwalają mi się z nikim zobaczyć.

- Czemu stamtąd po prostu nie wyjdiesz?
- Próbowałam. Ale na dole postawił dwóch facetów Nie wypuszczają mnie. Mój wuj ogłosił rodzinie, że jestem dziwką, bo spędziłam z tobą tamtą noc. Pastor milczał przez chwilę. - Co zamierzają zrobić?
- Nie wiem - odparła. - Ale boję się. Pojutrze odbędzie się narada rodzinna. Przyjadą kuzyni z Los Angeles, Chicago i Nowego Jorku. - Co mogą zrobić?
- Mogą mnie usunąć - powiedziała. - Nie jestem w stanie temu zaradzić. Nie pozwolą mi wziąć udziału w tej naradzie.
- No i dobrze - pocieszył ją. - Po co ci ta odpowiedzialność?
- To niezupełnie jest tak - powiedziała. - Co innego tong rozumie przez „usunięcie”.
- Niemożliwe! - wykrzyknął zaskoczony.
- Zawsze tak robią - powiedziała grobowym głosem. - Sukcesja następuje tylko wtedy, gdy poprzedni przywódca tongu nie żyje. - Musisz się stamtąd wydostać - stwierdził.
- Mówię ci, że nie mogę.
- Ja cię wydobędę.
- Ale jak tu wejdiesz? Przy windzie stoi dwóch facetów, w dodatku mój wuj zabrał im klucze. Zeby ktoś mógł tu wjechać, na przykład posłaniec z jedzeniem, on sam musi otworzyć windę. - Ty masz swój klucz? - spytał.
- Tak, ale to na nic. Jak ci go podam? Gdyby me to, że mam tu prywatną linię telefoniczną, me mogłabym nawet wysłać ci telegramu.
- Jeśli dobrze pamiętam, to jest winda firmy „Otis”, prawda?
- Tak.

- Weź swój klucz. Odczytaj mi jego numer.
 - Poczekaj - powiedziała i położyła słuchawkę, w której coś trzasnęło. Po chwili wróciła – Jest. Pastor miał już przygotowaną karteczkę i ołówek - Podyktuj ten numer.
 - Jeden, zero, siedem, dwa, trzy, pięć, k i Przeczytał, co zanotował.
 - Tak - potwierdziła. - Ale na co to?
 - „Otis” ma komplet zapasowych kluczy. Zawsze mają. Na wszelki wypadek. Jakoś go od nich wyciągnę. – A jak przejdiesz obok tych na dole? – niepokoiła się.
 - Zostaw to mnie. Zadzwoń do ciebie jutro około drugiej w nocy. Ale bez względu na to, czy zadzwonię czy nie, spakuj wcześniej rzeczy. Będę tam mniej więcej o tej porze. Milczała przez chwilę. - Nie musisz tego robić wiesz? Nie dlatego do ciebie telegrafowałam. Nie chcę, żeby ci się coś przydarzyło.
 - Wszystko w rękach Boga - stwierdził. - Oboje musimy pomodlić się do niego o radę i ochronę. Do zobaczenia jutro w nocy.
 - Będę się za ciebie modliła, Pastorku - obiecała Ledwo odłożył słuchawkę, zadzwonił telefon i odezwał się w nim głos telefonisty. - Należy się jeszcze dziewięćdziesiąt pięć centów.
- W zamyśleniu wkładał monety do aparatu, słuchając, jak pobrzękują przy spadaniu. -
Dziękuję - powiedział telefonista. Pastor odwiesił słuchawkę i mszył powoli do furgonetki.

*

Rozciągnął na łóżku czarne spodnie, złożył na pół czarny sweter z golfem i czarną włóczkową kominiarkę, ułożył je płasko na spodniach, rozprasował dłonią

Teraz zwinął to wszystko, uzyskując zgrabne zawiniątko, które ściągnął cienkim skórzanym czarnym paskiem i wsadził do szarej papierowej torby. Wyszedł z domku, wrzucił paczkę na przednie siedzenie furgonetki, po czym skierował się do świetlicy. Przy długim stole siedzieli Tarz, Charlie i sześcioro innych, zajęci otwieraniem przywiezionych rano listów. Układali je na trzy kupki: na pierwszą wędrowały listy od osób wspierających ich finansowo - tym wysłał specjalną, wydaną na kredowym papierze broszurę; na drugiej kupce składali listy od osób proszących o bliższe informacje - tym wysłał powieloną ulotkę; trzeci zaś stosik stanowiły listy z inwektywami - napiszą do ich autorów, by porzucili nienawiść na rzecz prawdziwie chrześcijańskiej miłości bliźniego, a pocieszenia i przebaczenia szukali w głoszeniu Biblii oraz prawdy o Panu naszym i Zbawicielu Jezusie Chrystusie.

Tarz uniósł głowę. - W listach, które przyszły wczoraj i dziś, dostaliśmy około stu dziesięciu dolarów - powiedział z satysfakcją w głosie. - To całkiem nieźle.

Pastor pokiwał głową. - Czy przybędą nam nowi członkowie?

- Trudno powiedzieć - odparł Tarz. - Mamy dwóch czy trzech kandydatów, którzy chyba się nadadzą. Dopilnuję, żeby zostali zaproszeni na weekend.

- Świetnie - ucieszył się Pastor. - To ważniejsze od pieniędzy. Jedna nawrócona dusza jest warta więcej od wszystkich bogactw tego świata.

- Amen - zakończył Tarz.

Pastor dał mu znak, chce z nim porozmawiać w pokoiku za świetlicą. Zaczął od zamknięcia drzwi.

- Po południu znowu jadę do Frisco - oświadczył.

- Spędzę tam cały jutrzejszy dzień. Wrócę pojutrze z samego rana.

- A więc jednak jedziesz spotkać się z Bratem Robertem? - rzucił Tarz niespokojnie.

Pastor spojrzał na niego uważnie. Czemu jest taki zdenerwowany? - Nie - odparł krótko. - To sprawa osobista. Zresztą słyszałeś, że już im dałem odpowiedź.

- Będziemy mieć z nimi kłopoty - rzekł Tarz.

- Nic nie mogą nam zrobić. Jesteśmy czyści.

- Nie o to chodzi - odparł Tarz. - Wiesz, jak działają Synowie Boży. Zwalą się tu całą bandą i zaczną nas straszyć piekłem i klątwą, bo nadchodzi wielki wybuch, a my tu wszyscy cudzołożymy.

- Gdyby Bóg nie chciał, żebyśmy się kochali, to me zaopatrzyłby naszych ciał w narządy płciowe - orzekł Pastor. - Gdyby się zjawili tu podczas mojej nieobecności, to pilnuj, żeby nie podrzucili dzieciakom kwasu. Mogłyby od tego sfiksować i nie wiadomo co wymyślić.

- A co będzie, jeśli przywiozą ze sobą pejcze i kastety - martwił się Tarz. - Wiesz, jak lubią znęcać się nad dziewczynami. Oni są naprawdę ostrzy, a tu jest za mało mężczyzn do obrony. - Czyżbyś się bał? - zdziwił się Pastor.

- Pewnie, że się boję - przyznał Tarz. - Nie zapominaj, że spędziłem z nimi cały rok. Wiem, do czego są zdolni.

Pastor zastanawiał się przez chwilę. - Gdyby się zjawili, wezwij natychmiast policję przez Radio CB. Oni się wszystkim zajmą.

- To się dzieciakom nie spodoba. Nie przepadają za glinami.

- Ale chyba lepsze gliny, niż dostać manto - stwierdził Pastor. Westchnął głęboko. - Niedługo wrócę.

Może nie przyjadą przed moim powrotem. To znaczy, o ile w ogóle przyjadą.

- Przyjadą - stwierdził smutno Tarz.

- Skąd ta pewność?

- Brat Elias i Brat Robert nie puszczą ci płazem tego, jak potraktowałeś Brata Samuela.

Zapowiedzieli, że wrócą.

- Być może - Pastor pokiwał głową. - Wiesz, co masz w razie czego zrobić. Posłuchaj mnie, to nie będzie żadnych kłopotów.

- Dobra - zgodził się Tarz.

- Ile masz forsy w kasie? - spytał Pastor, zmieniając temat.

- Nie wiem - odparł ostrożnie Tarz. - A ile potrzebujesz?

Pastor uśmiechnął się. Tarz był nadzwyczaj ostrożny' gdy chodziło o pieniądze. Miał opinię straszliwego sknery. - Pięćset - odparł. A widząc niechęć na twarzy Tarza dodał prędko: - Ale jak powiedziałem, to sprawa osobista. Dam ci pokwitowanie.

Tarz uśmiechnął się. - Jeśli tak się sprawy mają, to mogę je dla ciebie wyłożyć.

9

Za kwadrans piąta znalazł wolny parkometr przed halą firmy instalującej i konserwującej windy. Wysiadł z furgonetki, wcisnął dziesiątaka do automatu i zlustrował ludzi wychodzących właśnie z pracy. Niemal natychmiast znalazł potrzebną mu osobę.

Wmieszawszy się w tłum, dotknął ramienia młodego Chińczyka. - O co chodzi? - spytał młody mężczyzna ubrany w wyblakłą kufajkę i dzinsy. Skośne oczy zmierzyły Pastora od góry do dołu. Pastor wyciągnął przed siebie dłoń, w której trzymał zwinięty banknot dwudziestodolarowy, ale tak, żeby młody człowiek mógł dojrzeć nominał. - Chodzi o pewną przysługę. - Nie o narkotyki? - zapytał tamten nerwowo. Pastor uśmiechnął się. - Nie, nie o narkotyki. - Jesteś gliną?

Pastor pokręcił głową. - Nie jestem gliną. Chcę, żebyś wszedł do tamtego budynku i przyniósł mi klucz.

- I to wszystko? Czemu więc sam nie pójdziesz?

- Bo nie mam takich skośnych oczu jak ty - odparł Pastor. - To klucz od chaty mojej panny. Jej ojciec zamyka ją w domu. Ale dziś go nie ma, więc gdybym miał klucz, mógłbym ją zabrać na randkę. Młody Chińczyk uśmiechnął się od ucha do ucha. - Staruszkowi nie podoba się kształt twoich oczu, co?

- Coś w tym rodzaju - przytaknął Pastor.

- Mówisz, że to czysta sprawa?

- Absolutnie. Czysta jak miłość. A miłość nie zna granic.

- Ja to rozumiem. Ze starymi zawsze jest tak samo. Żebyś słyszał, jak moja matka lamentuje, kiedy umówię się z dziewczyną, która nie jest Chinką. Słysząc ją w całej dzielnicy. - To co, skoczysz?

Młody człowiek pokiwał głową. - Powiedz mi, co mam zrobić?

- To proste - zaczął Pastor. Wyjął z kieszeni kartkę. - Podejdź do lady, przy której obsługują klientów, i powiedz, że panna Soong przysłała cię po

klucz o takim oto numerze. Jak dostaniesz klucz do ręki, to sprawdź, czy numer się zgadza, a jak będzie się zgadzał, to mi go przynieś.

- A jakby numer się nie zgadzał?

- To zostaw klucz i powiedz, że przyjdiesz jutro rano. Potem wyjdź stamtąd i oddaj mi karteczkę. Tak czy tak masz u mnie dwadzieścia dolarów.

- A skąd wiesz, że oni mają ten klucz? - spytał młody człowiek. - Ja myślę, że muszą go dopiero dorobić.

- Dzwoniłem do nich. Obiecali, że zrobią na czwartą. A już prawie piąta.

Młody człowiek wszedł do budynku, Pastor zaś wrócił do furgonetki, oparł się o nią, zapalił papierosa. Zdążył go skończyć, kiedy tamten, uśmiechnięty szeroko, wyszedł.

- Masz? - Pastor odkleił się od samochodu. Chińczyk pokiwał głową. - Mam.

Bezproblemowo. Pytali, czy zapłacę gotówką, czy wolę, żeby przesłali rachunek do banku. Oczywiście wybrałem bank. - Sprytnie - pochwalił Pastor.

- Dopiero będzie kino, pomyślałem sobie, jak stary za to zapłaci - rzekł młody Chińczyk, podając kopertę Pastorowi.

Pastor wyjął klucz i porównał jego numer z tym, który figurował na kartce. Wręczył dwadzieścia dolarów Chińczykowi. - Dzięki, stary.

- Dzięki. - Chińczyk wetknął banknot do kieszeni. - Życzę powodzenia. Mam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. - Wmieszał się w tłum, a gdy zniknął za rogiem, Pastor wsiadł do furgonetki i odjechał.

W godzinę później zjechał z mostu po stronie Oakland, wziął ostry zakręt i podjechał prawie do samej zatoki. Zatrzymał samochód przed starym sza-

rym domem na wyludnionej uliczce. Wsiadł, zamknął szoferkę na klucz, wszedł po schodkach prowadzących do drzwi wejściowych, zadzwonił.

Drzwi się nieznacznie uchyliły, w smudze zaś światła wydobywającego się przez szparę pokazał się wysoki Murzyn. - Czego?

- Ja do Alego Elijaha - wyjaśnił Pastor.

- Co za ja? - spytał tamten zachrypniętym głosem.

- Powiedz mu, że przyszedł Pastor. Mężczyzna skinął głową i bez słowa zamknął drzwi, zostawiając Pastora na zewnątrz. Kilka minut później drzwi znowu się otworzyły. - Pan idzie - powiedział mężczyzna głosem pozbawionym wszelkich emocji.

Pastor wszedł do ciasnego korytarza i odczekał, aż tamten zamknie drzwi na klucz, zasuwę i łańcuch, po czym poszedł za nim wąskimi schodami na piętro. Na końcu kolejnego korytarza znajdowały się ciężkie stalowe drzwi. Mężczyzna odwrócił się do Pastora.

- Ręce nad głowę - rozkazał. Pastor podniósł ręce, a wówczas tamten sprawnie go przeszukał. Upewniwszy się, że Pastor jest czysty, pokiwał z zadowoleniem głową. - Pan wchodzi. Ale nie nacisnął klamki, tylko stanął za nim. Gdy Pastor otworzył drzwi, jego oczom ukazał się dość duży pokój z zamurowanymi oknami. Źródłem światła był wiszący pod sufitem staroświecki żyrandol z czerwonymi abażurami na żarówkach. W głębi, pod ścianą, nieco w cieniu, stało biurko, a za nim siedział mężczyzna, o którego Pastor pytał na dole. Minę miał nieco zdziwioną; ani przyjazną, ani wrogą, po prostu zaciekawioną.

- Kopę lat, Pastorku - przywitał go.

- Cztery - uściślił Pastor.

- Nic się nie zmieniłeś - stwierdził Ali Elijah.

- A jakże - rzekł Pastor. - Wszyscy się zmieniliśmy.

- To prawda - potwierdził Ali Elijah. - Ja odnalazłem Allacha. Allach jest Allachem, a Mahomet to Prorok.

- Każdy szuka Boga po swojemu - powiedział Pastor. - Ja mam innego Boga, ale cieszę się, że i ty Go znalazłeś. Ali Elijah przyglądał mu się bacznie. - Cztery lata. Nie, ty się nie zmieniłeś. Nie przyszedłeś do mnie z powodu Allacha. Po co przyszedłeś?

Pastor spojrział za siebie. Mężczyzna, który go przyprowadził, stał w otwartych drzwiach.

Pastor odwrócił się do Ali Elijah. - Mam twoją pamiątkę - rzekł, wyjmując z kieszeni woreczek. Pociągnąwszy za sznurek, wysypał jego zawartość na biurko.

Elijah popatrzył na trzy spłaszczone pociski. Ruchem ręki oddalił strażnika. Dopiero, gdy drzwi się za nim zamknęły, podniósł wzrok na Pastora. - To należy do mojego poprzedniego życia. Do faceta, który nazywał się Joe Washington.

- Bóg dał, Bóg wziął. Dzięki Bogu wciąż jesteś na tym świecie - stwierdził Pastor.

- Dzięki litościwemu Allachowi - sprostował Elijah. Sięgnął po spłaszczone pociski i przez chwilę ważył je w dłoni. - Takie drobiny - powiedział, patrząc na Pastora. - Aż trudno uwierzyć, że to tak cholernie bolało, kiedy je ze mnie wyciągałeś. Zupełnie jakby to były kule armatnie.

Pastor milczał.

- Z czym do mnie przychodzisz?

- Potrzebuję pomocy - rzekł Pastor.

Po raz pierwszy Ali Elijah się uśmiechnął. - A to dobre. Siedzimy tu zamknięci, cały świat nas ściga, nie mamy forsę nawet na jedzenie dla dzieci i to ja mam tobie pomagać.

Pastor wyjął z kieszeni sześć banknotów pięćdziesięciodolarowych. Rozłożył je jak wachlarz na biurku.

- Nieważne, czy mi pomożesz. Weź to dla swoich dzieci. One nie powinny cierpieć za nasze grzechy.

Elijah popatrzył na pieniądze, potem na Pastora.

- Miałem rację - powiedział miękko. - Ty nic się nie zmieniłeś. - Energicznym ruchem wziął z biurka banknot pięćdziesięciodolarowy i podszedł z nim do drzwi. Wręczył go mężczyźnie czekającemu z drugiej strony. - Daj to Rebecce i powiedz, żeby poszła do nocnego sklepu i kupiła trochę jedzenia. Niech weźmie do pomocy najstarszego chłopca. Zamknął drzwi. - Skąd wiedziałeś, gdzie nas szukać? - spytał Pastora.

- Po prostu zajrzałem do notesu - odparł Pastor.

- Gdy byłeś ranny, prosiłeś mnie, żebym napisał do twojej matki. Dałeś mi jej adres. Nie miałem pewności, czy cię tu znajdę, od czegoś jednak trzeba było zacząć.

Elijah wrócił na swoje miejsce za biurkiem. Wskazał Pastorowi krzesło, zachęcając go, żeby usiadł. - Co to ma być za pomoc? - Cztery ćwiczebne granaty dymne z czerwoną magnezją do upozorowania pożaru. Jeden plastikowy ładunek z dziesięciosekundowym detonatorem, o takiej mocy, żeby można było wyważyć stalowe drzwi od magazynu na podwójnych zawiasach oraz drabina z jedwabnego sznura, która sięgnie do drugiego piętra. Elijah wytrzeszczył oczy. - To bardzo trudne zamówienie. Takie rzeczy nie leżą na ulicy. Żeby to zestawić, trzeba by się dobrze pogimnastykować.

- Wiem - rzekł Pastor. - Ale pamiętam, że w poprzednim wcieleniu byłeś sierżantem w oddziale saperów. Nikt nie wie lepiej od ciebie, jak się do tego zabrać.

- Na kiedy ci to potrzebne?
- Na jutro - odparł Pastor.
- Czasu mało - pokręcił głową Elijah.
- Tylko tyle go mam - powiedział Pastor.
- Potrzeba będzie jeszcze trochę forsy.

Pastor wyjął jeszcze sto dolarów. - To powinno pokryć wydatki.

Elijah spojrzął na niego. - Widzę, że sprawa jest poważna.

- Owszem - potwierdził Pastor.

Elijah milczał przez chwilę. - Sam sobie z tym nie poradzisz. W tej dziedzinie jesteś amatorem. Jeszcze się wysadzisz w powietrze.

- Pokażesz mi. Prędko się uczę.
- Nie aż tak prędko - stwierdził Ali Elijah. - Najlepiej będzie, jak pójde z tobą.
- Tę zębę zjem sam - stwierdził Pastor. - Ty masz dość własnych kłopotów. Nie potrzeba ci dodatkowych. - Oj, nie potrzeba - roześmiał się Murzyn. - Ale chyba rzeczywiście się nie zmieniłem, bo pamiętam, że w Wietnamie też zawsze zgłaszałem się na ochotnika.
- Pamiętam - potwierdził Pastor.

- A po drugie, to już od dwóch miesięcy nie wychodzę z tego domu - powiedział. - Chciałoby się zaczerpnąć świeżego powietrza.

- Mowy nie ma - zaprotestował Pastor. - Zbyt wiele osób masz na głowie.

Ali Elijah wziął do ręki trzy spłaszczone pociski. - Tym razem nie zostawię żadnych takich pamiątek. Wszystkie je zbiorę. Cóż, skoro Allah, niech będzie wieczny, przywiódł cię do naszych drzwi, byłoby grzechem opuścić cię w niebezpieczeństwie.

10

Kiedy Pastor następnego dnia, koło jedenastej wieczorem, podjechał przed szary budynek, pod mostem stały dwa samochody. Na wszelki wypadek minął dom, skręcił w następną przecznicę i dopiero tam zatrzymał samochód. Wysiadł. Poszedł z powrotem piechotą. Zbliżając się do domu Elijaha, ujrzał wychodzących z niego kilku mężczyzn z jakimiś pudełkami i walizkami. Za nimi zeszły po schodkach dwie kobiety, również z bagażami. Zaczęli pakować rzeczy do bagażników i na tylne siedzenia samochodów. Jeden z mężczyzn wrócił do budynku.

W chwilę potem wyniósł kolejną walizkę. Teraz pojawiła się kobieta z niemowlakiem, za nią dreptało kilkoro dzieci. Gdy już wszyscy siedzieli w samochodach, po schodkach zszedł Ali Elijah z chłopczykiem na rękach, kierując się do pierwszego samochodu. Otworzył drzwi, podał dziecko kobiecie na przednim siedzeniu, jednocześnie kierowca zapuścił motor.

Elijah coś jeszcze jej powiedział, ona pokiwała głową, wtedy pocałował ją, zrobił krok do tyłu i zatrzasnął drzwi. Samochody ruszyły. Elijah stał i patrzył za nimi. Gdy dojeżdżały do zakrętu, by za chwilę zniknąć z pola widzenia, podniósł rękę w niedokończonym geście pożegnania, a następnie odwrócił się i poszedł w stronę domu.

Zanim otworzył drzwi, rzucił jeszcze raz okiem na ulicę i wtedy dostrzegł zbliżającego się Pastora. Począł, aż Pastor wejdzie po schodkach. - Przyszedłeś wcześniej - powiedział bezbarwnym głosem.

Pastor pokiwał głową. Wszedł za nim, poczekał, aż Elijah zamknie drzwi. To nie był ten sam dom, co poprzedniego wieczora. Panowała w nim jakaś dziwna, niespodziewana pustka, przywodząca na myśl grobowiec. W milczeniu poszli do pokoju na górze, gdzie Elijah od razu usadowił się za biurkiem. - Coś się stało? - spytał Pastor.

Elijah spojrział na niego. Chciał coś powiedzieć, ale się rozmyślił. Pokręcił głową.

Pastor wyjął z kieszeni paczkę papierosów i wyciągnął ją ku Elijahowi. Elijah sięgnął po papierosa lekko drżącymi palcami. Pastor też wziął jednego, potarł zapałkę, podał ogień Elijahowi. - Mnie możesz powiedzieć - rzekł, gdy tamten już przypalił. - Wciąż jestem twoim przyjacielem. Elijah zagłębił się w fotelu i wypuścił dym z płuc. - Wczoraj po twoim wyjściu zaczęły mnie męczyć różne myśli. Ty nas pierwszy wyłuskałeś. A ile czasu upłynie, zanim ktoś inny przypomni sobie to samo?

Pastor nie odpowiadał.

- Będziemy tak tu sobie siedzieć z kobietami i dziećmi, i ani się człowiek obejrzy, jak zjawią się tu te psy, z karabinami i pałami, dojdzie do strzelaniny i ktoś oberwie. To bez sensu. Pastor palił w skupieniu, wciąż milcząc.

- A kto dał mi prawo pchać ich w to gówno? Oni nie mają nic wspólnego z tym, co się stało. No to wziąłem resztę tej forszy od ciebie i wysłałem ich do Południowej Karoliny, gdzie moja kobieta ma rodzinę. Tam im będzie dobrze.

- A co z tobą? - spytał Pastor.

Elijah spojrział mu w oczy. - Ja sobie zawsze jakoś poradzę. Jak skończymy tę małą nocną robótkę, to chyba kopnę się do Los Angeles. Może braciszkuwie mają tam dla mnie jakiś ką - uśmiechnął

się z przymusem. - Chodzą słuchy, że Ron Karenga został wielką gwiazdą telewizyjną i zbija szmal, bo zapraszają go do wszystkich audycji. Albo machnę się do Nowego Jorku. Tam Pantery zgarniają forszę na żydowskich przyjęciach koktajlowych. Może zaproponowałiby mi jakąś okrągłą sumkę, żeby zobaczyć na własne oczy czarnucha z rozwaloną dupą.

Pastor odłożył papierosa. - Naprawdę byś tego chciał?

- Nie. - Elijah spuścił wzrok.

- To dlaczego nie przyłączysz się do naszej komuny?

- Bo ja mam kartotekę, stary - powiedział Elijah z bólem w głosie. - Te psy znowu mnie namierzą i znowu polecą pióra. Odesłałem swoich, żeby im tego oszczędzić.

- Nie rozumiem. - Pastor pokręcił głową.

- A co tu rozumieć, stary? - spytał Ali Elijah. - Ja jestem śmieć, ja zrobiłem całą brudną robotę, a teraz nasyłają na mnie psy. Generały trzymały się z tyłu, za to im przypadły wszystkie zaszczyty. Teraz, tłumaczą mi, rewolucja weszła w inną fazę. Przyszedł czas negocjacji. Oni to teraz sobie wszystko omówią i wszystko będzie cacy. Mnie jednak trzeba się pozbyć. Żeby im nie pomieszał szyków. Mają ze mną same kłopoty.

- Przykro mi - powiedział Pastor.

- Zupełnie niepotrzebnie. To nie twoja sprawa.

- Sprawa, z którą do ciebie przyszedłem, też nie jest twoja, a jednak mi pomagasz.

- To zupełnie co innego. Ty nie możesz mi pomóc.

- Raczej nie - zgodził się Pastor. - Ale pojedź ze mną do mojej komuny. Tam sobie wszystko przemyślisz i postanowisz, co dalej.

- A co powiedzą na to twoi ludzie? - spytał Ali Elijah. - W takich komunach nie przepadają za Murzynami. Ich oczy spotkały się. - Jesteśmy dziećmi tego samego Boga. Ali Elijah milczał. - Nie musisz od razu się decydować - rzekł Pastor.
- Zapamiętaj jednak, że zawsze będziesz u nas mile widziany.
- Elijah pokiwał głową. Odwrócił się, schylił po pudło stojące na podłodze. - Mam tu wszystko, czego sobie życzyłeś - powiedział windując je na biurko.
- Dochodziła prawie pierwsza w nocy, kiedy przejeżdżali powoli furgonetką Pastora obok sklepu na parterze domu Rodziny Soong. - To te drzwi mamy wysadzić - wyjaśnił Elijahowi. - Ciężkie jak cholera - stwierdził Elijah.
- Uprzedzałem cię, że są ciężkie - odparł Pastor.
- Musimy je otworzyć za pierwszym podejściem.
- Otworzymy - zawyrokował Elijah. - Coś mnie tknęło i na wszelki wypadek wziąłem trochę więcej materiału. - Roześmiał się krótko. - Rozlecą się w drobny mak.
- Nie chcę, żeby się komu coś stało - rzekł Pastor, skręcając za rogiem.
- A kto tam jest?
- Z tego, co wiem, to dwóch facetów.
- Blisko drzwi?
- Raczej nie - odparł Pastor. - Zwykle siedzą na zapleczu, ale czy to wiadomo, co takim strzeli do głowy.
- Dobierzemy się więc do tych drzwi od zawiasów
- postanowił Elijah. - Wtedy wstrząs pójdzie na ścianę, a drzwi wypadną na ulicę.
- Wystarczy ci tego, co masz? - spojrział na niego Pastor.

Elijah roześmiał się. - Jak zechcesz, to wyjmę całą ścianę, tyle tego mam.

- Tu zaraz jest przecznica, która biegnie przy samym domu i wychodzi na ulicę z tyłu.

Postawię samochód pod jej oknem.

- Trzy kondygnacje to dużo na sznurową drabinkę. Mam nadzieję, że ta twoja znajoma prędko się rusza. W przeciwnym wypadku będziemy mieli na karkach połowę policji z San Francisco.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedział Pastor. Skręcił w uliczkę tuż za domem Rodziny Soong, zgasił silnik i światła. - Tu wysiadziemy i dalej popchamy. Ktoś mógłby usłyszeć, to zbyt ryzykowne.

- A niech cię! - zaklął Ali Elijah. - To od razu wyglądało mi coś za pięknie.

Furgonetka toczyła się bezgłośnie. Pastor co chwilę spoglądał na budynek. Wreszcie wyciągnął rękę. Elijah przeszedł na jego stronę, popatrzył do góry. Pastor pokiwał głową i dał mu znak do odejścia. Wyszli na ulicę, z tyłu budynku. W świetle latarni Pastor odczytał godzinę. Była za kwadrans druga. - Muszę zadzwonić - powiedział.

Na rogu, po drugiej stronie ulicy, stała budka telefoniczna. Pastor wszedł do niej, wrzucił dziesięć-taka do aparatu. Pospieszenie wykręcił numer Barbary.

- Halo - usłyszał jej stłumiony głos.

- Tu Pastor - rzekł. - Wszystko w porządku? Jesteś sama?

- Tak.

- Zrób dokładnie to, co ci powiem - mówił prędko. - Włóż spodnie i pantofle na niskim obcasie. Koniecznie na niskim. Cokolwiek stanie się na dole, nie wpadaj w panikę. Czekać na mnie przy windzie. Zrozumiałaś?

- Tak.

- Pamiętaj, że będzie dużo hałasu, ale żadnego niebezpieczeństwa. Po prostu czekaj na mnie.

- Dobrze, Pastorku.

Wyszedł z budki. Po cichu wrócili do samochodu. Wyciągnął w bok ręce, żeby Elijah mógł zarzucić mu sznurową drabinę jak plecak. Następnie naciągnął na twarz kominiarkę. - Potrzynam granaty, póki nie okleisz drzwi - powiedział.

- Fajnie.

- Jak tylko drzwi wylecą, wrzucimy do środka granaty. Ja poczekam na Chińczyków, a ty idź do samochodu.

- A jeśli te żółtki nie wyjdą? - spytał Elijah.

- Będę zmuszony ich wyciągnąć.

- To do kitu - rzekł Elijah. - Stracimy za dużo czasu. Lepiej, żebym ja się nimi zajął, a ty wal do windy.

Pastor popatrzył na niego poważnie. - Ale pamiętaj, bez zabijania.

Ali Elijah uśmiechnął się szeroko. - Nie, ja ich tylko trochę znieczulę.

Pastor pokiwał głową. Spojrzał na zegarek. Była druga. - Idziemy.

11

Wynurzyli się z uliczki i odczekali, aż minie ich przejeżdżające auto. Pastor spojrział w stronę wzgórza. Ulica była pusta. Skinął na Elijah. - Jeszcze jedno - szepnął. - Jak tylko wejdziesz do środka, ty wróć do samochodu i włącz silnik.

- Dobra - mruknął Elijah. Zniknął w ciemnej wnęce przy drzwiach, zaś Pastor pomaszerował dalej. Doszedłszy do rogu budynku, przystanął, rozejrzał się na wszystkie strony. Nie było nikogo. Ruszył z powrotem.

W tym momencie z niszy wybiegł Elijah i niemal przewrócił go na ziemię. - Zabieraj się stąd, do jasnej cholery! - zachrypiał. Zdążyli zrobić najwyżej dziesięć kroków, gdy rozległ się stłumiony wybuch. Jak na zwolnionym filmie drzwi wypadły na ulicę, szyby w oknie wystawowym rozleciały się na kawałki i posypały na chodnik.

- Teraz! - zdecydował Elijah, wyrwał Pastorowi dwa granaty i wyciągnąwszy zawlecзки, cisnął je w nie istniejące okna. Nie tracąc ani sekundy, zrobił to samo z pozostałymi dwoma, wrzucając je w otwór po drzwiach.

Moment później we wnętrzu magazynu rozbłysło niesamowite, wręcz piekielne, czerwone światło, na ulicę zaś zaczął wydobywać się gęsty dym. Ciszą nocną wstrząsnął przeraźliwie głośny alarm, a z magazynu wybiegł Chińczyk w ciemnym garniturze i skierował się w stronę wiszącej na rogu budynku gaśnicy.

Oni stali ukryci w cieniu. - Mówiłeś, że jest ich dwóch - szepnął Elijah. - To znaczy, że jeden jeszcze tam został.

- Zaraz się przekonamy - mruknął ponuro Pastor. Naciągnąwszy kominiarzkę na usta i nos, rzucił się w otwór po drzwiach, przedarł przez dymną zasłonę i pobiegł ku windzie na zapleczu.

Granaty z czerwoną magnezją przemieniły magazyn w istne piekło. Był już prawie przy windzie, kiedy zza schodów wynurzył się drugi Chińczyk. Pastor dostrzegł kątem oka, że Chińczyk unosi rękę, w której metalicznie błysnął rewolwer.

Zanim zdążył się wykręcić, żeby zejść z linii strzału, Elijah z boku zaatakował Chińczyka. Rewolwer upadł z hałasem na podłogę. Chińczyk zatoczył się i wtedy Elijah zadał mu jeszcze dwa ciosy. Dał znak Pastorowi, po czym wycofał się.

Pastor przekręcił klucz w zamku windy. Przez długą chwilę nic się działo, wreszcie drzwi się pomału rozsunęły. Pastor wskoczył do środka, nacisnął guzik drugiego piętra. Upłynęła cała wieczność, zanim drzwi się zamknęły, a druga wieczność zanim winda dojechała na drugie piętro i drzwi się znowu otworzyły. Barbara już tam czekała.

- Chodź! - powiedział, nie dopuszczając jej do słowa. Wepchnął ją do pokoju, słysząc już w oddali syreny wozów strażackich. Otworzył okno. Zsunął z pleców drabinę sznurową, przymocował metalowe zaczepy do parapetu i wyrzucił drabinę za okno.

Wychylił się. Ali Elijah stał już przy samochodzie. Machnął do Pastora.

- Schodź, Barbaro - powiedział Pastor, chowając głowę.

- A moje walizki? - spytała.

- Najpierw ty - powiedział. - Walizki potem. Wyjrzała przez okno i zbladła. - Nie dam rady... - Dasz, dasz! - Podniósł ją na parapet. - Postaw jedną stopę na poprzeczce i zacznij schodzić. Trzymaj się zawsze poprzedniego szczebla. O tak. - Położył jej dłoń na linie. -

No, jazda! - Ja się boję, Pastorku! - krzyknęła. - Lepiej się bać, niż nie żyć - stwierdził. -

Ruszaj! - Klepnął jej dłoń.

Zaczęła powoli schodzić. Drabinka zakołysała się, uderzyła o mur. Pastor wystawił głowę przez okno.

- Linę trzymaj mocno i daleko od siebie! - wrzasnął. Ali Elijah złapał za dolne końce drabiny, obciążając

ją swoim ciałem. Teraz drabina nabrała sztywności i Barbara zaczęła schodzić szybciej. Pastor wrócił do pokoju. Przy łóżku stały dwie walizki. Podszedł z nimi do okna. Gdy wyrżał, Ali Elijah pomagał Barbarze stanąć na ziemi. Samochody strażackie były już bardzo blisko. - Uwaga, wyrzucam walizki! - wrzasnął Pastor. Elijah odepchnął Barbarę na bok. - Droga wolna! - odkrzyknął.

Pastor wyrzucił pierwszą walizkę. Elijah odsunął się nieco, a gdy walizka znalazła się na ziemi, podniósł ją i wrzucił do odkrytego tyłu furgonetki. - Leci druga! - wrzasnął Pastor. Cisnął walizkę i nie czekając, aż spadnie, zaczął złazić po drabinie niczym małpa. Zeskakując, usłyszał okrzyk Elijah'a: - O do diabła! - Gdy się odwrócił, zobaczył walizkę z otwartym wiekiem, a w niej równo poukładane paczki banknotów. Podniósł ją, wrzucił do szoferki. - Nie ma czasu na zabawę - rzekł. - Zabierajmy się stąd. Obiegł furgonetkę, wskoczył za kierownicę, Barbara i Elijah wsiedli zaś z drugiej strony. Do ulicy podjechali na pierwszym biegu i bez świateł. Tu dopiero je zapalił. Nie należało ściągać na siebie uwagi policji w taki głupi sposób. Byli już jakieś dziesięć numerów dalej, gdy przemówił: - Poznajcie się: Ali Elijah, Barbara Soong. Żadne z nich się nie odezwało. - Nie poradzilibyśmy sobie bez jego pomocy - rzekł Pastor. - Jestem bardzo zobowiązana - powiedziała Barbara do Elijah'a. - Czy zdołam się panu odwdziaczyć? Elijah uśmiechnął się od ucha do ucha. - Bez większego trudu, Madame Chimera. Forsą.

- Czy tysiąc dolarów to odpowiednia suma?
- Pięć tysięcy byłoby odpowiedniejsze - stwierdził Elijah. - Na mój gust ma pani o wiele, wiele więcej w tej walizce.
- Jestem Chinką - powiedziała. - A Chińczycy nigdy nie płacą tyle, ile od nich żądają. Dwa i pół tysiąca.
- Elijah roześmiał się. - Niech będzie, Madame Chimera.
- Spojrzała na niego zdziwiona. - Dlaczego mnie pan tak nazywa?
- Pani jest Barbarą Soong, prawda?
- Pokiwała głową. Nagle doznała olśnienia. - Czy to znaczy, że... tak mnie przezywają?
- No właśnie - potwierdził. - Podobno ma pani trudny charakter. - Przeniósł wzrok na Pastora. - A ty skąd znasz tę panią? - Jesteśmy starymi przyjaciółmi - wyjaśnił Pastor.
- W Wietnamie poznałem brata Barbary.
- Czy zdarzył się choć jeden taki, któremu nie wyciągałeś z dupy kul? - zażartował Elijah.
- Mój brat poległ - powiedziała Barbara. - Pastor przywiózł nam jego rzeczy.
- O - zmieszał się Ali Elijah i zamilkł. - Mógłbyś teraz odwiedzić mnie do domu? - spytał po chwili. - Ona da mi szmal i rozstaniemy się.
- Zrobione - odparł Pastor.

*

W nocy nie było żadnego ruchu, więc na moście prowadzącym do Oakland znaleźli się w niecałe dwadzieścia minut. Już mieli skręcić w uliczkę, przy której mieszkał Ali Elijah, kiedy Pastor dostrzegł błyskające niebieskie światła. Przed domem stały dwa duże i cztery małe samochody policyjne. Pastor pojechał dalej.

Odezwał się dopiero, gdy znaleźli się z powrotem na moście. - Ktoś musiał donieść. Ali Elijah, który na widok policji zsunął się na na podłogę i do tej pory nie podniósł, mruknął: - Taa...

- Masz jakieś pomysły? - spytał Pastor.

- Nie. - Elijah milczał przez chwilę. - Jak to dobrze, że w porę odesłałem rodzinę. - Naraz usiadł. - Myślisz, że mogło coś im się stać? Że ich złapali?

- Nie sądzę - uspokoił go Pastor. - Oni nie są tacy prędcy. To był donos. Ktoś chciał podłożyć ci świnie.

Ali Elijah milczał.

Pastor zjechał z mostu na szosę prowadzącą do Coast Highway. - Jakie mamy teraz plany?

- Żadnych. - Elijah popatrzył na niego. - Słuchaj, a ty przedtem mówiłeś poważnie? No o tym, żebym pojechał do tej twojej komuny.

- Poważnie.

Elijah pokiwał głową. - Cóż, wygląda na to, że mnie skaptowałeś. - Zachichotał.

- Co cię tak śmieszy?

- Wyobraziłem sobie, jak się zdziwią ci twoi, gdy cię zobaczą z Madame Chimera i z Czarnym Muzułmaninem jednocześnie.

12

Była czwarta trzydzieści, kiedy zjechali z Coast Highway i zatrzymali się przed nocną knajpką. Pastor wyłączył silnik. - Myślę, że dobrze zrobiłaby nam kawa - stwierdził przeciągając się.

- Jedzenie również - powiedział Elijah. - Nie zdążyłem dziś zjeść kolacji.
- Tę walizkę weźmiemy ze sobą - rzekł Pastor do Barbary. - Nie wiem, co zrobimy z tamtą. Masz w niej coś cennego? Popatrzyła na niego, nic nie mówiąc.
- Obie zabierzemy ze sobą - zdecydował.

Wysiedli, zamknęli na klucz kabinę, każdy z mężczyzn sięgnął po jedną walizkę. Poza dwoma kierowcami ciężarówek, którzy siedzieli przy barze, w restauracji nie było innych klientów. Barman, oparty o kasę, słuchał radia, a kelnerka o zmęczonej twarzy nakrywała stoły oddzielone przepierzeniami, przygotowując je do porannego napływu gości.

Wsunęli się za przepierzenie, walizki schowali pod kanapy. Kelnerka podeszła do nich z parującymi filiżankami kawy i kartami dań. - ...dobry. Co mogłabym ewentualnie podać?

- Podwójną porcję parówek z sadzonymi jajkami - rzucił Elijah.
- Do tego smażone kartofelki? - Byle dużo. I żeby jajka nie były za bardzo ścięte.
- Jasne. - Spojrzała na Barbarę.
- Mocną herbatę i grzanekę.
- Zrobione. Dwie saszetki herbaty. - Spojrzała na Pastora. - A dla pana?
- Omlet po amerykańsku. Ale bez mięsa, same jarzyny. - Niestety, mieszanka już jest przygotowana.
- No to omlet z serem.
- Smażone kartofle?

Skinął głową. Kelnerka odeszła. W każdym z przepierzeń, pod oknami, zainstalowano automaty do uruchamiania szafy grającej. Na stołach stały głośniki i w ten sposób każdy klient, po włożeniu do automatu

odpowiedniej monety, mógł słuchać tego, co sam wybrał. Jak informował napis, wystarczyło wrzucić dwadzieścia pięć centów, żeby wysłuchać trzech piosenek. Za te same ćwierć dolara można było przez dziesięć minut słuchać radia. Pastor wyłowił w kieszeni monetę.

- Na siedemdziesięciu siedmiu metrach jest stacja z samymi wiadomościami - powiedział Ali Elijah. Gdy Pastor nastawił radio, popłynął z niego obłudny głos spikera. - Policja z Los Angeles doszła ostatecznie do wniosku, że morderstwo dokonane na Sharon Tate oraz jej przyjaciółkach w willi przy Cielo Drive oraz zbrodnie w LaBianca parę mil dalej, to robota tego samego gangu. Wprawdzie nie znane są motywy tych morderstw, ale zdaniem policji w obu miejscach posłużono się tą samą bronią. Policja spodziewa się, że już wkrótce znajdzie winnych. Na krótko przed dokonaniem zbrodni, w rejonach tych widziano grupę hippisów i rzecznik policji powiedział nam dziś, że zostaną oni zatrzymani w celu przesłuchania. A teraz kącik reklam, po których nadamy wiadomości lokalne.

- Te cholerne psy wszędzie są takie same - stwierdził Elijah. - Zawsze zwalają winę albo na Murzynów, albo na hippisów.

Pastor pił kawę w milczeniu. Wróciła kelnerka z herbatą i grzanką dla Barbary. -

Zamówienie panów będzie gotowe za małą chwileczkę - wyjaśniła odchodząc.

Po nadaniu reklam kontynuowano wiadomości: - Policja wyraża obawę, że niebawem dojdzie do nowej wojny w dzielnicy chińskiej w San Francisco. Dzisiejszej nocy parę minut po godzinie drugiej do domu Rodziny Soong wrzucono przez okno pięć bomb zapalających, które wysadziły drzwi i przednią ścianę sklepu na parterze. Strażacy szybko opanowali

pożar. Ofiar w ludziach nie zanotowano, ponieważ pomieszczenie to, służące do niedawna za magazyn, było puste. W wyniku wstępnego, natychmiastowego śledztwa w sprawie przyczyn pożaru stwierdzono odłamki bomb zapalających domowej roboty. Dom Rodziny Soong jest siedzibą Wong Dip Tongu, jednego z najliczniejszych tajnych stowarzyszeń chińskich w Ameryce, na czele którego zwyczajowo stoi członek rodziny Soong. Ostatnim znanym przywódcą tego tongu był Charles Duk Soong, który zmarł w ubiegłym roku w wieku siedemdziesięciu jeden lat, nie zostawiając sukcesora, gdyż jego jedyny syn poniósł śmierć przed czterema laty w Wietnamie. Nie udało nam się trafić do żadnego z członków rodziny ani tongu, by skomentował tę sprawę. Straty materialne strażacy oceniają na około piętnaście tysięcy dolarów. Śledztwo w toku.

Pastor spojrzął na Barbarę. - Nie powiedzieli, że znaleźli drabinkę sznurową.

- Jak znam mojego wuja - powiedziała - to popędził na górę przed innymi i usunął ją. On nie jest z tych, którzy wtajemniczają policję w sprawy rodzinne.

- Czy on się domyśla, co ty zabrałaś? - spytał Pastor patrząc Barbarze w oczy.

- Wątpię - odparła. - To było w moim prywatnym sejfie. Nikt nie znał jego zawartości.

- Niewątpliwie wuj będzie cię szukał - rzekł Pastor.

- Wiem - powiedziała w zamyśleniu.

Kelnerka przyniosła talerze z dymiącymi potrawami. Milczeli, gdy stawiała je na stole. -

Życzę smacznego - powiedziała i odeszła.

Głos spikera przebił się przez odgłosy jedzenia. - Opierając się na informacji dostarczonej przez agenta, FBI i policja z Oakland dokonały nalotu na

kryjówkę, w której miał jakoby przebywać Joseph Washington, zwany „Inżynierem”, występujący także pod nazwiskiem Ałi Elijah, członek ugrupowania o nazwie Czarni Muzułmanie, podejrzany o udział w kilku morderstwach i zamachach terrorystycznych dokonanych prawdopodobnie przez Czarnych Muzułmanów na przestrzeni ostatnich lat. W domu pod mostem Bay Bridge w Oakland, który poprzednio należał do matki Washingtona, nie znaleziono nikogo. Zdaniem policji, wszystko wskazuje na to, że dom ten jeszcze niedawno był zamieszkały, więc zbieg przypuszczalnie znajduje się gdzieś w okolicy. Trwają poszukiwania. Pastor popatrzył na Barbarę, potem na Elijaha.

- Siedzę ze sławnymi osobami - rzekł z uśmiechem.

- Z gwiazdami, stary, z gwiazdami - odparł Elijah, podnosząc do ust naładowany po brzegi widelec. - Nic nie mówią o moich, z czego wnioskuję, że udało się im zwiać.

- To jedyny dobry znak - stwierdził Pastor. Bez entuzjazmu dziobał omlet, który nie był bardzo smaczny.

- Nie mogę zatrzymać się u ciebie - powiedziała nagle Barbara.

Pastor podniósł na nią wzrok. - O czym ty mówisz?

- Mój wuj nie jest głupcem. Twój dom sprawdzi w pierwszej kolejności. On wie, gdzie mieszkasz. To przecież on podał Synom Bożym wasz adres.

- No to gdzie się podziejesz? - spytał Pastor. - Czy znasz jakichś Chińczyków, którzy by zechcieli narażać się dla ciebie? Twój wuj ma wiele oczu.

- To człowiek bezwzględny - stwierdziła Barbara.

- Wielu niewinnych ludzi mogłoby ucierpieć z mego powodu. Nie chciałabym sprowadzić na ciebie nieszczęścia.

Pastor patrzył na nią w zamyśleniu. Miała rację. Wspólnota Boża nie była armią wojowników. Prędzej czy później ktoś by ją wydał. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wstał. - Poczekajcie tutaj - powiedział. - Muszę zadzwonić.

Na zapleczu restauracji była kabina telefoniczna. Włożywszy dziesiątaka do aparatu, podyktował telefoniście numer. W słuchawce rozległ się sygnał.

- Proszę wrzucić sześćdziesiąt pięć centów - powiedział telefonista.

Kiedy wkładał do aparatu monety, odezwał się zaspany głos jego matki. - Halo!

- Mamo! - zawołał.

- Constantine! Czy coś się stało? - spytała zaniepokojona.

- Nie, nic się nie stało, mamó - uspokoił ją.

- Naprawdę.

- Jest piąta rano - powiedziała.

- Tak, wiem - odparł. - Przepraszam, że cię obudziłem, ale bardzo potrzebuję twojej pomocy. - Masz jakieś kłopoty?

- Nie, mamó. Po prostu potrzebuję twojej pomocy. Moja znajoma nie ma się gdzie podziać i chciałbym cię prosić, żebyś przyjęła ją do siebie na jakiś czas.

- Czy to porządna dziewczyna? - Bardzo porządna, mamó. - Chrześcijanka?

- Tak, mamó. - Nie żadna hippiska?

- Nie, mamó. Byłem bliskim kolegą jej brata. Zmarł na moich rękach w Wietnamie.

Niedawno umarł jej ojciec i wuj chce jej zabrać cały majątek. Szuka jakiegoś miejsca, gdzie mogłaby przeczekać, póki adwokaci nie wyjaśnią, co się komu należy.

- Jak się nazywa?

- Beverly - zawahał się. - Beverly Lee. Pochodzi z chińsko-amerykańskiej rodziny, mamó. Skończyła studia. Nie sprawi ci kłopotu. Poza tym może ci się przyda. Dotrzyma ci towarzystwa. Teraz, kiedy nie ma taty, będzie ci przyjemnie, że w domu jest ktoś, z kim można porozmawiać.

Matka wahała się. - Jesteś pewien, że to porządna dziewczyna?

- Tak, mamó. Jestem tego pewien. Wyczuwał na odległość jej niezdecydowanie. - To byłby prawdziwie chrześcijański uczynek, mamó. Ona potrzebuje takiej osoby jak ty. Usłyszał, że matka odetchnęła głęboko. - No dobrze. Zgadzam się. Lecz jeśli dojdę do wniosku, że nie jest to porządna dziewczyna, z miejsca ją wyproszę.

- Zobaczysz, że nie będzie żadnych problemów, mamó - zapewnił ją. - Bóg ci to wynagrodzi. - Przywieziesz ją tu?

- Nie mogę, mamó. Mam coś ważnego do załatwienia. Ale dopilnuję, żeby dojechała szczęśliwie. - Kiedy?

- Przed wieczorem - powiedział. - Możesz dać jej mój pokój.

- W żadnym wypadku - odpowiedziała zdecydowanym tonem. - Zamieszka w pokoju gościnnym. - Dobrze. - A kiedy ciebie zobaczę?

- Niedługo, mamó. Może w czasie weekendu. - Ona tu będzie wieczorem?

- Tak, mamó. Dziękuję. - Uważaj na siebie, Constantine.

- Dobrze.

- Niech Bóg ma cię w swojej opiece.

- Ciebie też, mamó. - Odwiesił słuchawkę i wrócił

do stolika. - Zdaje się, że znalazłem rozwiązanie - powiedział, nie siadając.

- Jakie? - spytała Barbara.
- Moja matka mówi, że przez jakiś czas możesz zatrzymać się u niej. - Wsunął się z powrotem na swoje miejsce. - Tam na razie nic ci nie grozi. Aha, powiedziałem jej, że nazywasz się Beverly Lee. Zapomnij o Barbarze Soong. Od tej chwili jesteś Beverly. Lepiej zerwać z przeszłością.
- Barbara milczała.
- W Los Altos pójdziemy do banku i wynajmiesz sobie sejf. Potem załatwimy ci jakiś samochód, który odwiezie cię do mojej matki.
- Nie mogę tak narzucać się komuś zupełnie obcemu - zaprotestowała Barbara.
- Ona nie jest obca - uśmiechnął się. - To moja matka.

13

Było prawie południe, kiedy zatrzymał furgonetkę przed swą chatą. Oczy miał zaczerwienione z niewyspania, liczył jednak na to, że zimny prysznic postawi go na nogi. Wyprawienie Barbary do matki zajęło mi więcej czasu, niż się spodziewał. W ostatniej chwili zdecydował się wysłać z nią Ali Elijaha, żeby nie czuła się taka samotna. Co do pieniędzy, to Barbara postanowiła zdeponować je w banku niedaleko miejsca, w którym się zatrzyma, na co przystał bez słowa. Były to w końcu jej pieniądze i miała prawo rozporządzać nimi według własnego upodobania.

W komunie powitała go nienaturalna cisza, lecz był zbyt zmęczony, by zwrócić na to uwagę. Wszedł wolnym krokiem do chaty. Rozebrał się, znużonym ruchem napompował wody do wiszącego zbiornika, stanął pod prysznicem. Lodowata źródłana woda od razu go obudziła. Odetchnął głęboko i zaczął się energicznie szorować, potem prędko spłukał z siebie mydliny. Chwycił ręcznik. Kończył się wycierać, gdy do pokoju weszła Charlie. Płakała. - Co się stało, Charlie? - Oni odeszli, Pastorku.

- Kto odszedł? - spytał. - O kim ty mówisz?

- Powiedzieli, że nie wrócą. Nie chcieli mnie słuchać.

- Ale kto? - potrząsnął ją za ramiona.

- Tarz i inni. Powiedzieli, że to nie jest już to. Że komuna przestała być tym, czym była. Że słyszą same zakazy. I że nie czują się wolni. Wsiedli w samochody i odjechali.

- Kiedy to się stało? - spytał.

- Dziś po śniadaniu.

- Powiedzieli, dokąd jadą?

Pokręciła głową. - Każdy wybierał się gdzie indziej. Tarz rozdał wszystkim pieniądze z sejfu i odjechali. - Wyciągnęła dłoń. - Ja też dostałam swoją dołę. Spójrz.

Spojrzał. Na jej dłoni leżał zwitek banknotów. - Skąd on wziął te pieniądze?

- Z sejfu. Powiedział, że należą do nas. Że wszyscy na nie pracowaliśmy.

Sięgnął po spodnie. - Czy ktoś z tobą został?

- Z dziesięć osób. Same dziewczyny. Mężczyźni wsiedli do samochodów, a dla nich zabrakło miejsc. Ale one nie zostaną. Pakują się.

Zapiął koszulę, wciągnął buty. - Zawołaj je do

światlicy i poczekajcie tam na mnie. - Wybiegł z chaty.

Sejf był otwarty. Zajrzał do środka i aż się zachwiał. Pusto. Zniknęły nawet pieniądze na spłatę długu hipotecznego. Dwadzieścia tysięcy dolarów.

Usłyszawszy za sobą dziewczęta, obejrzał się. Patrzyły na niego w milczeniu. - Czy któraś z was wie, dokąd pojechał Tarz? Pokręciły głowami. - Nic na ten temat nie mówił

- odpowiedziała za nie Charlie.

- Kto z nim pojechał?

- Nikt. Sam wsiadł do samochodu. Pastor milczał.

- I co teraz zrobimy, Pastorku? Praktycznie wszystko zabrali.

- Damy sobie radę - powiedział z taką pewnością, na jaką było go w tej chwili stać. - To znaczy, że będziemy musieli zakasać rękawy.

- Ale są prace, którym same nie podołamy. Potrzebni są mężczyźni.

- Naszą pracą jest pozyskiwanie wiernych wyznawców Chrystusa - rzekł. - Kobiety potrafią to robić nie gorzej od mężczyzn. Najpierw musimy się pozbierać i sprzątnąć domy. Charlie, wyznacz dwie dziewczyny do kuchni, żeby zajęły się gotowaniem. Ja skoczę do miasta i zobaczę, czy uda mi się wynająć kilku Meksykanów, którzy by wzięli na siebie cięższe roboty, zanim się zorganizujemy. - Mówiłam wam, że nie należy słuchać Tarza - powiedziała Charlie dziewczętom. - Pastor wrócił i wcale nie zamierza nas porzucić. - I co z tego? - skrzywiła się Melanie. - Nie ma mowy, żebyśmy dali sobie radę. Jest nas za mało.

- To nieprawda, Melanie - rzekł do niej Pastor. -Przypomnij sobie, co powiedział święty Jan w Drugim

Liście Apostolskim. - Gzuł, jak jego głos nabiera siły. - „Mieście się na bacności, abyście nie utracili tego, nad czym! pracowaliśmy, lecz abyście pełną zapłatę otrzymali.” -

Przerwał na moment i powiódł po nich wzrokiem. - Co zaś do Tarza i pozostałych, to niech sobie idą. I znowu najlepiej wyrażą to słowa świętego Jana: „Kto się za daleko zapędza i nie trzyma się nauki Chrystusowej, nie ma Boga. Kto trwa w niej ten ma i Ojca, i Syna.”*

Odwrócił się, zatrzasnął drzwiczki sejfu, przekręcił tarczę. - Niech już to będzie za nami. Przed nami praca dla Boga. Najwyższy czas się do niej zabrać.

Ruszył do wyjścia, ale w drzwiach jeszcze się do nich odwrócił. - Będę z powrotem za dwie godziny. Jak wrócę, chciałbym zobaczyć was wszystkie zajęte porządkowaniem.

Jutro wszystko będzie po staremu. Od tej chwili musimy pracować dla Jezusa Chrystusa ze zdwojoną energią. To co, zostajecie ze mną?

- Tak, Pastorku - odpowiedziały po chwili wahania.

*

Zaparkował przed bankiem, wszedł do budynku. Umyślnie przeszedł przez całą salę i skierował się do biura dyrektora. Sekretarka spojrzała na niego zdziwiona.

- Jestem pastor Talbot ze Wspólnoty Bożej. Czy pan Walton mógłby mnie przyjąć?

Dziewczyna skinęła głową. Podniosła słuchawkę, coś do niej powiedziała. - Może pan wejść - rzekła, wykonując zapraszający gest.

Pan Walton był szczupłym mężczyzną. Z uśmiechem wyciągnął do niego dłoń. - Jest pan u nas zawsze mile widziany, pastorze Talbot.

- Dzień dobry. - Podali sobie ręce.

Pan Walton wskazał mu krzesło. - Czym mogę panu służyć, pastorze?

- Chciałbym sprawdzić stan naszego konta - powiedział Pastor.

- Proszę bardzo - odparł uprzejmie pan Walton. Sięgnął do telefonu. - Czy coś się stało?- spytał, bo dostrzegł wyraz twarzy Pastora.

Ich oczy spotkały się. - Nie wiem. Wyjechałem w interesach, a po powrocie dowiedziałem się, że nasz skarbnik opuścił nas i nie zamierza wrócić.

Uśmiech zniknął z twarzy bankiera. W chwilę później Pastor miał w ręku wyciąg stanu konta. Wszystkie pieniądze zostały podjęte.

Pastor uniósł głowę znad kartki. - A mógłby pan jeszcze sprawdzić, czy dokonano wpłaty ostatniej raty długu hipotecznego?

Nie dokonano, choć termin już minął. Ale bankier podszedł do sprawy ze zrozumieniem.

Oczywiście, że przedłuży termin tej wpłaty. Nie, wcale się nie niepokoi. Posiadłość Wspólnoty Bożej stanowiła więcej niż wystarczające zabezpieczenie długu.

Prosto z banku Pastor udał się do budki telefonicznej i zadzwonił do matki. - Czy Beverly już dojechała? - Jeszcze nie - odparła matka.

- Jak tylko się zjawi, powiedz jej kierowcy, żeby natychmiast wracał do komuny, dobrze? Mam do niego ważną sprawę.

Następnie udał się do biura zatrudnienia, gdzie poprosił, żeby zaraz z rana skierowali do nich trzech robotników dniówkowych. Po czym wsiadł do furgonetki i ruszył w drogę powrotną.

Zjechawszy ze wzgórza, ujrzał przed świetlicą kilka samochodów, z których jeden wydał mu się znajomy. Był to samochód Tarza. A więc Tarz wrócił, ucieszył się Pastor. Przez cały czas czuł, że Tarz wróci. W radosnym nastroju wszedł do budynku.

W chwili, gdy przestępował próg, chwycono go za ramiona. - Dzień dobry, Pastorze - usłyszał głos Brata Eliasza.

Brat Eliasz siedział przy końcu stołu. A obok niego Tarz. Twarz miał posiniaczoną, zakrwawioną, oczy zaś tak spuchnięte, że właściwie nie był w stanie ich otworzyć. Za nim, pod ścianą, kuliły się dziewczęta, których pilnowało dwóch mężczyzn z pejcami do poganiania bydła. Przerażone dziewczęta patrzyły na Pastora szeroko otwartymi oczami. Szarpnął się gwałtownie, chcąc się uwolnić, lecz ci dwaj trzymali go w iście żelaznym uścisku. - Puśćcie go - powiedział Brat Eliasz.

Przez dobrą chwilę Pastor rozcierał bolące ramiona.

- Mówiłem ci, żebyś nie wracał - rzekł do Brata Eliasza.

- Wyświadczyliśmy ci przysługę - odparł Brat Eliasz z uśmiechem. - Tarz tak nieładnie się zachował. Uznaliśmy, że powinniśmy ci go odwieźć.

- Skąd wiedzieliście, gdzie go szukać?

Brat Eliasz roześmiał się. - To nie było wcale trudne. Zadzwoił do nas. Prosił, żebyśmy przyjęli go z powrotem. Ale znasz Brata Roberta. On ma kompletnego bzika na punkcie uczciwości. Nie zadaje się z oszustami. - Rzucił jakiś pakiet na stół. - Oddajemy ci też pieniądze. Całą sumę. Ponad dwadzieścia tysięcy. Przelicz.

Pastor popatrzył na niego w milczeniu, po czym podszedł do Tarza. Delikatnie ujął w dłoń jego twarz i poddał ją dokładnym oględzinom. Tarz miał ranę ziejącą żywym ogniem, nos i kość policzkową prawdopodobnie pęknięte. - W pokoju obok jest apteczka - powiedział Pastor. - Może byś także pozwolił, żeby któraś z dziewcząt przyniosła mi z kuchni lód. To nieco złagodzi ból, zanim zawieziemy go do lekarza.

Opuchnięte wargi Tarza poruszyły się. - Przepraszam cię, Pastorku.

- Nic nie mów - powiedział Pastor łagodnie. Spojrzał na Brata Eliasza. - No więc? Brat Eliasz skinął głową. - Zapomniałem, że w wojsku byłeś felczerem. - Dał znak jednemu ze swych ludzi. - Przynieście mu, o co prosi.

Pastor pracował szybko. W kilka minut oczyścił twarz Tarza i opatrzył mu rany. Tarz jęczał z bólu. Pastor zgrabnym ruchem wstrzyknął mu w ramię morfinę. W chwilę później Tarz spał. Pastor wyprostował się. Spojrzał na Brata Eliasza.

- Czy dalej utrzymujesz, że Bratem Robertem powodowała chrześcijańska miłość bliźniego? - No pewnie - odparł Brat Eliasz z uśmiechem.

- Czy mogłoby to być co innego?

- Mogłoby - rzekł Pastor. Spojrzał na dziewczęta. - Pozwól im odejść do swych zajęć, a my pogadamy. - Niech zostaną - powiedział Brat Eliasz. - Nie zaszkodzi, jak sobie posłuchają.

Pastor przysunął krzesło do stołu i usiadł naprzeciwko Brata Eliasza - Niech będzie.

- Brat Robert wciąż wierzy, że mogliśmy dojść do porozumienia - rzekł Brat Eliasz.

- Nie jestem tego taki pewien - powiedział Pastor. Brat Eliasz pokiwał głową. - Spodziewał się tego. Mam więc dla ciebie inną propozycję.

- Mianowicie jaką?

Brat Eliasz spojrział mu w oczy. - Barbarę Soong.

- Nie rozumiem.

- Podasz nam jej adres i przestaniemy wchodzić ci w drogę.

- Proszę bardzo - odparł Pastor. - Drugie piętro tego ich domu przy Grant Street.

- Nie stać cię na nic mądrzejszego? Zniknęła tej nocy. Jej wuj podejrzewa, że się gdzieś tutaj ukryła. Od Tarza z kolei wiemy, że nie było cię w domu przez ostatnie dwa dni.

Pastor pokręcił głową. - Chyba mnie trochę przeceniacie.

- Być może - powiedział Brat Elias. Wskazał ręką dziewczęta. - Mamy tu jedenaścioro twoich dzieciaków. To dobra wymiana. Jedenaścioro za jedną.

- Byłaby dobra, gdybym faktycznie miał Barbarę Soong.

Brat Elias uczynił nieznaczny gest. Jeden z mężczyzn stojących przy dziewczętach zrobił krok do tyłu i strzelił z bata. Zabrzmiało to jak strzał z karabinu w dużej sali. Strzelił drugi raz. Tym razem rzemień prześliznął się po sukni stojącej najbliżej dziewczyny, tnąc materiał niczym żyłotka i odsłaniając ciało. Rozległ się trzeci strzał. Na ciele dziewczyny ukazała się krwawa linia, biegnąca od gardła, między piersiami, przez brzuch do wzgórka łonowego. Przerażona dziewczyna krzyknęła i spojrzała na siebie z niedowierzaniem. Dotknęła ręką szyi. Na rękę została krew. Dziewczyna pobladła, oczy uciekły jej w tył głowy i upadła zemdlna.

Brat Elias spojrzał na Pastora. - Jedna z głowy, zostało dziesięć.

- Tracisz czas - stwierdził Pastor. - Jak mogę wymienić kogoś, kogo nie mam?

- Cóż, to są twoje dzieciaki - powiedział Brat Elias. Odwrócił się do faceta z pejczem.

Wykorzystując ten ułamek sekundy, kiedy oczy wszystkich obecnych zwróciły się ku temu z pejczem, Pastor skoczył przez stół. Wylądował na podłodze razem z Bratem Eliasem, którego trzymał za uszy. W lewej dłoni wciąż ścisnął strzykawkę.

- Nie ruszaj się! - wrzasnął. - Masz w uchu strzykawkę z morfiną. Jeśli ci ją wbiję, umrzesz powolną śmiercią. Paraliż obejmie twój mózg, komórka po komórce.

Brat Eliasz jakby zeszywniał.

- Teraz wstaniemy - powiedział Pastor. - Ale bardzo powoli. Nie chcemy, żeby przydarzył się nam jakiś wypadek, prawda? Każ swym kumplom trzymać się od nas z daleka. To ostra igła, przebija skórę w mgnieniu oka.

- Słyszeliście go - wychrypiał Brat Eliasz.

- No to jazda. Teraz. Bardzo powoli. - Pastor ostrożnie podniósł się z podłogi, nie odrywając rąk od uszu tamtego.

Równie ostrożnie dźwignął się na nogi Brat Eliasz.

- A teraz tyłem podejmiemy do ściany - zarządził Pastor. - Bardzo, bardzo powoli.

Cofali się małymi krokami. - Świetnie - powiedział Pastor, gdy wyczuł ścianę za plecami. - Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy się ruszyć. - Z miejsca, w którym stali, obejmował wzrokiem całą salę.

Było ich czterech. Wpatrywali się w niego z napięciem. Przyjrząwszy się im uważnie, Pastor pokiwał głową. - Każ im, żeby się rozebrali do bielizny.

- Słyszeliście go - wydusił Brat Eliasz nie swoim głosem.

- Ależ Bracie Eliaszu - zaprotestował jeden z nich. - Ja nie noszę bielizny.

- Coś takiego? - zdziwił się Pastor. - Mniejsza o to, rozbieraj się.

Tamten zawahał się.

- Rób, co on każe - prawie wrzasnął Brat Eliasz. W parę sekund później przed każdym z czterech

mężczyzn leżała kupka ubrań. Nadzy nie budzili już takiego przerażenia.

- Doskonale - orzekł Pastor. - Teraz, bracia, ustawcie się bliżej drzwi, twarzą do ściany. - Odczekał chwilę. - W porządku, dzieciaki. Zbierzcie te ciuchy i wrzucie je do tamtego pokoju. Dziewczęta pospiesznie wykonały jego polecenie.

- Charlie, zajmij się Jane. W torbie sanitarnej są tampony antyseptyczne.

- Kto ma klucze od samochodu? - spytał Brata Eliasza.

- Ja. Są w mojej kieszeni.

- Wyjmij je i rzuć na podłogę. Ale powoli. Pamiętaj o strzykawce, prawda?

Klucze z brzękiem upadły na podłogę.

- A klucze do samochodu Tarza?

- Zostały w stacyjce - powiedział jeden z mężczyzn.

- Przynieś je, Melanie.

Po chwili Melanie wróciła z kluczami. - Dobrze, trzymaj je - rzekł. - A te na podłozie kopnij do nich. Klucze przesunęły się po podłozie. - Dobra, bracia

- powiedział Pastor. - Bierzcie samochód i wracajcie do domu.

- Zaraz, zaraz - zaprotestował jeden z nagich facetów. - Nie możemy jechać w takim stanie.

- Może lepiej ty im to powiedz - rzekł Pastor do Brata Eliasza, ściskając mocniej jego uszy.

- Róbcie, co wam każe! - wrzasnął Brat Eliasza. Jeden z mężczyzn podniósł klucze i wyszedł. Po chwili wahania pozostali poszli w jego ślady. Zawarczał silnik, opony zachręściły na piasku. - A teraz powoli podejźmy do drzwi - powiedział Pastor.

Dotarli do drzwi w momencie, gdy samochód wjeżdżał na drogę na skraju posiadłości komuny.

- Co zamierzasz ze mną zrobić? - spytał Brat Eliasza, gdy auto zniknęło za wzgórzem.

- Nie mam zbyt wielkiego wyboru - odparł Pastor.
- Ciągłe tu wracasz.
- Już nie wrócę. Przysięgam - zapewnił go Brat Elias. - Mogę nawet uwolnić cię od Brata Roberta.
- Przykro mi - powiedział Pastor. Klasnął w dłonie, po czym zrobił krok do tyłu, puszczając tamtego wolno.
- Brat Elias złapał się za uszy. Gdy ujrzał krew na palcach, popatrzył z przerażeniem na Pastora. - Zrobiłeś to! - krzyknął trzęsąc się ze strachu.
- Pastor przez długą chwilę milczał. - Niezupełnie
- powiedział wreszcie, unosząc do góry strzykawkę z płynem. - Zadrasnąłem cię, to wszystko. Ale Bóg mi świadkiem, że miałem ogromną ochotę ci to wstrzyknąć. - Hamując wściekłość, wycisnął morfinę na podłogę, strzykawkę zaś wyrzucił przez otwarte drzwi.
- Wepchnął Brata Eliasza z powrotem do świetlicy. - Wyskakuj z ubrania!
- Ja też?
- Ty też. - Gdy Brat Elias stanął przed nim rozebrany, Pastor odwrócił się do dziewcząt. - Dorzućcie te ciuchy do tamtych, a jego zamknijcie w magazynie. Musimy się zastanowić, co z nim zrobimy. Brat Elias został otoczony przez cztery dziewczyny i niezbyt delikatnie wepchnięty do magazynu. Pastor podszedł do Jane, która siedziała oparta o ścianę.
- Pochylił się nad nią. Krwawienie ustało. - Czy to się zagoi? - spytała, podnosząc na niego wzrok. Pokiwał głową. - To powierzchowne zadrapanie. Nie będzie blizny. - Odwrócił się do Charlie. - Weź z sobą jedną z dziewcząt i odwieźcie Tarza do pogotowia.
- Dobrze.

Podniósł z krzesła wciąż nieprzytomnego chłopaka, zaniósł go do samochodu i położył na tylnym siedzeniu. Charlie usiadła za kierownicą.

- Co mam powiedzieć, gdyby pytali, co mu się stało?

- Powiedz, że wplątał się w złe towarzystwo i nie mógł się wyplątać. Powiedz też - dodał - że zapłacimy rachunek. Wróciwszy do świetlicy, opadł ciężko na krzesło. Melanie podeszła do niego. - Dziękujemy ci, że nas wyratowałaś, Pastorku.

Uśmiechnął się do niej. - Nie dziękuj mnie, Melanie, lecz Bogu - powiedział. - To on sprawił, że udało nam się obronić.

- Kochamy cię, Pastorku.

- Ja też was kocham - odparł.

- Przynieść ci kawy?

- Nie, dziękuję - odrzekł. - Po prostu sobie trochę posiedzę.

- Chcesz zostać sam?

- Tak, proszę.

Dziewczęta w milczeniu opuściły świetlicę. Pastor utkwiał spojrzenie w leżącym przed nim pakiecie. W końcu przyciągnął go do siebie i rozerwał, a potem, wściekły, wymierzył pięścią cios w zieleniące się na tle brązowego stołu paczki banknotów. Papierowe opaski pękły, banknoty rozsypały się po całym stole, spadając częściowo na podłogę.

Siedział tam jeszcze, kiedy w kilka godzin później do świetlicy wszedł Ali Elijah. Przez dłuższą chwilę patrzyli na siebie bez słowa.

Elijah w końcu zdecydował się przerwać ciszę.

- Wyglądasz, jakbyś ciężko nad czymś myślał, Pastorku.

- Może.
- Miałeś kłopoty?
- Miałem. W magazynie siedzi zamknięty Brat Elias od Synów Bożych.
- Co z nim zrobisz?

Pastor wzruszył ramionami. - Nic. Rano go wypuszczę.

- A nie zamierzasz zmienić swego wyglądu? Pastor spojrział na niego zdziwiony. - A to niby czemu?

- Jadąc tu słuchałem radia. Zatrzymali grupę jakichś hippisów podejrzanych o zamordowanie Sharon Tate. Nazywają ich Rodziną Mansona. Zatrzymałem się na kawę, kiedy pokazywali ich w telewizji. Ten Manson ma włosy i brodę zupełnie jak ty.

- Musiało w końcu do tego dojść - rzekł Pastor. - Nie bez powodu nazywali go Szalonym Karolkiem. - Znasz go?

- Raz czy dwa widziałem go, jak kręcił się koło Haighta Ashbury'ego.

- Ależ na tym stole zielono! Widać interes z Jezusem jest bardziej opłacalny, niż interes z Mahometem. Myśmy nigdy tyle nie wyszarpali.

- Ależ nam wcale nie chodzi o pieniądze - powiedział Pastor. - My to robimy z miłości do Jezusa. - Jak się zwał, tak się zwał. Co nie zmienia faktu, że widzę tu kupę forsy. Ty chyba nie wiesz, że siedzisz na żyle złota.

- Tak sądzisz? - spytał Pastor.

- Daję za to głowę - odparł Murzyn. - Będąc dzieckiem chodziłem z matką do murzyńskiego kościoła. Pamiętam, że ilekroć pastor zaczynał pomstować, ludziska dosłownie zasypywali go forszą. Wystarczyło, żeby otworzył usta i wrzasnął „O, Jezu!”.

Księga druga

Jezus i pieniądze

1

Jake Randle siedział wygodnie na tylnym siedzeniu swego czarnego Mercedesa 600, ze składanym dachem, bezpiecznie ukryty przed światem za kuloodpornymi ciemnobrązowymi szybami. Na zewnątrz panowała czterdziestokilkustopniowa spiekota. Oślepiające teksaskie słońce prażyło niemiłosiernie, ale Stary Jake tego nie odczuwał, jako że termostat w jego aucie ustawiony był na rozsądne dwadzieścia pięć stopni. Nagryzane delikatnie - z uwagi na sztuczną szczękę - nie zapalone hawańskie cygaro poruszało się w jego ustach to w jedną, to w drugą stronę. Stary Jake uważał bowiem, że połowę przyjemności z dobrego cygara czerpie się z jego żucia, nie z palenia. Jedyne, co mu się w cygarach nie podobało, to fakt, że komuchy panowały zarówno nad ich produkcją, jak i dystrybucją. Najchętniej wygnałby tych sukinsynów z powrotem do Rosji, czy gdzie tam, a wyspę oddał ludziom okazującym należny szacunek Amerykanom. Do licha, przecież gdyby nie Amerykanie, tamci by po dziś dzień lizali tyłek Hiszpanii. Spojrzał leniwie za okno. Samochód skręcił z głównej ulicy miasta, noszącego imię jego dziadka, na

drogę, która została specjalnie wybudowana jako dojazd do oddalonego o czterdzieści mil rancza. Z tyłu zostawał właśnie ostatni budynek, stara wałaca się szopa, nie używana od dwudziestu lat, to znaczy od czasu, kiedy płynąca tędy rzeka wyschła, zamieniając się w rów. Naraz Randle usiadł prosto. Na polu, nie opodal szopy, stały dwa słupy, między którymi rozciągnięto białe płótno o długości sześciu i szerokości dwóch metrów, z napisem wykonanym połyskującymi w słońcu, czerwonymi i czarnymi literami. Randle zapukał w szybę oddzielającą go od kabiny kierowcy. - Zatrzymaj się. - Tak jest, proszę pana.

Mercedes zjechał na pobocze, zaś Stary Jake założył okulary, by zapoznać się z treścią napisu. Litery były duże, łatwe do odczytania.

WIDZIELIŚCIE ICH W TELEWIZJI

Poniżej znajdowały się cztery podpisane fotografie: Oral Roberts, Rex Humbard, Jerry Falwell, James Robison. Pod nimi umieszczono piątą, większą od tamtych.

TO ON, WE WŁASNEJ OSOBIE! C. ANDREW TALBOT

- głosiły napisy po obu stronach fotografii. A pod nią:

NAJWIĘKSZY Z KAZNODZIEJÓW! W NIEDZIELĘ O CZWARTEJ. WSTĘP WOLNY! JEZUS CZEKA NA CIEBIE, NIE NA TWOJE PIENIĄDZE.

Na samym dole mniejszymi literami dopisano informację: Sponsorowane przez Kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki, Los Altos, Kalifornia.

Randle zdążył doczytać napis do końca, kiedy nad

polem za transparentem wzbił się tuman kurzu, z którego wyłonił się wierzchołek namiotu cyrkowego. Gdy chmura opadła, oczom Randle'a ukazały się traktory naciągające liny. Niemal jednocześnie w głębi namiotu pojawił się pomost z przymocowanym do podstawy ogromnym białym krzyżem. W kilka sekund później pod namiot wjechał podnośnik ze sto-
sem drewnianych ławek, które robotnicy zaczęli ustawiać rzędami przed pomostem. Z
kolei za pomostem rozwinęła się płachta z drugą fotografią C. Andrew Talbota,
wskazującego palcem rzędy ławek w taki sam sposób, jak robił to Wuj Sam na plakatach
zachęcających do wstępowania do wojska, choć słowa były tu nieco zmienione:

JEZUS CIĘ POTRZEBUJE!

Randle przeniósł wzrok poza namiot. Na skraju pola stały ciężarówki, którymi to wszystko
zwieziono. A także kilka mikrobusów i autobusów. Wrócił do obserwowania namiotu.

Trwała tam zorganizowana krzątania. Między nawami utworzonymi przez ławki
rozwijano chodniki, przed pomostem układano półkolem dywany, na słupach zawieszano
głośniki i reflektory. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że prace te wykonuje wielu
robotników, lecz gdy policzył, okazało się, że jest ich zaledwie ośmiu. Wszyscy bez
wyjątku zwijali się jak w ukropie pod nadzorem wielkiego Murzyna.

Stary Jake naciśnięciem guzika opuścił szybę dzielącą go od kierowcy i ochroniarza. -
Wjedź na pole!

Kierowca posłusznie wykonał rozkaz. Zatrzymał auto przy wejściu do namiotu. - Tak
dobrze, proszę pana? - spytał.

Stary Jake nie zadał sobie trudu, żeby mu odpowiedzieć. Nacisnął guzik opuszczający
boczną szy-

bę. Na jego widok kilku robotników przerwało pracę, ale ofuknięci przez Murzyna wrócili do zajęć. Randle wychylił głowę przez okno. - Podejź no tutaj, czarnuchu!

Obrzuciwszy go krótkim spojrzeniem, Joe Washington zbliżył się do limuzyny. Jeśli nawet zauważył, że goryl Starego Jake'a wyciągnął pistolet z kabury pod marynarką, to nie dał po sobie tego poznać. - Słucham pana? - spytał uprzejmie.

Stary Jake taksował go wzrokiem. Nie przepadał za czarnymi. Z zasady nie ufał ani Murzynom, ani Meksykanom. - Co wy tu, do diabła, wyprawiacie?

- Przygotowuję się do nabożeństwa, psze pana - odparł Joe, umyślnie przechodząc na południowy dialekt.

- Kto wam pozwolił? - spytał groźnie Stary Jake. Joe wzruszył ramionami. - Papiury dali nam w mieście.

- To moja posiadłość - rzekł Stary Jake. - A mnie nikt o niczym nie zawiadomił.

Joe znowu wzruszył ramionami. - Ja tam nic nie wiem, psze pana. Ja tu tylko pracuję.

Stary Jake zwrócił się do kierowcy. - Połącz mnie z zarządcą rancza. - W kilka sekund później wziął do ręki słuchawkę. - Wynająłeś dwudziestkę na jakieś nabożeństwo?

- Tak, proszę pana. Zapłacili nam dwieście dolarów.

- Dlaczego ja nic o tym nie wiem? - wrzasnął do słuchawki.

- Sądziłem, że nie jest to aż tak ważne, żeby zawracać panu głowę, panie Randle - tłumaczył się zarządca drżącym głosem.

- Ile razy mam mówić, że chcę być informowany o wszystkim, co się tu dzieje? - wrzasnął Randle.

- Mieli bardzo dobre poręczenia, panie Randle.

Zarówno od wielebnego Lydona, jak również diakona Ellswortha.

Stary Jake zamilkł na chwilę. Lydon i Ellsworth byli filarami miejscowego kościoła. -

Następnym razem masz mnie zawiadamiać - zagrzmiał. - Cokolwiek by to było.

- Tak jest, proszę pana.

Stary Jake odłożył słuchawkę. - Kim jest ten cały C. Andrew Talbot? - spytał Murzyna. -

Nigdy o takim kaznodziei nie słyszałem.

Joe zrobił zdziwioną minę. - Toż to jeden z największych w tym kraju. Nie ma takiego, co by o nim nie słyszał. - W telewizji go nie widziałem. - A ma pan kablówkę?

- Tutaj nie.

- No właśnie. On występuje w kablowej w Kalifornii. Jak by pan raz go usłyszał, to już by pan o nim nie zapomniał. Bo jak on się modli do Boga, to diabeł, psze pana, zrywa się na równe nogi i ucika, gdzie pieprz rośni.

Stary Jake spojrzał na niego z ukosa. - Taki więcej staroświecki kaznodzieja, straszący piekłem i wiecznym potępieniem, co?

- Tak jest, psze pana - potwierdził Joe.

- Żadne tam nowoczesne cackanie się.

- Nie, nie, psze pana - zaprzeczył Joe. - Jemu idzie tylko o to, żeby wygonić grzechy z ludzisków i rzucić ich na kolana przed naszym Odkupicielem Jezusem Chrystusem.

Stary Jake milczał przez chwilę, po czym pokiwał głową z uznaniem. - A więc to taki kaznodzieja, jakich lubię. Tamtej głupoty nie popieram.

- On też nie.

- A więc może jeszcze tu przyjadę, najpierw jed-

nak chciałbym odbyć z nim prywatną rozmowę. Gdzie on jest?

- Tera go tu nie ma - odparł Joe. - Pojechał na msze do kościoła baptystów. Ale sie na pewno ucieszy, jak wróci i pana pozna. Może po naszym nabożeństwie.

- No może - przystał Stary Jake. Wyjął z kieszeni banknot studolarowy. - Zarezerwuj dla mnie całą ławkę w pierwszym rzędzie. Lubię siedzieć sam.

Joe spojrział na banknot. - Wstęp wolny, psze pana. Nie mogę wziąć tych pieniędzy. Ale na pewno zatrzymam dla pana ławkę w pierwszym rzędzie.

- Pamiętaj o tym, człowieku - zakończył Randle. Oparł się wygodnie i zasunął szybę.

Czarny mercedes zjechał z pola, skręcił na drogę, żeby wreszcie pomknąć do domu. Joe patrzył za nim w zamyśleniu.

Jeden z robotników podszedł do niego. - Gadał jak prawdziwy kutas. Co ci przyszło do głowy, żeby zgrywać się na wuja Toma?

Joe obrzucił go spojrzeniem, które nie wróżyło nic dobrego. - Masz wielką gębę, Johnson.

Gdybyś nie mełł tyle językiem, a rękoma, już dawno byłoby wszystko ustawione.

Johnson spojrział na znikającą w oddali limuzynę. - Rany, ależ to landara. Aż dziw, że nie jeździ po szynach.

- Sam będziesz jeździł po szynach, jeśli natychmiast nie zabierzesz się do roboty - zagroził mu Joe. Johnson uniósł ugodowo dłoń. - W porządeczku, szefie.

Gdy w końcu dołączył do robotników ustawiających ławki pod namiotem, Joe odwrócił się, by jeszcze rzucić okiem na czarnego mercedesa. Za późno. Kręcąc ponuro głową, Joe ruszył do ustawionego za

namiotem samochodu kempingowego Pastora. Duże srebrne litery RV wraz z namalowanym na nich czarnym napisem „*Wspólnota Boża*” zdawały się migotać w blasku słońca. Otworzył drzwi. - Jesteś tu, Beverly? - krzyknął, wsuwając głowę do wnętrza.

- Wejź Joe - dobiegł jej głos z głębi pomieszczenia.

Wdrapał się do środka i zamknął za sobą drzwi. Odczekał, żeby oczy przyzwyczyły się do mroku, delektując się chłodnym powietrzem po upale na zewnątrz, po czym poszedł w kierunku głosu.

Przy małym stole obiadowym, służącym także za prowizoryczne biurko, siedziała Beverly.

- Jak leci? - spytał. Podniosła głowę znad papierów. - Jak zwykle brakuje nam pieniędzy.

Chyba nigdy się z tego nie wygrzebiemy. Mamy tylko tyle forsy, żeby dojechać do następnego miasta. - Rozmawiałaś z nim?

- Jak myślisz? Aż mi zaschło w gardle. Ale on nie słucha. Powtarza wciąż, że pracujemy dla Boga, a na tym nie zarabia się pieniędzy.

- Kiedy on z tego wyrośnie? - pokręcił głową Joe. - Miejscowe kościoły zadowolilyby się dwudziestoma procentami. Nie musi oddawać im aż pięćdziesięciu.

Milczała.

- Czy ty wiesz, ile ci telewizyjni kaznodzieje zarabiają? - spytał i sam sobie odpowiedział:

- Miliony. I nie tułają się z miejsca na miejsce zasranym samochodem kempingowym.

Latają własnymi odrzutowcami, zatrzymują się wyłącznie w najlepszych apartamentach hotelowych.

- Wiem - rzekła.

- Na kolację jedzą stek albo pieczeń - powiedział.

Na jej wargach pojawił się słaby uśmiezek. - Czasami może nawet *chow mein!*
Nagle roześmiał się i pokręcił głową. - Idę o zakład, że ty sama nie wiesz, co cię tu trzyma, Beverly. Masz przecież forszę. Po co ci to?
Popatrzyła na niego jasnymi, błyszczącymi oczyma. - Jestem tu z tego samego powodu, co ty i wszyscy pozostali - odparła. - My go kochamy.
Na to zabrakło mu argumentu. Gdyby tamtej nocy przed wielu laty, kiedy Pastor zjawił się w jego domu w Oakland, ktoś mu powiedział, że będzie naciągał ludzi pod palącym słońcem Teksasu, odrzuciłby ten pomysł jako zbyt fantastyczny. I oto jest tu. I ona także. I cała reszta towarzystwa.
Czasem zastanawiał się, czy Pastor zdaje sobie sprawę z tego, jaką ma władzę nad ludźmi. Jak oni go słuchają, jak mu wierzą, jak się przed nim otwierają. On naprawdę uczył ich żyć po bożemu. Gdyby zechciał osiąść gdzieś na stałe i wykorzystać swoje zdolności, forsa płynęłaby do nich strumieniami.
Ale ani mu to było w głowie. Być może wcale nie słuchał, co do niego mówili, bo ilekroć podnoszono sprawę osiedlenia się i wybudowania kościoła, patrzył gdzieś w dal i odpowiadał im cierpliwie, jak dzieciom, które niczego nie rozumieją:
- Nie. Jeden kościół nie jest moją sceną. Pan chce, żebym zapuszczał korzenie nie swoje, lecz wiary. Słyszę Jego słowa, jak gdyby to On sam wypowiadał je do Swoich uczniów. -
Tu przerywał, by za chwilę zakończyć dyskusję cytatem ze świętego Marka: - „Idąc na cały świat, głosicie ewangelię wszystkiemu stworzeniu.”

2

Do trzeciej Joe naliczył sto osiemdziesiąt siedem samochodów osobowych i ciężarówek, zaparkowanych na polu, oraz czterysta dziewięćdziesiąt jeden osób, nie uwzględniając w tej liczbie dzieci. Na drodze czekała jeszcze długa kolejka pojazdów. Pokiwał głową z zadowoleniem. Będzie niezłe zgromadzenie. Może przekroczy nawet osiemset osób.

Z czterech olbrzymich głośników skierowanych na drogę wydobywały się pieśni kościelne, odtwarzane z taśmy magnetofonu umieszczonego w namiocie. Utrzymane w nowoczesnym rytmie - *gospel country western* - co, jak widział, wprawiało ludzi w pogodny, zgoła wakacyjny nastrój. Ławki w namiocie powoli się zapełniały.

Przygotowano siedemset pięćdziesiąt miejsc siedzących. Sześć dziewcząt ubranych w białe powiewne suknie zajmowało się wskazywaniem ludziom, gdzie mają usiąść, i rozprawdaniem programu w białych okładkach. Joe uśmiechnął się do siebie. Wszystko odbywało się według sprawdzonego scenariusza.

- Witamy w imieniu naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa - mówiły dziewczęta z uśmiechem, odprowadzały gościa na miejsce i wręczały mu program.

- Amen - odpowiadał zwykle gość. - Dziękuję.

Na to dziewczyna znowu się uśmiechała i wyciągała dłoń. - Cena programu jeden dolar. Pieniądze te przeznaczamy na pomoc biednym i potrzebującym w imię naszego Zbawiciela Jezusa Chrystusa.

Po chwili wahania gość wyciągał dolara. Nigdy się nie zdarzyło, żeby ktoś oddał program. Wszystko

odbywało się tak jawnie, na oczach wszystkich sąsiadów.

- Bóg zapłać - mówiła dziewczyna i wkładała dolara do saszetki przy pasku. Po czym szła po następnego gościa.

Po zlustrowaniu aut wjeżdżających na parking Joe skierował się do ustawionego za namiotem samochodu Pastora. Wspiął się po schodkach i bez pukania otworzył drzwi. - Pastorku! - zawołał.

- Tu jestem! - odpowiedział mu Pastor.

Joe wszedł do środka, zamykając starannie za sobą drzwi. Przy prowizorycznym biurku siedział Pastor i notował na karteczkach kazanie. - Pastorku, czy ty wierzysz w Boga? - spytał Joe, stając nad nim.

- Cóż za pytanie, Joe? - w głosie Pastora słychać było zdziwienie. - Przecież wiesz, że tak.

- A zorientowałbyś się, gdyby Bóg zesłał ci cud?

- O co chodzi, Joe? - Pastor zmarszczył czoło.

- Mam przecucie - rzekł Joe - że dziś tu zdarzy się cud.

Pastor milczał przez chwilę, a potem spytał podejrzliwie: - O co chodzi?

- W czasie, gdy byłeś u baptystów, zjawił się tu jeden facet. Rozparty na tylnym siedzeniu dużego mercedesa. Najpierw chciał nas wyrzucić, że to niby jego posiadłość, ale potem powiedział, że przyjedzie na nasze nabożeństwo, o ile zarezerwuję dla niego całą ławkę w pierwszym rzędzie, bo lubi siedzieć sam.

Pastor podniósł głowę. - I zarezerwowałaś? Joe skinął twierdząco.

- Przyjechał? - Nie - odparł Joe. - Ale jeszcze jest wcześnie. Na pewno przyjedzie.

- Skąd ta pewność? - zainteresował się Pastor.

- Pytał, czy jesteś takim staroświeckim kaznodzieją, który straszy piekłem i siarką, a ja odpowiedziałem, że tak. Na to on, że nie lubi tego nowoczesnego cackania się.

Powiedziałem mu więc, żeby przyjechał, bo ty na pewno mu się spodobaś.

Pastor pokręcił głową. - Nie powinieneś był tego mówić. Co też ci przyszło do głowy?

- Nie mógłbyś raz trochę pokrzyczeć? - spytał Joe. - Kazanie w dawnym stylu nikomu by nie zaszkodziło. - Tylko że to nie mój styl - odparł Pastor.

Joe milczał chwilę. - Właściwie nie zamierzałem mówić ci tego przed nabożeństwem, ale chyba muszę. Wszyscy od nas odejdą, jeśli dziś nie wypłacisz ludziom pensji. Praca za darmo nie jest w ich stylu. Mają w domu rodziny do wyżywienia, a my zalegamy z wypłatą za cztery miesiące.

- Wiedzą, że im zapłacimy, jak tylko będziemy mieć pieniądze.

- Wiedzą, wiedzą, ale już mają po uszy czekania. Widzą, co się dzieje i że znowu nam nie wystarczy.

- Skoro przyszło tyle ludzi - rzekł Pastor - to może uda się nam zebrać ze dwa tysiące.

- Nawet jeśli się uda, to te dwa tysiące rozejdą się w mgnieniu oka. Dwieście płacimy za to pole, dwieście jesteśmy winni w stacji benzynowej, pięćdziesiąt należy się elektrowni za prąd, połowa całej sumy, czyli tysiąc dolarów, idzie do kiesy miejscowego kościoła i co nam zostaje? Pięćset pięćdziesiąt dolców. Z tego odjąć na jedzenie i nie zostaje nam na spłacenie nawet jednego robotnika.

Pastor milczał.

- Musisz poprosić Beverly, żeby dołożyła - powiedział Joe.

- Nie mogę - odparł Pastor. - Ona już dość dała.

- W takim razie potrzebny jest cud - stwierdził Joe. - Tylko czy ty na nim się poznasz?
Twarz Pastora przybrała zawzięty wyraz. - Może. Jeśli mi go pokażesz palcem.
- Nie pokażę - odparł Joe bez uśmiechu. - On będzie zajmował samotnie całą ławkę w pierwszym rzędzie. Nazywa się Jake Randle.

*

Po wyjściu Joe'ego Pastor spojrział na karteczki rozłożone na biurku. Jakaż długą drogę przebyli od Boga, o którym nauczał w komunie; Boga pokoju i miłości, tolerancji i zrozumienia; Boga, wyciągającego do ludzi pomocną dłoń, wysłuchującego ich modlitw; Boga, który zesłał ludziom Swego Syna, by wszyscy, którzy przyjęli Jezusa Chrystusa, mogli do Niego przyjść. Bóg ten należał jednak do innych czasów, innego świata. Był Bogiem świata, który przyniósł rozczarowanie materializmem swego społeczeństwa, chorobą i okropnością swych wojen. Był Bogiem dla dzieci.

Ale dzieci wyrosły. I Bóg obecny, choć wciąż ten sam, jest bardziej Jehową ze Starego Testamentu, niż Chrystusem z Ewangelii. Jest to Bóg zemsty, kary; Bóg, skazujący na wieczne piekło ludzi, którzy nie uznali Jego Syna jako Mesjasza czyli Chrystusa. I żadne odchylenie od Jego Słów, tak jak je zapisano, nie jest tolerowane, żadna inna interpretacja nie jest dopuszczalna. Człowiek rodzi się z grzechem i umiera w grzechu, o ile On do niego nie przyszedł, o ile nie został obmyty krwią Baranka Bożego i nie odrodzi się.

Pastor przymknął oczy. To był ten sam Bóg, ten sam Bóg, ten sam Bóg. Jak to się stało, że on przedtem tego nie widział? A może był ślepy i nie był w stanie zobaczyć, że tak było przez cały czas

aż do dnia, w którym na drodze prowadzącej ze wzgórza do komuny zawarczały wozy policyjne.

*

Czternastu policjantów przybyło w czterech wozach policyjnych. Zatrzymali się przed świetlicą, wzniesając tuman kurzu. Pastor rozejrzał się za Alim Elija-hem, ale już go nie było; czmychnął, jak tylko ujrzał samochody na wzgórzu. Pastor ruszył spokojnie na spotkanie policjantom wysypującym się z pojazdów.

Jeden z nich wyciągnął z kabury pistolet. - Hej ty! Odwróć się tyłem i oprzyj ręce o ścianę! - krzyknął celując w Pastora. - O co chodzi? - spytał Pastor.

- Rób, co ci każą! - rzucił drugi policjant.

W chwili, gdy Pastor odwracał się ku ścianie, z budynku wyszło parę dziewcząt. - Wy wszyscy! - wrzasnął policjant. - Pod ścianę! Przerażone dziewczęta spojrzały na Pastora. Skinął lekko głową. Powoli podeszły do ściany. - Sprawdźcie wszystkie budynki - powiedział trzeci głos. - Musi być ich więcej, nie tylko te pięć. Pastor oparł ręce o ścianę budynku i pochylił się do przodu. Jeden z policjantów obmacał go. - Czysty - stwierdził. Opuściwszy ręce, Pastor odwrócił się. - O co tu, do diabła, chodzi?

Policjant, który go przeszukiwał, milczał.

- To jest prywatna posiadłość - powiedział Pastor. - Czy macie nakaz rewizji?

Wtedy podszedł do niego zwalisty policjant w mundurze porucznika. - Mamy nakaz.

Pastor wziął go z jego rąk.

- Mogę ci zaoszczędzić trudu czytania - rzekł porucznik. - Szukamy narkotyków, niebezpiecznej broni i skradzionych rzeczy.

Pastor poczuł ulgę. Nie chodziło więc o Ali Elijaha.

- Traci pan czas - odrzekł. - Jesteśmy komuną religijną.

Porucznik przyjrzał mu się bacznie. - To samo mówił Manson, kiedy go zdejmowaliśmy z rancza Spahna.

- My jesteśmy inni - rzekł Pastor.

- Może - odparł policjant. - Ale dla mnie wszyscy hippisi wyglądają tak samo. Ty ze swymi długimi włosami i brodą a ła Jezus jesteś bardzo do Mansona podobny.

- Nie wiedziałem, że to zbrodnia być do kogoś podobnym - odciął mu się Pastor. Pokiwał smutno głową. - Nie rozumiem. Mieszkamy tu od trzech lat i nigdy nie było żadnych kłopotów. Skąd ten nalot?

- Doszły nas różne plotki - odparł porucznik wymijająco.

- Z miasta? - spytał Pastor. - Mamy tam dobre układy. Niech pan spyta w banku. Albo gospodyń domowych. Wiele z nich kupuje od nas owoce i warzywa.

- Już nie będą - odrzekł policjant. - Rada miejska odebrała wam pozwolenie na sprzedaż.

Pastor wytrzeszczył na niego oczy. - Z jakiego powodu?

- Nie potrzebują powodów - rzekł porucznik.

- Masz coś przeciwko temu, żebyśmy się tu trochę rozejrzeli? - spytał po chwili.

- Nie mam wyboru, prawda?

Porucznik pokręcił przecząco głową. Dał znak i jego ludzie dwójkami pobiegli do budynków. Dwu zostało przy nim. - Chcielibyśmy obejrzeć prawa jazdy lub dowody identyfikacyjne przebywających tu osób - powiedział porucznik. - Chcemy też obejrzeć dowody rejestracyjne wszystkich pojazdów.

Dwóch policjantów przyprowadziło Charlie i Melanie. Twarz Charlie płonęła gniewem. - Te psy odciągnęły nas od kuchni, a właśnie gotujemy obiad. Wszystko się zmarnuje.

- Jaka szkoda - zauważył ironicznie jeden z policjantów. Pchnął ją niegrzecznie. - Pod ścianę z innymi!

- Łapy przy sobie, ty psie! - obruszyła się Charlie.

- Spokojnie, Charlie - powiedział cicho Pastor. Kątem oka widział policjantów wracających z pola, razem z trzema innymi dziewczętami i meksykańskimi robotnikami, którzy tam akurat pracowali.

Porucznik poczekał, aż dojdą. - Ile was tam jeszcze jest?

- To już wszyscy - rzekł Pastor.

- Nie kłamie, panie poruczniku - powiedział jeden z policjantów. - Raport mówi o dziesięciu dziewczynach.

- Dobra - rzekł porucznik. - Zacznę od twojego prawa jazdy - zwrócił się do Pastora.

Rewizja zajęła im aż trzy godziny, a jej wynikiem były dwa nie dopalone skręty, które znaleźli w kabinie furgonetki. - Jest tego więcej? - spytał porucznik pokazując je

Pastorowi. - Nie mam pojęcia - odparł Pastor. - Nie kolekcjonuję petów.

Porucznik odwrócił się do swych ludzi. - Zauważyliście coś, co mogłoby go obciążać?

- W kuchni jest komplet ostrych noży - wyrwał się jeden policjant.

Porucznik popatrzył na niego z niesmakiem.

- Moglibyśmy przeszukać dziewczyny - odezwał się inny. - Nie macie pojęcia, co one potrafią schować pod sukienkami. Słyszałem, że...

- Nie bądź kretynem - przerwał mu wściekły

porucznik. - Wiesz przecież, do cholery, że do tego musielibyśmy mieć z sobą policjantkę.
- To może je tylko obmacamy? - zasugerował tamten.
- Tylko spróbuj mnie dotknąć - rzuciła się na niego Charlie - a podam cię do sądu.
- Zamknij się, Smitty - powiedział porucznik. Odwrócił się do Pastora. - Na razie jesteś czysty, ale jeszcze nie skończyliśmy. Będziemy mieć was na oku. Jeden błąd, a rozwalimy wam te budy. Nie chcemy takich jak wy w pobliżu naszego miasta.
Stali w milczeniu, póki samochody policyjne nie wjechały z powrotem na wzgórze. Gdy zniknęły już, dziewczęta otoczyły Pastora. Charlie wypowiedziała pytanie, które wszystkim cisnęło się na usta. - I co my teraz zrobimy?
Patrzył na nie w milczeniu przez dłuższą chwilę.
- Wrócimy do naszych zajęć - powiedział w końcu.
- Jutro pojedę do miasta i wszystko wyjaśnię. Mówiąc to, miał w uszach słowa porucznika. I wiedział, że ten wcale nie żartował.

3

Stosunek ludzi z miasta do nich bardzo się zmienił. Pastor odczuł to zaraz następnego dnia, kiedy udał się do banku. Przedtem prezes odnosił się do niego serdecznie, rozmawiał z nim swobodnie. Teraz przyjął go chłodno. Najwyraźniej wizyta Pastora była mu nie na rękę.

- Sądzę, że pan już wie o cofnięciu nam zezwolenia na handel - zaczął Pastor.
 - Słyszałem to i owo - przyznał pan Walton.
 - Nie wiem, czym się kierowano - rzekł Pastor - ale chciałem prosić, żeby pan się wstawił za nami. Do tej pory nikomu nie zawadzaliśmy.
 - Rada miejska sama podejmuje decyzje - odparł pan Walton. - Nie lubią, gdy ktoś stara się na nich wpływać. Pastor spojrział zdziwiony. Nie było to do końca prawdą. Kiedy starali się o to zezwolenie pierwszy raz, pan Walton udzielił im entuzjastycznego poparcia. - Co się stało, panie Walton? Co się zmieniło?
- Pan Walton nie patrzył mu w oczy. - Może właściciele sklepów złożyli zażalenie, że odbieracie im klientów. Pastor pokręcił głową. - Sam pan wie, że większość właścicieli tych małych sklepów kupowała od nas. Właściwie to oni byli największymi odbiorcami naszych warzyw. Prezes banku milczał.
- Potrzebujemy tego źródła dochodów, żeby się utrzymać. Również, żeby spłacać dług hipoteczny. Nie wiem, co poczniemy, jeśli nie będziemy mogli sprzedawać naszych produktów. - Nic na to nie poradzę - rzekł pan Walton.
 - To co mamy zrobić? - spytał Pastor.
- Pan Walton popatrzył mu w oczy. - Moglibyście sprzedać posiadłość. Bank chętnie wam dopomoże w znalezieniu kupca. Prawdę mówiąc, znamy kilku zainteresowanych. Pastor pokiwał głową. Sprawa była jasna jak słońce. Nawet bank chciał się ich pozbyć. - Włożyliśmy w tę farmę dużo pieniędzy.
- Pan Walton nagle się ożywił. - Dopilnujemy, żebyście wyszli na swoje. A może jeszcze lepiej.

- Jeśli jednak nie sprzedamy?

- To już jak sobie chcecie - odparł prezes banku.

- Ale ostatnio zarząd zajął bardzo kategoryczne stanowisko. Wymagają ode mnie pilnowania, żeby wszystkie spłaty kredytów odbywały się w terminie. Nie wolno mi go przedłużać. Pastor wolno podniósł się z miejsca. Spojrzał z góry na prezesa banku, który dalej siedział za biurkiem. - Nie jesteśmy złymi ludźmi, panie Walton. My tylko prosimy o umożliwienie nam życia w spokoju i spłacania zobowiązań finansowych.

Prezes banku uniósł wzrok. - Wiem o tym, panie Talbot - powiedział cicho, jak gdyby nie chciał, żeby ktoś go podsłuchał. - Obawiam się jednak, że nic nie będę mógł zrobić. Mam związane ręce. Pastor pokiwał głową. Bez słowa skierował się do wyjścia.

- Proszę pamiętać o tym, panie Talbot - zatrzymał go w progu głos prezesa. - Gdyby zdecydował się pan sprzedać posiadłość, znamy ludzi, którzy byliby tym zainteresowani.

- Będę pamiętał, panie Walton. Dziękuję - odrzekł Pastor i zamknął za sobą drzwi.

Urzędnik magistratu potraktował go z góry.

- Oczywiście, że możecie odwołać się od decyzji rady, ale to na nic. Oni z pewnością jej nie zmienią. - Tak czy inaczej, chciałbym porozmawiać - upierał się Pastor.

- Dobrze. Skoro panu zależy, to niech pan przyjdzie za miesiąc na zebranie.

- Wcześniej nie można? - spytał Pastor.

- Rada miejska spotyka się raz na miesiąc. W tym miesiącu zebranie już się odbyło - wyjaśnił urzędnik.

Pastor wyszedł na parking. Przy jego furgonetce stało dwóch policjantów. Jeden właśnie wkładał za

wycieraczkę mandat. Pastor wyjął go i obejrzał. Parkowanie w miejscu niedozwolonym.

- Jak to? - zwrócił się do policjantów. - Przecież włożyłem forszę do parkometru.

Policjant pokazał na znak przy wjeździe: zakaz wjazdu dla samochodów ciężarowych.

Pastor spojrział na znak, a potem rozejrzał się po parkingu. Stało tam parę furgonetek. Nie miały karteczek za wycieraczkami.

- A tamte? - spytał. - Jakoś nie widzę żadnych mandatów.

- Jeszcze do nich nie doszliśmy - odparł policjant, nie ruszając się z miejsca.

- Ale zamierzacie?

Policjant pokiwał głową. - Jasne. Ale teraz mamy przerwę na kawę. Dobierzemy się do nich później.

Pastor nie odezwał się. Wsiadł do furgonetki i ruszył. Widział w lusterku, że policjanci patrzą za nim. Za rogiem rzucił okiem na wskaźnik paliwa. Bak był prawie pusty.

Podjechał do stacji benzynowej, gdzie zawsze zaopatrywał się w paliwo. - Do pełna, Mike - powiedział do faceta, który wyszedł z budki.

- Już się robi, Pastorku - odparł tamten, kierując się do dystrybutora. Naraz przystanął. - A tak przy okazji, masz gotówkę? - rzucił przez ramię.

- Mam gotówkę - odparł Pastor. - Ale co się dzieje? Przecież zawsze tu kupujemy.

- Nowe zarządzenie - odparł Mike, unikając jego spojrzenia. - Koniec z prywatnymi kontami. Gotówka albo karta kredytowa. - Włożył końcówkę węża do baku furgonetki, przestawił na automatyczne tankowanie i wrócił do Pastora. - Zajrzeć pod maskę?

Pastor pokręcił głową. - Nie ma potrzeby. Mike poszedł z powrotem do dystrybutora i poczekał na stuknięcie licznika. - Osiem dwadzieścia pięć.

Pastor w milczeniu podał mu banknot dziesięciodolarowy. Mike sięgnął do kieszeni po resztę. - Dziękuję - powiedział. - Życzę miłego dnia.

- Słuchaj, Mike - rzekł Pastor. - Zawsze byliśmy przyjaciółmi. Może ty mi powiesz, o co tu chodzi?

Na twarzy Mike pojawiło się zmieszanie. - Tak naprawdę to nie wiem.

- Nikomu nie powtórzę - rzekł Pastor. - Możesz mi powiedzieć.

Mike spojrział w górę i w dół ulicy. - Chodzi o Mansona - szepnął. - Ludzie się boją. A wy tam, w tej dolinie... Jesteście podobni.

- Ale przecież nigdy nie sprawialiśmy nikomu kłopotów. Ktoś musiał coś na nas nagadać.

- Ja tam nie wiem - rzekł Mike. - Szczerze. Słyszałem tylko, że wszystkie kazania w ostatnią niedzielę były o hippisach i o tym, że są bezbożnikami, bo uprawiają wolną miłość i biorą narkotyki. Z tego potem biorą się Mansonowie, tak mówili.

Pastor nabrał w płuca powietrza, a potem powoli je wypuścił. Właściwie mógł się tego spodziewać. Ilekroć usiłował nawiązać jakiś bliższy kontakt z miejscowymi duszpasterzami, spotykał się z odprawą. - Dzięki, Mike - rzekł. - Jestem ci bardzo wdzięczny, że mi to powiedziałeś.

Następnym przystankiem była poczta, gdzie miał odebrać korespondencję. Tym razem już zauważył zakaz wjazdu pojazdów ciężarowych i zatrzymał się przy parkometrze na ulicy. Wszedł na pocztę, kluczem otworzył skrytkę. Było w niej kilkanaście listów. Wsunął je do kieszeni koszuli. Zamykając skrytkę, dostrzegł, że urzędnik pocztowy bacznie go obserwuje ze swojej klatki. Pastor zwykle przystawał, by zamienić z nim kilka słów, ale tym razem, gdy oczy ich się spotkały, urzędnik odwrócił głowę i udał,

że jest czymś bardzo zajęty. Pastor zrozumiał jego zachowanie i wyszedł nie zatrzymując się.

W furgonetce zabrał się do otwierania kopert. Już pierwszy list wprowadził go w osłupienie.

Napisany był ołówkiem:

Zabierajcie się z miasta, śmierdziele, bo jak nie, to przyjedziemy do was i zrobimy z wami porządek.

Podpisu nie było. Rozerwał pozostałe koperty. Każda zawierała mniej więcej to samo. I ani jednego podpisu. Spojrzał na znaczki. Listy były miejscowe, wysłane poprzedniego dnia. Schował je do skrytki przy kierownicy. Powoli zapuścił silnik. Odnosił wrażenie, że żyje teraz w jakimś innym świecie i trudno mu było się z tym pogodzić.

Ruszając, spojrzął w lusterko. Zza rogu wyłonił się samochód policyjny. Trzymał się tuż za nim. Pastor jechał ostrożnie, żeby przypadkiem nie przekroczyć jakichś przepisów.

Dojechawszy do rogatek, skręcił, jak zawsze, na autostradę stanową. Samochód policyjny przez cały czas go nie odstępował, mimo że byli już za granicami administracyjnymi miasta. W końcu Pastor nie wytrzymał i zjechał na pobocze.

Samochód policyjny przystanął obok. - Coś się stało? - spytał policjant siedzący po prawej stronie. - Nie, nic - odparł Pastor.

- To czemu się zatrzymałeś? - spytał policjant. Pastor przyjrzał się im uważnie. Była to policja miejska, poza miastem traciła swe uprawnienia. - Bo chciałem zwrócić wam uwagę, że jesteście już dwie mile za granicą miasta.

Policjant zrobił się czerwony na twarzy. Popatrzył na swego kierowcę, potem znów na Pastora. - Szukamy bezpiecznego miejsca, żeby zakręcić.

- No to znaleźliście - odparł Pastor. - Tu nie ma żadnego ruchu.

Policjant nie spuszczał z niego wzroku. - A tyś co za jeden, że się tak mądrzysz?

- Nie mądrzę się, proszę pana - odparł Pastor uprzejmie. - Po prostu staram się pomóc władzy. Nie chciałbym, żebyście mieli kłopoty z kolegami z policji drogowej. Wiecie, jak oni nie lubią, gdy wchodzicie w ich kompetencje. Policjant jeszcze przez chwilę przyglądał mu się, po czym kiwnął głową do kierowcy. Samochód ruszył, zakreślił i pognął w kierunku miasta. Gdy zniknął z pola widzenia, Pastor także pojechał. Poczł się trochę lepiej, choć zdawał sobie sprawę z tego, że nie było to wielkie zwycięstwo.

*

Siedzieli właśnie przy kolacji, kiedy dobiegł ich warkot motocykli. Pastor rzucił się do drzwi i w tej samej chwili pierwszy kamień wybił okno.

Zanim Pastor zdążył wybiec, tamci okrążyli komunę i poczęli piąć się na wzgórze. W szybko zapadającym zmierzchu zdołał dostrzec czterech motocyklistów zgarbionych nad kierownicami.

Wybiegły dziewczęta. - Wracajcie do środka - powiedział. - Już odjechali.

Wszedł za nimi do budynku. Ali Elijah podał mu zmiętą kartkę. - Kamień był w to zawinięty.

Na kartce napisano czarnym flamastrem:

To jest tylko ostrzeżenie. Wyńście się stąd po dobroci. Następnym razem nie będzie żartów.

Usiadł ciężko. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Sytuacja była bez wyjścia, nic już nie mógł zrobić. Podsunął kartkę dziewczętom. - Przeczytajcie - po-

wiedział. - W samochodzie mam jeszcze piętnaście podobnych.

- Co to znaczy, Pastorku? - spytała Charlie. Wzruszył ramionami. - To, co jest napisane. Nie chcą nas tutaj.

- To gdzie się podziejemy?

- Nie wiem - odparł. - Żeby się stąd wynieść, potrzebne byłyby pieniądze. A wszystko, co mamy, utopione jest w tej farmie. Jedna z dziewcząt się rozpłakała.

- O co chodzi, Beth? - spytał. - Chcesz nas odesłać?

- Nie chcę - odparł. - Ale tu już nie jest bezpiecznie.

- W San Francisco zebraliśmy kupę forsy - powiedziała Charlie. - Gdybyśmy kupili jeszcze jeden mikrobus, moglibyśmy wyruszyć w trasę.

- Nie sądzę, żeby nam się udało. Mam wrażenie, że nie tylko tu zmienił się stosunek do nas. Ludzie nie będą już dla nas tacy uprzejmi, jak do tej pory.

- Z powodu Mansona? Pokiwał głową. - W dużej mierze.

Charlie milczała przez chwilę. - Ale są jeszcze inne sposoby na zdobycie pieniędzy. Spojrzał na nią pytająco.

- Zanim tu przyszedłam, spędziłam trochę czasu z Mosze Dawidem - powiedziała. - Dziewczeta zarabiały dla niego kupę forsy.

- Mosze Dawid jest chory - odparł Pastor. - On przeinacza słowo Boże dla swych niecznych celów. Jezus nie chciałby, żebyśmy dla Niego uprawiali nierząd. Nie możemy zamienić dobroci boskiej w lubieżność, cudzołóstwo i rozpustę, bo jeśli zaczniemy to robić, skazemy się na wieczne potępienie, bez względu na to, jakie znajdziemy sami dla siebie u sprawiedliwieniu.

- Ale nieraz spaliśmy ze sobą i to było dobre.
- Tak, ale kierowała nami miłość - powiedział.
- Mosze Dawid wymaga od swych wyznawców całkiem czego innego. - Zamilkł na chwilę. - Jesteśmy zmęczeni, prawda? Chodźmy spać, a jutro, ze świeżą głową, na pewno coś wymyślimy. Charlie spojrzała na dziewczęta, potem znowu na Pastora. - Cokolwiek wymyślisz, pamiętaj o jednym: my cię kochamy. - I ja was kocham.
- Wyszły gęsiego. Zostali sami z Alim Elijahem. - Nie jest lekko - powiedział Pastor.
- Co zamierzasz? - Nie mam wyboru. Muszę je gdzieś odesłać.
- Nie musisz - rzekł Elijah patrząc mu w oczy.
- Istnieje pewien sposób na utrzymanie komuny. - Jaki?
- Jeśli nie możesz wroga zwyciężyć, przejdź na jego stronę - powiedział Murzyn. - Ale musiałbyś całkowicie zmienić swój wygląd. Obetnij włosy, ogól się i wyrusz w drogę. Mógłbyś nauczać ewangelii jeżdżąc, jak ci kaznodzieje z radia i telewizji. Z tymi dziesięcioma dziewczynami jesteś w stanie zrobić przedstawienie jak ta lala - one w przezroczystych białych sukienkach, a ty, stojąc między nimi, wołasz „Odrzućcie grzech!”. - To wcale nie takie proste - stwierdził Pastor.
- Bez pieniędzy nic się nie da zrobić.
- Pożycz od Barbary, to znaczy Beverly. Ma ich pełną torbę u twojej matki.
- Nie mógłbym.
- Ali Elijah się roześmiał. - Czemu nie? Dalej byś głosił słowo boże ludziom, a przecież tego tylko pragniesz. Pastor milczał.
- Zrób to, Pastorku - namawiał go Elijah - a ja

zostanę twoim pierwszym nawróconym. Wrócę do swojego starego imienia i nazwiska, Joe Washington, i zapomnę raz na zawsze o Czarnych Muzułmanach. Człowieku, to tak, jakbym się od nowa narodził.

- Serio? - spytał z niedowierzaniem Pastor.

- Serio - odparł Murzyn. - Jestem przekonany, że Bóg nie chciałby, aby te drobne kłopoty powstrzymały cię od głoszenia ewangelii. Bo po coż zsyłałby ci te słodkie dziewczuszki do pomocy?

4

Punktualnie o czwartej przed namiot zajechał czarny mercedes. Otworzyły się prawe przednie drzwi, wyskoczył z nich facet z ochrony osobistej. Jake Randle odepchnął wyciągniętą rękę goryla i wysiadł z samochodu o własnych siłach. Opierając się z lekka na ebonitowej lasce ze złotą rączką, powoli skierował się do wejścia namiotu.

Joe z daleka dał umówiony znak dwu dziewczętom w białych sukniach, które pospieszyły ku starszemu panu, żeby odprowadzić go na jego miejsce. W wypełnionym po brzegi namiocie na chwilę zapadła cisza, a potem zewsząd dało się słyszeć szepty: „Jake Randle, Jake Randle”. Większość z tych ludzi po raz pierwszy miała okazję zobaczyć na własne oczy mężczyznę, którego nazwisko stanowiło chlubę ich miasta. Z zapartym tchem obserwowali, jak wolno przechodził ku zarezerwowanej dla niego ławce. Teraz zrozumieli, dlaczego nikomu nie pozwolono na niej usiąść. I jakoś wcale nie budziło to w nich

oburzenia, było wręcz zrozumiałe samo przez się. To było jego prawo. Gdy doszedł do środka ławki, usiadł, nie patrząc na nikogo. Dziewczęta wręczyły mu program, nie upominając się o składkę, on zaś położył go obok siebie bez oglądania. Facet z ochrony osobistej przysiadł z brzegu, daleko od niego.

Randle bez pośpiechu zdjął kapelusz, odsłaniając bujne, całkiem siwe włosy. Kapelusz położył obok. Podniósł głowę. Z gigantycznej fotografii patrzyła na niego twarz Pastora, słowa

JEZUS CIĘ POTRZEBUJE!

połyskiwały w świetle reflektorów. Oczy starszego pana przesunęły się w bok, ku ustawionym na podwyższeniach - po pięć z każdej strony pomostu - ogromnym drewnianym beczkom ze złotymi kurkami. Wtem z głośników rozległy się werble i fanfary i jego spojrzenie powędrowało za reflektorem ku bocznej ścianie.

Poła namiotu podwinęła się, ukazując stojącego samotnie w kręgu światła Pastora w lekko przezroczystej, narzuconej na garnitur, czarnej sutannie z białym kołnierzem. Jego ciemnoblond włosy były schludnie zaczesane do tyłu, na bladej twarzy malował się spokój. W rękę trzymał Biblię oprawioną w białą skórę z wytłoczonymi złotymi literami. Bicie w bębny nie ustawało. Postawszy kilka sekund, Pastor wszedł odmierzonymi krokami na pomost. Zatrzymał się przy pulpicie, rozłożył na nim Biblię. Bębny ucichły. Pastor rozejrzał się po zebranych. - W imię Pana Naszego Jezusa Chrystusa witajcie w kościele Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki - rozległ się jego głęboki, donośny głos. - Mówi do was wielebny C. Andrew Talbot.

W oczekiwaniu na kazanie zebrani zaczęli mościć

się na swych miejscach, czemu towarzyszył szelest ubrań i skrzyp ławek. Pastor czekał w milczeniu. A kiedy wreszcie zdecydował się mówić, z głośników zagrzemiał jego głos, stanowczy i mocny, choć z lekko nosowym akcentem, po którym domyślali się w nim swego ziomka. - Wszyscy jesteśmy grzesznikami!

Teraz już go słuchali. W absolutnej ciszy czekali na dalsze słowa.

- Patrzycie na mnie i myślicie: Jakże to tak? Ja jestem grzesznikiem? Czyż nie byłem rano na nabożeństwie? Czyż nie wysłuchałem modlitwy pastora?

Rzeczywiście, tak było. Ale samo zmówienie pacierza w niedzielę, to jeszcze za mało.

Wejrzyjcie głęboko w swe dusze. Pomyślcie o dniach, które przeszły i o tych, które nadejdą. Czy jesteście pewni, że nie na was skierowany będzie gniew Boga, gdy przemówi On z niebios, ganiąc ludzi za ich bezbożność i nieprawość?

Czy możecie powiedzieć, że nie odwróciliście się od Boga, za co Bóg wydał was na łup pożądliwości waszych, abyście zhańbili się nieprawością, cudzołóstwem, nikczemnością, chciwością, złościwością, zazdrością, morderstwami, podstępem i innymi wynalazkami szatana - sodomia, stosunkami oralnymi i homoseksualizmem?

Czy możecie powiedzieć, że nie zgrzeszyliście zachłannością, uganianiem się za rozrywkami i fizycznymi przyjemnościami? Dążeniem do osiągnięcia zysków, do zawładnięcia dobrami, które się wam nie należą? Lub choćby tylko pożądaniem tego, do czego nie macie prawa?

Przerwał na chwilę i omiótł ich spojrzeniem.

- I powiadam wam, że jeśli wśród was jest przynajmniej jeden człowiek, który wstanie i oświadczy,

że nie popełnił żadnego z tych grzechów, to wszyscy będziecie uratowani.

Zamilkł i czekał. Cisza była absolutna. Nikt się nie poruszył.

Wziął głęboki oddech. Teraz jego głos popłynął przez głośniki z jeszcze większym napięciem. - Tedy powiem wam słowa, które apostoł Paweł skierował do Rzymian.

„Nie wstydzę się ewangelii Chrystusowej, jest ona bowiem mocą Bożą ku zbawieniu każdego, kto wierzy.”

Niech będą one myślą przewodnią mego dzisiejszego posłania. Niepowodzenia Ameryki nie biorą się stąd, że Bóg odwrócił się od nas, lecz z tego, że my odwróciliśmy się od Boga. Stany Zjednoczone Ameryki powstały na Jego cześć i utrzymają swą wielkość i swój charakter pod warunkiem, że przywrócimy Jego imię naszemu państwu. Do tego właśnie zmierza Triumfujące Chrześcijaństwo Ameryki. Kościół nasz przywróci Stanom Zjednoczonym Ameryki błogosławieństwo Pana naszego i Zbawiciela Jezusa Chrystusa! Wśród zebranych rozszedł się pomruk niezadowolenia, który zaraz jednak ustąpił miejsca aprobachie. Gromkie „amen” odbiło się echem od dachu namiotu.

Pastor patrzył na nich uważnie. Jego twarz ani trochę nie zdradzała tego, co czuł, ale wiedział, że ma ich już w garści. Czekali na jego dalsze słowa niczym pilni uczniowie.

- Siedzi w was diabeł! - krzyknął. - Gdzie więc będziecie w dniu, w którym przyjdzie Odkupiciel po nasze dusze? A wiercie mi, że ten dzień się zbliża, zbliża się coraz bardziej. Czy pójdziecie z Jezusem do nieba i staniecie z Nim przed złotym tronem Boga? Czy szatan wtrąci was w wieczny ogień piekła i potępienia? Sami się przekonacie!

Dramatycznym gestem uniósł ręce i spojrzał ku górze. - O, Jezu litościwy - modlił się - dopomóż mi dotrzeć do tych zagubionych grzeszników. Dopomóż mi, błogosławiony Jezu! Tym razem odpowiedzieli jeszcze głośniej, nie zdając sobie sprawy z tego, że powtarzają za nagrany na taśmie i wzmocnionym przez głośniki chóralnym okrzykiem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, amen!”

Jeszcze przeszło trzydzieści minut krzyczał na nich, pomstował, wyklinał, straszył najpotworniejszymi obrazami grożącego im piekła, doprowadzając ich niemal do stanu wyrzeczenia się siebie. Naraz zamilkł

- jego twarz i włosy były mokre od potu, kołnierzyk rozpięty i wilgotny, sutanna zwiotczała. W milczeniu patrzył na nich z góry.

- Schodzę teraz między was, bowiem w niektórych z was dostrzegam więcej zła niż w innych. Schodzę między was w imię Jezusa Chrystusa i u Jego boku, by stoczyć walkę z diabłem w waszych duszach. W przerażeniu obserwowali, jak odwraca się i schodzi z pomostu. Zbliżywszy się powoli do pierwszej nawy, zaczął zaglądać każdemu w twarz. Wreszcie zatrzymał się, wycelował palcem w młodego chłopaka, który schował głowę w ramiona. - Ty! - krzyknął Pastor. - Podejdz tutaj! Młody człowiek pokręcił głową ze strachem. - Nie! Pastor pochylił się i siłą wyciągnął go na środek. Rzucił chłopaka na kolana. - Wyznaj swe grzechy! - zawołał.

Młody człowiek kręcił głową. Szamotał się na wszystkie strony, usiłując się wyrwać z uchwytu Pastora. Lecz Pastor trzymał go mocno.

- Przyznaj się! - wołał. - Przyznaj się! - I nagle uderzył go w twarz. Najpierw z jednej strony, potem

z drugiej. - Precz diable! - krzyknął. - Opuść tego grzesznika! Precz! Niech jego usta wypowiedzą słowa pokuty!

Chłopak zaczął się trząść, jakby dostał spazmów. Wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale z jego ust wydostawała się tylko plwocina.

- Rozwiąż mu język, diable! - krzyknął Pastor, wymierzając chłopakowi karzący policzek, od którego młody człowiek niemal stracił przytomność i upadł na ziemię. Ale Pastor nie tracił czasu. Pochylił się i postawił go z powrotem na nogi. Głowa młodego człowieka opadła na ramiona. - Wyznaj swe grzechy! - Pastor ponowił żądanie.

Młody człowiek osunął się na kolana, unosząc ręce w błagalnym geście. - Przyznaję się! Przyznaję! Słodki Jezu, przyznaję się! Przebacz mi, że grzeszyłem. Piłem whisky, paliłem trawę i sypiałem z kobietami. Brukałem moje ciało i duszę. Przebacz mi, o litościwy Boże! - Zakrył twarz rękoma, jego ciałem wstrząsnęło szlochanie.

Rozejrzawszy się triumfująco po zebranych, Pastor łagodnie podniósł chłopaka z ziemi i zaczął prowadzić w stronę pomostu. - Chodź mój, synu - rzekł niemal pieszczotliwie. - Niech cię obmyję w tej świętej wodzie przywiezionej aż z rzeki Jordan, co kosztowało sporo pieniędzy, a będziesz mógł ponownie wstąpić do wspólnoty bożej i zbliżyć się do swego Zbawcy z czystą duszą.

Zatrzymali się przed jedną z beczek. Pastor pchnął młodego człowieka na kolana. Na dany przez niego znak podeszła do nich jedna z ubranych na białą dziewcząt i otworzyła złoty kurek.

Trysnęła woda. Pastor zaczął obmywać nią twarz młodego człowieka. Następnie, zebrawszy trochę wody w zagłębienie dłoni, chlusnął nią na jego głowę.

- Tą świętą wodą z rzeki Jordan chrzczę cię w imię Ojca - chluśnięcie - i Syna - chluśnięcie
- i Ducha Świętego. Amen.

- Amen! - zawtórowali zebrani.

Pastor podniósł chłopaka na nogi. - A teraz, młodzieńcze, zgodnie ze słowami naszego błogosłowieńca Jezusa Chrystusa „Idź, a od tej chwili już nie grzesz”.

Dwie dziewczyny odprowadziły młodego mężczyznę do bocznego wyjścia, wypuściły go na zewnątrz, po czym wróciły do namiotu.

- Czy znajdują się tacy, którzy sami tu przyjdą, by obmyć ręce i ochrzcić się w świętej wodzie z rzeki Jordan, czy znowu mam wejść między was i siłą ciągnąć do zbawienia?

Na chwilę zapanowała cisza. - Ja pójdę, Bracie Talbot! - Poderwał się jakiś mężczyzna z końca namiotu. Po nim zdecydował się inny w drugim końcu, potem jeszcze jakaś kobieta, aż wreszcie chętnych do zbawienia było tylu, że w nawie zrobił się tłok.

Pastor wrócił na pomost. - Obmywacie się w tej samej świętej wodzie rzeki Jordan - zagrział jego głos w głośnikach - w której niegdyś obmywał się nasz Pan, Jezus Chrystus. Jak już wspomniałem, przywiezienie jej tutaj kosztowało dużo pieniędzy.

Używajcie jej oszczędnie, bo nie mamy zapasu. Gdybyście chcieli nam pomóc w sprowadzeniu tej świętej wody, aby i ci, którzy przyjdą po was, mogli dostąpić zbawienia, włóżcie, proszę, pięć dolarów lub, jeśli ktoś sobie życzy, więcej, do skarbonki obok beczki.

Nasze drogie asystentki podziękują wam w imię Jezusa Chrystusa.

Dodam jeszcze, że połowa pieniędzy, które tu dziś zbierzemy, zostanie przekazana na ręce doktora Johna

Lydona, duszpasterza Pierwszego Kościoła Baptistów miasta Randle, w stanie Teksas, bowiem dzięki jego uprzejmemu zaproszeniu mogliśmy do was przybyć i głosić ewangelię świętą. Zszedł z pomostu i, stanąwszy przy bocznym wyjściu, wymieniał uścisk dłoni z odchodzącymi od beczek. Trwało to ponad godzinę. W końcu w namiocie został tylko jeden człowiek, a był nim Jake Randle, który siedział na swej samotnej ławce z dłońmi opartymi na złotej rączce laski i obserwował Pastora.

Pastor popatrzył na niego w milczeniu.

Starszy pan wstał i skierował się do wyjścia.

- Nie podejdzie pan, żeby obmyć ręce w świętej wodzie, panie Randle? - zawołał za nim Pastor. - Czy może jest pan wolny od grzechu i uważa to za zbyteczne?

Starzec, opierając się ciężko na lasce, odwrócił się powoli do niego. - Pan jest oszustem, panie Talbot

- powiedział zgrzytliwym głosem. - W tych beczkach jest tyle wody z Jordanu, co w wyschniętym rowie tam, za namiotem.

- Tak pan sądzi, panie Randle? - spytał Pastor.

- Może więc pozwoli pan ze mną na chwilę? Starzec wahał się przez chwilę, po czym skinął przyzwalająco głową. Pastor poprowadził go do wyjścia. Za nimi wyszły dziewczęta, które, zebrawszy puszkę z datkami, niosły je do furgonetki, gdzie obliczano ich zawartość. Pastor, starszy pan oraz ochroniarz w milczeniu podeszli do rowu. Starszy pan szeroko otworzył oczy - najpierw ze zdumienia, potem z zachwytu. Zapelnionym do połowy rowem płynęła woda wartkim strumieniem w kierunku pól.

Jake Randle spojrział na Pastora. - Cud - rzekł ochryplym z wrażenia głosem.

Pastor pokręcił głową. - Nie, panie Randle. To nie cud. Dziś o pierwszej otwarto śluzę zapory na rzece Pecos. Zgodnie z przewidywaniami woda miała dopłynąć tu około czwartej.

Jake Randle milczał przez chwilę. Kiedy się wreszcie odezwał, w jego głosie słychać było szacunek. - Czy zechce pan zjeść dziś ze mną kolację, panie Talbot?

- Pastorze Talbot.

- Gdzie pan otrzymał święcenia? - spytał Randle.

- W Kolegium Jedności Chrześcijańskiej w Sioux Falls.

Randle spojrzał na niego przenikliwie. - To szkoła korespondencyj na.

- Być może - odparł Pastor. - W każdym razie jest to legalna uczelnia chrześcijańska.

Randle pokiwał głową. - Niech będzie. Pastorze Talbot, czy zechce pan zjeść ze mną kolację dziś o ósmej?

- Jeśli pan przyśle po mnie samochód, panie Randle - odparł Pastor - to z wielką przyjemnością.

5

Wyszedł spod prysznic umieszczonego w kabinie, sięgnął po wiszący obok ręcznik i zaczął się wycierać. - Nie sztachnąłbyś się? - dobiegł go głos Charlie z za zasłonki, oddzielającej łazienkę od reszty wnętrza samochodu.

- Przydałoby się - stwierdził. - Jestem wypluty. Uniosła zasłonę i weszła. Była wciąż w białym

stroju asystentki. Wziął z jej ręki skręta, włożył do ust. Podała mu zapaloną zapałkę. Zaciągnął się głęboko. - Dobrze. - Pokiwał głową z zadowoleniem.

- Nie istnieje nic lepszego - rzekła z uśmiechem.

- Odwróć się, Pastorku, to wy trę ci plecy. Odwracając się, pozwolił odebrać sobie ręcznik.

- Co się dzieje ? - spytał.

- Tarz z Beverly liczą pieniądze - odparła. - Reszta sprząta.

Podszedł do okienka i wyjrzał. Namiot był już spuszczone, robotnicy nawijali płachtę na maszty. Podnośnik ładował ławki na ciężarówkę. Zaciągnąwszy się głęboko, Pastor oddał skręta Charlie. - Wystarczy - powiedział. - Czuję się znacznie lepiej. Spojrzała zdziwiona.

- Co ty, już? Śmiejąc się, wziął od niej ręcznik. - Ładnie bym wyglądał, gdybym zjawił się naćpany na kolacji u tego starego Randla.

- Zupełnie nie rozumiem, czemu zawracasz sobie nim głowę - rzekła Charlie. - Słyszałam, że okropny z niego liczykrupa. - Słyszałaś, gdzie?

- Mówił mi facet, który zbiera w kościele na tacę. Randle nieczęsto przychodzi na nabożeństwo, ale jeśli już przyjdzie, to da im najwyżej srebrnego dolara.

Pastor roześmiał się. - To do niego podobne.

- Czemu więc tam idziesz?

- Z ciekawości. Poza tym zaprosił mnie. Musiał chyba mieć jakiś powód. - Owinął ręcznikiem biodra. - Chodźmy zobaczyć, jak nam poszło. Zaciągnęła się pospiesznie, ostrożnie zgasła skręta

i poszła za nim do tylnej części samochodu. Przy stoliku, na którym leżały ułożone w kupki banknoty, siedzieli Tarz i Beverly.

- Cztery tysiące sto szesnaście dolarów — oznajmiła Beverly.

Pastor cicho zagwizdał. - Nieźle.

- Ponad dwa razy więcej, niż do tej pory - stwierdziła.

- Hm, ciekawe - rzekł w zamyśleniu.

- Po prostu raz im dałeś to, czego chcieli - rozległ się z tyłu głos Joe'ego. - Słodkie gadanie ich nie bierze. Lubią natomiast, jak się ich straszy piekłem i potępieniem.

- Tak sądzisz? - Pastor odwrócił się do niego.

- Oczywiście - odparł Joe. - Nie widziałeś ich twarzy, a ja widziałem. Nie masz pojęcia, jacy byli zachwyceni, kiedy zacząłeś tłuc po pysku Tarza. Uwierzyli, że wyganiaasz z niego diabła. Wyglądało to tak prawdziwie. - Na dowód czego do tej pory bolą mnie zęby

- zauważył Tarz. - Cieszę się, że nie robisz tego za każdym razem.

- Przepraszam cię - powiedział Pastor szybko.

- Nie chciałem ci zrobić krzywdy.

Tarz roześmiał się. - Nie narzekam. Opłaciło się. Joe chrząknął i spojrzał porozumiewawczo na Beverly. - Ty mu powiesz, czy ja mam to zrobić?

- Ja powiem - odparła Beverly. - Wiesz, Pastorku, doszliśmy do wniosku, że nie powinieneś dać kościołowi więcej niż czterysta dolarów. Pastor pokręcił głową. -

Obiecałem połowę. - Nie zorientują się - stwierdził Joe. - Z tego, co Charlie się dowiedziała, to na niedzielnym nabożeństwie nie udaje im się zebrać nawet dwustu dolarów. A od nas dostaną dwa razy tyle. Ucieszą się, jakby kto narobił im w kieszeń.

- Nie byłoby to uczciwie.

- A czy uczciwie jest nie płacić robotnikom za

pracę? - obruszył się Joe. - Na mój gust ludziom z miasta jesteśmy winni więcej niż kościołowi. Kościół nie zrobił nic, żeby nam pomóc. Za wszystko płacimy sami: za plac, benzynę, elektryczność. Czterysta dolców to i tak za dużo. Pastor milczał.

- Gdybyś się zgodził - rzekła Beverly - to moglibyśmy zapłacić robotnikom za ten tydzień, za poprzedni i jeszcze trochę by nam zostało.

- W ten sposób wszyscy byliby zadowoleni - dodał Joe - Nie zapominaj, że jeszcze w tym tygodniu czekają nas wydatki. Następne nabożeństwo dopiero w czwartek. Przez cztery dni nie będzie żadnych wpływów. Pastor powiódł po nich wzrokiem. - Muszę to przemyśleć - powiedział. - Wyjedziemy nie wcześniej niż jutro, więc powiem wam rano. Wrócił do przedniej części samochodu. Zaciągnął zasłonkę, która oddzielała ją od tyłu. Rozłożył przymocowane do ściany łóżko, wyciągnął się na nim wygodnie, podkładając ręce pod głowę. Pieniądze, pomyślał patrząc w sufit. Dlaczego wszystko zawsze sprowadza się do pieniędzy?

Zasłonka zaszeleściła. To weszła Charlie. Przysiadła w nogach łóżka. - Jesteś zdenerwowany, to widać - powiedziała. - Może się sztachniesz?

Pokręcił głową. - Lepiej nie.

- Przecież to nic złego - obruszyła się. Nie odpowiedział.

- To niby nie moja sprawa - ciągnęła - ale miej na uwadze fakt, że dziewczęta narzekają. Nie są szczęśliwe. Nie chodzi nawet o pieniądze, lecz o to, że kiedyś żyliśmy weselej. A teraz ciągle się przenosimy, nigdzie nie zabawimy na tyle długo, żeby choć można było pójść do kina. Nie palimy, nie pijemy, nie balujemy, jak kiedyś, bo gdyby ktoś nas przyłapał,

bylibyśmy skończeni. A już najbardziej brakuje nam ciebie. Noce spędzasz zawsze samotnie w tym samochodzie, nigdy nie prosisz, żeby któraś z nas dotrzymała ci towarzystwa. - Nie wolno głosić jednego, a robić drugiego

- stwierdził Pastor.

- Wcale cię do tego nie namawiam - powiedziała szybko. - Ale przecież nikt nie jest święty. Co robisz, kiedy chce ci się kobiety? Onanizujesz się?

Patrzył na nią w milczeniu.

- Przepraszam, Pastorku - zreflektowała się. - Nie zamierzałam tego mówić.

- W porządku - odparł.

Po policzkach zaczęły cieknać jej łzy. - Czemu wygryźli nas z naszej komuny, Pastorku?

Tak nam było tam dobrze. Wziął ją za rękę. - Nie wiem, Charlie. Myślę, że Bóg miał jakieś powody, żeby tak to się potoczyło. Może chciał nas poddać próbie.

- To niesprawiedliwe, Pastorku. To po prostu niesprawiedliwe. - Nieoczekiwanie nachyliła się, pocałowała go w odsłonięte genitalia i prędko wstała. - Nie zapominaj, Pastorku, że cię kochamy - rzekła, będąc już przy zasłonce, po czym zniknęła, zanim zdążył odpowiedzieć.

Leżał jeszcze przez chwilę, potem wolno usiadł. Dochodziła siódma, najwyższy czas się ubierać. Auto starszego pana mogło zjawić się lada moment.

*

Zaledwie pół godziny zajęło dużej czarnej limuzynie pokonanie czterdziestu mil od rogatek miasta do nadgryzionego zębem czasu łuku triumfalnego.

RANCZO RANDLE'A

głosił napis wykonany rozpalonym żelazem do zna-

kowania bydła. Stąd do ogromnej wiejskiej posiadłości zostały jeszcze tylko dwie mile. Przez szybę Pastor dojrzał prywatne lądowisko z hangarem. Na polu stały trzy małe odrzutowce, dwa helikoptery oraz dwusilnikowa cessna. Z niewielkiego budynku wyszedł, by spojrzeć na przejeżdżający samochód, umundurowany i uzbrojony strażnik w zsuniętym na twarz kowbojskim kapeluszu. Przejechali jeszcze pół mili i znaleźli się przed bramą w białym podwójnym murze, otaczającym dom. Z budki wyszedł drugi strażnik. Otworzył im bramę. Za murem płaskie pola ustąpiły miejsca starannie zaprojektowanemu ogrodowi w stylu pustynnym: z krzewami, kaktusami, drzewami i kwiatami oraz sztucznym jeziorem, rozciągającym się aż do długiej zielonej murawy przed domem. Samochód powoli podjechał do schodów przed głównym wejściem. Pastor spojrzął przez szklaną przegródkę, dzielącą go od kierowcy i ochroniarza. Siedzieli nieruchomo, żaden się nie odwrócił, żeby cokolwiek powiedzieć, jak zresztą podczas całej podróży. Po schodach zszedł lokaj, by otworzyć mu drzwi.

Był to wysoki mężczyzna ubrany w spodnie w prążki, frak, koszulę z nakrochmalonym wysokim kołnierzykiem i czarną muszką. Otworzywszy drzwi auta, skłonił się lekko. - Witamy na ranczu pana Randle'a, pastorze Talbot - powiedział z lekkim brytyjskim akcentem.

Pastor wysiadł z samochodu. - Dziękuję.

- Tędy, pastorze - rzekł lokaj, przepuszczając go przodem.

Weszli po schodach do drzwi, które otworzył inny lokaj, zamykając je, gdy przeszli. Pastor zamrugał oczami. Znajdowali się w gigantycznym hallu. Rzęsiście oświetlony sufit i pokryte boazerią, na wiejską

modłę, ściany straszliwie „gryzły się” z mozaiką z czarnych i białych płyt marmurowych na podłodze oraz z połyskującym kryształowym kandelabrem, który pasowałby do jakiegoś europejskiego pałacu, ale nie do teksaskiej wiejskiej posiadłości.

- Pan Randle i goście są w bibliotece - rzekł lokaj. Pastor skinął głową. Jak to dobrze, że włożył

ciemny garnitur, białą koszulę, wąski czarny krawat i wyglansowane do połysku czarne buty kowbojskie. Przystanąwszy na moment przed lustrem, popatrzył z zadowoleniem na swoje odbicie. Nawet wpięty w klapę marynarki znaczek, w kształcie amerykańskiej flagi z krzyżem, nie raził. W stosowny sposób łączył patriotyzm z religijnością. Lokaj otworzył przed nim masywne drewniane drzwi.

Oczom Pastora ukazał się wielki pokój, którego trzy ściany wypełniały dębowe regały z rzędami książek oprawionych w skórę, czwartą zaś stanowiły ogromne, sięgające od sufitu do podłogi rozsuwane okna. Meble były ciężkie, pretensjonalne - kanapa i krzesła pokryte czarną skórą oraz meksykańskie drewniane stoliki. W głębi stało ogromne biurko z trzema telefonami i masywny fotel, róg zajmował teleks, którego cichy stukot tworzył tło rozmów. W rozłożystym fotelu siedział Jake Randle, mając z lewej strony trzech stojących mężczyzn. Dwie kobiety zajmowały krzesła naprzeciwko nich. Między nimi a Randlem znajdował się kominek, w którym płonęły drewniane kłocę, rozpraszając nocny chłód.

Wejście Pastora przerwało rozmowy. Oczy wszystkich zwróciły się ku niemu.

Starszy pan, nie wstając z fotela, wyciągnął do niego rękę. - Pastorze Talbot.

- Panie Randle - przywitał się Pastor. Uścisk starszego pana wyrażał siłę i zdecydowanie.

- To jest ten młody człowiek, o którym wam mówiłem - zwrócił się Randle do swych gości.
- Pastorze Talbot, chciałbym, żeby pan poznał mych przyjaciół i współpracowników, którzy specjalnie po to przylecieli z Dallas i Houston.
- Wielki to dla mnie zaszczyt poznać pana przyjaciół, panie Randle - odparł Pastor, starając się nie wyglądać na zdziwionego.

Starszy pan skinął głową. - Ten pierwszy, wysoki, to Dick Craig, prezes stowarzyszenia „Amerykanie w Poszukiwaniu Lepszej Drogi”. Obok niego stoi John Everett, prezes Biura Badania Opinii Publicznej „Everett i Singer”, ostatni zaś to Marcus Lincoln, prezes „Randle - Radio i Telewizja”. Kierujemy pięcioma własnymi stacjami telewizyjnymi w głównych miastach oraz stu trzydziestoma stacjami radiowymi na terenie całego kraju, a jeszcze przed końcem tego roku będziemy mieć na orbicie własnego satelitę.

Wymieniając z każdym po kolei uścisk dłoni, Pastor dla lepszego zapamiętania powtórzył cicho jego nazwisko. Zwrócił się do starszego pana z pytającym wyrazem twarzy.

- A teraz, nie mniej ważne, dwie panie. Po lewej stronie siedzi pani Helen Lacey, przewodnicząca Chrześcijańskiej Rady Kobiet.

Pastor skłonił się nad dłonią srebrnowłosej kobiety w średnim wieku. - Miło mi panią poznać, pani Lacey.

Jej wzrok był taksujący, głos chłodny: - Mnie również, pastorze Talbot.

- Po prawej stronie siedzi panna Jane Dawson, wiceprezes towarzystwa „Randle - Usługi Komputerowe”. Proszę nie dać się zwieść jej pięknej twarzy; panna Dawson jest jednym z matematycznych geniuszy naszych czasów.

Pastor z uśmiechem przyjął podaną dłoń. - Jestem pod głębokim wrażeniem, panno Dawson. Ilekroć próbuję dodać do siebie kilka liczb, zawsze otrzymuję różne wyniki. Młoda dama roześmiała się. - Niewątpliwie przydałby się panu komputer osobisty, pastorze Talbot. Pokiwał głową z uśmiechem. - Nie oczekiwałem takiego dystyngowanego towarzystwa - rzekł zwracając się do Randle'a.

- Wpadłem na ten pomysł dosłownie w ostatniej chwili - powiedział Randle. - Zechciałby się pan czegoś napić przed kolacją? Mamy świetnego bur-bona.

Pastor pokręcił głową. - Nie, dziękuję. Randle spojrzał na niego przenikliwie. - Nie pije pan alkoholu?

- Nie, po prostu alkohol mi nie służy. Napiłbym się kieliszek czerwonego wina, jeśli pan łaskaw.

- Bordeaux czy burgunda?

Pastor roześmiał się. - Obawiam się, że aż tak wysoko nie sięgam. „Galio” lub „Christian Brothers”, oto co pijam.

Starszy pan zachichotał. - Bordeaux. To panu będzie smakować. Nie ma nic lepszego od dobrego bordeaux. Poza tym pasuje do tego, co będziemy jeść. Dziś na kolację mamy befsztyki po teksasku z mojej własnej hodowli.

Kolacja miała spokojny przebieg. Rozmowy, inicjowane przez starszego pana, dotyczyły głównie działalności Pastora. Zanim kolacja dobiegła końca, Randle wiedział już, że trupa Pastora składa się z dwudziestu jeden osób, że organizują przeciętnie trzy nabożeństwa tygodniowo i że ledwo wiążą koniec z końcem. Po kolacji wrócili do biblioteki na kawę. Mężczyznom podano koniak i cygara. Pastor po-

dziękował. On i panie palili papierosy, ponadto starsza z pań piła brandy.

- Pan się pewnie zastanawia, o co tu chodzi?

- spytał Randle ze swego fotela przed kominkiem.

- Przyznaję, że jestem bardzo ciekaw - odparł Pastor.

- Po południu kazałem przeprowadzić mały wywiad na pana temat. - Ze stojaka na gazety obok fotela wyjął tekturową teczkę. Otworzył ją, wyjął z niej kartkę, którą podał Pastorowi. - Oto pańska biografia. Niech pan ją przejrzy i powie, czy odpowiada prawdzie. Pastor przebiegł kartkę oczyma. Bez względu na to, w jaki sposób Randle doszedł do tych informacji, zrobił to gruntownie. Wiedział o nim wszystko. O jego rodzicach, szkołach, służbie wojskowej i zwolnieniu, o Wspólnocie Bożej i wędrownym głoszeniu ewangelii. Podano w nich nawet wartość nieruchomości w Los Altos, która wciąż jeszcze należała do Pastora, oraz sumę zainwestowaną w obecną działalność. Oddał kartkę starszemu panu. - Zgadza się.

Jake Randle spojrzał na tamtych. - Niewykluczone, że mam człowieka, którego szukaliśmy - oznajmił.

- Jest młody, ma trzydzieści cztery lata. Weteran wojny w Wietnamie, na której został ranny. Zwolniony za załugi, odznaczony Purpurowym Sercem, prawie cztery lata w służbie. Od momentu wyjścia z wojska poświęcił się sprowadzaniu młodych ludzi na drogę wiary. Najpierw założył stacjonarną komunę religijną, a kiedy stwierdził, że nie ma to dużego zasięgu, zdecydował się na objazdowe głoszenie ewangelii, by dotrzeć do możliwie największej liczby osób. Przystojny, schludnie ubrany, rodowity Amerykanin, kawaler. Podoba się kobietom, a mężczyźni przyciąga silną osobowością. Sądzę, że moglibyśmy

przeprowadzić teraz rozmowę z tym młodym człowiekiem i dowiedzieć się, czy byłby w stanie sprostać zadaniu i czy rzeczywiście podziela nasze przekonania.

Pastor spojrzał na niego zdumiony. - Chwileczkę, panie Randle. Nie rozumiem, o jakim zadaniu pan mówi i kogo pan poszukuje.

- Poszukujemy przywódcy religijnego, który byłby w stanie skupić wokół siebie całą Amerykę - powiedział Randle.

Pastor pokręcił głową. - I to ja miałbym nim być? Są kaznodzieje bardziej znani ode mnie, mający wielu zwolenników i wpływ na ludzi. Billy Graham, Jerry Falwell, Oral Roberts, Rex Humbard czy nawet ten młody James Robison. Ze mną musielibyście zaczynać od zera. Mnie nikt właściwie nie zna.

Randle spojrzał mu w oczy. - I to jest pana przewaga. Możemy pana ukształtować tak, jak nam się spodoba. Mamy pieniądze i narzędzia. Wszystko zależy tylko od tego, czy się dogadamy. Pastor milczał.

- Ci, których pan tu wymienił, to dobrzy ludzie - powiedział Randle. - Ale oni mają własne układy i dochody, oceniane na dwadzieścia, trzydzieści milionów rocznie. Po cóż mieliby się z kimś wiązać? Zeby przestać panować nad sytuacją? A poza tym my uważamy, że publiczność amerykańska dojrzała do czegoś nowego. To trochę tak jak w show biznesie, gdzie co roku telewizja wylansowuje nową gwiazdę! Sądzymy, że religii potrzebne jest coś podobnego. Pastor nadal milczał.

- Pan oczywiście rozumie, że nie decydują tu tylko pana kwalifikacje, pastorze Talbot - wtrącił prędko Marcus Lincoln, prezes towarzystwa „Randle - Radio i Telewizja”. - Musimy nagrać pana na wideo i spytać

o zdanie specjalistów. Nawet najlepszym się zdarza, że przepadają w takiej próbie.

- To prawda - przyznał Everett, prezes biura badania opinii publicznej. - Musielibyśmy sprawdzić, jak panu idzie z gotowymi tekstami, mówionymi z pamięci, jak pan daje sobie radę z dziennikarzami, czy jest pan dość błyskotliwy.

Pastor powiódł po nich oczyma. - Czuję się naprawdę wzruszony uwagą panów - powiedział. - To wszystko, o czym panowie tu mówią, jest fascynujące. Ale nikt do tej pory nie wspomniał o tym, co dla mnie najważniejsze.

- A co jest dla pana najważniejsze, pastorze Talbot? - spytał Randle.

- Bóg - odparł Pastor. - Jak Bóg ma się do tego wszystkiego, panie Randle?

6

Starszy pan przeszył go wzrokiem. Jego głos zrobił się zgrzytliwie szyderczy. - Chcesz wiedzieć, młodzieńcze, jak Bóg się ma do tego wszystkiego? Powiem ci. - Dźwignął się z fotela i oparł ciężko na złotej rączce swej laski. Gestem ręki wskazał za okno. - Wiele lat temu, kiedy byłem chłopcem, co rano wędrowałem tą drogą do odległej o cztery mile szkoły. I wiesz, od czego zaczynaliśmy po przekroczeniu jej progu? Od złożenia ślubowania.

Nie przestając podpierać się laską, prawą rękę położył na sercu. - Ślubuję wierność Stanom Zjednoczonym Ameryki - zaczął mocnym głosem - ideałom

republikańskim oraz fladze, która jest ich symbolem. Jeden naród, wierny Bogu, niepodzielny, wolny i sprawiedliwy dla wszystkich.

Przez chwilę milczał, potem usiadł z powrotem w fotelu. - Jeden naród wierny Bogu. Wiesz pewnie, że socjaliści i liberałowie chcą znieść tę przysięgę w naszych szkołach? Czy więc można się dziwić, że przegraliśmy w Wietnamie? Że młodzież zażywa narkotyki, pije, uprawia seks, nie szanuje rodziców ani swego kraju?

Nie. Zapatrzeni są we wschodnich intelektualistów i reformatorów od czasu, kiedy Franklin Roosevelt wprowadził program stałego rozdawania bogactwa i zdobył naszego wspaniałego narodu leniwym skurwysynom, którzy wolą opiekę społeczną od uczciwej pracy. A także całemu światu, w tym Rosji Sowieckiej, której jedyną ambicją jest zajęcie i zniszczenie Stanów Zjednoczonych, co im się udało już z połową globu.

Kiedy wybrano Roosevelta, miałem trzydzieści lat. Do dziś pamiętam, co powiedział mój ojciec, gdy dowiedział się o tym z radia. Pamiętaj, synu, rzekł, to początek końca. On najpierw zamrozi nasze pieniądze i zabierze je nam poprzez podatki. Potem wciągnie nas w wojnę, jak Wilson, by przywrócić światu demokrację. Kiedy wojna się skończy, rozda wszystko innym.

Tak właśnie się stało i tak dzieje się dalej. Najwyższy czas, żeby słusznie myślący chrześcijanie z powrotem wzięli ten kraj w swoje ręce. My też mamy prawo mówić, czy podoba się nam, co tu się dzieje. Powinniśmy przywrócić Ameryce jej dawną bogobojność i nie pozwalać czerwonym, żydom i czarnuchom nas okradać. Ja, dajmy na to, nie chcę patrzeć, jak to, co zdobyłem ciężką pracą, przechodzi w ręce takich ludzi.

Przerwał nieco zdyszany. Powiódł spojrzeniem po pozostałych. Potakując, mruzcili słowa aprobaty. Wrócił do Pastora. - A więc, młody człowieku, czy wyraziłem się wystarczająco jasno? - Bardzo jasno - przyznał Pastor.

- I co o tym myślisz?

Pastor zastanawiał się przez chwilę. - Co to były za wina, które pan wymienił, kiedy tu wszedłem? - Bordeaux i burgund.

- Widzi, pan - zaczął Pastor powoli - odnoszę wrażenie, że jest pan kimś, kto niesie pod każdą pachą butelkę wina. W tym przypadku importowanego wina. Jak już powiedziałem - kontynuował - nie jestem mocny w liczeniu, ale idę o zakład, że jest pan obecnie wart sto, może nawet pięćset razy więcej, niż wtedy, kiedy tatuś pana wypowiedział cytowane tu słowa. Trudno jest mi zrozumieć, czemu pan tak płacze. Zadałem panu proste pytanie. Jak Bóg ma się do tego wszystkiego? Pan mi nie odpowiedział.

W pokoju zapadła cisza. Oczy obecnych skierowały się na starszego pana, on zaś patrzył na Pastora. - Czy chce pan powiedzieć, że plotę bzdury, pastorze Talbot? - spytał podstępnie słodkim głosem. Głos Pastora był równie słodki. - Pan to powiedział, panie Randle. Starszy pan wybuchnął śmiechem. - Muszę przyznać, że nie brak panu tupetu, młodzieńcze. Pastor milczał.

Randle odwrócił się do swych gości. - Miałem rację - zakomunikował. - To człowiek, jakiego nam trzeba. Nie dał się zbić z pantafelku. Trzyma się swojej wiary. Dla Boga i kraju to najważniejsze. - Spojrzał na Pastora. - Czy dobrze to ująłem, pastorze?

- Tak, proszę pana. Dobrze pan to ujął.

Dochodziła pierwsza w nocy, kiedy limuzyna

odwiozła Pastora. Wysiadając, dostrzegł, że do ciężarówki wędrują ostatnie kawałki namiotu. Podziękował kierowcy i ruszył do swego samochodu.

Od grupy mężczyzn krzątających się wokół ciężarówki oderwał się Joe. - Jak poszło? - spytał dogoniwszy go.

- Świetnie - odparł Pastor.

- Beverly i Tarz czekają na ciebie, żebyś zdecydował, ile damy kościołowi baptystów.

Pastor pokiwał głową. - Wejdz ze mną - powiedział, otwierając drzwi samochodu.

Joe wszedł za nim i razem przeszli na tył pojazdu. Przy stole siedzieli Tarz i Beverly. Przed nimi stały filiżanki z herbatą. - Wyglądasz na zmęczonego - zauważyła Beverly, unosząc głowę. - Chcesz, żebym ci zaparzyła filiżankę herbaty żeńszeniowej?

Pastor pokręcił głową. - Nie. Nic mi nie jest.

- A tobie? - Beverly spytała Joe'ego.

- Wolę piwo - rzekł Joe. Wyjął z małej lodówki puszkę, otworzył ją, podniósł do ust. - Ależ tam pracują, aż się kurzy - powiedział moment później, odstawiając puszkę. - Duża ciężarówka będzie gotowa na dziewiątą.

- Nigdzie nie jedziemy - odrzekł Pastor. - Zostajemy tutaj. Niech rano zaczną rozstawiać namiot. - Ale wysłaliśmy już tysiąc dolarów kaucji w kolejne dwa miejsca - zaproponowała Beverly. - Stracimy te pieniądze, jeśli nie przyjedziemy.

Nie odpowiedział.

- No to nie mamy wyboru - stwierdziła. - W żaden sposób nie jesteśmy w stanie dać baptystom połowy utargu. I nie zapłacimy robotnikom za bieżący tydzień.

- Daj baptystom tyle, ile im obiecaliśmy - rzekł

Pastor. - Do tej pory nie oszukiwaliśmy, to i teraz nie będziemy.

- Bądź praktyczny, Pastorku! - nie wytrzymała Beverly. - Zrozum nareszcie, że masz oddawać cesarzowi, co cesarskie, a Bogu, co boskie. Musimy przecież z czegoś żyć!

Pastor sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął z niej kopertę, rzucił ją na stół. - Macie tu dziesięć tysięcy dolarów - powiedział. - To powinno wystarczyć.

Zaniemówili. Pierwszy odzyskał głos Joe. - Co się dzieje?

- Pan Randle chce, żebyśmy odprawili tu jeszcze jedno nabożeństwo.

Joe wziął do ręki kopertę i wyjął z niej pieniądze. - Tak mu na nim zależy, że płaci aż dziesięć tysięcy dolarów?

- Będą je transmitować przez telewizję - wyjaśnił Pastor.

Joe wytrzeszczył oczy. - Przez telewizję? Pastor pokiwał głową.

Joe uśmiechnął się od ucha do ucha. Rzucił radośnie pieniądze do góry i objął Pastora w płucho. Pieniądze spadały wokół nich jak jesienne liście z drzew. - To przecież cud! A co, nie mówiłem? Jak tylko ujrzałem tego człowieka, wiedziałem, że zdarzy się cud!

Pastor roześmiał się. - Też mi cud. Ten facet to samolubny skurwysyn, który myśli, że się nami posłuży.

- A kogo obchodzi, co on myśli? - Joe machnął lekceważąco ręką. - Póki ma forszę, żeby nam płacić.

- Mnie obchodzi - odparł Pastor. - Lecz niezbadane są wyroki boskie. Bóg chce, żebym głosił ewangelię i wcale niewykluczone, że podsunął mi tego Randle'a z jego telewizją jako pewien sposób.

- Sposób czy nie - rzekł Joe, unosząc oczy ku niebu - dzięki ci zań, Panie.

Pastor uśmiechnął się. - Nie myśl, że będzie to łatwe. To nie będzie takie normalne nabożeństwo. Jutro od rana zjawi się tu masa ludzi, którzy nam pomogą je zorganizować. Planują zrobić z tego całą audycję. Występowanie w telewizji jest o wiele bardziej skomplikowane niż zwracanie się do ludzi w namiocie.

Joe opadł na krzesło. - A ja się tym nie martwię - stwierdził. - Zaraz napiszę do mojej rodziny, że zobaczą nas w telewizji. Będziemy prawdziwymi gwiazdami.

- Nie my - zaprzeczył cicho Pastor. - Nie zapominajmy, kto ma być gwiazdą naszego pokazu.

- Wiem, wiem - wycofał się prędko Joe. - Ty będziesz główną gwiazdą.

- Nie ja - odparł Pastor, patrząc mu w oczy. - Bóg.

7

Wyszedł z mikrobusu, mrużąc oczy w jaskrawym słońcu. Joe podbiegł do niego. - Szukają cię w namiocie.

- Właśnie tam idę - odparł Pastor. Spojrzał w kierunku drogi. Na pole ostrożnie wjeżdżała tyłem gigantyczna ciężarówka z przyczepą. - Jeszcze jedna? - zdziwił się.

Joe pokiwał głową. Na polu stały już dwie, nieco tylko mniejsze. - Nie chcą ryzykować. Zakładają taką instalację, że wystarczyłoby na oświetlenie całego miasta. Forsa, jaką dał nam stary Randle, to nic w porównaniu z tym, ile będzie kosztowało to całe wyposażenie.

- Raczej tak - przyznał Pastor. - A co tam się dzieje?

- Zmieniają suknie dziewcząt z białych na blado-niebieskie - poinformował go Joe. - Mówią, że pięćdziesiąt procent ludzi na prowincji ma jeszcze telewizory czarno-białe, a biały kolor wygląda w nich jak brudnoszary.

Doszli do namiotu. Pastor uniósł połę i wszedł do środka. Całe wnętrze zostało zmienione. Drewniane ławki zastąpiono krzesłami wyściełanymi złotym pluszem. Podłogę przykryto czerwoną wykładziną, ustawiono baterie reflektorów, takich jak na stadionie. Dodatkowo na stelażu nad pomostem zainstalowano oświetlenie punktowe. Olbrzymią fotografię Pastora ze słowami

JEZUS CIĘ POTRZEBUJE! zastąpiono srebrzystobiałym ekranem, na którym zamierzano w czasie nabożeństwa wyświetlać rozmaite obrazy.

Ostrożnie stąpając między kablami rozrzuconymi po podłodze, Pastor zbliżył się do grupy mężczyzn, skupionych wokół Marcusa Lincolna. Przywitał się z reżyserem, Jimem Wodenem, jego głównym asystentem od scenariusza, Mike'em Baileyem oraz kamerzystą, Perrym Smithem.

- Co pan o tym sądzi, Pastorze? - spytał z uśmiechem Lincoln, zataczając ręką koło.

- Nie da się porównać z tym, co było - odparł Pastor uprzejmie. - Nie przyszłoby mi do głowy, że sfilmowanie nabożeństwa wymaga tylu przygotowań.

- To coś więcej niż tylko sfilmowanie nabożeństwa, Pastorze - odparł reżyser. - Widzi pan, musimy dać widzom coś, co przyciągnie ich uwagę. Wchodzimy na wizję w całym kraju, a więc o różnych porach. Nie mamy pojęcia, z czym przyjdzie nam

konkurować. Jeśli nie utrzymamy widzów w napięciu przez cały czas, to oni po prostu zmieniają kanał i wrócą do oglądania „Kocham Lucy”.

- Widzowie są inni od ludzi przychodzących na nabożeństwo. Ci ludzie tutaj przychodzą, bo ich to interesuje, natomiast telewidz nie musi nigdzie chodzić. Nie rusza się z domu, a jeśli zechce dokądś pójść, po prostu przełącza telewizor na inny kanał

- dodał Lincoln.

- Czy przygotował pan już scenariusz, to jest, chciałem powiedzieć, kazanie, Pastorze? - spytał Bailey. - Nie to, że bym pana popędzał. Rzecz w tym, że gdybyśmy je mieli, moglibyśmy zaprogramować ujęcia i ustawienie kamer.

- Beverly właśnie przepisuje je na maszynie, panie Bailey - odparł Pastor. - Będzie gotowe za godzinę. Proszę jednak pamiętać, że nie jest to gotowe przemówienie, a tylko luźne notatki, że bym nie zapomniał, o czym chcę mówić.

- To nam wystarczy, Pastorze - rzekł Bailey.

- Rozmawiając tu sobie, wymyśliliśmy parę rzeczy, które mogłyby uświetnić nasz program

- powiedział Lincoln. - Chętnie skorzystamy z pomocy panów - odparł Pastor. - Z przyjemnością wysłucham tych propozycji.

- A więc na początku programu można by pokazać z lotu ptaka wjazd samochodów na parking i wchodzenie ludzi do namiotu - zaproponował Woden.

- Helikopter już czeka na pana ewentualną zgodę.

- Myślę, że to niezły pomysł - zgodził się Pastor.

- Doszliśmy też do wniosku, że te beczki z wodą przed pomostem wyglądają nieco sztucznie. Poza tym wprowadzają pewien chaos w obrazie.

- Ale one są ważne - zaproponował Pastor. - Skłaniam ludzi, by do nich podeszli i przyjęli chrzest. - Tak, wiem, pastorze - odparł Woden z szacunkiem. - Ale tłum tak się kłębi przy tych beczkach, że nikt nie widzi, co się tam naprawdę dzieje. Na małym ekranie to będzie wyglądało jak mrowisko. Pastor zastanowił się. - Nie wiem, jak by to zmienić.

- Za namiotem ma pan rów wypełniony po brzegi

- powiedział Woden. - Mógłby symbolizować rzekę Jordan.

- Tak, ale jak skłonić tyle osób do zanurzenia się w tym rowie? Będą mieli na sobie najlepsze niedzielne ubrania i na pewno nie zechcą w nich pływać.

- Istnieje sposób, by to obejść - stwierdził Woden.

- Oni nie są nam do tego potrzebni. Zróbmy tak. Pan na początku poprowadzi do tej wody swe dziewczęta i je ochrzci, a ja tak to urządzę, że w tłumie będzie ze stu zawodowych aktorów i aktorek, którzy sami zaczną wchodzić do wody. Będzie to wyglądało spontanicznie i naturalnie. Zdziwi pana to, co stanie się potem. My tylko zaczniemy, a będzie pan miał w tym rowie tylu ludzi, że przekroczy to pana najśmielsze oczekiwania.

Pastor patrzył na niego w milczeniu. - To nieuczciwie, panie Woden. Ci ludzie nie będą tego robili z myślą o zbawieniu. - A skąd pan wie, pastorze? - spytał Woden.

- Powiemy im, co mają robić, ale zostawimy im wolną wolę. Jeśli się zdecydują wejść do tej wody, to być może właśnie dla uzyskania zbawienia.

Pastor milczał.

- Ten program kosztuje pana Randle'a mnóstwo pieniędzy - rzekł Lincoln. - On na pana całkowicie polega. Ale bez względu na to, jak dobry się pan okaże, jak przekonywający, to nie wystarczy. Jeśli pan chce, żeby ludzie oglądali pana co tydzień, musi

pan pojsć na takie szokujące zakończenie. Każdy program telewizyjny go potrzebuje, bo to właśnie powoduje, że ludzie znowu włączają telewizor. A to będzie bardzo szokujące zakończenie.

- Sam nie wiem, panie Lincoln - wahał się Pastor - Nie chciałbym robić niczego, co zwulgaryzowałoby słowo boże.

- Nie zwulgaryzuje, Pastorze. Niech mi pan wierzy. Co najwyżej zostanie odczytane jako powszechny akt wiary - powiedział Lincoln prędko.

Pastor ciągle się wahał.

- Mam pomysł - rzekł Woden. - Sprowadzimy tu jutro rano pięćdziesiąt osób i zrobimy próbę. Potem obejrzymy to sobie na wideo i jeśli nasz pomysł okaże się niewypałem, wycofamy się.

Pastor patrzył na niego przez chwilę, po czym skinął głową. - Zgadzam się. Ale jeśli mi się nie spodoba, to panowie zrezygnują.

- Pastor jest tu szefem - odparł Woden. Pastor spojrział na Lincolna. - Coś jeszcze? - spytał

- Na razie to wszystko - odparł Lincoln. - Gdybyśmy jeszcze na coś wpadli, zawiadomię pana. - Wobec tego idę do mojego mikrobusu - rzekł Pastor.

- Niech Beverly podrzuci mi kazanie, jak tylko skończy je przepisywać, Pastorze – przypomniał - Dopilnuję tego - odparł Pastor. Odwrócił się i wyszedł z namiotu.

Natychmiast znalazł się za nim Joe. - Jak ci się podoba ich pomysł, Pastorku?

- Oni są szaleni - odparł Pastor.

- A według mnie, to nie jest takie złe - rzekł Joe - W końcu bicie Tarza też było udawaniem.

Pastor przystanął i odwrócił się do niego. - Nie

zrozumiałeś, Joe. Nie powiedziałem, że mi się to nie podoba. Myślę, że to prawdziwy gwóźdź programu.

Tylko czy to wyjdzie? Tak czy inaczej, oni są szaleni.

*

- W porządku, Pastorze - rzekł Woden. - Wiem, że robił pan to już wiele razy, lecz nigdy do kamery. A więc tak, podnosi się klapę namiotu i pan wchodzi. W ręku trzyma pan Biblię, nie patrzy pan na dół, nie patrzy w górę, nie rozgląda się na boki, patrzy pan przed siebie, w ślad za kamerą, która będzie jechała przed panem. Koniecznie niech się pan trzyma tych białych znaków zrobionych kredą, bo inaczej pana zgubimy. Następnie wchodzi pan wolno po schodach, kładzie Biblię na pulpicie, patrzy na zgromadzonych i wypowiada słowa powitania. Witajcie w kościele Wspólnoty Bożej, itp, itp. Wszystko jasne?

Pastor pokiwał głową. Reżyser wycofał się do namiotu. - Gotowe! - dobiegł ze środka jego głos. Klapa namiotu podniosła się. Pastor wkroczył do środka. Szedł powoli, stosując się do wskazówek. Zaczął mówić: - Witajcie...

- W porządku, wystarczy! - przerwał mu reżyser.

- Bardzo dobrze. - Ktoś szepnął mu coś do ucha. Uniósł wzrok na Pastora stojącego na pomoście. - Było doskonale, Pastorze, ale czy miałby pan coś przeciwko temu, żebyśmy zrobili panu mały makijaż? Wychodzi pan zbyt blady.

- Czy to naprawdę konieczne? - spytał Pastor z góry.

- Niech pan przyjdzie i sam zobaczy - zaproponował Woden.

Pastor zszedł z pomostu i poszedł za nim do stojącego w pobliżu małego monitora. - W porządku, przewiń do początku - polecił Woden asystentowi.

Ekran zamigotał, po czym pojawiła się na nim jego twarz. Pierwszy raz widział siebie. To było dziwne uczucie. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że ma aż tak białą cerę. - Czy ja naprawdę jestem taki blady? - zdziwił się.

- Kamera wyłapuje odcienie, których nie widać nie uzbrojonym okiem - rzekł Woden. - To się często zdarza. Mały makijaż załatwi sprawę.

- W porządku - zgodził się Pastor. Spojrzał na Wodena. - Kiedy będzie gotowe to, co nakręciliśmy rano? Pan, zdaje się, mówił, że obejrzymy od razu.

- Rzecz wymagała pewnych korekt - odparł Woden. - Sukienki niektórych dziewczyn okazały się zbyt przezroczyste. Musieliśmy to wyciąć. Będziemy gotowi za jakieś dziesięć minut. Wtedy pana zawiadomimy, bo pan chciał teraz iść do samochodu, prawda?

Pastor pokiwał głową. Wiedział, o co chodziło reżyserowi. „Przezroczyste” nie było tu odpowiednim określeniem. Kiedy dziewczęta wyszły z wody wyglądały po prostu nago. Ale zaraz o tym zapomniał gdy mm ludzie zaczęli wskakiwać do wody W jakiś szczególny sposób sam dał się porwać ich żarliwości lo stało się niemal prawdziwe. Wciąż jeszcze brzmiały mu w uszach ich okrzyki: „Chwała Panu! Jestem uratowany! Jestem nowo narodzony! Dzięki ci, słodki Jezu”!

- Dobrze, będę w mikrobusie - powiedział i wyszedł z namiotu.

- Pastorze Talbot - usłyszał za sobą damski głos. Obejrzał się. - A, panna Dawson?

- Mam taśmy, które pan nagrał dla naszych skomputeryzowanych telefonów - powiedziała.

- Czy zechciałby je pan przesłuchać?

- Tak, chętnie.

- Czy jest tu jakieś ciche miejsce?
- Mój mikrobus - odparł. - Właśnie tam szedłem. Poszła za nim do samochodu. - O, jak tu miło
- oceniła rozejrzawszy się.
- Nie tak bardzo - uśmiechnął się. - Ale to jest mój dom. - Powiódł ją do stolika. - Tu może pani postawić magnetofon.
Położyła magnetofon płasko. - Wie pan, jak to działa - wyjaśniła. - Telefon dzwoni, wtedy włącza się automatycznie magnetofon, odtwarza pańską wypowiedź, a następnie przełącza rozmowę na pierwszego wolnego telefonistę.
- To mi już mówili. - W ten sposób organizowano łączność z widownią. Podczas programu zamierzano poinformować słuchaczy, że jeśli zatelefonują pod podany bezpłatny numer i podadzą nazwisko, adres oraz datę urodzenia, to otrzymają pocztą list podpisany osobiście przez wielebnego C. Andrew Talbota; list będzie zawierał nazwiska pięciu wielkich Amerykanów, którzy urodzili się tego samego dnia, oraz specjalną modlitwę z prośbą o ich opiekę, ułożoną przez wielebnego C. Andrew Talbota. A wszystko za darmo. Nie trzeba wysyłać pieniędzy, niczego kupować, nawet nie trzeba płacić za rozmowę telefoniczną. Zupełnie za darmo. Wcisnęła guzik odtwarzania i przez głośnik rozległ się jego głos. - Halo. Tu mówi wielebny C. Andrew Talbot z kościoła Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki. Dziękuję za telefon do nas. Proszę chwilę poczekać na połączenie do jednego z naszych telefonistów, który z przyjemnością zapisze nazwisko i adres państwa. Jeszcze raz dziękuję za telefon do nas. Niech Bóg was błogosławi.
Wyłączyła magnetofon i spojrzała na niego. - Co pan o tym sądzi, Pastorze?

- Przydługie - stwierdził.
- Wiem - zgodziła się. - Ale nasze badania wykazują, że ludziom się podoba. To, że pan tyle mówi, dodaje prawdziwości pana wypowiedzi, uwiarygodnia ją.
- Pani jest tu ekspertem - wzruszył ramionami.
- To nasz zawód - odparła. - Pan zna Biblię. My znamy ludzi.
- Biblia to ludzie - rzekł.

Spojrzała na niego rozbawionym wzrokiem. - Nie wydaje się pan zachwycony.

- To wszystko takie dziwne - odparł. - Ale ja się uczę.

Wstała. - Odnoszę wrażenie, Pastorze, że uczy się pan bardzo szybko.

Rozległo się pukanie do drzwi. - Playback jest gotów, Pastorze - usłyszeli.

- Już idę - odkrzyknął. Odwrócił się do młodej kobiety. - Pokażą mi scenę chrztu, którą nagraliśmy rano. Chciałaby pani zobaczyć?

- Z ogromną ochotą - odparła.

- Pokaz w wozie montażowym - oświadczył czekający przed mikrobusem mężczyzna.

Podążyli za nim.

Wóz montażowy okazał się olbrzymim samochodem terenowym wypełnionym od podłogi po sufit urządzeniami technicznymi. Przy wielkim ekranie zgromadzili się Marcus Lincoln, Woden, Bailey oraz Peny Smith.

- Zgaście światła i jedziemy - rozkazał Woden gdy Pastor i panna Dawson podeszli bliżej. Światła zgasły, taśma zaczęła się kręcić. Patrząc na scenę chrztu, Pastor nie mógł uwierzyć, że nie zdarzyło się to spontanicznie. Wszystko wyglądało tak prawdziwie. Projekcja trwała kilka minut.

- I jak, Pastorze? - spytał Lincoln, gdy zapaliły się światła.
Pastor pokiwał głową. - Miał pan rację, panie Lincoln. To jest bardzo dobre. Ale z jednym zastrzeżeniem. - Jakim mianowicie?
- Chodzi o suknie dziewcząt. Wydają się w nich nagie.
- Znaleźliśmy na to sposób, pastorze - wtrącił Woden. - Zamówiliśmy halki, które dziewczyny włożą pod spód. Będą gotowe przed programem. Może mi pan zaufać i przestać się tym martwić. - Do tej pory miał pan zawsze rację, panie Woden
- odparł Pastor. - Wystarczy mi pańskie zapewnienie. Lincoln uśmiechał się. - To będzie świetny program, pastorze. Czuję to w kościach.
- Bardzo bym tego sobie życzył, panie Lincoln
- odparł Pastor.
- Pastorze! - zawołał Bailey, asystent reżysera i pisarz. - Słucham?
- Pozwoliłem sobie jeszcze raz przepisać te pańskie kartki ze szkicem kazania - rzekł prędko. - Nie zmieniłem żadnych sformułowań, tylko dodałem czerwonym kolorem uwagi, do której kamery powinien się pan zwrócić, żeby zaakcentować jakiś moment. Sądzę, że uzna pan to za pomocne. Proszę to przejrzeć i zadzwonić do mnie, gdyby miał pan jakieś pytania. Postaram się wszystko panu wyjaśnić.
Pastor wziął od niego kartki. - Dziękuję, panie Bailey. - Powiódł wzrokiem po pozostałych.
- Gdyby były jeszcze jakieś sprawy, to jestem w mikrobusie.
- Jest pan wolny, Pastorze - powiedział Lincoln. Wszedł z wozu montażowego, Jane Dawson za nim. - Co zamierza pan robić? - spytała.

- Nie wiem - odparł. Wzruszył ramionami. - Tyle się tu dziś zdarzyło, że chętnie bym dokądś uciekł i zapalił trawkę.

Otworzyła szeroko oczy. - Pastorze Talbot, nie sądziłam, że duchowni robią takie rzeczy.

- Jesteśmy tylko ludźmi, panno Dawson. - Roześmiał się. - A jak pani się wydaje, co robił święty Franciszek na pustyni? Jadł dzikie rośliny i miał wspaniałe wizje.

Spotkała jego wzrok. - Nawet do głowy by mi to nie przyszło.

- Proszę nie zapominać, że spędziłem trzy lata w Wietnamie, panno Dawson. Byłbym ostatnim frajerem, gdybym nie spróbował tam różnych rzeczy.

Patrzyła na niego w zamyśleniu. - W hotelu mam trawkę naprawdę ekstra.

Pokręcił głową. - Nie byłoby to mądre, gdybym poszedł z panią do hotelu.

- Przypadkowo mam parę skrętów w torebce. Uśmiechnął się. - W takim wypadku moglibyśmy

pójść do mikrobusu i przesłuchać jeszcze parę razy to nagranie. Może udałoby się nam je poprawić?

8

W dziesięć dni po nagraniu programu odwiedził ponownie Ranczo Randle'a. Tym razem nie była to jednak kolacja, lecz spotkanie służbowe o dziesiątej rano.

Przybyli ci sami ludzie, co poprzednio. Zajęli miejsca wokół stołu konferencyjnego w prywatnym po-

koju tuż za biblioteką. Jake Randle usiadł u szczytu stołu i z wyrazem zadowolenia na twarzy żuł ulubione hawańskie cygaro.

- Prosimy o liczby, panie Lincoln - powiedział.

Marcus Lincoln skinął głową i otworzył leżący przed sobą skoroszyt. - Program nadaliśmy przez nasze stacje dwa razy. We wtorek o jedenastej rano i w czwartek o dziesiątej wieczorem. We wtorek oglądało nas około jedenaście procent widzów, nie licząc stacji lokalnych, w czwartek piętnaście procent, nie licząc stacji lokalnych. Na bazie zarejestrowanego programu przygotowaliśmy półgodzinną audycję radiową i nadawaliśmy ją codziennie przez pięć dni o różnych porach dnia przez sto siedem naszych stacji, z czego czterdzieści dwie to UKF. Tu też liczba słuchaczy zwiększała się.

Zaczęliśmy od sześciu procent słuchaczy, a pod koniec tygodnia na niektórych stacjach doszliśmy do dwudziestu dwu procent. Średnio biorąc, przez tydzień zyskaliśmy ponad szesnaście procent słuchaczy. - Zamknął skoroszyt. - Myślę, że są to wcale zachęcające wyniki - rzekł podnosząc głowę. - Wskazują na zainteresowanie programem.

Randle przeniósł wzrok na pannę Dawson. – Panna Dawson.

- Tak jest, panie Randle. - Sięgnęła po kartkę.

- W reakcji na audycje telewizyjne odebraliśmy sto jedenaście tysięcy pięćset dwadzieścia jeden telefonów, co jest bardzo wysoką liczbą, zważywszy niewielką oglądalność cytowaną przez pana Lincolna. W programach radiowych prosiliśmy słuchaczy o zgłoszenia na kartach pocztowych, które wciąż do nas napływają, więc nie zostały jeszcze obliczone. Wszelako możemy już powiedzieć, że liczba kart pocztowych i listów przekroczy dwieście tysięcy.

A więc również bardzo dużo w świetle danych pana Lincolna. - Odłożyła kartkę. -
Podsumowując, nie boję się powiedzieć, że jest to program, który odniósł wielki sukces.
- Dziękuję - rzekł starszy pan. Zwrócił się do Dicka Craiga. - Wiem, że program oglądało
wielu twoich ludzi. Jak oni go odebrali?
- „Amerykanie w Poszukiwaniu Lepszej Drogi” odnieśli się do programu bardzo
pozytywnie, panie Randle. Uważają, że mógłby stać się wielce pomocną platformą dla
wyrażenia ich punktu widzenia.
- Pani Lacey - rzekł Randle.
- Członkinie zarządu Chrześcijańskiej Rady Kobiet uważają, że wielebny C. Andrew
Talbot jest wyjątkowym przykładem młodego chrześcijanina amerykańskiego i byłyby
bardzo dumne, gdyby mogły sponsorować jego program w każdy możliwy dla nich
sposób.
Randle obrócił się w fotelu. - I wreszcie pan Everett.
Prezes biura badania opinii publicznej odchrząknął. Powiódł wzrokiem po obecnych. -
Państwo rozumieją, rzecz jasna, że my podchodzimy do naszych badań w zupełnie inny
sposób. Program oceniamy według reakcji na postać głównego wykonawcy. - Przerwał na
moment dla dodania wagi swej wypowiedzi. - Stwierdzamy, że reakcja na postać
wielebnego Talbota jest nadzwyczaj dobra tak ze strony mężczyzn, jak kobiet. Mężczyźni
widzą w nim siłę i zdolności przywódcze, cechy liczące się dla nich najbardziej, kobiety
natomiast dostrzegają siłę oraz idealizm, a więc to, co apeluje do ich instynktu
macierzyńskiego, budząc jednocześnie subtelną, niemal seksualną reakcję. - Znowu
przerwał i rozejrzał się. - Moja osobista opinia brzmi następująco: jak-

kolwiek nic nie jest łatwe, to jednak stosunkowo łatwo powinno nam przyjść spopularyzowanie w społeczeństwie postaci wielebnego Talbota, który spełni wszystkie nasze założenia. - Doskonale - pokiwał głową starszy pan. Spojrzał na Pastora. - Pastorze Talbot, ma pan minę, jakby chciał pan coś powiedzieć.

- Owszem, panie Randle - odparł Pastor. - Wszystko, co tu usłyszałem, brzmi bardzo interesująco, ale co dalej?

- Dobre pytanie, Pastorze, ale odpowiemy sobie na nie w cztery oczy. - Wstał. - Panie i panowie, dziękuję bardzo za poświęcenie nam swego czasu.

Spotkanie dobiegło końca. Gdy ucichły słowa pożegnania, przy stole siedział już tylko Jake Randle i Pastor. Żując cygaro starszy pan popatrzył w milczeniu na Pastora. Pastor odpowiedział mu spojrzeniem.

Randle wyjął z ust cygaro i zbadał je wzrokiem. - Mógłbym uczynić cię większym od papieża - stwierdził jakby od niechcienia.

Pastor nie odezwał się.

- Rzecz jasna, to zależałoby w dużej mierze od ciebie.

Pastor dalej milczał.

- Musiałbyś nieco oczyścić scenę. Pozbądź się tego wielkiego czarnucha, co się wokół ciebie kręci oraz tej Chinki. Nie pasują do twego obrazu. Ludzie nie lubią czarnuchów i kitajców. Albo te dziewczuszki, które myją ci nogi, jakbyś był Chrystusem. Za dużo mówią. Każdy, kto coś robił przy naszym programie, wie, że pieprzysz każdą z nich. One również muszą odejść. - Czy to wszystko? - spytał Pastor.

- Nie - odparł Randle. Przeniósł wzrok z cygara

na Pastora. - Przestań też rżnąć pannę Dawson. Tak jej zawróciłeś w głowie, że zaniedbuje wszelkie inne zajęcia, jakie jej zleciłem. Poza tym jestem osobiście zainteresowany tą dziewczyną.

Pastor wstał. - Dziękuję, panie Randle. Wiele się dowiedziałem.

Starszy pan podniósł wzrok. - Czego się dowiedziałeś?

- Ze pana nie potrzebuję. Poradzę sobie sam.

- Tak, a skąd wytrzaśniesz te pięć milionów dolarów, żeby się przebić? - prychnął Randle.

- Słuchałem tych samych sprawozdań, co pan. Program szedł w wielu miejscach. Pan nie jest jedyną partią w tym mieście.

- To groszorozy - odparł Randle. - Dziesięć lat potrwa, zanim zobaczysz prawdziwe pieniądze. Synu, ja mogę spowodować, że będziesz wyciągał trzydzieści, czterdzieści, może nawet pięćdziesiąt milionów rocznie i to w takim tempie, że zakręci ci się w głowie.

- Jestem jeszcze młody, panie Randle - odparł Pastor. - Mogę poczekać. Nie spieszy mi się.

- Ale dlaczego nie chcesz zrobić tego, o co proszę?

- zdziwił się starszy pan. - Ci ludzie nie są tacy ważni. Można ich zastąpić innymi.

Pastor spojrział na niego z góry. - Pan tego nie rozumie. Mnie z tymi ludźmi wiąże o wiele więcej, niż pan sądzi. Łączy nas miłość, wiara i zaufanie. Ludzie ci towarzyszyli mi przez długie lata, w znoju i gnoju, i nigdy nie zawiedli mego zaufania. Judasz zdradził Pana naszego za trzydzieści srebrników. Ile jest pan w stanie mi zaoferować, żebym ich zdradził?

Randle wsadził z powrotem cygaro w usta. - Siadaj, młodzieńcze, siadaj - powiedział po chwili.

- Musimy pomyśleć, gdzie wybudować ci kościół.

Pastor usiadł. - Mam kawałek ziemi w Los Altos w Kalifornii.

- To do kitu - odparł Randle. - Powszechnie się uważa, że wszystkie głupoty biorą się z Kalifornii. Musimy znaleźć ci miejsce na Południu albo na Południowym Zachodzie. - Żuł cygaro w zamyśleniu. - Miasto nie za duże, ale i nie za małe. Z dobrymi połączeniami komunikacyjnymi. Takie, które nie ma jeszcze własnego kaznodziei w telewizji państwowej. - Co by pan powiedział o Nowym Orleanie? - spytał Pastor. - Miasto dobrze usytuowane, a poza tym zawsze mi się podobało. - Nie. Zanadto katolickie.

- A Atlanta? To wspaniałe miasto. - Nie. Zbyt liberalne.

- Memphis? Samo centrum. - Hm.

Pastor przyjrzał mu się uważnie. - Pan się ze mną bawi, panie Randle. Pan już wybrał.

- To prawda. Wybrałem - przyznał starszy pan.

- Dopuszcza mi pan do tajemnicy? Starszy pan spojrzał na niego przenikliwie.

- A przestaniesz gzić się z panną Dawson?

- Już przestałem - odparł Pastor.

- No to mam dla ciebie idealne miejsce. Zamieszkane przez ludzi naszego pokroju. -

Starszy pan się uśmiechnął i przytknął zapalniczkę do cygara. Spojrzał na Pastora poprzez chmurę dymu. - To tutaj. Miasto Randle w stanie Teksas.

- Żartuje pan - nie wierzył Pastor. - Przecież tu są już dwa kościoły i żaden z nich nie śmierdzi groszem, bo trudno coś wyciągnąć od trzech tysięcy mieszkańców.

- Zapominasz o dwóch rzeczach - starszy pan przygwoździł go wzrokiem. - Po pierwsze, że jest to

moje miasto i ja jestem jego właścicielem, więc cokolwiek sobie zażyczę, ono to spełni. Po drugie, że parafia, którą tu założymy, nie będzie służyła tylko temu jednemu miastu, lecz całym Stanom Zjednoczonym.

- Ciekawe, jak sprowadzi pan do niej ludzi - rzekł Pastor. - Tu jest tylko jeden przystanek autobusowy linii greyhounda.

- Ty się skup na swoim kaznodziejstwie - poradził mu Randle. - Resztę zostaw mnie. Już ja tu ludzi sprowadzę.

9

Było już po pierwszej w nocy, kiedy limuzyna odwiozła Pastora do mikrobusu i odjechała. Pastor zadarł głowę do góry. Na teksaskim niebie podobnym do niebieskiego aksamitu migotały gwiazdy. - Boję się, Boże - powiedział głośno. - Nie wiem, dokąd mnie wiedziesz i wierzę, że będziesz mnie chronił. A mimo to boję się.

Stał tam przez chwilę, nad słuchując milczącego nieba. Odetchnął głęboko. - Nie sądz, Panie, że wątpię czy bluźnię. Jestem prostym człowiekiem, który z całego serca pragnie głosić ludziom ewangelię, jak nakazał Syn Twój, Jezus. Więc błagam Cię, o Panie, daj mi jakiś znak na potwierdzenie, że to, co mam uczynić, jest Twoją wolą, a nie kuszeniem szatana.

Czekał dłuższą chwilę, wpatrzony w niebo. Już miał się odwrócić i wejść po schodkach do samo-

chodu, kiedy to zobaczył. Nad jego głową rozbłysła gwiazda, przeleciała po niebie i spadła za horyzontem. Zabrakło mu tchu, poczuł jak jego ciało napętnia się dziwnym ciepłem. Wówczas rozbłysła druga, przeleciała tą samą drogą, co pierwsza, a kiedy zniknęła, na niebie pojawiła się trzecia, jeszcze większa i jaśniejsza od poprzedniczek, rozbłysła dokładnie nad jego głową i zdawała się tak trwać przez moment, po czym również spadła za horyzont.

Poczuł, że łzy napływają mu do oczu. Upadł na kolana, złożył dłonie, schylił głowę. Trzy gwiazdy rozbłysły nad jego głową. Znał je. To Ojciec, Syn i Duch Święty. Wszyscy trzej zjawili się, by dodać mu otuchy.

- O, dzięki Ci, Panie - modlił się. - Przebacz mi moje wątpliwości i obawy. Już się niczego nie boję. Poświęcę życie na spełnianie Twoich rozkazów i niesienie ludziom słowa bożego, jak kazał mi Syn Twój Jezus Chrystus, który zmarł na krzyżu za grzechy moje i całej ludzkości. Dzięki Ci, Panie. Amen.

Jeszcze chwilę klęczał, a gdy wstał, poczuł się dziwnie silny, jak nowo narodzony. Nagle wszystko wydawało mu się jakieś nowe, nabrało blasku. Na jego wargach błąkał się lekki uśmiech, kiedy wstępował po schodkach i otwierał drzwi samochodu.

Przy stole Beverly i Joe grali w karty. Przed Beverly piętrzyła się kupa monet. Gdy Joe odrzucił swoje karty z obrzydzeniem, zgarnęła do siebie monety leżące na środku stołu. Joe podniósł głowę. - Ale z niej pijawka - powiedział do Pastora. - Potrafi ograć człowieka do gołej dupy.

Pastor jakby go nie słyszał. Machinalnie pokiwał głową i poszedł do drugiej części samochodu, zaciągając za sobą zasłonkę. Zdjął z półki Biblię. Usiadł

na łóżku, lecz zanim zdążył otworzyć Biblię, zasłonka się odsunęła, ukazując zafrasowane twarze Joe'ego i Beverly.

- Coś nie w porządku? - spytał Joe. Spojrzenie Pastora było ciągle tak odległe, jakby patrzył w zaświaty. - Wybudujemy tu kościół.

Joe skrzywił się. - Akurat tej zasranej dziurze potrzebny jest jeszcze jeden kościół. Nie stać ich na utrzymanie tych, które już są. Pastor milczał.

- Randle zahipnotyzował cię tą swoją forszą - stwierdził Joe. - Ale sama forsa to jeszcze za mało. Kościół musi mieć ludzi, a tu ludzi jest jak na lekarstwo.

- Wiem - odparł Pastor.

- No to nie bądź głupi - powiedział Joe. - Jeśli ten facet chce ci dać forszę na kościół, to owszem, wybuduj go, ale tam, gdzie ma to jakiś sens.

Ich oczy spotkały się. - Bóg chce, żeby to było tutaj. Tutaj wybudujemy kościół.

- Skąd możesz wiedzieć, że Bóg chce, żeby to było tutaj? - spytał Joe. - Powiedział ci o tym czy co? - Tak - odparł krótko Pastor.

- Palileś czy piłeś?

Pastor pokręcił przecząco głową. - Poprosiłem Boga o znak i Bóg mi go dał.

- Dobra, dobra - rzekł Joe. - Mnie tego nie wciskaj.

Pastor wstał. - Ale to prawda. Zanim tu wszedłem, pomodliłem się, żeby Bóg dał mi znak, że chce, bym wybudował tu kościół. W przeciwnym razie myślałbym, że to Szatan wiedzie mnie na pokuszenie. I Bóg mi odpowiedział. Na niebie pojawiła się Trójca Święta w postaci trzech spadających gwiazd, rozbłyskujących jedna po drugiej, przy czym każda następna była

jaśniejsza od poprzedniej, a ostatnia znieruchomiła na chwilę nad moją głową. Wtedy poczułem, że spłynęła na mnie boska wiedza.

- Jesteś pewien, że nie ubzdurałeś sobie tego?

- spytał Joe. - Tu, w północnym Teksasie, niebo aż się roi od spadających gwiazd.

- Ale nie takich - upierał się Pastor. - Wiem, co czułem.

Joe milczał. Beverly położyła mu dłoń na ramieniu.

- Chodź, Joe, wszyscy jesteśmy zmęczeni. Czas do łóżka. Porozmawiamy rano.

Joe pokiwał głową. - Tak. - Spojrzał na Pastora.

- Naprawdę nic ci nie jest? Niczego nie potrzebujesz?

- Nigdy nie czułem się lepiej - odparł Pastor.

- Aha - rzekł Joe z wahaniem. - No to dobranoc.

- Dobranoc, Pastorku - powiedziała Beverly. Puścili zasłonkę, wrócili do stołu. Joe pochylił się do Beverly. - Jak ci się wydaje? - spytał szeptem.

- Sama nie wiem - odszepnęła.

- Podejdz do okna - zaproponował. - Przekonasz się, że w ciągu godziny naliczymy ze sto spadających gwiazd. - Być może - odparła szeptem. - Ale to nie będą te same gwiazdy, które on widział. - Chcesz powiedzieć, że mu wierzysz? Odwróciła się do niego. Jej oczy były ogromne. - Oczywiście, że mu wierzę. Zawsze wierzyłam. I ty też. Gdyby było inaczej, to czy bylibyśmy tutaj? Żadne z nas się od tego nie wzbogaciło.

- Kochasz go? - spytał Joe.

- Oczywiście, że kocham. A ty nie? Joe pokiwał głową. - Chyba kocham.

- Ale nie jestem w nim zakochana. To coś całkiem innego - powiedziała.

- To wiem - odparł Joe. - Głupi nie jestem.
- Naprawdę? Jak te pozory myślą - powiedziała patrząc mu w oczy.
- Hej - zdenerwował się. - A ja myślałem...
- Nie myśl tyle - rzekła, kładąc mu palec na wargach. - Myślenie ci nie służy. - Przytuliła się do niego.

*

Siedział wciąż z nie otwartą Biblią na kolanach, kiedy usłyszał odgłos zamykanych drzwi. Wstał i zaczął się powoli rozbierać. Tyle się działo. Miał wrażenie, że został porwany przez falę, która niosła go ku odległemu nieznanemu brzegowi.

Wyciągnął się nagi na łóżku, podłożył sobie jasek pod głowę, włączył wiszącą na ścianie nocną lampkę. Sięgnął po Biblię, otworzył ją na Psalmie 1 i zaczął czytać półgłosem.

Szczęśliwy mąż, który nie idzie za radą bezbożnych

Ani nie stoi na drodze grzeszników, Ani nie zasiada w gronie szyderców.

Lecz ma upodobanie w zakonie Pana I zakon jego rozważa dniem i nocą.

Będzie on jak drzewo zasadzone nad strumieniami wód,

Wydające swój owoc we właściwym czasie,

Którego liść nie więdnie,

A wszystko, co uczyni, powiedzie się.

Odłożył Biblię, zgasił światło, skrzyżował ręce pod głową. Był już trochę spokojniejszy.

Czy nie zostało napisane, że wszystko, co uczyni, powiedzie się? To nic złego, jeśli głoszenie ewangelii przyniesie mu materialne zyski; wykonuje zadanie Boga.

A jednak wątpliwości go nie opuszczały. Czy napra-

wdę nie oszukiwał się, aby usprawiedliwić przed sobą to, co zamierzał zrobić? Podniósł się z łóżka, klęknął obok i złożył dłonie do modlitwy. W pustym samochodzie rozbrzmiewały końcowe słowa z Psalmu 139.

Badaj mnie, Boże, i poznaj serce moje, Doświadcz mnie i poznaj myśli moje, I zobacz, czy nie kroczę drogą zagłady, A prowadź mnie drogą odwieczną!

Wciąż klęcząc, skrzyżował ręce na łóżku i oparł na nich głowę. Pamiętał, co kiedyś powiedziała mu matka: „Nie jesteś jak inni, Constantine. Nie będziesz w stanie głosić swej wizji Boga, póki nie staniesz na ambonie własnego kościoła. Dopiero wówczas poruszysz świat”.

Wtedy nie zrozumiał, co miała na myśli. Pojął to dopiero teraz. Jego Bóg był bardzo osobistym Bogiem, jego Jezus był bardzo ludzkim Synem Boga, wyrozumiałym dla ludzkich słabości. Sam był jednym z nich, potrafił więc znaleźć w Sobie wybaczenie oraz siłę, by wziąć na Siebie wszystkie ich grzechy i umrzeć za nich, dzięki czemu, ich grzechy zostały im odpuszczone. Jezus nie straszył ludzi, nie walczył z nimi, nie karał ich. Zupełnie inaczej niż mściwy Bóg, Jego Ojciec. Wierząc w Jezusa, ludzie dostępują przebaczenia i odpuszczenia grzechów.

Nie usłyszał skrzypnięcia drzwi. Dopiero gdy zasłonka się poruszyła, uświadomił sobie, że ktoś wszedł.

- Pastorku - usłyszał za sobą głos Charlie. Podniósł głowę. Na koszulę nocną miała zarzucony

spłóviały wełniany szlafrok. - Tak?

- Beverly i Joe kochają się na tylnym siedzeniu w samochodzie obok - powiedziała.

Podniósł się z kolan, usiadł na łóżku. - Po co mi to mówisz?

- Jestem zazdrosna - odparła. - Tak szaleją, że aż mnie wzięła chętka.

Wybuchnął śmiechem. Nic naprawdę się nie zmieniło. Ludzie wciąż zachowywali się jak przedtem, jak dzieciaki. Po raz pierwszy tej nocy poczuł, że ciężar, który dźwigał na ramionach, gdzieś się ulotnił. - Rozumiem cię.

- Naprawdę? - spytała zdziwiona. - Sądziłam, że już cię to nie bierze.

Wstał, położył sobie jej rękę na członku, nakłaniając ją do pieszczot. - Co też ci przyszło do głowy? - spytał, osiągając erekcję.

10

Czarna limuzyna podjechała do helikoptera, którego śmigło kręciło się powoli. Kierowca otworzył drzwi i Pastor wysiadł.

Randle wystawił głowę z helikoptera. - Wsiadaj, synu! - zawołał, usiłując przekrzyczeć hałas. - Szkoda czasu!

Pilot wyciągnął rękę do Pastora, by pomóc mu wdrapać się do kabiny. - Proszę zająć miejsce obok pana Randle'a - rzekł, zasuważąc drzwi.

Pastor zapiął pas i helikopter zaczął się wznosić. Było tam sześć miejsc dla pasażerów, lecz lecieli tylko Randle, pilot oraz jakiś mężczyzna, który siedział przed Pastorem.

Randle zachichotał. - Wcześnie musiałeś wstać, co synu?

Pastor rzucił okiem na zegarek. Było wpół do ósmej. - Tak, proszę pana.

- Zawsze mówię, że trzeba wstawać ze słońcem. Człowiek najlepiej pracuje wczesnym rankiem - oświadczył Randle. - Pomyślałem, że wyciągnę cię z łóżka, zanim ta mała zdąży wyssać z ciebie ranne soki.

Pastor popatrzył na niego w milczeniu. Randle spotkał jego wzrok. - Mówiłem ci, że wiem o wszystkim, co się tam u was dzieje. Pastor nie odzywał się.

- Pewnie się zastanawiasz, dokąd lecimy, że trzeba było wstać tak wcześnie?

Pastor skinął głową.

- Lecimy obejrzeć miejsce, w którym zbudujemy kościół.

- Nie mogliśmy pojechać samochodem?

- Tak jest łatwiej - odparł Randle. - To czterdzieści mil na północ od miasta. - Nachylił się i klepnął w ramię mężczyznę, który siedział obok pilota.

- Masz już gotowe te plany, Chuck?

- Oto one, panie Randle - odparł tamten, odwrócił się i podał starszemu panu tekturkę z przypiętymi klipsami dokumentami. Spojrzał na Pastora.

- Chuck Michaels, doktor Talbot - przedstawił ich sobie Randle, biorąc plany. - Chuck jest prezesem „Randle - Towarzystwo Budowlane”.

Podali sobie ręce. Randle przyczepił tekturkę do oparcia pilota. - Umiesz czytać mapy? - spytał Pastora.

- Trochę - odparł Pastor. - Musiałem się nauczyć w Wietnamie na wypadek, gdybym został odcięty od swoich.

Rändle spojrział przez okno, potem wskazał linię na mapie. - Tu jesteśmy. Przelecimy nad miastem, a potem skierujemy się na północ wzdłuż autostrady numer dziesięć. - Wycelował palcem w górny prawy róg mapy. - To jest to miejsce, do którego się udajemy. Pastor pochylił się, by odczytać napis drobnym drukiem. Jezusland, miasto samorządowe. Spojrzął zdziwiony na Randle'a. - Nie słyszałem, żeby był tu jakiś Jezusland. Randle zachichotał. - Bo nie ma. - Nie rozumiem.

- Zaraz zrozumiesz - odrzekł Randle. - Mówiłem ci, że działam szybko. Nie mam już tyle czasu, co wy, młodzi. Długo czekałem na znalezienie odpowiedniego człowieka do kościoła, który wyprowadzi Amerykę z tej dżungli. A póki co, robiłem plany. Zerwał wierzchnią kartkę, odsłaniając następną mapę. Na górze widniał nadruk JEZUSLAND. Pastor pochylił się nad nią. Był to plan jakiegoś miasteczka.

- Straszna landara - powiedział. Randle miał minę, jakby nie rozumiał.

- Duże - wytłumaczył Pastor.

- Dużą rzecz buduje się równie łatwo jak małą

- odparł starszy pan z uśmiechem. - Jest tej bożej dziczy ponad tysiąc akrów i aż się prosi, żeby z niej zrobić jakiś chrześcijański użytek. Chcę, żeby to miejsce stało się światłem przewodnim dla Ameryki.

- Pochylił się w stronę okna i spojrział w dół. - Już prawie dolecieliśmy. Zniż się nad autostradę - krzyknął do pilota. - Jest tam coś, co doktor Talbot powinien zobaczyć.

- Już się robi, proszę pana. - Helikopter zaczął zniżać się nad drogę.

- O, tam - pokazał Randle. - Spójrz.

Na skraju drogi stała ogromna tablica. Helikopter

zniżył się jeszcze bardziej i zawisł ponad nią tak, by Pastor mógł przeczytać napis.

JEZUSLAND

**PRZYSZŁA SIEDZIBA KOŚCIOŁA WSPÓLNOTY BOŻEJ TRIUMFUJĄCEGO
CHRZEŚCIJAŃSTWA AMERYKI DR C. ANDREW TALBOT, PASTOR MIEJSCE POŚWIĘCONE
BOGU I OJCZYŹNIE ODSŁONIĘCIE W MAJU 1976**

Pastor spojrział na starszego pana. - To za niecałe dwa lata. Zbudowanie parafii zajmie więcej czasu. Takiemu Robertsowi, Shullerowi, Falwellowi czy Patowi Robertsonowi zajęło to wiele lat.

- Oni zaczęli jeszcze przed erą telewizji - odrzekł Randle. - Ale gdy już dostali się na wizję, to rośli wbrew samym sobie. Zresztą do tej pory nie uświadamiają sobie, czym naprawdę dysponują i ciągle szukają drogi. My natomiast wiemy, co mamy. Mamy doświadczenie i możliwości techniczne. Zbudujemy tę parafię w taki sam sposób, w jaki telewizja robi popularny serial. Dobrze się do tego przygotowujemy. Przeprowadzimy badania rynku, programu, opinii publicznej. Wpakujemy te dane do komputera i przetworzymy. Do maja siedemdziesiątego szóstego będziesz najbardziej znanym kaznodzieją w Ameryce.

Pastor w milczeniu patrzył przez okno. Helikopter uniósł się i poleciał dalej. Przeleciawszy nad zagajnikiem, znaleźli się nad polem, na którym działo się coś niezwykłego. W tę i z powrotem jeździły, jak pomyłone, ciężarówki, zostawiając za sobą białe smugi wapna. Pastor przyglądał się temu przez chwilę, a potem spojrział na plan miasta, przyczepiony do fotela pilota. Nagle zrozumiał, co robiły te samochody. Malowały na ziemi kontury - takie same jak na planie. Spojrział pytająco na Randle'a.

Starszy pan się uśmiechał. - Mówiłem ci, że nie tracę czasu. - Przerwał na moment. - Chuck ci wyjaśni topografię, gdy wrócimy na ranczo.

Powiększony plan Jezuslandu przyczepiony był do płyty okładzinowej, która pokrywała całą ścianę w gabinecie Randle'a na ranczu. Lokaj wniósł kawę na srebrnej tacy, po czym wycofał się dyskretnie, zamykając za sobą drzwi.

Randle dał znak Michaelsowi. - Możesz zaczynać. Barczysty architekt wziął do ręki drewniany wskaźnik. - Kilka słów wprowadzenia - rzekł do Pastora. - Chciałbym, żeby pan wiedział, że nie jest to nie-dowarzony pomysł, który powstał z dnia na dzień. - Pan Randle i ja omawialiśmy ten projekt przez siedem lat. Plan ten jest wynikiem naszych rozmów. W ciągu tych lat wielokrotnie zmienialiśmy nasz zamysł, aż w końcu doszliśmy do tego, co widzi pan na mapie.

Zacznijmy od tego, co pan zobaczy po zjechaniu z autostrady na drogę prowadzącą do Jezuslandu. Mija pan ładnie zaprojektowany park, małe jeziora, ogrody kwiatowe, drzewa. Pierwszym budynkiem jest sied-miopiętrowy gmach z dwiema wieżami, połączonymi olbrzymim krzyżem, który góruje nad nimi o dalsze pięć pięter, dzięki czemu będzie widoczny tak w dzień, jak w nocy z odległości trzydziestu do pięćdziesięciu mil. To będzie główny budynek, siedziba kościoła. Wewnątrz znajdzie się wielka widownia, jak w teatrze, licząca półtora tysiąca miejsc na parterze czy też na poziomie orkiestry, oraz dodatkowo sześćset miejsc na balkonach. Scena będzie zelektronizowana, z ruchomymi podestami, które na żądanie podnoszą się, obniżają, wysuwają w przód i cofają. Sala ta będzie miała wbudowane na stałe urządzenia telewizyjne, które widzą i transmitują wszystko, co dzieje się w kościele, od sceny do

widowni, wszystkim będzie się zdalnie sterowało z sali umieszczonej nad proscenium, niewidocznej dla publiczności. Wewnętrzna wysokość audytorium ma wynosić pięć pięter. Na dalszych dwóch kondygnacjach będą się mieścić biura i pokoje dla gości, którzy wezmą udział w programie. Za budynkiem wybudujemy duży parking na siedemset samochodów. Przesunął wskaźnik na grupę budynków stojących półkolem za kościołem. - Ten duży gmach w środku będzie plebania, gdzie zamieszka pastor razem ze swym personelem. Trzy kondygnacje, na ostatniej - dziewięciopokojowy apartament pastora. Na piętrze poniżej będzie kilka apartamentów dwu-, trzypokojowych. Na parterze umieścimy biura i sale konferencyjne.

Te mniejsze budynki, po dwa z każdej strony plebanii, to kaplice, w których będą mogli medytować goście innych wyznań. Po jednej dla katolików, protestantów, żydów i wyznawców islamu.

Ponadto planujemy dwa motele po trzysta pokoi każdy, z całodziennym wyżywieniem i urządzeniami do rekreacji, jak baseny pływackie, korty tenisowe, minigolf, oraz przedszkola i ogródki dla dzieci. Będzie też koło stu domków przeznaczonych dla rodzin, które chciałyby spędzić tu wakacje.

Mamy już zgodę Federalnej Administracji Lotnictwa, by na dwustu akrach, tu na samym końcu, zbudować prywatne lotnisko, posiadające licencję na przyjmowanie odrzutowców rozmiarów boeinga 727. Dla autobusów przywożących gości autostradą wybudowana zostanie dodatkowa droga do centrum recepcyjnego znajdującego się na lotnisku. Wszyscy goście planujący pobyt będą rejestrowani w centrum recepcyjnym, a następnie transportowani do swych miejsc autobusami.

Mógłbym podać jeszcze wiele szczegółów, ale sądzę, że ma pan już pewien obraz Jezuslandu. Chętnie odpowiem na ewentualne pytania i ustosunkuję się do wszelkich propozycji.

- Bardzo dziękuję - odparł Pastor. Odwrócił się do Randle'a. - W głowie mi się kręci. Starszy pan się uśmiechnął. - Sądzę, że pomyśleliśmy o wszystkim.

- Może mniej bym się denerwował, gdybyśmy zaczynali skromniej - rzekł Pastor. - Daleko mi do Billy'ego Grahama. Czy komukolwiek zechce się jechać taki kawał świata, żeby zobaczyć mnie, nie znanego?

- Do czasu otwarcia kościoła dawno już będziesz znany. Załatwiamy właśnie, żebyś mógł występować i mówić kazania we wszystkich liczących się programach religijnych w Ameryce. I to nie jeden raz, lecz kilka. Na pewno cię zapamiętają.

- Jakoś nie chce mi się wierzyć, że mnie zaproszą - powątpiewał dalej Pastor. - Cóż mógłbym wnieść nowego?

Randle zachichotał. - Nie ma takich, którym nie brakowałoby pieniędzy. Pieniądze otwierają wszystkie drzwi.

11

- Mamy trzydzieści dni na złożenie wszystkiego do kupy - powiedział Marcus Lincoln. - „Klub 700” Pata Robertsona ma największą oglądalność ze wszystkich programów religijnych w tym kraju. Niełatwo

było ich namówić, żeby zgodzili się jako pierwsi pana zaprezentować.

Pastor spojrzał na niego pytająco. - Nie rozumiem. Jestem kaznodzieją, a nie aktorem.

- Będzie pan jednym i drugim - odparł Lincoln.

- „Klub 700” jest programem typu konwersacyjnego. Robertson miesza ze sobą gości i kazania. Jeśli nie chce być pan jednym z wielu, będziemy musieli podejść do tego jakoś inaczej. - Czemu nie miałbym opowiedzieć, czym dla mnie jest Bóg?

- Bo to robią wszyscy. Musimy wynaleźć temat, jak również inny sposób przedstawienia go. Opowiedzieć to za mało. Nie zapominajmy, że telewizja jest przekazywaniem obrazów. - Ja nie zapominam - odparł Pastor.

- Ani ja - dodał Lincoln. - Dlatego właśnie przyprowadziłem ze sobą chłopaków. Myślę, że razem coś wymyślimy. Pastor powiódł po nich wzrokiem. Byli to Jim Woden, reżyser, i Mike Bailey, scenarzysta. - Bóg musi wystarczyć - powiedział.

- Z całym szacunkiem, Pastorze - wtrącił Woden

- dla telewizji to za mało. Proszę nie zapominać, że Bóg ma tu już wielu popularyzatorów. Pan jest tym, którego musimy wy lansować.

- Ale od czego zacząć? - zastanawiał się Pastor.

- A może opowiedziałby pan nam o swoim życiu

- zaproponował Bailey. - Własnymi słowami. Być może nasunie się nam jakiś temat.

Pastor uśmiechnął się. - Niewiele tego jest. Mam wrażenie, że całe moje życie było poszukiwaniem Boga, żeby nieść ludziom Jego słowo.

Teraz uśmiechnął się Bailey. - A więc jest już jakiś początek. „W poszukiwaniu Boga” - to mógłby być

temat. Pokazalibyśmy pana fotografie z lat dziecięcych, potem z okresu wietnamskiego, a następnie z czasów, gdy organizował pan Wspólnotę Bożą i gdy powziął decyzję, żeby zostać wędrownym kaznodzieją. Pastor roześmiał się na cały głos. - To brzmi świetnie. Szkoda tylko, że nie mam żadnych zdjęć.

- Ach, to żaden problem - rzekł lekceważąco Woden. - Znam paru fotografów, którzy mogliby się tym zająć.

- Ja wtedy wyglądałem zupełnie inaczej - zaproponował Pastor. - Miałem długie włosy i brodę. Żeby je znowu zapuścić, potrzeba by co najmniej roku.

Woden potrząsnął głową. - To nie jest konieczne. Od czego są peruki, sztuczne brody, makijaż? - Odwrócił się do Lincolna. - Jeśli podoba ci się ten pomysł, to spróbujmy rzecz naszkicować.

Lincoln pokiwał głową. - Dobra. Spróbuj. Przynajmniej jest od czego zacząć.

*

W niecałe trzy miesiące później Pastor siedział w niewielkim zielonym pokoju, przed monitorem, patrząc, jak Katherine Kuhlman w falującej białej sukni przemierza tanecznym krokiem scenę Świętego Audytorium. Zza sceny dochodził aksamitny głos prezentera: - Panie i panowie, oto sławna na cały świat, natchniona nauczycielka ewangelii, panna Katherine Kuhlman! Kamera przesunęła się na bijącą brawo widownię i z powrotem na uśmiechniętą pannę Kuhlman, która, skłoniwszy się lekko, uniosła nad głowę obie ręce - w jednej trzymała Biblię oprawioną w miękką czerwoną skórę. Podeszła do pulpitu na środku sceny. Położyła na nim Biblię i rozejrzała się po zgromadzonych. Zapadła cisza. Gdy Katherine Kuhlman

wreszcie przemówiła, głos, który popłynął z głośników rozmieszczonych w audytorium, był miękki i melodyjny. Ale miał też autorytet, który powodował, że słuchano jej z uwagą. Spojrzała w dół, na Biblię i znowu uniosła głowę. Kamera zbliżyła się do jej twarzy.

- Pierwszy List świętego Jana, rozdział czwarty.

Boga nikt nigdy nie widział; jeżeli nawzajem się miłujemy, Bóg mieszka w nas i miłość jego doszła w nas do doskonałości.

Po tym poznajemy, że w nim mieszkamy, a On w nas, że z Ducha swojego nam udzielił.

A my widzieliśmy i świadczymy, iż Ojciec posłał Syna jako Zbawiciela Świata.

Kto tedy wyzna, iż Jezus jest Synem Bożym, w tym mieszka Bóg, a on w Bogu.

Zamilkła, odsunęła się nieco od pulpitu. - Wyznawać i świadczyć - powiedziała po chwili.

- Dwa kluczowe słowa. Ilu z nas ma nieprzymuszoną wolę, by wyznawać i świadczyć? Nie tylko wyznawać, nie tylko świadczyć, ale wyznawać i świadczyć jednocześnie. Nie raz w roku, raz w miesiącu, raz w tygodniu, ale każdego dnia naszego życia. Ilu z was budząc się dziś rano, powiedziało sobie: Jezus jest Synem Bożym, Jezus jest moim Zbawicielem, Jezus umarł na krzyżu za grzechy moje i świata? Ilu poszło potem na śniadanie i świadczyło to żonie i dzieciom?

Ponownie zamilkła. Powiodła po nich wzrokiem. - Obawiam się, że niewielu - powiedziała tonem lekkiej nagany. - Dziś - jej głos poweselał - jest tu z nami niezwykle młody człowiek. Młody człowiek, który poprzez bagno grzechu i zepsucia dociera

z dobrą nowiną do wielu niedostępnych miejsc i doświadcza, że jego siła nie pochodzi z niego samego, lecz z Ducha Świętego, który w nim zamieszkał. Każdego ranka pierwszą myślą tego młodego człowieka jest wyznawać i świadczyć, że Jezus jest jego Zbawcą. Pokrzepiła mnie ta historia i wiem, że was również napęlni otuchą. Dlatego zaprosiłam go do nas, by ją wam sam opowiedział.

Drzwi zielonego pokoju uchyliły się. - Doktorze Talbot - powiedział młody człowiek - już czas. Proszę za mną.

Pastor poderwał się z miejsca. Rzucił okiem na Joe'ego i Marcusa, którzy siedzieli na kanapie ze wzrokiem utkwionym w monitor. Joe odwrócił do niego głowę, uśmiechnął się, wyciągnął przed siebie zaciśniętą dłoń z wyprostowanym kciukiem. - No, idź i opowiedz im, Pastorku.

Marcus oderwał oczy od monitora. - Połóżcie oboje większy nacisk na pokusy cielesne. Miej na względzie to, że jej widownia rekrutuje się spośród tych samych ludzi, którzy od poniedziałku do piątku oglądają ckliwe seriale. Przygotowałem dla niej specjalne fotografie. Potraktuj je jako scenopis.

Pastor skinął głową. Czując na ramieniu dłoń młodzieńca, odwrócił się i poszedł za nim korytarzem prowadzącym na scenę.

Młody człowiek dotknął kurtyny. - Wejdzie pan, gdy usłyszycie swoje nazwisko. Przystanie na chwilę, by zgromadzeni mogli się panu przyjrzeć, a potem zwróci się ku panie Kuhlman, która będzie siedziała na kanapce na środku sceny. Usiądzie pan na brzegu tej kanapy, twarzą do panny Kuhlman. Ze względu na ustawienie kamery niech pan siedzi pod kątem prostym do niej. Na stoliku przed panem stoi karafka

z wodą i szklanki. Potrzymam kurtynę, jak będzie pan wchodził.

- Dziękuję.

- Przyjaciele - rozległo się z głośników umieszczonych nad ich głowami - powitajcie serdecznie wielebnego C. Andrew Talbota.

Kurtyna uniosła się gwałtownie i Pastor znalazł się w oślepiających światłach reflektorów.

*

Pławił się w syropie jej uprzejmości i blasku światła. Wszakże za tą słodyczą kryła się żelazna konsekwencja, gdy powtarzała każdą jego odpowiedź na zadane przez siebie pytanie, nadając jej takie brzmienie, o jakie jej chodziło. Podziwiał ją. Ta pozornie krucha kobieta wykuta była z hartowanej stali. To była jej ambona. Ona była tu gwiazdą. Ani na chwilę nie dawała o tym zapomnieć.

Zdolności gwiazdorskie, tak określał to Marcus. Talent, który łączył ich wszystkich - coś nieokreślonego, coś, co ich wyróżniało z tłumu zwykłych duchownych. Niby każde z nich miało w sobie coś innego, ale w gruncie rzeczy to samo.

W ciągu dwóch miesięcy swych telewizyjnych występów miał okazję dobrze ich poznać. Pat Robertson przejawiał uprzejme zainteresowanie i serdeczność wymarzonego idealnego sąsiada; Jim Bakker był tym pucołowatym chłopcem zza ściany; Jeny Falwell jawił się jako szczerzy, przyjazny prezes lokalnej Izby Handlowej; Robert Shuller uosabiał wesołego, dodającego otuchy i ukazującego lepszą stronę sprawy doktora; występujący w kolorowych kurtkach Paul Crouch z powodzeniem mógł być sąsiadem, który w każdej chwili wskoczy do furgonetki i pogna do lasu lub na spotkanie z przygodą w jakimś odległym,

wspaniałym miejscu; Oral Roberts chciał być twoim znajomym, marzycielem z kieszeniami pełnymi pomysłów na przebudowę świata; Jimmy Swaggart był udreńczonym sumieniem - płakał z powodu wszystkich cierpiących na świecie; Rex Humbard przypominał surowego szefa, nie mniej zaś ważny od tamtych Billy Graham zachowywał się jak ojciec, do którego można się zwrócić w razie kłopotów.

Każdy był inny. Każdy był gwiazdorem. Każdy miał osobiste powiązania z Bogiem i Jego jedynym Synem, Jezusem Chrystusem, Zbawcą ludzkości.

Miała je też Katherine Kuhlman. Ona była ciotką, która przychodziła do ciebie, gdy znalazłeś się w opałach. Z ciasteczkami domowej roboty. Rosołem z kury. Wszystkim od czego mogłeś lepiej się poczuć.

Kiedy wrócili do hotelu po nabożeństwach, lampka w aparacie telefonicznym sygnalizowała, że ktoś usiłuje się dodzwonić. - Sprawdź, kto to? - spytał Joe.

- Proszę - odparł Pastor. W sypialni rzucił się na łóżko. Był zmęczony. Był również znudzony. Tyle razy opowiadał tę samą historię, że już sam nie mógł jej słuchać. Pocieszał się myślą, że to ostatni przystanek w tej podróży. Jutro będzie z powrotem w miasteczku Randle, wśród swoich.

W drzwiach stanął Joe. - Dzwoniła ta facetka, która pracuje dla Randle'a. Jane Dawson. Zostawiła swój numer w Dallas. Mówiła, że to pilne.

- Później do niej zakręcę - odparł Pastor. - To nie może być aż tak ważne. Nie widziałem jej kilka miesięcy.

- Twierdziła, że to bardzo pilne - upierał się Joe.

- No dobra. Połącz mnie.

Joe poszedł do sąsiedniego pokoju. - Jest na linii!

- zawołał po chwili.

Pastor podniósł słuchawkę. - Cześć, Jane. Coś się stało? - spytał kładąc głowę na poduszce.

- Muszę się z tobą zobaczyć - powiedziała zduszonym głosem.

- Wiesz, że nie możemy się spotykać - odparł Pastor. - Mówiłem ci, jak on na to reaguje.

- Zatrzymaj się w Dallas po drodze do domu. On się nie dowie.

- Nie, dałem mu słowo. - Zaczął szukać papierosa.

- Co się takiego wydarzyło, że nie możesz mi powiedzieć przez telefon?

- Ktoś mógłby podsłuchać.

- Nie u mnie.

- Nie jestem tego taka pewna. Czasem odnoszę wrażenie, że mój telefon jest na podsłuchu.

Nie mógł znaleźć papierosa i zaczynało go to irytować. - Mam to gdzieś, czy ktoś podsłuchuje, czy nie. Albo mi powiesz, albo kończymy tę rozmowę.

Rozpłakała się. - Przestań. Zachowujesz się jak dziecko.

- Nie mogę się powstrzymać - powiedziała łkając. - Jestem w ciąży.

- Psiakrew! - wykrzyknął, siadając na łóżku. Zastanowił się. - Weź się w garść. Jeszcze dziś spróbuję złapać jakiś samolot.

Rzucił słuchawkę i zerwał się z łóżka. Hałas sprowadził Joe'ego. - Co się dzieje? - zaniepokoił się.

- Aleśmy wdepnęli. Gorzej nie można - powiedział Pastor ze złością. Odwrócił się do Joe'ego.

- Zadzwoń do linii lotniczych i spróbuj mi załatwić bilet do Dallas na dziś.

12

Zobaczył ją, schodząc po schodkach z samolotu. Czekala na niego przy wyjściu. Twarz miała bladą, zmęczoną, w oczach niepokój. - Pastorku - przywitała go niepewnym głosem. Pochylił się, pocałował w policzek.

- Masz jakiś bagaż? - spytała.

- Nie - odrzekł. - Bagaż zabrał Joe.

- Mój samochód stoi na parkingu.

Skinął głową i w milczeniu skierował się za nią ku ruchomemu chodnikowi, który zawiózł ich do głównego hallu. Lotnisko było opustoszałe. Zegar na ścianie pokazywał pierwszą czterdzieści w nocy.

- Jesteś na mnie zły - powiedziała.

- Bardziej na siebie - odparł. - Myślałem, że jesteś w tych sprawach sprytniejsza. Nawet dziewczyna z liceum nie jest taka głupia, żeby się nie zabezpieczyć.

Nie odpowiedziała. Milczeli przez całą drogę z lotniska do jej mieszkania, które mieściło się w bardzo eleganckiej kamienicy. Wysiadła z samochodu, podała kluczyki portierowi.

Pastor wszedł za nią do hallu. Winda po naciśnięciu guzika zawiozła ich na najwyższe piętro. Kiedy Jane otworzyła drzwi do dwukondygnacyjnego apartamentu, Pastor pomyślał, że to chyba najdroższe mieszkanie w całym mieście. Olbrzymie francuskie okna na całą ścianę wychodziły na tarasy. Mieszkanie było umeblowane według najnowszej mody, a na ścianach wisiały obrazy znanych współczesnych malarzy. - Coś ci podać? - spytała, gdy weszli do salonu.

- Nie odmówiłbym kielicha - powiedział, rozglądając się z zainteresowaniem.

- Czego byś się napił?
- Szkockiej, jeśli masz - powiedział.
- Mam - odrzekła idąc do barku.
- To oryginał czy kopia? - przywołał ją z powrotem, wskazując obraz Picassa.
- Oryginał.
- Nie miałem pojęcia, że tak dobrze zarabiasz
- zdziwił się. - Do tej pory obrazy Picassa widywałem jedynie w muzeach.
- Przyniosę ci whisky - odparła.

Kiedy wróciła, był na zewnątrz. Spoglądał z tarasu na miasto. Wziął od niej szklanekę. - Ileż tu świateł - stwierdził wracając do swych obserwacji.

- Tak - przyznała. - Dlatego wybrałam to mieszkanie. Dla tych pięknych widoków.
- Takie mieszkania widywałem tylko na filmach. To Randle za nie płaci? - spytał.

Pokiwała głową w milczeniu.

- Potrafiłaś naciągnąć tego starego skurwysyna na takie mieszkanie, a tak pokpiłaś tamto? - spytał złośliwie. - Myślałam, że jestem bezpieczna - odparła. - Lekarz kazał mi odstawić pigułkę, więc zdałam się na czopki.

Przeliczył szybko. Minęły prawie trzy miesiące, odkąd byli ze sobą ostatni raz. - Który to miesiąc? - Lekarz mówi, że koniec trzeciego.

- I dopiero teraz to odkryłaś?

- Już ci mówiłam. Myślałam, że jestem bezpieczna. Nie miesiączkowałam bardzo regularnie, zdarzało mi się przepuścić jeden, nawet dwa okresy. Dopiero w tym tygodniu, gdy obudziłam się z mdłościami, pomyślałam, że coś tu nie gra.

- Cholera - zdenerwował się i pociągnął duży łyk whisky. - Pytałaś go, czy wykonałby zabieg? - On tego nie zrobi.

- Czemu?

- Jest przeciwnikiem aborcji.

- Katolik?

- Nie. Baptysta głęboko wierzący w prawo do życia.

Wypił do dna. - Dzięki Bogu nie jest jedynym lekarzem na świecie.

- Chcesz, żebym usunęła tę ciążę? - spytała zaszokowana.

Spojrzał na nią wściekły. - A co sobie wyobrażasz? Pierwszy raz w życiu mam możliwość stworzenia własnego kościoła. Ładnie by to wyglądało, gdybyś urodziła tego bękarta.

Przecież to by się zaraz wydało. Randle w mig wszystko wyniucha.

- Moglibyśmy się pobrać - powiedziała po chwili milczenia.

- Gdzie mi do żeniaczki - pokręcił głową. - Nigdy nie planowałem małżeństwa. - Uniósł szklankę. - Gdzie jest bar? Chętnie bym się jeszcze napił. Zaprowadziła go z powrotem do salonu i wskazała barek w małej alkwie w rogu. Na blacie stała butelka whisky. Nalał sobie. - Prawdopodobnie jesteś tu zbyt znana, żeby ryzykować - powiedział wróciwszy do niej na taras. - Najlepsza byłaby Kalifornia. Opadła na kanapę. - Nie wierzę własnym uszom - powiedziała. - To mówisz ty, który głosisz Ewangelię świętą? Głosisz ją ustami czy sercem?

- Owszem, głoszę ewangelię. Ale nawet baptyści w klauzuli z 1968 roku uznali, że aborcja to sprawa osobista człowieka - odpowiedział ze złością. - Powiedz mi, gdzie w Biblii jest napisane, że mam się żenić z każdą dziewczyną, której zrobię brzuch?

- Były inne? - spytała zimno.
- A skąd mam wiedzieć? - zdenerwował się. - Nigdy nie stroniłem od dziewcząt, ale ty jesteś pierwsza, która zwraca się do mnie z takim problemem. Poza tym skąd mam być pewny, że to moje dziecko? Minęło prawie trzy miesiące, odkąd spaliśmy ze sobą. Zaraz po naszym rozstaniu mogłaś pójść do łóżka z kimś innym.
- Po jej policzkach zaczęły płynąć łzy. - Ale nie poszłam.
- Milczał przez chwilę. - No dobra. Nie poszłaś. To jednak niczego nie zmienia.
- Nie zmienia też niczego fakt, że cię kocham? - spytała.
- Bóg każe nam kochać się wzajemnie - odparł.
- Nie o taką miłość tu chodzi i ty dobrze o tym wiesz - upierała się.
- Łyknął whisky i usiadł naprzeciwko niej. - Boże jedyny, jak ty wszystko utrudniasz. Czy wiesz, co będzie, kiedy stary Randle się dowie? Przecież musiałem mu obiecać, że będę się trzymał od ciebie z daleka. Wywali nas na zbity pysk i szlag trafi mój kościół i to twoje piękne mieszkanie. Uśmiechnęła się. - Może tak wcale nie będzie. Może się ucieszy.
- O czym ty, do diabła, mówisz? - spojrzał na nią zdziwiony.
- Jak myślisz, dlaczego on nie chciał, żebyś się ze mną spotykał?
- Powiedział, że zawracam ci głowę i że odciągam cię od pracy. I że on osobiście jest tobą zainteresowany.
- A tobie nic innego nie przyszło do głowy tylko to, że jestem jego dziwką, tak? - Była teraz wściekła.
- Ty głupi idioto, czy sądzisz, że ktokolwiek o zdrowych zmysłach zgodziłby się, żeby jego córka wdała

się w historię z facetem, któremu zależy wyłącznie na głoszeniu ewangelii?

- To znaczy... ? - Zaczynał wreszcie rozumieć, o czym mówiła. Naraz zadzwonił telefon. Odwrócił głowę w jego kierunku.

Nie ruszyła się. - To prawdopodobnie on. Gapił się na nią w milczeniu.

- Odbierz - powiedziała. - On pewnie chce z tobą porozmawiać. Mówiłam ci, że mój telefon jest na podsłuchu.

Podniósł słuchawkę. - Halo - powiedział ostrożnie.

- Andrew? - W słuchawce rozległ się donośny głos starszego pana.

- Tak.

- Gratuluję, synu. - Głos Randle'a odbił się echem w jego uchu. - O nic się nie martw.

Wydałem już dyspozycje odnośnie ślubu.

13

Jake Randle dotrzymał słowa. Zgodnie z zapowiedzią Jezusland był gotowy na początku maja 1976 roku. Oficjalne otwarcie miało jednak nastąpić czwartego lipca, równocześnie z obchodami dwustulecia niepodległości.

Do jedenastej rano komputery w centrum recepcyjnym zarejestrowały przybycie dwu tysięcy czterystu dwudziestu jeden gości. Na parkingu stało już trzydzieści jeden autobusów. Na lotnisku wylądowało siedem prywatnych samolotów odrzutowych, trzy DC-9 oraz jeden boeing 727-200. Na dodatkowych

parkingach stłoczono ponad siedemset samochodów i piętnaście autobusów, a przed drugą po południu oczekiwano przylotu jeszcze trzech dużych samolotów czarterowych.

Pastor stał przy oknie w swym biurze na siódmym piętrze wieży kościelnej. Patrzył z wysoka na przechadzające się po Jezuslandzie tłumy odświętnie ubranych mężczyzn, kobiet i dzieci. Panowała atmosfera festynu, co najwyraźniej wszystkim się bardzo podobało. Naraz odezwał się brzęczyk interkomu. Pastor podszedł do biurka, wcisnął guzik. - Słucham? - powiedział do mikrofonu.

- Pańska żona na linii, doktorze Talbot - poinformowała go sekretarka.

Podniósł słuchawkę prywatnego telefonu. - Dzień dobry, Jane.

- Dzień dobry, kochanie - odparła. - Brakowało mi ciebie rano.

- Wczesnie wstałem. Spałaś tak słodko, że nie miałem sumienia cię budzić.

Roześmiała się. - Czy to nie wspaniałe? Nie wierzyłam własnym oczom, gdy zobaczyłam przez okno te tłumy.

- Przyjechało już około dwu i pół tysiąca ludzi - stwierdził.

- A ilu jeszcze się spodziewasz?

- Nie wiem - odparł. - Nie otrzymałem żadnych informacji.

- Głuptas z ciebie - roześmiała się. - Nikt nie musi cię informować. Od tego masz na biurku komputer. Wydobędzie wszelkie potrzebne ci informacje z banku danych.

- Nie wiem, jak to działa.

- To proste. Musisz wpisać odpowiedni kod. Na ekranie automatycznie wyświetlą się informacje.

Pokręcił głową. - Nie nadaję się do tego kompletnie. Zapomniałem, jaki to kod.

- Masz przecież książkę kodów?

- Nie potrafię się w niej połapać. To zbyt skomplikowane.

- Masz chyba zaćmienie umysłu. Pamiętasz każde słowo z Biblii, a nie potrafisz znaleźć sobie odpowiedniego numeru w książce kodów. Ja ci podam ten kod. 21-30-219-17.

Wystukał cyfry na klawiaturze komputera. Na ekranie natychmiast pojawiła się odpowiedź. - Trzy tysiące czterysta szesnaście.

- Nie zmieszczą się wszyscy w kościele - stwierdziła. - Dobrze, że w kaplicach zainstalowano monitory. Obsłużą przynajmniej tysiąc osób.

- Muszę zawiadomić recepcję - powiedział. Roześmiała się. - Nie musisz. Komputer informuje ich na bieżąco, ile miejsc siedzących jest już zajętych. Jak tylko kościół się zapełni, zaczną kierować ludzi do kaplic.

- Kim ja bym był bez ciebie?

- Mogę ci powiedzieć - roześmiała się. - Byłbyś dalej wesołym kawalerem, nie zaś ojcem dwójki dzieci.

Uśmiechnął się do siebie. Mały Jake miał już prawie piętnaście miesięcy, Lindzie Rae do trzech miesięcy brakował niecały tydzień. - A jak one się dziś czują?

- Świetnie - odparła. - Są teraz w pokoju dzieciennym z dziadkiem. On nigdy przedtem się tak dobrze nie bawił. Ale nie w tej sprawie do ciebie dzwonię. Chciałabym wiedzieć, czy będziesz miał dziś czas, żeby zjeść z nami lunch.

- Nie sądzę - odparł. - Mam jeszcze tyle roboty. Teraz muszę zejść na dół, żeby przywitać się z Ruth Carter Stapleton.

- Kim ona jest?
- Siostrą Jimmy Cartera.
- A kim on jest?
- To gubernator Georgii, który z ramienia demokratów zamierza starać się o fotel prezydenta. On jest neofitą, ona zaś kaznodzieją. Zaraz potem muszę być na lotnisku, bo prywatnym samolotem przylatuje gubernator Teksasu.
- Smutno mi - powiedziała. - To kiedy się zobaczymy?
- Tak jak w tym starym powiedzonku - roześmiał się. - Zobaczymy się w kościele.
- Gdybym cię nie kochała, to bym cię nienawidziła.
- Ja też cię kocham - powiedział i odłożył słuchawkę.
Odezwał się brzęczyk. - Pan Lincoln do pana - oznajmiła sekretarka.
- Niech wejdzie.
Do pokoju wszedł producent z plikiem kartek w ręce. Uśmiechał się. - Sądzę, że się udało.
Pastor odwzajemnił jego uśmiech. - Mam taką nadzieję.
Marcus położył scenariusz na biurku. - Tu znajdziesz wszystko, co ci będzie potrzebne.
Zostawiliśmy ci piętnaście minut na kazanie.
- Tylko piętnaście minut? - zdumiał się Pastor.
- A co stało się z resztą czasu? Zdawało mi się, że mamy półtorej godziny.
Marcus roześmiał się. - Samo przedstawienie gości i ich krótkie wypowiedzi zajmą czterdzieści pięć minut. - Zostaje jeszcze co najmniej pół godziny.
- Migawki filmowe z Jezuslandu, fragmenty twoich wystąpień w innych programach, czołówka i tym

podobne. - Opadł na fotel z drugiej strony biurka. - Ale nie musisz się martwić. Najważniejsze to pamiętać, że musimy zacząć punktualnie o trzeciej i skończyć dokładnie o czwartej. Zostają wtedy cztery godziny na zredagowanie programu i czynności techniczne. Wchodzimy na antenę o dziesiątej czasu wschodniego, siódmej czasu zachodniego. - Dobra - zgodził się Pastor.

- Jim Woden będzie pilnował czasu. Ty musisz tylko stosować się do jego wskazówek, a inne sprawy cię nie obchodzą. - Wstał. - Gdybyś miał jeszcze jakieś pytania, to jestem w biurze na dole. Poleciałem, żeby wszyscy byli na scenie piętnaście minut przed rozpoczęciem. - Wystarczy.

Marcus uśmiechnął się. - Życzę szczęścia.

- Dziękuję - odparł Pastor. - Będzie nam potrzebne.

Do biura przeniknął cichy odgłos odrzutowca. Pastor podszedł do okna i wyjrzał. Nad lotniskiem zniżał się samolot, słońce połyskiwało na jego srebrnych skrzydłach. Pastor głęboko odetchnął.

*

Minęły już prawie dwa lata od tamtego ranka, kiedy razem z Jane przyleciał z Dallas jednym z małych odrzutowców Randle'a i wylądował na jego prywatnym lotnisku. Pastor nie udał się na ranczo z Jane, lecz został odwieziony limuzyną do swego samochodu kempingowego na polu za miastem, gdzie stał też jego namiot.

Wieści rozchodzą się lotem błyskawicy. Joe i Beverly czekali na niego w samochodzie. - Jak poszło? - spytał Joe.

- Dobrze - odparł, starając się, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

Joe nie spuszczał go z oka. - Kiedy ślub? Teraz już nie mógł ukryć zdziwienia. - Skąd wiesz?

- To przecież nie tajemnica - odparł Joe. - Ona tu dzwoniła, żeby dowiedzieć się, gdzie jesteś. - To jeszcze nic nie znaczy.

- Płakała, kiedy z nią rozmawiałam - poinformowała go Beverly. - Spytałam, co się stało, a ona na to, że jest w ciąży. - Beverly sięgnęła po papierosa. - A dziś z samego rana zjawiała się tu bardzo zdenerwowana Charlie. Charlie romansuje z Larrym, ochroniarzem Randle'a. Przyszedł do niej o trzeciej nad ranem i powiedział, że się żenisz z córką starego.

Pastor milczał.

- Wiedziałeś, że to jego córka? - spytała Beverly. Pokręcił głową. - Nie, dowiedziałem się o tym dopiero wczoraj.

- Zamierzasz brnąć w tę historię?

Spojrzał na nią. - Nie mam wyboru. Jeśli tego nie zrobię, to szlag trafi wszystko.

- To dziwka! - usłyszał za sobą głos Charlie. Odwrócił się zaskoczony. Nie słyszał, kiedy weszła. - Dziwka! - krzyknęła. - Wrobiła cię!

- Nie wrobiła - zaprotestował. - To nie jej wina.

- Przez trzy miesiące nie zorientowała się, że jest w ciąży? Myślałby kto, że taka głupia - ciągnęła Charlie. - Ciekawe, co byś powiedział, gdyby któraś z nas ci to wrobiła?

Odesłałbyś ją do najbliższego lekarza. Milczał.

- Ty jej nie kochasz - powiedziała Charlie oskarżycielskim tonem. - To forsa starego tak cię ogłupiła. - Usunięcie ciąży jest grzechem - stwierdził. - Tak mówi Pismo święte.

- Gówno tam! - wybuchnęła Charlie. - Mam już

dość tego twojego zasłaniania się Pismem świętym i cytowania go, kiedy ci to na rękę. Dlaczego raz nie przyznasz, że chodzi ci o forszę?

- Nie chodzi mi o forszę - zaprotestował - tylko o możliwość służenia Bogu.

- Gadaj zdrów - odparła złośliwie. - Mnie i dziewczyn już nie nabierzesz. Kiedyś w ciebie wierzyliśmy, ale to się skończyło. Jesteś taki sam jak inni. Po prostu wypiąłeś się na nas. Rano wyjeżdżamy.

- Poczekaj - powiedział. - Dajcie mi szansę. Nic się nie zmieni. Nadal będziemy służyć Jezusowi Chrystusowi.

- Jesteś głupi jak but - rzekła z pogardą. - Nie widzisz, że pracujesz nie dla Jezusa Chrystusa, ale dla Jake'a Randle'a?

Zanim zdążył cokolwiek odpowiedzieć, odwróciła się na pięcie i wybiegła. Spojrzał na Joe'ego i Beverly. - Leć za nią - powiedział do Joe'ego. - Może tobie uda się je przekonać.

- Przekonywaliśmy je przez całe rano - rzekła Beverly. - Bez skutku. Czują się zdradzone. Tylko Tarz zostaje.

Milczał przez chwilę. - A wy? - spytał.

- My zostajemy - odparł Joe. - Nie mamy nic przeciwko temu, żebyś spijał śmietankę.

- Ty też myślisz, że robię to dla forsy?

- Co mi tam? - machnął ręką Joe. - Jesteś kaznodzieją i masz wygłaszać kazania. A jak to robisz, nie moja sprawa.

- A ty, Beverly, co ty o tym sądzisz? Uśmiechnęła się powoli. - Postawiłam na ciebie dawno temu. Nieważne, co robisz. Poza tym buddyści nie mają prawa oceniać chrześcijan.

- Chodzi tylko o to, czy ty chcesz, żebyśmy zostali - rzekł Joe.

Pastor popatrzył mu w oczy. - Wiesz, że chcę. Joe porozumiał się wzrokiem z Beverly. - No to zostajemy.

Pastor spojrział na Beverly. Pokiwała twierdząco głową. - Świetnie - powiedział. - Bardzo się cieszę.

- Ale wiesz... Pasujemy do siebie jak buty nie do pary - rzekł Joe. - Będą na ciebie naciskać, żebyś się nas pozbył.

- Nikt mnie do tego nie zmusi - odparł Pastor.

- Skoro już mowa o ślubie - wtrącił Joe - to czy miałbyś coś przeciwko temu, żebyśmy z Beverly się pobrali?

- Przecież masz żonę i dzieci w Kalifornii - zdziwił się Pastor.

- Po pierwsze nigdy nie byliśmy prawdziwym małżeństwem, po drugie ona wyszła już za innego - odrzekł Joe.

Pastor spojrział na niego. - Jeśli tak, to nie mam nic przeciwko temu.

Joe uśmiechnął się od ucha do ucha. - Nie pozostaje nam nic innego, jak pogratulować sobie wzajemnie.

Pastor wziął głęboki oddech. - Jeszcze nie. Najpierw porozmawiam z dziewczynami. Nie mogę się zgodzić, żeby odjechały. Nie w taki sposób.

14

Poszedł przez pole do ich ciężarówki, pokonał trzy schodki, zapukał do drzwi. - Kto tam? - dobiegło zduszone pytanie.

- Pastor.

- Idź sobie. Nie mamy ci nic do powiedzenia.

- Ale ja mam wam coś do powiedzenia - rzekł.

- Nas to nie interesuje. Idź sobie.

Spróbował otworzyć drzwi. Były zamknięte. - Otwórzcie! - zawołał.

- Nie.

Nacisnąwszy klamkę, kopnął w drzwi spodem swego ciężkiego buta. Poddały się natychmiast. Wszedł do środka. - Przepraszam.

Dziewczęta stały przy pryzkach. Na podłodze pełno było tekturowych pudeł i walizek. W powietrzu unosił się słaby zapach trawki. Pastor powoli przenosił wzrok z jednej dziewczyny na drugą. Przyjmowały to w milczeniu. - No dobra - powiedział w końcu. - Która ma skręta? Cisza.

- Nie bądźcie skąpe - zażartował. - Dajcie się sztachnąć.

Wymieniły spojrzenia. Melanie podała mu wypalonego do połowy skręta. Zapalił. Usiadł na krześle przy drzwiach i zaciągnął się głęboko dwa razy. Pokiwał głową w zamyśleniu, zaciągnął się jeszcze raz i bez słowa oddał skręta Melanie.

Zaciągnęła się, podała skręta stojącej obok niej Charlie. Potem Charlie przekazała go następnej dziewczynie. Ostatnia z nich dopaliła papierosa do końca.

Przez cały czas nie padło ani jedno słowo. - Macie jeszcze jednego? - spytał Pastor.

- Czy po to wyważyłeś drzwi? - rzuciła się na niego Charlie.

Ich oczy spotkały się. - Czy po tym, co mi powiedziałaś, mógłbym mieć inny powód? Spuściła głowę.

Zanim zaczął mówić, jeszcze raz powiódł po nich wzrokiem. - Chcecie wiedzieć, dlaczego wdarłem się do was siłą? Powiem wam. Otóż zbyt długo się znamy, zbyt wiele razem przeszliśmy i zanadto was kocham, żeby pozwolić wam odejść w ten sposób.

I tym razem Charlie była tą, która mówiła za nie wszystkie. - Ale ty nas już nie potrzebujesz. Przenosisz się.

Spojrzał jej w oczy. - Bez was się nigdzie nie ruszę. Teraz potrzebuję was bardziej niż przedtem.

- Co ty powiesz? Prawda jest taka, że jeździsz sobie po całym kraju, a my tu siedzimy i kręcimy młynka palcami. Nawet gdy w końcu się zjawiasz na dzień czy dwa, to wcale z nami nie rozmawiasz. Ciągłe masz zebrania czy coś w tym rodzaju. Aż tu nagle dowiadujemy się, że żenisz się z jakąś bogatą pindą.

Zrobił zdziwioną minę. - Nie wiedziałem, że byliście ze mną tylko dlatego, że się nie żeniłem. Sądziłem, że łączy nas miłość, do siebie wzajemnie i do Jezusa.

- Ciągłe nam mówisz o miłości, ale to ją rznąłeś przez ten cały czas.

- Miałem cię za mądrzejszą, Charlie - powiedział.

- Ja już sama nie wiem, co o tym myśleć - odrzekła, odwracając głowę, ale za późno, by nie dojrzał napływających do jej oczu łez. Wstał z krzesła, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie. - No, Charlie - powiedział. Ukryła twarz w jego ramionach. - Pozwól nam odejść, Pastorku. Do czego jesteśmy ci jeszcze potrzebne? Gładził delikatnie jej włosy. - Do tego samego co zawsze, Charlie - powiedział cicho. Popatrzył znad jej głowy na pozostałe dziewczęta. - Pamiętajcie, co powiedziałem, kiedyśmy wyjeżdżali z naszej komuny w Los Altos? Że razem stworzymy parafię. Miejsce,

w którym będziemy ułatwiać ludziom znalezienie drogi do Boga. Poprosiłem, żebyście mi pomogły. Przerwał na chwilę. Żadna się nie odezwała.

- Nic się nie zmieniło. I ja się nie zmieniłem. Dalej chcę, żebyście mi pomagały. Wciąż was potrzebuję. Potrzebuję waszej wiary, zaufania, miłości. Bez was niczego nie dokonam.

- Jeszcze zanim to się stało - odezwała się Melanie - mówiono nam, że nas odeślesz.

- Kto wam mówił? - spytał.

- Tutejsi - odparła. - Podobno stary Randle kazał ci pozbyć się haremu.

- Czemu ich słuchałyście? - spytał. - Czemu nie przyszłyście z tym do mnie?

- Chciałyśmy - odrzekła. - Ale wciąż byłeś zajęty. To wyjeżdżałeś, to przyjeżdżałeś.

Milczał przez chwilę. - Coś wam obiecuję. Za każdym razem, gdy będziecie chciały ze mną porozmawiać, przyjdźcie do mnie. Obiecuję, że zawsze znajdę dla was czas. -

Patrzyły na niego szeroko otwartymi oczyma. - Więc jak, zostajecie?

Pastor spojrział na wydruk komputerowy na biurku, a następnie na siedzącą po drugiej stronie Beverly.

- Ponad sześć milionów dolarów?

- Tak jest - odpowiedziała. - Tyle właśnie Fundacja Randle'a zainwestowała w Jezusland.

Do niej należą grunty i budynki, które wydzierżawili nam na okres dziesięciu lat po sześćset tysięcy dolarów rocznie. My opłacamy również remonty i naprawy.

- To dodatkowo pięćdziesiąt tysięcy rocznie

- stwierdził Pastor.

- Jesteśmy im winni także ponad pięćset tysięcy dolarów, które wyłożyli na wykup radiowego i telewizyjnego czasu antenowego.

Pokręcił głową. - Ciężko będzie to ugryźć.

- To jest umowa - powiedziała beznamiętnie. - Ty ją podpisałeś. Jeśli się dobrze spisujemy, Randle nieźle się obłowi. - A jeśli nie?

- To wyrzuci nas i wszystko zabierze.

- I co z tym zrobi?

- Nie wiem - wzruszyła ramionami.

Nagle Pastor wybuchnął głośnym śmiechem. - On z tym nic nie zrobi. Możemy nie zapłacić mu ani grosza, a on i tak nas nie wyrzuci. Bez nas może wsadzić sobie to wszystko w tyłek. Tym razem chyba się jednak przeliczył. - Możliwe - odparła obojętnie.

- Kiedy zacznie naliczać się czynsz? - spytał.

- Już się nalicza - odpowiedziała. - Jesteśmy mu winni ćwierć miliona dolarów.

- Dobra - rzekł. - Zaczniemy płacić, jak dojdzie do miliona.

- Jak to zrobić? - spytała. - Mamy już prawie trzysta tysięcy dolarów wpływów z trzech dostaw pocztowych, a jeszcze oficjalnie nie zaczęliśmy działać.

- Ty tu jesteś skarbnikiem, prawda? - powiedział. - Jestem - zgodziła się.

- Kto pierwszy oblicza pieniądze?

- A więc jest tak samo, jak wtedy gdy jeździliśmy z namiotem - powiedział. - Ten, kto pierwszy oblicza pieniądze, ten również decyduje, komu ile zapłacić.

Popatrzyła na niego zdumiona. - Wtedy tak me robiłeś. . XT

- Sytuacja się trochę zmieniła - odparł. - Na pewno lepiej, żeby te pieniądze służyły Bogu, niż żeby rozpychały kieszenie mojego teścia.

- No dobrze - zgodziła się i zaczęła zbierać papiery z biurka.
- Dzwoni pan Woden z kontrolki - odezwał się głos sekretarki. - Mówi, że do programu pozostała już tylko godzina i pyta, czy przysłać panu charak-teryzatorkę.
- Za piętnaście minut - odrzekł Pastor. Gestem ręki zatrzymał Beverly, która zaczęła szykować się do wyjścia. - Jeszcze chwileczkę.
- Stojąc już, spojrzała na niego pytająco.
- Czy wszystkie nasze wpływy są rejestrowane przez komputer?
- Pokiwała twierdząco głową.
- A czy można coś zrobić, żeby część z nich nie szła przez komputer?
- To trudne - odparła.- Komputerem rządzi Jane A twoja żona jest bardzo skrupulatna.
- Aż za bardzo - powiedział oschle. - Ale ja pytam ciebie, nie Jane. Czy to możliwe?
- To trudne - powtórzyła cicho - ale nie jest niemożliwe.
- Więc zrób tak - rzekł. - Chcę, żeby dziesięć procent wpływów szło na konto, o którym będziemy wiedzieć tylko my dwoje.
- Dobrze. - Na jej twarzy na chwilę zagościł uśmiech. - Stajesz się podobny do Chińczyka.
- Nie - odparł. - Jedyne ostrożny. Zbyt wiele kościołów trafiło w ręce ludzi pozbawionych skrupułów. Chcę mieć pewność, że nam to się nie przydarzy.
- Gdy wyszła, sięgnął po słuchawkę telefoniczną wystukał numer. Odezwała się Charlie. - Jak tam dzieciaki? - spytał.
- Świetnie - odpowiedziała podnieconym głosem - Właśnie skończyliśmy się ubierać, a teraz idziemy do charakteryzatorki.
- Doskonale - powiedział. - Wszystkie jesteście gotowe, tak?

- Wszystkie - odparła. - Nie chcemy ryzykować.
- Wspaniale. Zobaczymy się na dole. Po programie zbierzemy się na papieroska.
- Świetnie.
- Z Bogiem - rzekł, odkładając słuchawkę. Nacisnął guzik interkomu. - Proszę mi znaleźć brata Washingtona - W chwilę potem zahuczał telefon. Na linii był Joe.
- Jesteś gotów? - spytał Pastor.
- Mam na sobie niedzielny garnitur - odparł Joe.
- To przyjdź do mnie - powiedział Pastor. - Zaraz będzie tu charakteryzatorka.
- Już lecę - roześmiał się Joe. - Ale ja makijażu raczej nie potrzebuję. Jestem chyba wystarczająco opalony.

*

W czterdzieści pięć minut później Pastor stał na umieszczonej pod sceną małej ruchomej platformie, która miała go przenieść, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, na jego stanowisko za pulpitem. Spoglądał na ekran monitora, wbudowanego w półkę z przodu.

Wtem usłyszał nad sobą śpiew chóru i ekran ożył.

Najpierw ukazał się ogólny widok Jezuslandu z helikoptera, następnie kamera pokazała w zbliżeniu wejście do kościoła, w którym tłoczyli się ludzie, po czym przeniosła się na ogromny krzyż, zawieszony między dwiema wieżami budynku, by zaraz potem gwałtownie wedrzeć się do wnętrza kościoła i przesunąć się po twarzach zgromadzonych.

Jednocześnie z głośników odezwał się miękki baryton konferansjera:

- Z Jezuslandu w stanie Teksas, w dwusetną

rocznicę powstania Stanów Zjednoczonych Ameryki, wita was kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki na wielkiej uroczystości otwarcia pierwszego Świątka Wiary.

Kamera z wolna zaczęła się przesuwać po twarzach siedzących na estradzie gości, na ułamek sekundy zatrzymując się, żeby publiczność mogła ich rozpoznać, konferansjer zaś kontynuował: - Dostojni goście, panie i panowie, kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki ma zaszczyt przedstawić...

Miniaturowa słuchawka w uchu Pastora zatrzeszczała, a ruchoma platforma drgnęła i zaczęła się wolno wznosić. W słuchawce Pastor usłyszał głos Jima Wodena: - Niech pan się trzyma, doktorze Talbot. Jedzie pan do nieba.

Pastor uśmiechnął się do siebie na ten niewinny dowcip, podnośnik zaś skierował się w stronę pulpitu. Nad wszystkimi dźwiękami górował głos konferansjera: - wielebnego pastora, doktora C. Andrew Talbota!

Zebrani zaczęli bić brawo. Patrząc na nich, Pastor po raz pierwszy w życiu poczuł swą władzę nad ludźmi. Wiedział, że jest w stanie poruszyć ich, dotrzeć do nich. Dzięki swej władzy mógł zmienić życie tych ludzi, zbliżyć ich do Boga. Powoli powiódł wzrokiem po ogromnym audytorium, gdzie nie było ani jednego wolnego miejsca. Wszędzie gdzie spojrzał, widział zwróconych ku sobie ludzi w oczekiwaniu, że natchnie ich wiarą i nadzieją.

Uniósł nad głowę obie ręce, dłońmi do przodu i trzymał je »tak dopóty, dopóki nie ustały oklaski. Gdy wreszcie zapadła cisza, odwrócił się i spojrzał na podium za sobą, a następnie znowu na zgroma-

dzonych. Jego głos był łagodny, pełen pokory, równocześnie zdecydowany.

- Bracia i siostry w Chrystusie, zacznijmy od modlitwy. - Złożył dłonie i spuścił głowę, czekając, by zgromadzeni poszli jego śladem.

- Dzięki Ci, o Panie, że nam to umożliwiłeś. Oddajemy siebie i tę parafię służbie bożej i modlimy się zgodnie z ewangelią Twego jedyne Syna Jezusa Chrystusa. Ślubujemy, że będziemy głosić światu Jego święte posłanie, poświęcając swe siły, serca i umysły.

Księga trzecia

Jezus i władza

1

- Przepraszam za spóźnienie - zaczął Pastor wchodząc do sali konferencyjnej i zajmując miejsce u szczytu stołu - ale kiedy dowiedzieliśmy się, że prezydent Reagan został postrzelony, przerwałem nagrywanie programu i przekształciłem go w mszę na intencję wyzdrowienia prezydenta, jego asystenta, Jamesa Brady'ego, oraz człowieka z tajnych służb, którego również trafiono. Wejdziemy na antenę o siódmej wieczorem czasu wschodniego i czwartej czasu zachodniego. Wyprzedzimy wszystkie nabożeństwa telewizyjne tego rodzaju. Inni nadają swe programy z opóźnieniem od jednego dnia do tygodnia. Pozielenieją z zazdrości.

- A co właściwie się stało? - spytał Randle z drugiego końca stołu. - Telewizja podała jedynie, że prezydent został zabrany do szpitala, ale czy jego życiu zagraża niebezpieczeństwo, nikt nie wie.

- Być może to nic poważnego - odparł Pastor. - W jednym z komunikatów podano, że wszedł do szpitala o własnych siłach, jakkolwiek nie zostało to potwierdzone.

- Jeśli szczęście nam dopisze i wszystko się dobrze skończy - rzekł Randle - to już nasi specjaliści od

opinii publicznej dopilnują, żeby cały kraj się dowiedział, iż to właśnie nasze modlitwy, jako pierwsze przywołały Jezusa na pomoc prezydentowi. Pastor przeszył go wzrokiem. - Teraz to nawet jestem zadowolony, że opowiadałeś się po stronie ludzi Busha - powiedział starszy pan, wytrzymując spojrzenie Pastora - choć wtedy uważałem, że ci odbiło. Jeśli prezydent umrze, to Falwell będzie pluł sobie w brodę, że próbował wyperswadować mu wzięcie Busha. - A ja sądziłem, że w tej sprawie ty grałeś pierwsze skrzypce - zauważył Pastor z naciskiem. - Dałem komitetowi trochę pieniędzy, to wszystko - stwierdził Randle niechętnie. - Osobiście uważałem, że Haig byłby lepszy. Jedno jest bezsprzeczne. Musimy zrobić, co w naszej mocy, żeby panować nad Izbą Reprezentantów podczas wyborów w osiemdziesiątym drugim roku. Jeśli oni będą mieć prezydenta, w tym przypadku Busha, to my mamy Tipa O'Neilla i demokraci znowu wrócą do Białego Domu. - Do wyborów jeszcze półtora roku - zauważył Pastor. - Nigdy nie jest za wcześnie - stwierdził Randle. - Musimy się zabezpieczyć, w przeciwnym razie stracimy wszystko, co zdobyliśmy. Pastor pokiwał głową, nie komentując. Rozejrzał się po zebranych. - Zajmijmy się teraz naszymi sprawami. - Przytaknęli na znak aprobaty. Pastor wziął do ręki młotek, postukał w stół. - Niniejszym otwieram zebranie rady nadzorczej kościoła Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki. - Proszę - zwrócił się do Beverly siedzącej po jego prawej stronie - o odczytanie listy obecności i protokołu z ostatniego zebrania.

Beverly wstała. Machinalnie odczytała nazwiska.

- Pan Jake Randle, pan Richard Craig, pan John Everett, pan Charles Michaels, pan Marcus Lincoln, pani Helen Lacey, pani Jane Talbot, doktor C. Andrew Talbot. - Przerwała na chwilę, by sięgnąć po notatnik. - Protokół z poprzedniego zebrania mają państwo w swych materiałach. Odczytam go. - Proponuję przyjąć protokół bez czytania - rzekł Randle.

- Popieram wniosek - powiedział Craig. Pastor zerwał się z miejsca. - Wniosek został postawiony, musimy go przegłosować. Kto jest za? - Wniosek przeszedł jednogłośnie. Pastor skinął do Beverly. - Odczytaj sprawozdanie finansowe za ostatni kwartał.

Beverly sięgnęła po inną broszurę. - Szczegółowa kopia tego sprawozdania również znajduje się w materiałach państwa. Jeśli państwo pozwolą, przedstawię główne punkty.

Dochód ze zbiórek i darowizn.....12.1 min

Dochód z dywidend,
procentów i innych źródeł.....4.7 min

Dochód całkowity.....16.8 min

Rozchód na wydatki bieżące.....10.5 min

Nadwyżka przychodów
nad wydatkami wyniosła więc.....5.3 min

Suma pochodząca z nadwyżek dochodów nad rozchodami, zainwestowana w obligacje, papiery wartościowe oraz zdeponowana w różnych bankach, wynosi obecnie czterdzieści jeden i cztery dziesiąte miliona.

Dodam jeszcze - powiedziała, unosząc głowę znad kartki - że wydatki z dwóch miesięcy tego kwartału, należące już do nowego roku podatkowego, wzrosły średnio o milion

dolarów miesięcznie w związku z podniesieniem przez rozgłośnie opłat za czas antenowy radiowy i telewizyjny. - A nasze dochody? - zainteresował się Randle.

- Czy one też wzrosły?

- Zbiórki i darowizny utrzymują się mniej więcej na tym samym poziomie, co w zeszłym roku, około czterech milionów miesięcznie, proszę pana - odparła. - Oczywiście dochody inwestycyjne z nadwyżek wzrosną proporcjonalnie, lecz obawiam się, że nie na tyle, by pokryć obecny Wzrost kosztów, a także ten, którego spodziewamy się w połowie roku.

- Z pani wypowiedzi wynika, że w tym roku należy oczekiwać wzrostu wydatków o dwanaście do czternastu milionów, który nie zostanie zrównoważony odpowiednim wzrostem dochodu. Czy dobrze zrozumiałem? - Tak, proszę pana - potwierdziła.

- Dziękuję - powiedział Randle. Odczekał, aż Beverly usiądzie. Rozejrzał się po obecnych.

- Nie można powiedzieć, żeby to były dobre wiadomości.

Nikt się nie odezwał. Wszyscy wiedzieli, że Randle na tym nie skończy. Randle spojrzał poprzez stół na Pastora. - Coś mi się wydaje, że będziesz musiał znaleźć sposób na zwiększenie naszych dochodów. - Być może - odparł Pastor, patrząc mu w oczy.

- Masz już jakiś pomysł, jak tego dokonać? - Zrób to samo, co inni. Zaczynaj jeździć po kraju. Tacy Jerry Falwell czy Oral Roberts ciągle to robią. Nie wstydzą się, że jeżdżą i proszą o pieniądze. - Ja też się nie wstydzę - powiedział Pastor. - Ale ja, przy całym szacunku, jaki żywię dla tych kaznodziejów, nie zamierzam stawiać sobie pomników w postaci szkół i szpitali. Jedyne pomnik, na którym mi zależy, będzie poświęcony Bogu.

- Bardzo chwalebnie, doktorze Talbot - stwierdził Randle. - Ale jak pan to sobie wyobraża, jeśli koszty

będą cały czas rosły i pożerały wszystkie wpływy? Musi pan zwiększać swoją publiczność, jak również dochody.

- Łatwo się mówi - mruknął Pastor.

- A Falwellowi to się udaje. Podobno ma dwadzieścia pięć milionów widzów. Tylko, że on nie siedzi na dupie i nie czeka, że ludzie do niego przyjdą, lecz sam jeździ i zabiega o nich. Pastor przeniósł wzrok na Marcusa Lincolna. - Panie Lincoln, czy przyniósł pan raport Arbitron Company, o który prosiłem?

Lincoln skinął głową, wyjął z teczki skoroszyt i podał go Pastorowi.

- Jest to raport - rzekł Pastor, zaglądając do skoroszytu - dotyczący całkowitej liczby widzów wszystkich, połączonych w syndykat, programów religijnych, licząc od 1975 roku, a więc rok przed otwarciem Jezuslandu. W roku siedemdziesiątym piątym było ich dwadzieścia i osiem dziesiątych miliona. W siedemdziesiątym szóstym, roku naszego otwarcia, liczba ta wyniosła dwadzieścia dwa miliony koma osiem. Na tym poziomie utrzymała się przez dwa lata, natomiast w siedemdziesiątym dziewiątym spadła do dwudziestu jeden i czterech dziesiątych miliona, w osiemdziesiątym znowu zmalała o milion do dwudziestu i pół miliona. Odnosi się to do wszystkich, także do Falwella, który jest tylko jednym z sześćdziesięciu sześciu duszpasterzy telewizyjnych. - Zamknął skoroszyt, położył na stole przed sobą. - W raporcie tym przedstawiona jest również analiza publiczności, z której wynika, iż duchowni telewizyjni zwracają się do widowni w wieku pięćdziesięciu i więcej lat, składającej się w większości z kobiet.

Zważywszy okoliczności, uważam, że utrzymywanie przez nas dochodów na jednakowym poziomie

zasługuje na pochwałę. Jest jeszcze coś, co odróżnia nas od innych. My nie jesteśmy nikomu nic winni. Wszystkie rachunki płacimy w terminie i jeszcze mamy dużą superatę. Myślę, że jest za co być wdzięcznym Bogu.

- Amen - zakończył Jake. - Tak więc uważasz, że powinniśmy siedzieć i czekać, co z tego będzie. Pastor spojrział na niego. - Tego nie powiedziałem.

- To co powiedziałeś? - spytał Jake.

- Powiedziałem, że pieniądze włożone do banków, w akcje i obligacje, ani trochę nie służą Bogu. Uważam, że pieniądze te należałoby wykorzystać, by zbliżyć nasz kościół, Jego kościół, do ludzi. - Przerwał. Wszyscy milczeli, nawet Randle. Pastor zaczerpnął tchu.

- Kiedy jeździłem ze swoim namiotem, odwiedzaliśmy zwykle te miasta, w których miejscowe kościoły przychylnie traktowały naszą działalność i pomagały nam wspólnymi siłami sprowadzić na drogę wiary jak najwięcej ludzi. Dzieliliśmy się z tymi kościołami zebranymi pieniędzmi, tak więc zostawały one w danym mieście z pożytkiem dla tamtejszych parafian. Duszpasterstwo telewizyjne nie działa w ten sposób. Mierzymy nasz sukces dolarami, nie zaś liczbą pozyskanych dusz. Śledzimy ruch pieniędzy, ale nie śledzimy losu tych dusz. Skąd mamy wiedzieć, czy nawróceni nie odstąpią od wiary? Duszpasterstwo telewizyjne tego nie sprawdza. Nie jest w stanie.

Istnieje wszelako instytucja, która to potrafi. Mam na myśli miejscowy kościół czy kościoły we wszystkich tych miejscowościach, do których dociera nasza audycja.

Proponuję, żeby część zebranych pieniędzy przeznaczyć dla owych lokalnych parafii, które na ogół z wielkim trudem utrzymują swych duchownych i żebyśmy uczynili z nich naszych partnerów w dziele

krzewienia nauki Jezusa Chrystusa w sercach ich parafian.

- To tak samo jak wyrzucić pieniądze w błoto - stwierdził Randle.

- To wcale nie są nasze pieniądze - upierał się Pastor. - To są pieniądze Boga. Być może trafiłyby do lokalnego kościoła, gdybyśmy my ich nie zabrali.

- Gdybyśmy my ich nie zabrali, trafiłyby do Pata Robertsona, Jimmy'ego Swaggarta, Ernesta Angleya oraz Paula Croucha - odparł Randle.

- Zapomniałeś o Bobie Shullerze, Billym Grahamie, Jerrym Falwellu i pozostałych sześćdziesięciu sześciu czy nawet więcej kaznodziejach, którzy produkują się na antenie - powiedział Pastor. - Ale fakt pozostaje faktem. Zagarnęliśmy te pieniądze i trzymamy je w banku. Zachodzi pytanie, co należy z nimi uczynić. Ukrywać je przed światem? Czy posłuchać świętego Łukasza?

Otworzył leżącą przed sobą Biblię. - Rozdział szesnasty, wiersz trzynasty - rzekł pochylając się nad książką. - „Żaden sługa nie może dwóm panom służyć, gdyż albo jednego nienawidzić będzie, a drugiego miłować, albo jednego trzymać się będzie, a drugim pogardzi. Nie możecie Bogu służyć i mamonie”.

2

- Tata nie był zachwycony wczorajszym zebraniem - powiedziała Jane wychodząc z łazienki. Pastor siedział na łóżku oglądając na wideo jeden

z ostatnich programów Ernesta Angleya. Zarejestrowana na kasecie część zbliżała się wyraźnie do końca, bo Angley przerwał uzdrawianie i odwrócił twarz do kamery.

Pastor patrzył w ekran, zafascynowany.

- A teraz - przemówił doktor Angley - zwracam się do moich widzów z pytaniem: Czy wy lub wasi bliscy na coś cierpicie? Macie może kłopoty ze zdrowiem lub z psychiką? Nie potraficie wygnać ze swego ciała demonów alkoholizmu, narkomanii, nałogowego palenia, żądz i choroby? Pamiętajcie, Jezus może was uleczyć. Wierząc w Jezusa Chrystusa, zostaniecie uzdrowieni tak samo, jak ci, których tu widzieliście. Pamiętajcie, że On jest naszym słodkim Jezusem, który umarł na krzyżu za nas i za nasze grzechy. Pamiętajcie, że nasza wiara w Niego uzdrowi nas ze wszystkich chorób, rozwiąże wszystkie nasze problemy.

Zbliżę teraz dłoń do kamery. Niech każdy z was położy na mojej dłoni swoją dłoń i powtórzy za mną tę oto modlitwę. - Ekran wypełniła jego dłoń. - Wierzę w Jezusa Chrystusa i w to, że umarł na krzyżu za moje grzechy. W jego imieniu rozkazuję demonom, które są przyczyną mojej choroby, by wyszły ze mnie.

Zza dłoni wychynęła twarz Angleya. Groźnym błyskiem jego oczu towarzyszyły słowa wypowiedane ostrym, rozkazującym tonem: - Wylecz się! Wyyy-lecz się! W imię Pana naszego Jezusa Chrystusa, wyylecz się!

Uzdrowiciel opuścił dłoń, kamera podążyła jej śladem, by za chwilę wrócić na jego uśmiechniętą twarz. - Dzięki Ci, słodki Jezu. Dzięki Ci za to, że znowu czuję się dobrze. Ekran zaciemnił się, a za moment ukazał się na nim ponownie Angley. - Zapraszamy w przyszłym

tygodniu. W środę wieczorem Ernest Angley będzie realizował swą misję w Audytorium Miejskim w Charlotte. Jak zawsze chętnie widzimy płynące z waszych serc dary i datki, a także wszelkie darowizny, bowiem bez wsparcia finansowego nie bylibyśmy w stanie spełniać naszych obowiązków duszpasterskich. A do środy wieczorem niech Bóg was błogosławi. W imię Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, dziękuję.

Pastor nacisnął guzik pilota. Odwrócił głowę do Jane. - Co mówiłaś?

- Nie słuchałeś - obraziła się. - Nie dość ci jeszcze religii, że przez całą noc oglądasz te nabożeństwa? - Tylko tak mogę się dowiedzieć, co robią inni

- odparł. - Cokolwiek byś myślała o wielebnym Angleyu, to w jednym on ma rację.

Wychodzi do ludzi i z nimi rozmawia, a nie polega tylko na telewizji.

Spojrzała na niego. - Czy to znaczy, że ty też byś tak chciał?

- Trochę mi brakuje kontaktu z ludźmi - przyznał.

- Gdy głosisz ewangelię, patrząc w twarze, to tak jakbyś tych ludzi dotykała. Czujesz ich reakcję. - Ale ty nie potrzebujesz się tak zabijać - powiedziała. - Radzisz sobie o wiele lepiej niż inni. Wybrałaś chyba dobry sposób, bo nigdy nie musiałaś prosić osobiście o pieniądze. Spojrzał na nią. - Co się tyczy pieniędzy, to sama wiesz najlepiej, że nie ja je ściągam, lecz ty. Sposób, w jaki zaprogramowałaś komputer, by automatycznie wysyłał listy i biuletyny do naszych respondentów, okazał się nader skuteczny. Gdzie tamtym do nas? - Nie wolałbyś, żebym była podobna do Tammy Fay Bakker czy Jan Crouch? - spytała zaczepnie.

Pokręcił głową. - Wolę cię taką, jaką jesteś.

- Uśmiechnął się. - Poza tym masz drewniane ucho.

- No wiesz - oburzyła się.
- Już dobrze - rzekł przyciągając ją do siebie. - Co przedtem mówiłaś?
- Że tatusiowi nie podobało się wczorajsze zebranie.
- Wiem - odparł patrząc jej w oczy. Wsunął dłoń pod jej szlafrok i objął dłonią pierś. - Twój tatuś nie lubi, gdy ktoś ma inne zdanie.
- Nie jestem w nastroju do żartów, Andrew - powiedziała, próbując powstrzymać go od bawienia się jej sutkiem.
- Ja też - odparł, czując, że sutek twardnieje pod jego palcami. Uśmiechnął się do niej. - Prawda, że już dawno nie paliliśmy razem trawki?
Jej twarz wypogodziła się. Jane musnęła wargami jego policzek. - Zbyt dawno - szepnęła, opierając głowę na jego ramieniu. Pocałował ją szybko. - Zgadzam się z tobą.
Oparła się na poduszce, on zaś wysunął szufladę nocnej szafki. Gdy odwrócił się, trzymał w ręce małą drewnianą papierośnicę. Otworzył ją. Ich oczom ukazały się starannie zwinięte skręty. Spojrzała na niego zdumiona. - Skąd to masz?
- Charlie przysłała mi z Los Altos - odparł z uśmiechem. - Twój ojciec postawił na swoim, ale nikt z tego powodu nie cierpi.
Wiedziała, o czym mówi. Prawie trzy lata zajęło starszemu panu zlikwidowanie haremu, jak nazywał asystentki Pastora. W końcu zostały już tylko Charlie i Melanie. Kiedy Pastor zaproponował, żeby wróciły do Los Altos i odbudowały komunę, chętnie na to przystały, przyznając, że w Jezuslandzie właściwie nigdy nie czuły się szczęśliwe. - Jak im leci? - spytała Jane.
- Doskonale. - Uśmiechnął się. - Właśnie Tarz

stamtąd wrócił. Uzyskały już wszystkie potrzebne zezwolenia i wkrótce rozpoczną budowę. Do lata skończą obozowisko, które będzie w stanie przyjąć co tydzień setkę biednych dzieci na prawdziwe wiejskie wakacje. Umówiły się już z kościołami w San Francisco i w Los Angeles. - Cieszę się - powiedziała szczerze. - Wciąż jednak nie rozumiem, czemu się uparłeś, że sam zapłacisz wszystkie rachunki. Przecież kościół stać na to. - To był mój pomysł - odparł. - Zaczęliśmy to razem i chcieliśmy, żeby już tak zostało. Wyjął z papierośnicy skręta, przypalił go, zaciągnął się głęboko, podał go Jane. Zaciągnęła się kilka razy. - Dobrze? - spytał z uśmiechem.

- Genialne - odrzekła. Nagle zachichotała. - To mi się pierwszy raz zdarza. Dwa sztachnięcia i jestem naćpana.

Roześmiał się, biorąc od niej skręta. - Bo to dobry towar. Te dwie są najlepszymi specjalistkami od trawy na całym świecie. «

Patrzyła, jak Pastor się zaciąga. - Tęsknisz za nimi?

- spytała wyciągając rękę po papierosa. Zachichotała.

- Tęsknisz za swym haremem? Nie ma jak co noc inna dziewczynka, czyż nie?

Roześmiał się. - Chcesz znać prawdę? Pokiwała głową.

Roześmiał się znowu. - No więc strasznie tęsknię.

Pociągnęła skręta, odłożyła go i wyciągnęła do Pastora ramiona. - Chodź tu, głuptasie.

Zaraz się przekonasz, że harem składający się z jednej kobiety to akurat tyle, na ile cię stać.

*

Z trudem obudził się, by odebrać dzwoniący przy łóżku telefon. - Halo - powiedział z zamkniętymi oczyma.

Głos sekretarki zadźwięczał mu w uszach. - Dzień dobry, doktorze Talbot. Pan Randle, pan Craig oraz pani Lacey czekają na pana.

Otworzył oczy. Podświetlony budzik elektroniczny na nocnym stoliku pokazywał ósmą zero pięć. - O, cholera - mruknął do siebie. Zwykle o tej porze już dawno siedział za biurkiem. Że też musiał zasnąć akurat wtedy, kiedy do biura przyszedł Randle.

- Wprowadź ich do gabinetu i podaj kawę - powiedział. - Będę za piętnaście minut.

Odrzucił koce i wyskoczył z łóżka. W drodze do łazienki zatrzymał go zaspany głos Jane. - Wszystko w porządku?

- W porządku - odparł, odwracając do niej głowę.

- Zaspałem.

- Dziwne, że w ogóle mogłeś wstać - powiedziała z zamkniętymi oczyma. - Ja nie jestem w stanie się ruszyć. Może jednak należy sprowadzić z powrotem harem.

- Nie ma powodu - odrzekł. - Spisałaś się na medal.

- Prawie już zapomniałam, jak dobrze jest się z tobą kochać - stwierdziła. - To było piękne.

- To było piękne - zgodził się. - A teraz śpij, bo ja muszę iść do pracy.

3

W piętnaście minut później wkroczył do swego biura. Tamci siedzieli na kanapie, przed nimi na niskim stoliku stały filiżanki. Przysunął sobie krzesło, usiadł na wprost swych gości. Sekretarka dostawiła

czwartą filiżankę. - Dzień dobry - przywitał się. - Może jeszcze kawy?

- Nie, dziękuję - odparł Randle. Pozostali pokręcili głowami.

Pastor spojrzał na sekretarkę. - To już wszystko, panno Grant. Dziękuję. - Zajął się swą kawą, ale jak tylko sekretarka wyszła, odstawił filiżankę i przystąpił do rzeczy. - Czemu zawdzięczam tę niespodziewaną wizytę?

Randle odchrząknął, zmieszany. - Pan Craig, pani Lacey i ja poczuliśmy się zakłopotani twoim defetystycznym zachowaniem na wczorajszym posiedzeniu rady nadzorczej.

- Defetystycznym? - zdziwił się zimno Pastor.

- Tak - odparł Randle. - Odnieśliśmy wrażenie, iż sądzisz, że niczego nie da się zrobić, by poprawić naszą sytuację.

- Tego nie mówiłem - zaprzeczył Pastor. - Powiedziałem jedynie, że popyt na nabożeństwa telewizyjne jest ograniczony i że osiągnął już maksimum.

- Jesteśmy innego zdania - rzekł Randle.

- Czemu więc nie przedstawiliście go na zebraniu? - zdziwił się Pastor.

- Nie było powodu - odparł starszy pan. - Uważaliśmy, że tę sprawę powinniśmy omówić między sobą. Tamci są tylko zwykłymi pracownikami.

Pastor pokiwał głową. - Rozumiem. - Łyknął kawy. - Nie zareagowaliście też na moją propozycję inwestowania w lokalne kościoły.

- Pan Craig i pani Lacey zgadzają się ze mną, że byłoby to marnowaniem pieniędzy.

- Macie lepszy pomysł? - spytał Pastor. Randle spojrzał na Craiga. - Dick, ponieważ lepiej ode mnie orientujesz się w sytuacji, ty przedstaw doktorowi Talbotowi naszą propozycję.

- Pan, oczywiście, wie - rzekł Craig do Pastora - że przez wiele lat oboje z panią Lacey byliśmy związani z ewangelickimi kościołami baptystów.

Pastor skinął twierdząco. - Dobra robota, jaką państwo wykonali dla kościoła chrześcijańskiego, zyskała urzędowe potwierdzenie, jak również duże uznanie. Cenię sobie zainteresowanie państwa naszym kościołem i chętnie wysłucham, co macie nam do zaproponowania. Craig uśmiechnął się. - Dziękuję, doktorze Talbot.

- Nie ma za co, panie Craig. Mówiłem szczerze. Craig nieco się odprężył. - Według nas kłopoty tej parafii biorą się stąd, że trzyma się ona z dala od głównego nurtu chrześcijańsko-ewangelickiego ruchu.

- Myśli pan o tym, co określa się mianem Nowej Chrześcijańskiej Prawicy?

Craig pokiwał głową. - W pewnym sensie. Nie zaangażowaliśmy się, na przykład, w działalność Moralnej Większości i nie poparliśmy ich w kwestii przywrócenia tradycyjnych amerykańskich wartości.

- Proszę mi wybaczyć moją ignorancję, panie Craig - przerwał mu Pastor - ale nie rozumiem, w jaki sposób związanie się z komitetem o charakterze politycznym miałyby pomóc naszej parafii. - Aktywny udział w ich pracach skieruje na naszą parafię światło, tak samo jak na Falwella, który przedtem był tylko jednym z wielu kaznodziejów, a obecnie całe Stany Zjednoczone znają jego nazwisko.

- I sądzi pan, że to było potrzebne jego kościołowi? Zresztą niewykluczone, że Falwell angażuje się politycznie, by podtrzymać działalność swojej parafii, która znalazła się w opałach. Jeśli wierzyć temu, co sam mówi, to jego kościół bez przerwy ociera się o bankructwo.

- Nie jest tak źle - zaprzeczył Craig. - Owszem, doktor Falwell ma problemy z przyływem gotówki, ale z podobnymi kłopotami borykają się również Oral Roberts, Jim Bakker i Pat Robertson. Nawet Jimmy Swaggart napotyka przeszkody w kontynuowaniu swej pracy misyjnej, polegającej na roztaczaniu opieki i dostarczaniu żywności najbardziej potrzebującym w Trzecim Świecie. Z pieniędzmi jest ostatnio krucho. Żeby zapracować na swoją działkę, musimy się trochę wysilić.

- Nie chciałbym w niczym uchybić tym dżentelmenom, ale czy nie sądzi pan - zwrócił się do niego Pastor - że spadek oglądalności nabożeństw telewizyjnych w ciągu ostatnich dwu lat ma pewien związek z przystąpieniem kaznodziejów do życia politycznego oraz usiłowaniami, by narzucić systemowi swoje zasady moralne?

- Nie sądzę - odparł rozdrażniony Craig. - Co pan radzi? Żebyśmy schowali głowy w piasek jak strusie i czekali, aż demony komunizmu i rozpusty opanują nasz kraj, do czego zmierzają przez ostatnie czterdzieści lat?

- Nie, nie, w żadnym wypadku, panie Craig - powiedział Pastor cicho. - Uważam jednak, że do walki z diabłem Bóg przeznaczył nam większą platformę od politycznej.

- Jeśli mówi pan o telewizji - zauważył Craig złośliwie - to ona nie wystarczy.

- Zgadza się z panem, że telewizja nie wystarczy - ciągnął Pastor. - Mówię o kościołach i kazalnicy w całej Ameryce. Z diabłem musimy walczyć w domu bożym.

- W tej sprawie doktor Falwell jest dokładnie tego samego zdania. Czy pan wie, że pomógł ponad trzystu absolwentom Kolegium Wolnych Baptystów w założeniu własnych kościołów? I że planuje otworzyć jeszcze tysiące nowych świątyń w ciągu następnych dziesięciu lat?

- Nie wątpię, że mówi pan prawdę, panie Craig. Jeśli jednak do tego dojdzie, to protegowani doktora Falwella wyprą z Ameryki pozostałych baptystów. Perspektywa taka napawa mnie smutkiem, bo dla mnie jedną z najwspanialszych rzeczy w wierze baptystów jest wolność i niezależność oraz to, że każdy duszpasterz może głosić słowo boże na swój własny sposób.

- Ale taka jest przyszłość, doktorze Talbot. Ameryka to robienie wielkich interesów, nie zaś tych małych, źle zorganizowanych, nie dofinansowanych, a za to niezależnych.

Pastor milczał przez chwilę, po czym zwrócił się do pani Lacey. - Pani też tak uważa?

- Tak - przytaknęła energicznie. - Musimy się zjednoczyć we wspólnym celu. Razem zwalczymy niemoralność, która zagraża rodzinie amerykańskiej.

- A pan, panie Randle? - spytał Pastor.

- Nie widzę innego wyjścia, synu - odparł starszy pan. - Tylko w ten sposób zapewnimy sobie rząd, który stanie na straży naszej ekonomii. Politycy słuchają wyłącznie tych, którzy idą do urn. Jeśli chcemy dalszych zmian prawa, tak by odpowiadało ono naszym interesom, to musimy zdobyć pozycję silniejszą jeszcze od tej, jaką mieliśmy, gdy doprowadziliśmy do wyboru Reagana na prezydenta i sprawiliśmy, że kontrola nad senatem przeszła w ręce republikanów.

- Czy byłoby impertynencją z mojej strony, gdybym powiedział, że dzięki zmianom prawa podatkowego i uwolnieniu cen ropy spod dozoru państwowego niektórzy z tu obecnych osiągnęli w tym roku zysk przekraczający sto milionów dolarów? - spytał Pastor, patrząc na starszego pana.

- Owszem, byłoby - odparł zirytowany Randle.
- Co to kogo obchodzi?
- A czy byłoby impertynencją z mojej strony
- ciągnął gładko Pastor - gdybym spytał, ile ma pan lat?
- Głupie pytanie! - oburzył się Randle. - Wszyscy wiedzą, ile mam lat. Sześćdziesiąt osiem. Pastor uśmiechnął się do siebie. Starszy pan liczył sobie dobrze po siedemdziesiątce. - Ze słów pana Craiga wynika, że zrealizowanie planów doktora Fal-wella zabierze dziesięć lat. Czy zechce pan tak długo czekać?
- Do czego zmierzasz, u diabła? - zdenerwował się Randle.
- A jeśli panu powiem, że wydając dziesięć milionów czy nawet mniej możemy osiągnąć te same cele w ciągu dwóch lat? - głos Pastora był zwodniczo cichy. Randle wytrzeszczył na niego oczy. - Chyba zwariowałeś.
- KFC. Kentucky Fried Chicken - rzekł Pastor.
- Bałwan - rzekł Randle.
- McDonalds. - Pastor dostrzegł błysk w oczach starszego pana. - Mam mówić dalej? Randle pokiwał ponuro głową.
- Koncesje - zaczął Pastor ostrożnie. - Po telewizji może to być następny krok. Udało się im, uda się nam. Na wsiach i w małych miasteczkach istnieje przynajmniej dziesięć tysięcy kościołów baptystów, które ledwo żyją. Jeśli dotrzemy do nich z naszą poradą i metodami, jak również z odpowiednią pomocą finansową, będziemy mieć tyle koncesjonowanych kościołów Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki, ile tylko zapagniemy.

- A skurczybyk! - rzekł starszy pan z podziwem w głosie. - Przepraszam panią, pani Lacey
- zreflektował się. Odwrócił się z powrotem do Pastora.
- Miałem rację - powiedział, uśmiechając się szeroko
- że wtedy zwróciłem na ciebie uwagę. Ty jesteś naprawdę szczywany skurczybyk.

4

- Myślę, że cię trochę poniosło, Pastorku - stwierdził Joe. - Jak świat światem, w telewizji państwowej nie było czarnego kaznodziei poza wielebnym Ike'em, którego zresztą pokazują bardziej dla hecy. - Najwyższy więc czas na takiego, którego będą traktować poważnie - odparł Pastor. - No, jeśli nawet, to masz kogoś? - spytał Joe. - Jedyne, którego znam, wyjechał do Los Angeles. Fred Price z Centrum Chrześcijańskiego w Crenshaw występuje już w trzydziestu pięciu stacjach telewizyjnych z tym swoim programem „Wiara zatacza coraz szersze kręgi”. Jeśli nie wszedł jeszcze do telewizji państwowej, to tylko dlatego, że nie jest mu to potrzebne. Kupił sobie stary kampus przy Uniwersytecie Pepperdine w Los Angeles i buduje na nim kościół za czternaście milionów dolarów na dziesięć tysięcy miejsc siedzących. - Masz rację. To człowiek nie dla nas. Głównie z dwóch powodów. Po pierwsze, stawia na Murzynów z klasy średniej, naśladowujących białą klasę średnią, której nie bardzo zależy na murzyńskich nabożeństwach. Po drugie, być może porozumiał się już z Oralem Robertsem. Słyszałem, że wyasygnował jakieś olbrzymie sumy na szpital w Mieście Wiary, w Tulsa.

- Pastor wziął z biurka wydruk komputerowy. - Mam tu spis ponad ośmiu tysięcy ewangelickich i zielonoświątkowych murzyńskich kościołów baptystów, których parafie liczą od dwustu do pięciuset osób. Nasza pomoc potrzebna jest właśnie tym kościołom. Nie ma wśród nich ani jednego, który byłby zdolny pokryć swe koszty.

- Ale oni nie będą nas słuchać - zaproponował Joe. - Pomyślą, że to kolejne oszustwo białego kościoła. - Jeśli ja do nich pójde, to faktycznie tak pomyślą - odparł Pastor. - I dlatego nie ja do nich pójde, lecz ty, Joe. - Teraz już jestem pewien, że ci odbiło - stwierdził Joe. - Przecież ja nie potrafię odprawić nabożeństwa. - To się naucz. Planujemy za dwa tygodnie nagrać twój pierwszy program. - Wybuchnął śmiechem na widok miny Joe'ego, którego po prostu zamurowało z wrażenia. - To nie takie trudne - dodał Pastor. - Trzymasz w ręce Biblię, wymachujesz nią z lekka, a od czasu do czasu drugą ręką walisz w ambonę. Równocześnie zezujesz trochę do kamery, trochę na wiernych, zachowując się jak facet, który napisał dobrą książkę. - Nie wypełnisz naszego kościoła Murzynami tak, żeby nadawało się to do pokazania w telewizji - zauważył Joe. - Nie ma ich tylu w tej części kraju. - Wiem - powiedział Pastor. - Ale ja wcale nie zamierzam użyć naszego kościoła. Wnętrze jest zbyt znane i zostałoby rozpoznane przez telewidzów. Myślę o czymś zupełnie innym. O kościele, do jakiego przyzwyczajeni są Murzyni, mniejszym, bardziej intymnym. Dlatego twój program nakręcimy w pierwszej kaplicy. Trzysta osób będzie wyglądać jak sardynki w puszcze. - Spojrzał uważnie na Joe'ego. - I co wy o tym sądzicie, wielbny ojciec? Spróbujecie? - Jak ty do mnie mówisz?

- Wielebny ojciec - odparł Pastor. - Przecież w takim programie nie może wystąpić zwykły człowiek. - No to dzięki Bogu, że jestem już wyświęcony - rzekł Joe, uśmiechając się od ucha do ucha. - Spróbuję, jak babcię kocham, spróbuję.

*

Tablica przy drzwiach frontowych małego białego drewnianego kościoła była tak samo splekana i obdrapana, jak cały budynek. Porysowane czarne litery prawie nie dawały się odczytać. Gdy Joe zatrzymał wynajęty samochód, Pastor odcyfrowywał napis:

KOŚCIÓŁ BAPTYSTÓW ZIELONOŚWIĄTKOWCÓW w LITTLE RIVER

Nabożeństwa wieczorne codziennie,

z wyjątkiem sobót 19.00

Dobra Nowina w każdą sobotę 19.00

Szkółka Niedzielną 8.00

Msza niedzielna 11.00

Człowiek obdarzony zdolnością uzdrawiania głoszenia proroctw, darem słowa i wiarą

Parker J. Willard, duszpasterz

- Ten duszpasterz Willard zapowiada się niczego sobie - powiedział Pastor wysiadając z samochodu. - Poczekaj, aż go poznasz - rzekł Joe wyjmując swą teczkę. - Parker Willard wybudował ten kościół trzydzieści lat temu. Wówczas jego parafia liczyła ponad sześćset osób. Obecnie liczba spadła do dwustu pięćdziesięciu. - A co, według niego, jest tego przyczyną?

- Telewizja - odparł Joe. - On mówi, że telewizyjni kaznodzieje niczego nie wymagają od swych słuchaczy poza pieniędzmi. Łatwiej jest siedzieć i dać

się zbawiać niż przyjść do kościoła i brać czynny udział w nabożeństwie. A poza tym religia przez telewizję jest jak gotowe jedzenie - może nie być bardzo smaczne, dość że nie wymaga pracy. Stawia się je na stole i zjada.

- Coś w tym jest - zgodził się Pastor. Przystanął na stopniach kościoła. - A co sądzi o twojej propozycji? - Jest nią zainteresowany - odparł Joe. - Dlatego właśnie zaprosił nas na rozmowę. Wyznał mi, że jeśli nie zdarzy się coś, co zwiększy liczbę parafian do jej poprzedniej wielkości, to tylko cud może uratować kościół przed zamknięciem w końcu roku. Pastor pokiwał głową w zamyśleniu. - To dość przykre. Tyle lat, tyle pracy i wszystko na nic. - Zaczął otwierać drzwi kościoła. - Ale niezbadane są wyroki boskie. Może my jesteśmy tym cudem, na który tu czekają.

Wewnątrz kościół był równie biedny i obskurny jak z zewnątrz. Drewniane podłogi i ławki nie widziały farby od lat. Szyba w oknie, na której wymalowano biały krzyż, była pęknięta. Brakowało części barierki przed pulpitem kaznodziei.

- Mieszkanie duszpasterza Willarda znajduje się na tyłach kościoła - oznajmił Joe, podchodząc do drzwi za barierką. Zapukał delikatnie.

Otworzył niski mężczyzna o kręconych siwych włosach, ubrany w czarny garnitur, białą koszulę i wąski krawat. Uśmiechnął się radośnie, odsłaniając białe, kontrastujące z ciemną twarzą, zęby. - Proszę, bracie Washington - powiedział. - Ponieważ jest już późno, zacząłem się bać, że mnie nabraliście.

- Co też wam przyszło do głowy, bracie Willardzie

- odparł Joe. - Nasz samolot spóźnił się godzinę.

- Podali sobie dłonie. - Chciałbym, żebyście poznali doktora C. Andrew Talbota.

- Wydaje mi się, że was dobrze znam - Willard zwrócił się z uśmiechem do Pastora. - Tyle razy widziałem was w telewizji. Świetny z was kaznodzieja. Z takim głosem moglibyście wywabić wszystkie pluskwy z winnic Pana. - Dziękuję wam, bracie Willardzie. Słyszałem, że wy sami również wykonaliście niezłą robotę w winnicach Pana.

- Robię, co mogę, bracie Talbot. Dobry Pan wie, jak się staram. - Przeprowadził ich przez pokój do kuchni. - Niestety, trafiłem motyką na kamień.

- Uśmiechnął się. - Może na tym polega różnica między pracą na polach bawełny a pracą w winnicach naszego Pana. - W oczach Pana wszyscy jesteśmy takimi samymi robotnikami - stwierdził Pastor. Willard uśmiechnął się. - Czy mi się wydaje, czy słyszę słowa z listu świętego Pawła do Koryntian? - Masz dobre uszy, bracie - odparł Pastor.

- Nie usiadzicie, bracia? - Siwy, kędzierzawy mężczyzna wskazał na krzesła przy kuchennym stole. - Przed wyjściem do pracy pani Willard zdążyła upiec dla nas pyszny placek orzechowy. Za kilka minut będzie kawa.

*

- To najlepszy placek orzechowy w moim życiu

- stwierdził Joe odsuwając od siebie pusty talerzyk po zjedzeniu drugiej porcji. - Od jutra się odchudzam. Willard uśmiechnął się szeroko. - Pani Willard bardzo się ucieszy, gdy jej o tym powiem. Jest niesłychanie dumna ze swego placka orzechowego.

- Ma do tego pełne prawo - potwierdził Pastor.

- Najlepiej będzie, jak sami jej o tym powiecie

- zaproponował Willard. - Niebawem wróci z pracy.

- Westchnął cicho. - Nie wiem, co bym począł bez

tej kobiety. Gdyby nie pracowała, straciłbym kościół już dwa lata temu.

Pastor spojrzał na niego z zainteresowaniem. - Jesteście szczęśliwym człowiekiem.

Niełatwo dziś o taką kobietę. Dawno jesteście żonaci?

- We wrześniu będzie trzy lata. Przedtem dwa lata byłem wdowcem i kiedy oświadczałem się jej, nie wierzyłem, że mnie przyjmie.

- A to dlaczego? - zdziwił się Pastor.

- Nie jestem młody - wyjaśnił Willard. - Mam sześćdziesiąt trzy lata, ona tylko dwadzieścia trzy. Życie płata różne niespodzianki. Pamiętam, jak trzymałem ją na rękach i chrzcilem, kiedy miała zaledwie tydzień.

Pastor i Joe wymienili spojrzenia.

Starzec zamyślił się. - Dar prorokowania i wiary miałem już w dzieciństwie. Kiedy matka zabierała mnie do kościoła i trzymała na kolanach, czułem, że jestem blisko Jezusa i że On pozwoli mi widzieć rzeczy, zanim jeszcze się zdarzą, rzeczy, których inni nie widzą. Od początku też wiedziałem, że moją pracą będzie głoszenie Jego słów. Kiedy więc trzymałem to wydzierające się niemowlę i już zamierzałem zanurzyć je w Little River za kościołem, usłyszałem głos Chrystusa, który brzmiał tak wyraźnie, jak to, co teraz mówię. „Kochaj to dziecko” - powiedział mi. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, co miał na myśli, a po pewnym czasie nawet o tym zapomniałem. Ale tamtego ranka, kiedy mieliśmy się pobrać, klęknąłem i zacząłem się modlić, by mi powiedział, czy ja, stary mężczyzna, postępuję właściwie i czy nie żądam od takiej młodej dziewczyny za dużo. Wtedy jakiś głos kazał mi wstać i pójść do biura parafialnego. Gdy znalazłem tę stronę, gdzie dwadzieścia lat wcześniej

wpisywałem jej imię, przypomniały mi się Jego słowa. Uspokoilem się. To był Jego plan, żebyśmy byli razem.

Prostota, z jaką starzec opowiadał swą historię, wzruszyła Pastora. Sięgnąwszy przez stół, ścisnął jego dłoń. Siedzieli tak przez chwilę i milczeli. Naraz do oczu Willarda napłynęły łzy. Pochylił się i pocałował rękę Pastora.

- Czemu płaczesz, bracie? - spytał Pastor łagodnie.

- Nie wiem - odpowiedział, unosząc ku niemu wilgotne oczy. - Może ze zmęczenia. A może boję się, że jestem już za stary i za słaby. Obawiam się, że stracę żonę i kościół.

- Dlaczego miałbyś stracić żonę?

- Wiem, że ona pragnie dziecka - odparł Willard z bólem w głosie. - A ja nigdy nie byłem dla niej prawdziwym mężem.

- Narzeka z tego powodu?

Willard pokręcił głową. - Nie. Ona wie, że ją kocham.

Pastor popatrzył mu w oczy. - Dlaczego myślisz, że Pan Jezus będzie mniej wyrozumiały od twojej żony? On także wie, że go kochasz. - Zamilkł, popatrzył na Joe'ego, potem znów na starca. - Sądzę, że właśnie dlatego przywiódł nas dziś do ciebie.

5

Willard był zdenerwowany. Spojrzał na zegarek. Minęła szósta. - Nikt nie przychodzi - powiedział z niepokojem w głosie.

- Bo jeszcze jedzą kolację - uspokoił go Joe.
 - W ogłoszeniach radiowych podano siódmą. Spokojnie, bracie. To dla nas nie pierwszozna. - Oby Bóg dał, żebyście mieli rację - odparł Willard z przejęciem. Obejrzał się za siebie. W głównej nawie, nad kazalnica, zwisał spod sufitu gigantyczny ekran telewizyjny. - No, no, no - pokręcił głową z powątpiewaniem - czy ktokolwiek kiedy słyszał o nabożeństwie połączonym z „Poniedziałkowym wieczorem piłki nożnej”? Joe roześmiał się. - Jeśli nie możesz ich zwyciężyć, przyłącz się do nich. Skoro bary i kafejki tak robią, bo w przeciwnym razie nie miałyby w poniedziałek wieczorem klientów, to dlaczego kościół miałby postępować inaczej?
 - Do kościoła ludzie powinni przychodzić z potrzeby ducha - zauważył kaznodzieja.
 - Najpierw trzeba ich jakoś przyciągnąć - tłumaczył mu Joe - a potem tylko od nas zależy, czy wysłuchają słowa bożego.
 - Czy ta maszyna na pewno nie zawiedzie? - niepokoił się dalej Willard.
 - Nie zawiedzie - odparł Joe z uśmiechem.
 - Wszystko zostało dokładnie sprawdzone. To wcale nie jest takie skomplikowane. - Ruszył ku kazalnicy, starzec za nim. Na podeście zamontowano odtwarzacz wideo. - Trzeba tylko pamiętać o tych czterech guzikach, które zresztą są oznaczone. **TAŚMA. TELEWIZJA. MUZYKA, MOWA.** Należy je naciskać tak, jak jest napisane na tej kartce. Ale nawet jeśli zapomnisz o którymś z nich, to się nie przejmuj. Odtwarzacz został tak zaprogramowany, że sam się przełączy.
- Willard przyjrzał się maszynerii. - O to się nie martwię. Przećwiczyłem i wiem, jak to urządzenie działa. Chodzi mi o to, co będzie, jak coś się zepsuje?

- Nic się nie zepsuje - zapewnił go Joe. - A poza tym jesteś kaznodzieją... w razie czego wygłoś kazanie.

Willard uśmiechnął się. - To akurat potrafię.

- Muzyka jest zaplanowana na szóstą trzydzieści

- powiedział Joe. - O siódmej trzydzieści podchodzisz do pulpitu i włączasz taśmę wideo.

Taśma ma iść przez pięć minut, po czym przełączysz na mowę. Masz dla siebie dwadzieścia pięć minut. Dokładnie o ósmej automatycznie przełącza się na telewizję. W przerwie meczu znowu mówisz przez piętnaście minut, a potem przełączasz na telewizję. Gdy mecz się skończy, przełączasz na wideo na kolejne pięć minut, znowu na mowę, a jak zobaczysz, że zaczynają zbierać się do wyjścia, to dasz znowu muzykę.

- Takiego kościoła jeszcze nie widziałem - stwierdził starzec.

- Bo to jest kościół nowoczesny - odparł Joe z uśmiechem. - Któregoś dnia wszystkie kościoły takie będą. Bóg dał nam elektronikę, ale nie ot, tak sobie, lecz po to, byśmy mu lepiej służyli. - Słusznie mówisz, bracie - rzekł Willard żarliwie.

- Amen.

Pojawili się pierwsi wierni. Joe spojrzał na Willarda. - Włącz muzykę, bracie - powiedział - a potem podejdź do drzwi, by przywitać się z parafianami.

* * *

Mały kościół pękał w szwach. Wszystkie miejsca siedzące były zajęte, pod tylną ścianą stał zbity tłum. Joe przycupnął na krzeselku obok drzwi prowadzących do mieszkania kaznodziei. Dokładnie o siódmej trzydzieści starzec zajął miejsce na kazalnicy.

W moment później ożywił się ekran. Ukazał się

mały złoty krzyż i rósł póty, póki nie wypełnił całej płaszczyzny. Teraz na ramionach krzyża zaczęły pojawiać się napisy, wykonane fioletowymi literami, pogłębionymi czernią, jednocześnie z głośników popłynął głos spikera:

- Kościół Baptistów Zielonoświątkowców w Little River w osobie pastora Parkera J. Willarda wraz z kościołem Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki prezentują nabożeństwo połączone z „Poniedziałkowym wieczorem piłki nożnej”. Bracia i siostry! Przed wami wasz kaznodzieja, Parker J. Willard we własnej osobie!

Z głośników rozległy się oklaski i wierni automatycznie się do nich przyłączyli.

Uśmiechnięty pastor Willard stał przez chwilę nieruchomo, po czym jedną rękę uniósł w geście powitania, drugą zaś wcisnął guzik **MOWA**. Z ekranu zniknął obraz. Starzec czekał, żeby zebrani przestali klaskać.

Obie dłonie oparł na krawędzi kazalnicy i przez chwilę patrzył na nich w milczeniu.

Uśmiech złagodził wymówkę, która teraz padła:

- Bracia i siostry, wielu z was od dawna nie było w tym kościele. Wiedźcie, że bardzo się cieszę widząc was tu znowu.

Jestem pewien, że dobry Bóg też się z tego cieszy. Albowiem ważne jest nie to, że przy-
szliście na mecz piłki nożnej, a to, że przybyliście do Jego Domu, by wziąć udział w na-
bożeństwie.

Zobaczymy tutaj cud boży. Cud, jakim jest elektronika. Dar Boga dla człowieka, by jego życie na ziemi było bogatsze i pełniejsze, byśmy mogli lepiej docenić ten większy cud boży. Dar

Syna Bożego, naszego Zbawcy Jezusa Chrystusa, który zmarł na krzyżu za nasze grzechy i grzechy tych, którzy przyjdą po nas, uznają Go i zostaną obmyci krwią Baranka bożego. Mniej więcej miesiąc temu ukląknęłam i pomodliłam się do Boga o cud. O cud, który by ocalił mój kościół; cud, który by sprowadził moje owieczki do Jego Domu, żeby ten kościół me zniknął Mu z oczu.

Kiedy podniosłam się z klęczek, usłyszałam dzwonek telefonu. Poszedłam do pokoju, by go odebrać. „Czy to pastor Parker J. Willard?” - spytał głos, którego nigdy przedtem nie słyszałam. „Tak” - odparłam. „Tu mówi twój brat w Chrystusie, Joe Washington. Dzwonię z Jezuslandu w stanie Teksas.” „Czym mogę służyć, bracie?” - spytałam. „To ja chciałbym wiedzieć, bracie - powiedział - czym mogę ci służyć? Chcę ci pomóc w twojej pracy dla Jezusa Chrystusa.” „Dziękuję, bracie, - odparłam - przyjmę każdą pomoc. Ale dlaczego zadzwoniłeś właśnie do mnie? Przecież jest tyle innych kościołów.” „Nie wiem - odpowiedział - ale kiedy przeglądałam listę kościołów, jakaś dziwna siła zatrzymała mój wzrok na twoim kościele i zanim się spostrzegłam, nakręciłam twój numer”. Starzec przerwał na chwilę, omiół spojrzeniem zebranych i stwierdził.

- To był pierwszy cud. Jezus wysłuchał mojej modlitwy.
- Odwrócił się i machnął ręką w kierunku olbrzymiego ekranu. .
- A to, co zobaczycie tutaj, to tylko jeden z niewyczerpanego źródła cudów, które mogą

zdarzyć się każdemu z nas, jeśli upadniemy na kolana i pomodlimy się do Boga.

Na chwilę opuścił wzrok na pulpit. Gdy podniósł głowę, na jego twarzy gościł uśmiech.

- A teraz usiądźcie i obejrzyjcie na tym dużym ekranie „Poniedziałkowy wieczór piłki nożnej”. Wrócę do was w przerwie meczu.

Nacisnął guzik podpisany **TELEWIZJA** i, odprowadzany oklaskami zgromadzonych i głosem Howarda Cosella dobywającym się z głośników, opuścił kazalnicę.

Usiadł na krzeselku obok Joe'ego. - Jak za dawnych dobrych czasów - szepnął, nachylając się do niego. - Od lat nie było w tym kościele tylu ludzi. Mam nadzieję, że się to utrzyma.

- Utrzyma się - odparł Joe z uśmiechem. - Ale musimy nad tym trochę popracować.

Dopilnujemy, żebyś przez cały tydzień dostawał nasze specjalne programy, w niedzielę piętnastominutowe kazanie, które odtworzysz, zanim sam zaczniesz mówić. Mamy także dwudziestominutowe odcinki „Opowieści biblijnych” dla twojej Szkołki Niedzielnej.

Otrzymasz od nas literaturę plus nasze specjalne wydanie Biblii do rozdania wiernym za darmo. Przyślemy ci nawet ludzi, którzy doprowadzą do porządku i pomalują kościół, żebyś znowu mógł być z niego dumny.

Starzec spojrzał na niego uważnie. - Twój ludzie wydają mnóstwo pieniędzy na pomaganie takim biednym kościołom, jak mój.

- To już nie będzie biedny kościół - odparł Joe. - Właśnie dlatego chcemy zawrzeć z tobą umowę o koncesję. Przyłączysz się do Wspólnoty Bożej i co tydzień będziesz oddawał nam pięćdziesiąt procent od tego, co ci zostanie po odjęciu dwustu dolarów. W ten sposób pomożesz nam finansowo.

- Dwustu dolarów tygodniowo tośmy już od dwóch lat nie zbierali - stwierdził Willard. - Co będzie, jeśli i tym razem się nie uda?
- Cóż, ryzykujemy - odparł Joe. - Poza tym nie chodzi przecież o pieniądze. Najważniejsze jest to, żebyśmy służyli Panu. - Amen - zakończył starzec. - Podpiszesz umowę?
- Po nabożeństwie - obiecał Willard. Odwrócił głowę w kierunku ekranu. - Spójrz tylko na ten obraz. Czy Bóg nie jest cudowny?
- Niech będzie pochwalony. - Joe zrobił ruch, jakby zamierzał wstać. - Czy mogę zadzwonić do doktora Talbota i powiedzieć mu, że podpiszesz umowę? Bardzo się ucieszy z tej wiadomości.
- Telefon jest w kuchni, do twojej dyspozycji
- rzekł Willard nie odrywając wzroku od ekranu.
- Jeśli masz ochotę na kawę, powiedz pani Willard.

*

Pani Willard siedziała przy kuchennym stole. Gdy wszedł, poderwała się zakłopotana. - Dzień dobry, bracie - powiedziała z lekkim południowym akcentem.

- Proszę sobie nie przeszkadzać, siostrze - odparł szybko. - Przyszedłem zatelefonować.
- Telefon tam wisi - pokazała na ścianę. - Może kawy?
- Z wielką chęcią, siostrze - odrzekł, sięgając po słuchawkę. Czekając na połączenie, przyjrzał się jej dokładnie. Była wysoka, przynajmniej o głowę wyższa od męża i o ton jaśniejsza. Jej kręcone włosy opierały się wszystkim próbom rozprostowania. Z aprobatą skonstatował wyniosłość jej pełnych piersi i pośladków, zaznaczających się pod bawełnianą sukienką. Stanowiła dokładne przeciwieństwo szczupłej

i drobnej Beverly. Obie miały swój urok, ale siostra Willard była kobietą w pełnym tego słowa znaczeniu. Zdecydowanie nie pasowała na żonę duchownego. Pastor okazał się nieosiągalny. Joe zostawił jego sekretarce wiadomość i odwiesił słuchawkę. Pani Willard zdążyła tymczasem ustawić na stole filiżanki z kawą.

- Nie zastałem doktora Talbota - oznajmił siadając.

- Jaka szkoda - zmartwiła się.

- Nic się nie stało. Zostawiłem wiadomość - odparł. Podniósł na nią wzrok. - Dlaczego siostra nie siada? - spytał z uśmiechem.

Zajęła miejsce po drugiej stronie stołu. Zbliżył filiżankę do ust. - Dobrą kawę robisz, siostrzo - pochwalił.

- Dziękuję - odparła, przyglądając mu się z uwagą. - Myślę, że się nam udało - rzekł Joe. - Być może już niedługo nie będziesz musiała chodzić do pracy.

- Kiedy ja lubię chodzić do pracy - odparła.

- Nawet gdy nie musisz?

Pokiwała głową. - To mi pomaga nie myśleć.

- Nie myśleć? O czym? - Upił kawy. Zawahała się, spuściła oczy. - Bo ja mam grzeszne myśli - wyznała cicho.

- Wszyscy czasami mamy grzeszne myśli - pocieszył ją.

Nie odrywała wzroku od stołu. - Czasami to można - powiedziała cicho. - Ale ja mam je przez cały czas. Pastor Willard jest dobrym człowiekiem. Kiedy się ze mną żenił, nie byłam, jak to mówią, porządną dziewczyną. Pomyślałam jednak, że jeśli za niego wyjdę, to odejdą mnie te grzeszne myśli. Tylko że tak wcale się nie stało.

- Modliłaś się do Boga o pomoc?

- Codziennie się modlę. - Spojrzała na niego. - Ten diabeł, co we mnie siedzi, jest silny. Na przykład, kiedy brat stał przy telefonie, on kazał mi patrzeć na to wybrzuszenie na brata spodniach. Wydawało mi się, że jest coraz większe.

- Diabeł zawładnął nie tylko twoimi myślami, siostró - powiedział Joe odstawiając filiżankę. - Moimi także.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczyma. - I co zrobimy, bracie?

- Pomódlmy się do Jezusa Chrystusa, żeby nam pomógł.

Uklęknął na podłodze, ona obeszła stół i uklękła obok niego. Gdy ich ramiona zetknęły się, jęknęła i wstrzymała oddech. Joe złożył dłonie. - Wejrzyj, Jezu, na swych grzeszników i każ diabłowi żądzę cielesnej opuścić nasze ciała.

Uniosła głowę znad złożonych dłoni. - Co będzie, jeśli Jezus nas nie wysłucha? - spytała, odwracając się do niego.

Joe jedną ręką przyciągnął ją do siebie, drugą zaś rozsunął rozporek. - Są jeszcze inne sposoby na tego diabła.

6

- Czarnuchy! - powiedział Randle pogardliwie. - Początkowo podobał mi się ten twój pomysł z koncesjami. Ale tysiąc czterysta murzyńskich kościołów na pięćset trzydzieści normalnych kościołów bapty-

tów to stanowczo za dużo. Tylko patrzeć, jak zaczną się od nich roić w Jezuslandzie i dla białych zabraknie miejsca.

Pastor popatrzył na niego spod oka. - Miejsca jest mnóstwo i dobrze o tym wiesz.

- No może - zgodził się starszy pan. - Ale, który szanujący się biały zechce spać w hotelu przez ścianę z czarnuchem? Albo w łóżku, w którym jakiś czarny spał poprzedniej nocy?

- Nie mówiąc już o jedzeniu w tej samej restauracji? - dodał Pastor oziębło.

Randle nie zauważył jego sarkazmu. - No właśnie, to się nikomu nie spodoba.

Pastor odchylił się w swym fotelu za biurkiem. - Może się nie spodoba, ale będą musieli *się z tym pogodzić. Pomijając fakt, że taka postawa jest niechrześcijańska, jest ona również niezgodna z ustawami o równych prawach.

- A to są właśnie te ustawy, o których zniesienie walczymy - stwierdził Randle. - Są tak samo idiotyczne, jak poprawka o równych prawach, do której uchwalenia nie zamierzamy dopuścić.

Pastor milczał.

- Nie widzisz, synu - zaczął Randle spokojniejszym tonem - że jeśli będziesz to kontynuował, to zrujnujesz kościół baptystów?

- Nie sądzę - odparł Pastor lekko. - Czy wiesz, że z osiemdziesięciu paru tysięcy kościołów baptystów, istniejących dziś w tym kraju, prawie połowę stanowią kościoły murzyńskie?

Lub że z trzydziestu kilku milionów baptystów ponad czterdzieści procent to Murzyni?

Właśnie przepuściliśmy przez komputer trochę nowych danych i otrzymaliśmy bardzo interesujące wyniki. Zgodnie z obecnymi wskaźnikami wzrostu populacji za dziesięć lat na każdy tysiąc

kościółów baptystów w Stanach pięćset dwadzieścia pięć będzie należało do Murzynów. Randle wytrzeszczył oczy. - Nie wierzę.

- Pokażę ci wydruk - odparł Pastor. - Jane przeprowadzała te obliczenia.

- Gównu mnie to obchodzi - zdenerwował się Randle. - Nie chcę, żeby czarnuchy kręciły się po mojej własności.

- Masz na myśli Jezusland?

- A cóż innego? - odparł Randle. - W końcu jestem właścicielem tej ziemi i wszystkiego, co na niej stoi. Pastor przyglądał mu się przez chwilę. - Chciałbyś, żebyśmy się stąd wynieśli?

- Tego nie powiedziałem - odparł Randle pospiesznie. - Chcę tylko, żebyś się pozbył kościołów czarnuchów.

- To źle, że tak do tego podchodzisz - stwierdził Pastor. - Możemy mieć od nich ponad półtora miliona dolarów rocznie, a poza tym teraz, gdy odkryliśmy nową widownię, obudzili się też inni kaznodzieje. Pat Robertson planuje audycję dla swego pomocnika, Bena Kinchlowa, przeznaczoną właśnie dla widowni murzyńskiej, Oral Roberts zaś pomaga Fredowi Price'owi z Los Angeles zwiększyć liczbę posiadanych stacji z trzydziestu pięciu do stu do końca przyszłego roku.

- Nie widzisz, że Jerry Falwell się im podlizuje? - zdziwił się Randle.

- Owszem - zgodził się Pastor. - Ale dostałem wiadomość z terenu, że absolwenci i nauczyciele z Kolegium Wolnych Baptystów coraz częściej pojawiają się w kościołach murzyńskich, proponując pomoc oraz literaturę. Posuwają się nawet do obiecywania stypendiów.

- Jak się o tym dowiedziałeś? - spytał Randle.

- Z niektórych kościołów zaczęły do mnie napływać narzekania na *Biuletyn Moralnej Większości*, który prezentowali swym wiernym. Sprawdziliśmy to. I co się okazało? Otóż wielu Murzynów uważa, że nastawienie polityczne tej gazety jest zwrócone przeciwko nim.

- To dlatego, że są na zasiłkach - stwierdził Randle. - Nie chce im się pracować.

- Nieprawda - odparł Pastor. - Ale na ten temat nie będę z tobą dyskutował. Pewna liczba murzyńskich kościołów dogadała się ze sobą, że chcą wydawać własną gazetę i zwrócili się do nas o pomoc. - To już przechodzi wszelkie pojęcie - obruszył się Randle. - Mówiłem ci, że zechcą rządzić. Oczywiście splawiłeś ich.

Pastor pokręcił głową. - Nie mogłem. Obowiązkiem duszpasterza jest pomaganie parafianom. To podstawowa zasada baptystów. Każdy kościół ma prawo do określenia własnej polityki odnośnie interpretacji Pisma świętego i zaangażowania w sprawy społeczne. Tylko z tego powodu mamy w tym kraju ponad dwadzieścia różnych ugrupowań baptystów. - To nie jest odpowiedź na moje pytanie - upierał się Randle. - Co konkretnie zamierzasz dla nich zrobić?

- Już zrobiłem - odparł Pastor biorąc z biurka szczotki ośmiostronicowej gazety i kładąc je przed starszym panem. Randle popatrzył na gazetę. Na pierwszy rzut oka była bardzo podobna do *Biuletynu Moralnej Większości*, użyto nawet tej samej czcionki. Wszelako napisany grubymi literami tytuł brzmiał inaczej:

Biuletyn Miarodajnej Mniejszości

Poniżej, drobnym drukiem dodano podtytuł:

Druga strona medalu

Na pierwszej stronie w lewym górnym rogu, pod nagłówkiem CREDO, znajdowała się fotografia Joe'ego, a pod nią podpis:

Wielebny Jesephus Washington. Tekst napisany był grubym drukiem:

Zakładamy tę gazetę w przekonaniu, że dobrzy chrześcijanie mogą różnić się poglądami i że wszyscy chrześcijanie mają równe prawa do wyrażania swych poglądów i opinii. Będziemy starali się wyrażać poglądy wszystkich chrześcijan, bez względu na to, czy są one zgodne z naszymi osobistymi poglądami, by pokazać prawdziwą niezależność sekty baptystów, istniejącą we wszystkich kościołach i zborach baptystów.

- Świątobliwe gówno! - wściekł się Randle. Pomachał gazetą przed nosem Pastora. - To oznacza rewolucję. Umieściłeś na pierwszej stronie zdjęcie czarnucha jako redaktora i wydawcy. Dalej, na co jeszcze czekasz? Oddaj mu całą tę menażerię.

- Już oddałem - odparł Pastor. - Wiedziałem, że nie będziesz sobie życzył Murzynów w Jezuslandzie, a poza tym tutaj nie mamy fizycznych możliwości do prowadzenia operacji koncesjonowania... Tak więc jesteśmy w trakcie przenoszenia naszego sztabu do Los Altos. Randle'a zamurowało.

- W ten sposób nie będziesz musiał się martwić, że Murzyni opanują Jezusland - pocieszył go Pastor. - A tu co będzie? - Randle odzyskał głos. - Wszystko po staremu.

- A co z pieniędzmi?

- Przepływ pieniędzy będzie sterowany za pomocą komputerów.

Randle milczał przez chwilę. - Ci Murzyni będą mieli dużo głosów. Jak utrzymamy ich w posłuszeństwie?

Pastor uśmiechnął się. - Pozwalając im mówić własnym głosem i mówiąc im prawdę. W końcu to do nich należy decyzja, jak mają postąpić. I nie zapominaj o tym, co najważniejsze. Randle uniósł brwi. - To znaczy?

- Że naszym celem jest głoszenie słowa bożego, nie zaś wykorzystywanie kazalnicy do celów politycznych.

- Jak ci się wydaje, czym będzie się zajmować ta gazeta? - obruszył się Randle.

- Tym samym co *Biuletyn Moralnej Większości*. To całkowicie osobne i niezależne towarzystwo, którego oficjalne powiązania ze Wspólnotą Bożą nie są większe od powiązań innych tego rodzaju towarzystw z Kościołem Wolnych Baptystów. Zbiegiem okoliczności redaktorem naczelnym naszego pisma jest Joe Washington, podobnie jak redaktorem *Biuletynu Moralnej Większości* przypadkiem jest Jerry Falwell.

- Szukasz guza - stwierdził Randle. - Zrazisz do siebie mnóstwo naszych białych zwolenników. - W to akurat wątpię - odparł wesoło Pastor.

- Z naszych analiz komputerowych wynika, że mamy tyłuż niechętnie do nas nastawionych białych, co Murzynów.

- Coś mi się wydaje, że zanadto wierzysz temu komputerowi - stwierdził Randle.

- Być może - odparł Pastor. - Ale pamiętam, jak mi kiedyś powiedziałeś, że bez komputera nie mógłbyś już prowadzić interesów. Jak dotąd komputer bardzo dobrze nam służył.

Starszy pan ciężko dźwignął się z miejsca. - Nie spodoba się to naszym ważnym przyjaciołom.

- Jeśli są niezadowoleni - rzekł Pastor, też wstając

- to niech mi powiedzą. Odejdę natychmiast. Nie z nimi zawarłem kontrakt, ale z Bogiem.

- Masz zmęczony głos, Constantine - powiedziała przez telefon matka.
- Nic mi nie jest.
- Nie chodzi tylko o głos. Oglądałam twój niedzielny występ. Czegoś w nim brakowało. Tak jakbyś grał w teatrze.
- Może potrzebne mi są wakacje - rzekł.
- Właśnie rozmawiałam z Jane - powiedziała matka. - Jest po dziewiątej wieczorem, a ty wciąż siedzisz w biurze. Jane mówi, że dzieci wcale cię nie widują, co najwyżej w telewizorze. Tak nie powinno być, Constantine. Dzieciom potrzebny jest również ojciec.
- Mam tyle roboty, matko - bronił się. - To nie tylko te programy w telewizji. To także interesy, których trzeba bez przerwy pilnować. Jeśli na chwilę spuścisz je z oka, zaraz się okaże, że straciłaś widownię na rzecz jakiegoś innego telewizyjnego kaznodziei.
- A co ty obliczasz, Constantine? - spytała matka. - Dusze, które przywiodłeś do Boga, czy pieniądze, które zarabiasz na tych telewizyjnych pokazach? Nie odpowiedział.
- Czy pamiętasz, kiedy ostatnio modliłeś się bez kamery telewizyjnej wycelowanej w twoją twarz? Kiedy stałeś w drzwiach kościoła i rozmawiałeś z ludźmi po skończonym nabożeństwie?
- Nie mam na to już czasu, matko.
- Może właśnie to cię gnębi. Ostatnio bardzo modne jest określenie „sprzężenie zwrotne”. Rozmawiając z ludźmi po nabożeństwie, coś od nich dostajesz. A jakie sprzężenie zwrotne ma telewizja? - Co tydzień dostajemy tysiące listów, matko.
- Ale ty ich nawet nie czytasz, Constantine - powiedziała. - Komputer na nie odpowiada. Jane kiedyś

mi tłumaczyła, jak to się robi. Odpowiedzi na listy są z góry zaprogramowane, a komputer wpisuje w odpowiednie miejsca dane adresata.

- Nie ma innego sposobu, matko. Żyjemy w epoce elektroniki i Kościół musi za nią nadążać. - Bóg trafia do wszystkich swych dusz na świecie bez komputera. Czułeś powołanie do służby Bogu, a nie komputerowi. To nie Bóg wynalazł elektroniczny kościół, lecz człowiek. Milczał.

- Być może dlatego czujesz zmęczenie i pustkę, Constantine. Może zaczynasz się czuć częścią komputera i już sam nie wiesz, czy sprowadzasz dusze na drogę zbawienia, czy czeki do banku.

Wciąż milczał.

- Znam cię, Constantine - powiedziała. - Umiem rozpoznać, kiedy jesteś szczęśliwy, a kiedy masz kłopoty. Wiem, że teraz nie jesteś szczęśliwy.

- Wszystko będzie dobrze, matko - powiedział.

- Musisz na jakiś czas się oderwać i przyzwicie odpocząć. Może wtedy zdołasz uporządkować swoje sprawy i odpowiedzieć sobie na pytanie, co naprawdę chcesz robić.

- Nic się nie zmieniło, matko - zapewnił ją. - Wciąż pragnę głosić słowo Boże i to tylu ludziom, ilu zdołam.

- Być może w tym tkwi zasadniczy błąd - powiedziała. - Zamieniasz jakość w ilość. Myślę, że byłbyś o wiele szczęśliwszy, gdybyś mógł wziąć za rękę jedną osobę i zaprowadzić ją do Boga, zamiast przemawiać do tysiąca ludzi, których twarzy nigdy nie zobaczysz.

- Może jest jeszcze inny powód, matko - powiedział.

- Jaki, synu? - spytała.

- Ogarnia mnie zwątpienie, matko - powiedział. - Jakiemu Bogu służyć, jeśli pozwala On zachłannym, żądnym władzy facetom w Jego imieniu manipulować ludźmi dla ich własnych egoistycznych celów?
- Na to pytanie musisz sam sobie odpowiedzieć, Constantine - powiedziała cicho. - Jestem twoją matką, nie sumieniem.

7

- Zaczynamy tracić publiczność - powiedział Marcus. - Według Arbitrona w samym tylko grudniu straciliśmy ponad sto tysięcy widzów.
 - A co z pieniędzmi? - Pastor zwrócił się do Beverly.
 - Ciut do dołu - odparła. - Ale spadek liczby widzów odbija się na wpływach dopiero po miesiącu lub dwóch.
 - A jak jest u innych?
 - Nie tak źle jak u nas - odrzekł Marcus.
 - To ta recesja - stwierdził Pastor. - Uderza we wszystkich.
 - Nie, nie - zaprotestował Marcus. - Zwróciliśmy się do Instytutu Badania Widowni w Hollywood, żeby sprawdzili parę naszych ostatnich programów. Widzowie byli znudzeni. Trzeba by pomyśleć, jak dodać naszym programom trochę czadu.
- Pastor milczał.
- To nic złego - przekonywał go Marcus. - Widziałeś w zeszłym miesiącu te wydania świąteczne? W programie Orała Roberta występowały Siostry

Lennon, kukielki Krowfta, a ponadto jego syn śpiewał i tańczył na schodach a'la Fred Astaire, mając za sobą chór pięknych dziewcząt w długich zwiewnych spódnicach i aż potąd wydekoltowanych. Jim i Tammy Bakker zaprosili na domową wigilię całą masę gwiazd. Robert Shuller do widowiska za milion dolarów „Boże Narodzenie w Kryształowej Katedrze” zatrudnił tego samego producenta, który robił pokazy w Radio City Music Hall w Nowym Jorku. Pastor uśmiechnął się. - W naszym przypadku to raczej odpada. Jesteśmy za starzy, żeby uczyć się śpiewać i tańczyć.

- Mówię poważnie, Pastorku - powtórzył Marcus.

- Będziemy musieli coś z tym zrobić..

- Ja też mówię poważnie - odparł Pastor. - Zrobić, ale co? Nie jestem komikiem, nie mam talentu Pata Robertsona do przeprowadzania wywiadów, prowadzenia rozmów. Nie umiem uzdrawiać ludzi przed kamerą jak Ernest Angley. Nie byłbym nawet w stanie sprzedawać symbolicznych parceli na Górze Wolności, jak robi to Jerry Falwell. Potrafię jedynie stanąć przed kamerami i opowiedzieć ze szczegółami o mojej wierze w Boga.

- No i bardzo dobrze - odparł Marcus poważnie. - Do tej pory to działało. Lecz nawet najlepsze widowisko telewizyjne po kilku latach zaczyna tracić popularność. Jak na telewizję, szło nam całkiem nieźle. Nadszedł jednak czas na zmianę formuły. W przeciwnym razie ani się obejrzymy, jak stracimy widownię do końca. - Masz jakieś koncepcje? - spytał Pastor. - Pracuję nad kilkoma, ale na razie nie jest to jeszcze nic konkretnego do zaproponowania.

- Mam pomysł - powiedział Pastor. - Pamiętasz taką starą audycję „Trasa sześćdziesiąt sześć”, gdzie

dwóch facetów jeździło sportowym samochodem od miasta do miasta i w każdym miało jakąś przygodę? - Marcus twierdząco pokiwał głową. - Zrobimy coś podobnego, tylko trochę uaktualnimy. Ci dwaj faceci będą mieli na imię Jezus i Piotr. Zamiast sportowym samochodem będą jeździć furgonetką, a ich misją będzie znalezienie w każdym mieście największego grzesznika i nawrócenie go.

Marcus patrzył na niego w milczeniu. - Nie podchodzisz do sprawy poważnie, Pastorku. Podziwiam i szanuję cię za twą szczerą. Jako przyjaciel muszę ci jednak powiedzieć, że trzech sprawiedliwych z rady nadzorczej tylko czeka na jakąś oznakę słabości, a kiedy się jej doczekają, rzucą się na ciebie jak sfora głodnych wilków i rozerwą cię na strzępy.

Pastor przez moment nie odzywał się. Naraz zrozumiał, dlaczego tamten przyszedł do niego. - Dzięki za przestrożę, Marcus. Będę miał na uwadze to, co mi powiedziałeś. Popracuj nad tymi swoimi pomysłami, a ja tymczasem zastanowię się, w jaki sposób ci pomóc.

Marcus wstał. - Póki co, spróbuj może jakoś udramatyzować swoje nabożeństwa. Diabeł i ogień piekielny jak dotąd zawsze się sprawdzały.

- Spróbuję, Marcus - obiecał Pastor. - Jeszcze raz dzięki.

Po wyjściu Lincolna z biura Pastor zwrócił się do Beverly. - I co o tym sądzisz?

- W tym, co mówi, jest trochę racji - odparła ostrożnie. - Nie wolno jednak zapominać, że to człowiek Randle'a. Może był to strzał ostrzegawczy, żebyś się wycofał na tyły.

Pastor pokiwał głową. - Może. Lecz jeśli oni zechcą walki, ja ich nie powstrzymam. Będą musiał ją podjąć w odpowiednim czasie.

Zrobiła ruch, jakby chciała wstać. Przytrzymał ją za rękę. - Nie idź jeszcze, Beverly. Chciałbym z tobą porozmawiać. Usiadła z powrotem na krześle. - Słucham cię, Pastorku. Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. - Czy spodziewałaś się, że sprawy przyjmą taki właśnie obrót? Zawahała się na moment, a potem pokręciła głową. - Nie.

- Ani ja - powiedział.

- To smutne, Pastorku.

Uśmiechnął się ponuro. - Nie, wcale nie. Sam to wybrałem. Nikt mnie nie zmuszał.

Milczała. - Czasem żałuję, że nie zostaliśmy w naszym namiocie. Nawet przy tych wszystkich trudnościach, braku pieniędzy, miało to więcej uroku.

- Nie mogłeś zostać w namiocie - stwierdziła.

- Przyszedł czas, żebyś zrobił następny krok.

- Pewnie tak - mruknął. Ich oczy spotkały się.

- Co zrobiłaś z tą forszą w walizce?

- Zainwestowałam - odparła.

- O ile znam ciebie, jest to już niezła fortuna.

- Owszem - przytaknęła.

- Co więc cię tu trzyma, skoro sprawy potoczyły się inaczej, niż przewidywałaś?

- Ty. Joe. - Zamyśliła się. - Wiesz, wydaje mi się, że w pewnym sensie jesteśmy do siebie podobni. Oboje nie potrafimy wrócić do poprzedniego miejsca.

- Wiem, co masz na myśli - powiedział. Otworzywszy kasetkę z papierosami, podsunął ją Beverly. Beverly pokręciła głową. Zapalił więc sam, dmuchnął dymem w powietrze. - W tym roku kończę czterdzieści dwa lata - rzekł.

Nie odezwała się.

- Mówią, że mężczyzna w moim wieku przechodzi kryzys.

Roześmiała się głośno. - To dopiero przy pięćdziesiątce.

Uśmiechnął się do niej. - Naprawdę? A już zaczynałem się martwić.

- No to możesz przestać.

- Przestanę - odparł.

- Mam do ciebie prośbę - zaczęła z wahaniem.

- Wal śmiało.

- Chciałabym być w Los Altos razem z Joe'em - powiedziała. - Tu czuję się bardzo samotna. Odkąd dziewczęta wyjechały, nie mam żadnych przyjaciół. A poza tym, co to za małżeństwo, jeśli się widuje męża tylko przez jeden weekend w miesiącu?

- Masz absolutną rację - zgodził się.

- Oczywiście, nie odejdę, póki nie znajdziesz kogoś na moje miejsce.

- Wiem - odrzekł. - Jutro zaczniemy kogoś szukać. - Dzięki, Pastorku.

- Musimy coś zrobić z naszym prywatnym kontem.

- Załatwiłam to tak, że przez długi czas się udawało - powiedziała. - Jest to konto z numerem w pewnym odległym banku. Nie udało mi się tylko wymyślić, co zrobić, żeby forsa nadal wpływała.

- Najwyższy czas przerwać tę operację - stwierdził. - Tej forsy jest już chyba tyle, że w razie jakichś nieprzewidzianych wypadków wystarczy.

Popatrzyła na niego. - Dziwny z ciebie facet, Pastorku. Nie obchodzą cię pieniądze.

- Czemu tak myślisz?

- Bo nigdy nie zapytałeś, ile jest na tym koncie. Teraz też nie chciałbyś się dowiedzieć?
- Oczywiście, że chciałem - powiedział. - Do tej pory nie miałem czasu, żeby o tym myśleć. Zresztą wiedziałem, że zajmujesz się wszystkim.
Uśmiechnęła się. - Przez ten cały czas mogłam cię okradać, a ty byś nigdy się nie zorientował. - Wszystko jedno - rzekł. - I tak cię kocham. Zamrugła powiekami, żeby się nie rozplakać. - Wciąż nie pytasz.
- Dobra. Pytam.
- Ponad pięć milionów dolarów - powiedziała. Zaniemówił na moment. - Nie wierzę.
- Uwierzysz, gdy pokażę ci wyciąg z konta.
- Nie sądziłem, że tyle się nazbiera - rzekł. - Czeka cię niezła robota.
- To znaczy?
- Musisz wymyślić, w jaki sposób użyć tych pieniędzy, by pomóc najbardziej potrzebującym. Na świecie jest za dużo chorych i głodnych, żeby taka forsa leżała bezużytecznie w banku.
- Nie zapominaj, że to konto otworzyliśmy z myślą o tobie, na wypadek gdyby Randle zamierzał cię wykiwać - powiedziała.
Wstał, podszedł do okna i spojrzał w dół. Przed kaplicą zatrzymał się właśnie jeden z tych odkrytych autobusów. Pasażerowie wysiedli, zaczęli wchodzić do budynku. Pastor odwrócił się do Beverly. - Wiesz, to już nie ma żadnego znaczenia, co on robi.
Nie odezwała się. Podszedł do biurka. - Obejmowałem tę parafię z myślą o tym, żeby sprowadzić ludzi na drogę wiary.
i sprowadziłem. Nawet gdyby Randle mnie stąd usunął, oni już się nie cofną z tej drogi.

8

Uchyliwszy drzwi gabinetu, zajrzała do środka. Podniósł głowę znad papierów, które trzymał w ręce. Weszła do pokoju. - Jest po drugiej. Nie zamierzasz iść spać?

- Najpierw muszę przebrnąć przez te papierzyska

- powiedział. - Mamy jutro posiedzenie rady nadzorczej.

Weszła, usiadła na krześle po drugiej stronie biurka.

- Katolicy mają rację zabraniając księżom się żenić. Odłożył papiery. - Co cię skłania do takiego stwierdzenia?

- Sposób, w jaki żyjemy - odparła. - Nie potrafisz być jednocześnie mężem, ojcem i pastorem. Nie wystarcza ci na to czasu. Musisz więc wybierać. Miałam już niejedną okazję, żeby się przekonać, co dla ciebie jest najważniejsze.

- Wiesz, ile mam pracy - powiedział.

- Wiem.

- I zamiast ubywać, jest jej coraz więcej - stwierdził.

- Za to czasu dla nas masz coraz mniej - powiedziała. - Kiedyś, rzadko bo rzadko, ale zdarzało się nam spędzić ze sobą wieczór. Teraz już nie. Przez ostatnie trzy lub cztery miesiące tylko raz zdołaliśmy zjeść wspólnie obiad.

Milczał.

- Nie pamiętam, kiedy ostatni raz się kochaliśmy - rzekła. - Nie jestem taka naiwna, by sądzić, że ten ogień, który mieliśmy w sobie na początku, będzie zawsze w nas płonął, ale chyba mam prawo oczekiwać jakiejś iskierki od czasu do czasu. A może jesteś

mną znudzony, może cię już nie podniecam, może inne podobają ci się bardziej ode mnie?

- Nic z tych rzeczy - odrzekł. - Po prostu jestem czterdziestojednoletnim mężczyzną i nie mam już tego zapału i energii, co kiedyś.

- Nie, to nie twój wiek - zaprzeczyła. - To twoja praca. W niej się wypalasz do cna.

- Być może - zgodził się.

- Dzieje się ze mną coś niedobrego - powiedziała przez łzy, które nagle napłynęły jej do oczu. - Czy ty w ogóle masz pojęcie, jakich sposobów chwytam się co noc, żeby zasnąć? Biorę tabletki. Innym razem wypalam skręta, a kiedy jestem już porządnie nać-pana, zaczynam wyobrażać sobie różne sytuacje i ma-sturbuję się aż do stanu kompletnego wyczerpania. - Przepraszam - rzekł. - Nie miałem pojęcia... Wściekła, zerwała się na równe nogi. - Oczywiście, że nie miałeś pojęcia! Skąd mogłeś je mieć, skoro myślisz wyłącznie o swej pracy! Oprócz pracy nic się dla ciebie nie liczy.

Zdarła z ramion szlafrok, rzuciła go ze złością na biurko. Jej nagie ciało połyskiwało w świetle stojącej na biurku lampki. - Spójrz na mnie! - krzyknęła. - Nic się nie zmieniło. Wszystko jest, jak było. Nie zestarzałam się ni stąd ni zowąd, nie zbrzydłam.

- Nie - powiedział, patrząc na nią. - Jesteś piękna.

- Nie, jesteś piękna - powtórzyła po nim szyderczo, jej piersi falowały z gniewu. - Powiedz mi, panie Pastorku, czy gdyby jakaś inna kobieta stała przed tobą naga, też byś siedział za biurkiem i mówił do niej uprzejmie "Jesteś piękna"?

Wstał i bez słowa obszedł biurko, trzymając w ręku jej szlafrok. Zarzucił go jej na ramiona. Odwróciła się, szlafrok opadł na podłogę. - Trzymaj się ode mnie z daleka! - warknęła. - Ostatnią

rzeczą, której bym od ciebie chciała, to żebyś poszedł ze mną do łóżka z litości!

Podeszła do drzwi. Otworzyła je. - Miałaś rację

- powiedziała lodowato, odwracając do niego głowę.

- Jaka byłam głupia. Powinnam była iść na skrobankę, kiedy tego chciałeś!

Patrzył przez moment na zamknięte drzwi, po czym podniósł szlafrok z podłogi i wrócił do biurka. Szlafrok pachniał jej perfumami. Rzucił go na puste krzesło, usiadł za biurkiem.

Przez długą chwilę mu się przyglądał. W końcu splótł przed sobą dłonie i schylił głowę. -

Nie rozumiem, Panie - wyszeptał z zamkniętymi oczyma. - Powiedz, co się ze mną dzieje?

*

Jake Randle wypuścił kolejnego gracza z piłką. Tym razem był nim Dick Craig.

Przeglądając starannie przepisana na maszynie i oprawiona w niebieską skórzaną okładkę kopię projektu, które rozdano wszystkim członkom rady nadzorczej na początku zebrania, Pastor nabrał przekonania, że nie jest to coś wymyślonego naprędce. Sprawa dojrzewiała dobrych kilka miesięcy.

W swym wystąpieniu Craig okazywał Pastorowi przesadny szacunek. - Chciałbym, żebyśmy dobrze się zrozumieli. Projektu tego nie należy odczytywać ani jako zarzutu pod adresem któregoś z członków rady nadzorczej, ani jako naszego niezadowolenia ze wspaniałego przywódcy parafii, doktora Talbota, dzięki któremu możemy dziś cieszyć się z odniesionego sukcesu.

Pastor celowo zachowywał obojętny wyraz twarzy. Za nic w świecie nie chciał pokazać, iż wie, że jest to wypowiedzenie wojny. Niech myślą, że się im udało ta ich wersja Pearl Harbor. Nie przerywał monotonnego wywodu Craiga.

- Projekt ten wyraża natomiast pogląd, że praca na rzecz naszej parafii i związane z nią problemy przerastają możliwości jednego człowieka i że nie jest w porządku z naszej strony pozwolić doktorowi Talbotowi, bez względu na to, jak bardzo sam tego chce, na samotne dźwiganie tego ciężaru. I właśnie dlatego proponujemy dokooptowanie do rady nadzorczej czterech osób, które podejmą aktywną pracę na rzecz parafii według wskazówek i rozporządzeń doktora Talbota.

Wszyscy kandydaci zostali dokładnie sprawdzeni, wszyscy legitymują się listami uwierzytelniającymi i doświadczeniem zdobytym w innych parafiach, kwalifikującym do wykonywania tej pracy. Dwu dżentelmenów obejmie stanowisko zastępcy pastora. Są to: doktor Thomas Sorensen, były zastępca pastora w Kościele Wolnych Baptistów w Lynchburgu i doktor Mark L. Ryker, zastępca dziekana wydziału studiów religijnych na Uniwersytecie Orała Roberta. Trzeci rekomendowany przez nas dżentelmen to pan Sanford Carrol z Sieci Rozgłośni Chrześcijańskich. Miałby zająć stanowisko dyrektora programów i badania rynku. I wreszcie nie mniej ważny pan Sutter Duncan, były współpracownik firmy zajmującej się księgowością „Price, Waterhouse i Spółka”, którego rekomendujemy na stanowisko sekretarza i skarbnika, wakujące po złożeniu w zeszłym miesiącu rezygnacji przez panią Beverly Washington.

Pełne życiorysy tych dżentelmenów również znajdują się w dostarczonych państwu materiałach. Osobiście mogę zapewnić, że pan Randle, pani Lacey i ja odbyliśmy rozmowy z tymi panami i stwierdziliśmy, że w pełni odpowiadają naszym celom i zainteresowaniom, a ponadto czujemy, że będą bardzo pasowali do naszej organizacji. Każdy z nich wyraził wolę

podpisania z nami jednorocznej umowy z wynagrodzeniem czterdzieści tysięcy dolarów rocznie plus dodatek na mieszkanie i na wydatki związane z wykonywaną funkcją. Przez sześć kolejnych lat będziemy mieli prawo ewentualnego odnawiania kontraktu z nominalnym wzrostem wynagrodzenia o dziesięć procent rocznie.

A teraz otwieram dyskusję na temat naszej propozycji.

Pastor w milczeniu przerzucał kartki raportu. Rozmyślnie opóźniał zabranie głosu.

Dopiero kiedy zaczęli kręcić się niecierpliwie na krzesłach, podniósł głowę. - To mi się podoba - oznajmił. Dostrzegł na ich twarzach wyraz zdziwienia. Uśmiechnął się do siebie.

Chyba zwariowali, jeśli sądzili, że będzie z nimi walczył w sytuacji, gdy nie był w stanie ich przegłosować. - Aczkolwiek jedna sprawa została w tym projekcie pominięta. Chodzi mi o operację przyznawania koncesji. Biorąc pod uwagę tegoroczne potencjalne wpływy w wysokości trzech milionów dolarów uważam, że powinniśmy docenić zasługi pana Washingtona dla naszej parafii i powołać go na stanowisko zastępcy pastora oraz członka rady nadzorczej. Jeśli rada zgodzi się poprzeć mnie w tej sprawie, ja ze swej strony bez wahania będę głosował za przyjęciem przedstawionego projektu.

Ciszę, która teraz zapadła, przerwał głos Randle'a: - Nie wnoszę sprzeciwu wobec propozycji doktora Talbota. Przystępujemy do głosowania.

Wniosek przeszedł jednogłośnie.

Craig znowu wstał z miejsca. - Proponuję, żebyśmy teraz zawiesili nasze zebranie i zwołali następne za dwa dni już z nowymi członkami rady nadzorczej.

Wniosek został poddany pod głosowanie i przeszedł.

Marcus poszedł z Pastorem do jego biura. - Wie-

działeś o tym wcześniej? - spytał, gdy drzwi zostały za nim zamknięte.

- Nie - odparł Pastor, obchodząc biurko. - A ty? Marcus potrząsnął głową. - Dla mnie było to totalnym zaskoczeniem. Po prostu strzelili z biodra.

- Można i tak to ująć - zgodził się Pastor siadając. - Jesteś wściekły?

- Nie - odrzekł Pastor. - A powinienem być?

- To trochę wygląda tak, jakby chcieli cię wypchnąć - powiedział Marcus.

Pastor uśmiechnął się. - Mogą próbować, ale im to się nie uda. Kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki zarejestrowany jest w Los Altos w Kalifornii na moje nazwisko. - Chcesz powiedzieć, że...?

Pastor pokiwał głową. - Tutaj, w Jezuslandzie, jesteśmy zaledwie dzierżawcami. Jak zaczną pchać za mocno, zwołam zebranie udziałowców i wywalę całą tę radę nadzorczą.

- Ciekawe, czy stary o tym wie - powiedział Marcus.

- Gdyby się trochę nad tym zastanowił... Ale on nie ma czasu na myślenie, tak jest pochłonięty swymi planami wobec nas.

- Radziłeś się, widać, u jakiegoś dobrego prawnika.

- Niezupełnie - odparł Pastor. - Po prostu słyszałem kiedyś rozmowę Beverly z jej znajomym prawnikiem z Nowego Jorku, niejakim Paulem Gitlinem i głęboko zapadło mi w pamięć to, co jej powiedział.

- Mianowicie?

- Nie dawaj im niczego, póki sami nie poproszą. - Pastor uśmiechnął się. - A Randle nigdy nie prosił mnie o Wspólnotę Bożą. Gdyby poprosił, prawdopodobnie oddałbym mu.

- Wracając do naszych spraw - powiedział Marcus

- to mam pewien pomysł na ten program, o którym rozmawialiśmy. Chciałbyś usłyszeć?
- Oczywiście.
- Słyszałeś kiedykolwiek o Jimmym i Kim Hic-koxach?
- Kto by nie słyszał? - zdziwił się Pastor. Przed dwudziestu laty byli bardzo znanym duetem, który nagrywał wiele płyt i często występował w telewizji. Potem nie wiadomo czemu stracili popularność i na jakiś czas wszelki słuch o nich zaginął. Mniej więcej przed siedmiu laty zaczęli się znowu pokazywać, przedstawiając się jako neofici, a obecnie są gwiazdami telewizji chrześcijańskiej. Wciąż młodo wyglądający, krótko ostrzyżeni, reprezentują ciepły, swojski styl, który podoba się Amerykanom.
- Rozmawiałem z nimi. Myślą o zrobieniu własnej audycji. Śpiew i rozmowa, pięć razy w tygodniu. I oboje cię bardzo szanują.
- Ile by nas kosztowali?
- W przypadku rocznego kontraktu wyniosłoby to pięć tysięcy tygodniowo. Normalnie dostają dziesięć tysięcy dolarów za występ. Trzeba jeszcze dodać dziesięć tysięcy tygodniowo za nagranie na taśmę ich występu i dwadzieścia tysięcy tygodniowo za czas antenowy. Moglibyśmy ich emitować za niecałe dwa miliony rocznie.
- Pastor spojrział na niego zza biurka. - Myślisz, że udałoby ci się zdobyć ich podpisy na kontrakcie przed następnym posiedzeniem rady nadzorczej, które odbędzie się za dwa dni?
- Myślę, że tak - rzekł Marcus. - Musiałbym jednak udać się do Los Angeles. Tam mieszkają.
- No to na co czekasz? - spytał z uśmiechem Pastor. - Zadzwoń na lotnisko, niech ci podstawią odrzutowiec. Wrócisz z tym kontraktem. Tym razem

my zrobimy im niespodziankę. Nie będą mogli przynajmniej mówić, że nie próbowaliśmy zdobyć widowni.

Kiedy za Marcusem zamknęły się drzwi, jego wzrok padł na niebieską teczkę, którą przyniósł z zebrania. Otworzył ją i zaczął leniwie przerzucać kartki. Może to nie był zły pomysł. Ci ludzie są profesjonalistami. Gdyby przejęli od niego opracowywanie tej całej masy szczegółów, miałby dla siebie więcej czasu. Mógłby tak to jakoś urządzić, żeby Jane nie czuła się porzucona. Zatelefonował do domu. Odebrała służąca. - Czy jest gdzieś w pobliżu pani Talbot? - spytał.

- Nie, proszę pana - odparła dziewczyna. - Pani zabrała dzieci i wyszła.

- Nie powiedziała, dokąd się wybiera? - spytał.

- Nie, proszę pana.

Odłożył słuchawkę. Będzie jeszcze dość czasu, żeby jej o tym powiedzieć. Nacisnął guzik interkomu. Odezwał się głos jego sekretarki. - Połącz mnie z panem Washingtonem w Los Altos. Po chwili w słuchawce odezwał się Joe.

- Gratuluję, wielbny ojczy, zostaliście członkiem rady nadzorczej i zastępcą pastora.

- Coś podobnego? - zdziwił się Joe. - Czy to znaczy, że będę zarabiał więcej pieniędzy?

- Prawdopodobnie - roześmiał się Pastor. - Naprawdę jednak ważne jest to, że jesteś pierwszym czarnym pastorem w białej parafii.

- No, no - zdumiał się Joe. - Ale ja też mam dla ciebie wiadomość.

- Co takiego?

- Pamiętasz tego pastora z Little River? Tego, od którego zaczynaliśmy?

- Oczywiście, że pamiętam - odparł. - Pastor Willard.

- Ten sam - potwierdził Joe. - Pamiętasz, jak płakał i martwił się, że nie dotrzymuje kroku swej młodej żonie?

- Pamiętam.

- Otóż powiedział mi, że wieczorem tamtego dnia, kiedy do nas dołączyli, zdarzył się cud. Tłum w kościele dał mu tyle energii, że zaraz po nabożeństwie przekazał ją swojej żonie.

- Wspaniale. - Pastor uśmiechnął się. - A skąd ty o tym wiesz?

- Dzwonił przed chwilą. - Joe roześmiał się. - Jego żona właśnie powiła ośmioletniego chłopca. Będzie nosił moje imię.

- Czemu twoje? - zdumiał się Pastor.

Joe znowu się roześmiał. - Powiedział, że to, co wtedy zrobiłem, przywróciło mu siły.

9

Skończywszy czytać tekst napisany na maszynie, Pastor odłożył kartkę na biurko. Uniósł głowę. Inżynier dźwięku przewinął taśmę na początek, a następnie włączył magnetofon, by reżyser ze słuchawkami na uszach mógł przesłuchać nagranie.

Po chwili reżyser uniósł do góry kciuk i zdjął słuchawki. - Sądzę, że o to nam właśnie chodziło, doktorze Talbot. Proszę podnieść słuchawkę. Podłączymy się, a pan usłyszy, jak to brzmi przez telefon.

Pastor posłusznie sięgnął po słuchawkę. Trwało to chwilę, zanim inżynier przewinął taśmę i jeszcze raz ją włączył. Wreszcie Pastor usłyszał swój głos:

- Dziękujemy, że zechcieli państwo zadzwonić do kościoła Wspólnoty Bożej. Z taśmy magnetofonowej mówi do was doktor C. Andrew Talbot. Przepraszamy, ale w tej chwili wszystkie nasze linie są zajęte. Jak tylko któraś się zwolni, zostaną państwo połączeni z doradcą. Bylibyśmy niesłychanie wdzięczni, gdyby państwo poczekali i, korzystając z tego, że połączenie jest bezpłatne, posłuchali piosenki „Amazing Grace” w słynnej interpretacji siostry Arethy Franklin. Przedtem jednak, po usłyszeniu sygnału, będą państwo mieli trzydzieści sekund na podanie swego nazwiska i adresu, abyśmy mogli połączyć was z osobą, która zna te okolice i potrafi wam pomóc.

W słuchawce rozległ się sygnał, po którym nastąpiła chwila ciszy, a potem znowu odezwał się Pastor: - Dziękujemy. Niech Bóg was błogosławi. I nie zapominajcie, że Jezus was kocha. - Gdy rozległy się pierwsze dźwięki melodii, Pastor odłożył słuchawkę.

- Co pan na to, doktorze Talbot? - spytał reżyser. Pastor pokiwał głową. - Świetnie.

- To dobrze - uśmiechnął się reżyser. - Przewiń

- powiedział do inżyniera. Podszedł do biurka, by zabrać mikrofon. - Jest pan coraz lepszy

- stwierdził uprzejmie. - Tylko jedenaście prób i mamy załatwione następne trzy miesiące.

O cztery podejścia mniej, niż poprzednio.

Pastor uśmiechnął się do niego. - Dzięki panu. Pan wie, jak zrobić, żeby brzmiało to naturalnie.

- Dziękuję bardzo - odparł reżyser. Zwinął kabel, wrócił do inżyniera. Inżynier wyciągnął wtyczkę z magnetofonu. Wstał i ruszyli do wyjścia. W drzwiach reżyser odwrócił się. - Do widzenia, pastorze. Życzę miłego wieczora.

- Dziękuję. Wzajemnie - odparł Pastor, patrząc za nimi.

Co miesiąc nagrywali nowy komunikat darmowego „Telefonu do Wspólnoty Bożej”. Za każdym razem różnił się nieco od poprzedniego, inna była też piosenka wypełniająca czas oczekiwania na połączenie. Komunikat ten miał ogromne znaczenie i odtwarzano go bez względu na to, czy linia była zajęta, czy nie. Był to bowiem jedyny pewny sposób na zdobycie nazwiska i adresu abonenta. Dane te wczytywano do komputera z myślą o wykorzystaniu w przyszłości.

Nagrań dokonywano w specjalnym budynku w Fort Worth. Jezusland był za mały, by zmieścić cały personel tego „telefonu zaufania”. Zatrudniali ponad sto osób na płatnych etatach i ośmiuset do dziewięciuset ochotników, przy czym największa zmiana pracowała w czasie tak zwanych „samotnych godzin” czyli od północy do piątej rano, kiedy to większość stacji telewizyjnych wyłączała się, zostawiając ludzi na pastwę ich lęków i wątpliwości.

Kiedy doradca odbierał telefon, głos dzwoniącego był pierwszym, jaki słyszał. Doradca wciskał guzik swego telefonu i łączył się z abonentem dopiero po wystukaniu na komputerze jego imienia i nazwiska; chodziło o to, żeby miał je na ekranie przed sobą. Siedemdziesiąt procent doradców stanowiły kobiety. Wszyscy, tak mężczyźni, jak kobiety, byli dobierani pod względem głosu, który musiał być ciepły, przyjazny, życzliwy. Doradcy zwracali się do abonentów po imieniu, a sami się przedstawiali jako brat czy siostra, dodając do tego własne imię, jeszcze raz dziękowali za telefon i pytali, w czym mogliby być pomocni. Sprawiali wrażenie, że czas ich jest nieograniczony, lecz ich głównym zadaniem było wyciągnięcie z abonenta wszelkich możliwych informacji o nim i jego kłopotach, które natychmiast były wpisywane do komputera. Ich rady były trzeźwe,

wyważone, zazwyczaj poparte stosownym cytatem z Biblii, dostarczonym przez komputer, który sortował i grupował problemy według zaprogramowanej klasyfikacji. Jeśli było to potrzebne, doradca nawet odmawiał z abonentem krótką modlitwę. Na koniec doradca informował abonenta, gdzie znajduje się najbliższy stowarzyszony kościół i oznajmiał, że abonent wkrótce otrzyma list od pastora tegoż właśnie kościoła z zaproszeniem na rozmowę w cztery oczy, bez obowiązku formalnego przyłączenia się do niego i wniesienia składki. (Tak naprawdę, list wysyłano z centrum, ale na papeterii lokalnego kościoła zaopatrzonej w faksymile pastora, któremu przekazywano jego kopię.) Oczywiście, jeśli abonent chciał, to mógł przekazać jakiś datek bezpośrednio do kościoła Wspólnoty Bożej w Jezuslandzie, na poczet kosztów utrzymywania tej cennej działalności, mającej na celu pomaganie ludziom takim, jak on sam, lecz nie było to obowiązkowe. Bez względu na to, czy wpłaci jakieś pieniądze, czy nie, niech pamięta o jednym: być może w tej chwili sprawy nie wyglądają dobrze, ale jutro będzie lepiej, bo Jezus go kocha. W poprzednich latach przyjmowali dziennie około tysiąca telefonów, ostatnio zaś, z powodu recesji i rosnącego bezrobocia, liczba połączeń zwiększyła się o dwieście, trzysta i ciągle jeszcze rosła. Ponad dziewięćdziesiąt procent dzwoniących wpłacało po pięć, dziesięć dolarów. Ile pieniędzy miało wpłynąć później, pocztą lub przez lokalne kościoły, trudno było ocenić, jakkolwiek przeprowadzona analiza wykazała, że średnio jeden abonent wpłacał około trzydziestu dolarów, co w skali rocznej przy sześciuset tysiącach dzwoniących dawało osiemnaście milionów dolarów.

*

Była dziewiąta, kiedy wsiadł do prywatnej windy, kursującej między jego biurem a parterem. Umundurowany strażnik w korytarzu dotknął czapki z uszanowaniem. - ...bry wieczór, doktorze Talbot. - Dobry wieczór, Jeff - odpowiedział mu Pastor. - Jak tam twój artretyzm? - O wiele lepiej - odparł strażnik. - Co wieczór odmawiam te modlitwy, które dostałem od pana i wie pan co? To naprawdę skutkuje. Dziękuję, Pastorze. Nie muszę już brać aspiryny, żeby zasnąć. Bardzo dziękuję.

- Mnie nie dziękuj, Jeff - rzekł Pastor. - Podziękuj Panu Jezusowi, że się nad tobą zlitował. To On wysłuchał twoich modlitw. Nie ja.

- Dzięki Ci, Panie Jezu - powiedział strażnik żarliwie.

- O właśnie tak - uśmiechnął się Pastor. - Z Panem Bogiem. Dobranoc.

- Dobranoc, doktorze.

Zawahawszy się na moment, Pastor poszedł korytarzem ku głównemu wejściu. Zanim uda się na plebanię, powinien zaczerpnąć trochę świeżego powietrza, a w obudowanym przejściu między głównym budynkiem a plebanią brak go zupełnie. W westybulu do jego uszu dobiegł dźwięk chóralnego śpiewu. Podeszedł więc do jednego z wejść do audytorium i zajrzał do środka. Strażnik przy drzwiach odwrócił się. Na widok Pastora uchylił czapki.

- ...bry wieczór, doktorze Talbot - przywitał go szeptem.

- Dobry wieczór, Morris - odpowiedział szeptem Pastor, obiegając oczyma audytorium.

Było prawie pełne. - O, sporo ludzi.

- Na „Rezurekcji” zawsze są tłumy - szepnął strażnik. - Tam stoi ponad trzydzieści autobusów.

- Prawda - przytaknął Pastor. - Zapomniałem, że to wtorek.

W każdy wtorkowy wieczór Teatr Amatorski w Je-zuslandzie wystawiał sztukę. Mieli ich dziesięć w swym repertuarze; traktowały o różnych okresach życia Chrystusa. Wszystkie oparte były na Biblii oraz na serialu telewizyjnym, który wyświetlali w stowarzyszonych kościołach. W tej chwili trwała przerwa. Śpiewał chór, a wzdłuż i wszerz naw wędrowały wiklinowe koszyczki na datki.

- Lubię mieć wieczorną zmianę, kiedy wystawiają te sztuki - szepnął strażnik. -

Niesłychane, jak im się udaje robić na oczach widzów te cuda. Oczywiście wiem, że mają do tego specjalną aparaturę, ale i tak robi to na mnie wielkie wrażenie.

Pastor uśmiechnął się. - Pamiętaj jednak, że Jezus robił te cuda sam. On nie potrzebował specjalnej aparatury.

- No tak - strażnik pokiwał głową. - Tamte cuda były prawdziwe.

- Dobranoc, Morris - powiedział Pastor. - Z Panem Bogiem.

Na zewnątrz panował chłodny wieczór. Pastor wciągnął głęboko do płuc mroźne powietrze i od razu poczuł, że wracają mu siły i energia. Postanowił pójść do domu okreśną drogą, a właściwie ścieżką biegnącą za rzędami autobusów, a potem w dół niezbyt wysokiego wzgórza.

W domu skierował się najpierw po schodach na górę, do swego gabinetu. Położywszy na biurku walizeczkę, poszedł do sypialni. Była pusta. Z sypialni udał się do jadalni, sądząc, że Jane zaczęła kolację nie czekając na niego. Ale tu też nie zastał nikogo, stół nie był nawet nakryty. Podniósł słuchawkę telefonu stojącego na bocznym stoliku, nacisnął guzik

wzywający służącą. - Gdzie jest pani Talbot? - spytał, usłyszawszy jej głos w słuchawce.

- Nie wiem, proszę pana - odrzekła służąca. - Jeszcze nie wrócili. Ja też się martwię, bo już pora kłaść dzieci do łóżek. - Pani nie powiedziała, dokąd się wybiera?

- Nie było mnie wtedy - tłumaczyła się służąca. - Rano miałam wychodne.

- Pewnie pojechała odwiedzić swego ojca

- stwierdził Pastor. - A wiesz, jaki on jest. Nie lubi się z nimi rozstawać, więc pewnie zatrzymał ich na kolację. Nie martw się o dzieci, zadzwonię do niego.

- Tak, proszę pana - zgodziła się. - Czy przygotować panu kolację?

- Poproszę. Zjem w gabinecie.

Wróciwszy do gabinetu, zatelefonował na ranczo. Odebrał kamerdyner. - Czy pan Randle jest osiągalny? - spytał Pastor.

- Nie, doktorze Talbot - odpowiedział kamerdyner. - Już się położył.

- O której wyjechała od was pani Talbot?

- Pani Talbot? - w głosie kamerdynera zabrzmiało zdziwienie. - Nie było tu dziś pani Talbot. Pastor odłożył słuchawkę i zamyślił się. Nic z tego nie rozumiał. Dokąd Jane mogła pojechać? Zadzwonił do garażu, gdzie zostawiali samochody. - Czy jest tam mercedes pani Talbot? - spytał. - Nie, proszę pana - odparł strażnik.

- Czy ktoś widział, jak wyjeżdżała?

- Nie, proszę pana. Ja mam dziś nocną zmianę. Przyszedłem dopiero o ósmej. A ci, co pracowali w dzień, poszli już do domu.

Pastor powoli odłożył słuchawkę na widełki. Wstał zza biurka, poszedł do sypialni. Żeby chociaż zostawiła

jakiś list. Przeszedł przez hall do pokoju dzieci. Ten też był pusty.

Wracał właśnie przez hall do gabinetu, kiedy zadzwonił telefon. Rzucił się pędem do pokoju. - Jane? - Tak - odpowiedziała.

- Gdzie jesteś? - spytał. - Martwię się o ciebie. W garażu nie ma twojego samochodu, więc już zacząłem sobie wyobrazać, że miałaś jakiś wypadek.

- Nie, nic nam się nie stało - uspokoiła go. - Gdzie jesteś?

- W Dallas. U ciotki Jenny.

Stracił panowanie nad sobą. - Co ty, do diabła, robisz w Dallas?

- Musiałam odetchnąć świeżym powietrzem - powiedziała. - W Jezuslandzie czułam, że jeszcze trochę, a zwariuję.

- Odetchnąć świeżym powietrzem? - wrzasnął. - I po to ciągnęłaś ze sobą dzieciaki?

Milczała przez chwilę. - Ja tam nie wrócę.

- Czekaj, czekaj - powiedział, nie wierząc własnym uszom. - Nie możesz tego zrobić.

- Już zrobiłam - rzekła.

- Nie możesz tego zrobić - upierał się. - Najpierw musimy porozmawiać.

- O, nie. Mam dość tego twojego urzekającego gadania. Widziałam, jak to działa na innych. Nie wyjechałabym.

- Nie wyjechałabyś. Ale dlaczego? Bo jakbyś się zastanowiła, to doszłabyś do wniosku, że postępujesz źle. Nie sądzisz?

- Nie będę tego wysłuchiwać - powiedziała. - Ja już podjęłam decyzję. Rano zadzwonię do służącej i powiem jej, co ma mi przywieźć.

- Nie zadzwonisz. Rano pojedę po ciebie i przywiozę cię do domu.

- Nie wierzę ci - rzekła zmęczonym głosem. - Rano na pewno będziesz miał coś ważniejszego do zrobienia. Nie przyjedziesz.

- Przyjadę - powiedział, ale już do głuchej słuchawki, bo Jane przerwała połączenie. Stał jeszcze ze słuchawką w ręce, kiedy do gabinetu weszła służąca z tacą. - Czy to była pani Talbot? - spytała, stawiając tacę na biurku.

- Tak - odparł krótko.

- Wszystko w porządku? - spytała.

- W jak najlepszym - stwierdził, odwracając do niej głowę. - Pani Talbot w ostatniej chwili wpadła na pomysł, żeby odwiedzić ciotkę Jenny w Dallas.

Służąca milczała. Wreszcie skinęła głową. - Cieszę się, że wszystko w porządku - powiedziała i wyszła z pokoju.

Usiadł i przez długi czas patrzył na tacę. W końcu odepchnął ją od siebie. Nie był głodny. Pomyślał, że jeśli poleci wczesnym rankiem, to jeszcze przed południem będą w domu. Wyjął z teczki skoroszyt z nalepką „Pilne”. Przejrzał jego zawartość. Rano zostawi na biurku sekretarki robotę na co najmniej dwie godziny. Włączył lampkę na biurku i zaczął czytać pierwsze sprawozdanie.

10

Kiedy w dwie godziny później zadzwonił Marcus, Pastor wciąż jeszcze siedział przy biurku. - Zrobią to! - Marcus był podniecony. - Przed chwilą wróciłem do

hotelu. Sprowadziliśmy prawników, by przygotowali kontrakt. Jutro będzie gotowy.

- Gratuluję - powiedział Pastor. - Ten program będzie bardzo cennym nabytkiem dla naszego kościoła. Mają mnóstwo miłośników, dla których nie istnieją bariery wyznaniowe. Są wśród nich metodyści, baptyści, presbiterianie, a nawet członkowie kościoła episkopalnego, do którego sami się zaliczają. - Jest jednak pewna komplikacja - rzekł Marcus. - Powiedzieli, że nie podpiszą kontraktu, póki nie spotkasz się z nimi osobiście i nie zapewnisz ich, że złożone przeze mnie obietnice są prawdziwe.

- Chętnie się z nimi spotkam - zgodził się Pastor.

- Niech przylecą z tobą jutro.

- Nie mogą - stwierdził Marcus. - Jutro wieczorem występują w specjalnym programie Boba Shullera w Kryształowej Katedrze. Musisz sam przylecieć do Los Angeles, jeśli chcesz mieć tę umowę na posiedzenie rady nadzorczej.

- Nie dam rady - zaprotestował Pastor. - Jutro rano muszę być w Dallas.

- Odłóż to na kiedy indziej - rzekł Marcus. - Ta sprawa jest na pewno ważniejsza.

Pastor milczał. Marcus miał swoją rację. Miała ją również Jane. Kościół stał się ważniejszy od jego prywatnego życia. Ale z tym faktem musiała się pogodzić każda żona duchownego. Z drugiej zaś strony, może lepiej będzie, że nie od razu pogna za nią do Dallas. Teraz jest jeszcze wściekła. A po paru dniach, jak to wszystko przemyśli, może ochłonie. I życie w Jezuslandzie wyda się jej nie takie znowu złe. - Niech będzie - powiedział biorąc głęboki oddech. - Ile trwa lot?

- Około trzech godzin.

Zaczął liczyć. W Los Angeles jest o dwie godziny

wcześniej. Rano mógł to i owo jeszcze zrobić i o dziesiątej wylecieć. - Przylecę *jezuslandem-2* - powiedział. - Czekaj na nas na lotnisku około jedenastej.

- Będę tam - obiecał Marcus.

Pastor odłożył słuchawkę, znalazł papierosa, zapalił. Wypuścił powoli dym. Nie lubił siebie w tej chwili. Jane miała rację mówiąc, że coś mu przeszkodzi i nie przyjedzie do Dallas. Czy jednak był to dostateczny powód, by wypowiadać wojnę kościołowi? To, że kochał Jezusa, nie oznaczało, że nie mógł jej kochać.

Naraz zdusił ze złością papierosa w popielniczce, bo przyszła mu do głowy pewna myśl. Może w tym, co mówiła, było więcej prawdy, niż sobie uświadamiała. Przecież pobrali się nie dlatego, że on był w niej szaleńczo zakochany. Oczywiście, kochał ją na swój sposób, ale nie bardziej niż inne dziewczęta. Może więc rzeczywiście nie był zdolny do takiej miłości, jakiej oczekiwała.

Jezusland-2 kończył kołować po wylądowaniu. Biały kabriolet z przyciemnionymi szybami ruszył w jego kierunku. Otworzywszy drzwi samolotu, steward nacisnął guzik i automatycznie wysunęły się schodki.

Gdy Pastor zszedł na płytę, Marcus już na niego czekał.

- Dobry lot?

- Doskonały. - Pastor uśmiechnął się i spojrzał na samochód. - „Błysk”?

Marcus uśmiechnął się. - Uznałem, że zasługujesz na coś specjalnego. W tej limuzynie jest barek, telewizor, dwa telefony, a nawet rozkładane biurko na wypadek, gdybyś chciał coś pisać.

- Oczywiście - zgodził się Pastor i wszedł do

samochodu, bo kierowca właśnie otworzył mu drzwi. Marcus za nim.

- Mam ze sobą szkic wstępnej umowy. Możemy go przejrzeć w drodze do hotelu. Chciałbym, żebyśmy przedyskutowali ewentualne zmiany przed spotkaniem z ich prawnikami - powiedział Marcus.

Pastor spojrział na niego pytająco. - Jedziemy do hotelu?

- Pomyślałem, że może chciałbyś najpierw wziąć prysznic i się przebrać. Zamówiłem dla ciebie bungalow w hotelu Beverly Hills. Bungalow dlatego, żebyś mógł wejść prosto z ulicy, nie przez westybul. Spotykamy się z nimi w ich domu dopiero po lunchu, o drugiej trzydzieści.

Pastor spojrział przez okno. Byli już na autostradzie prowadzącej na północ. Wykluczone, żeby udało mu się znaleźć przed nocą w Dallas. - Zrozumiałem, że mamy tylko podpisać kontrakt.

- Owszem, mamy tylko podpisać kontrakt - odrzekł Marcus. - Ale w branży rozrywkowej nie robi się tego tak z marszu. Każde dwie minuty pracy to dwie godziny zawracania dupy.

- No dobra - przystał Pastor. - Rzućmy okiem na ten kontrakt.

Wysunąwszy blat prowizorycznego stolika, Marcus otworzył swą walizeczkę. Położył przed Pastorem plik kartek, jedną zostawił sobie. - To wszystko jest mniej więcej tak, jak ustaliliśmy - powiedział. - Z tym, że oni domagają się jeszcze paru rzeczy.

- Na przykład?

- Chcą pracować tylko trzydzieści dziewięć tygodni w roku, zastrzegając sobie prawo do wyboru gospodarza programu na pozostałe trzynaście tygodni. O ile, oczywiście, się na to zgodzimy. Uznałem, że można to zaakceptować.

Pastor pokiwał głową. - Co jeszcze?

- Chcą, żeby program nosił nazwę „Jimmy i Kim Hickox zapraszają”.

- Dobra. - Chcą sami ustalać listę współpracowników.

- Załatwione.

- Chcą utworzyć z nami spółkę typu joint venture. Napis w czołówce programu brzmiałby „Produkcja Hickox-Jezusland”, ponadto mielibyśmy podzielić się z nimi prawami autorskimi. Na to się nie zgodziłem.

- Dlaczego? - spytał Pastor.

- Bo gdybyśmy kiedykolwiek później chcieli wykorzystać ten program, mielibyśmy zwracać się do nich o zgodę. Powiedziałem im, że mogą mieć dochody z produkcji, ale nie prawa autorskie. - Zgodzili się?

- Jeszcze nie - powiedział Marcus. - Będą próbowali załatwić to z tobą. Jeśli będziesz twardy, to chyba się wycofają. - Jak sobie życzysz - rzekł Pastor.

- Dobra - ucieszył się Marcus. - Została otwarta jeszcze jedna kwestia. I to taka, która może wszystko popsuć. Mianowicie oni chcą nagrywać tutaj cały program. Twierdzą, że gdyby nagrywali w Jezuslandzie, wiele osób odmówiłoby im udziału w programie. Gdyby nam przyszło wynająć tutaj jakieś studio, podwoiłoby to koszty produkcji. A na to nie możemy sobie pozwolić. - I jak z tego wybrniemy?

- Nie wiem - odparł Marcus. - Wszystkiego już próbowałem. Zostawiam to tobie.

Pastor zastanawiał się przez chwilę. - Mamy im coś do zaoferowania w zamian?

Marcus pokręcił głową. - Nie sądzę.

- Jacy oni są? - Pastor spojrział na niego.

- On wydaje się dość miłym facetem. No wiesz, sympatyczny, spokojny, dokładnie taki jak w telewizorze. Ona natomiast jest zupełnie inna. Twarda kobieta. To ona w tej rodzinie zajmuje się interesami. Najwyraźniej musiała wziąć sprawy w swoje ręce przed laty, kiedy on odstawił przyjemniaczka, przez co stracił forszę i pozycję zawodową. - Marcus odetchnął głęboko. - Mogę się oczywiście mylić, ale sądzę, że pchnęła go na tę religijną drogę właśnie dlatego, że wyczuła w tym możliwość zrobienia pieniędzy, a wiedziała, że w komercyjnej telewizji on nie ma szansy.

Pastor sondował dalej. - Chcesz powiedzieć, że ona tylko udaje? Że wierzy w Boga, bo widzi w tym interes?

Marcus wzruszył ramionami. - Może tak być. Ale nie wiem na pewno.

Pastor pokiwał głową. Po chwili milczenia uśmiechnął się. - Wkrótce się dowiemy.

- Jak? - zainteresował się Marcus.

- Powiedzmy, że wezmę ją do drugiego pokoju i trochę się razem pomodlimy - rzekł Pastor. Zobaczywszy minę Marcusa, wybuchnął śmiechem. - Nie złość się. To taki mój prywatny żart. Zgadza się z tobą, że nie jest to odpowiednia pora na modlitwę. Wiesz co? Przekonajmy się, czy ta pani jest rzeczywiście taka twarda. Zadzwoń do jej pełnomocnika i powiedz, że absolutnie się nie zgadzam, by program był nagrywany gdziekolwiek poza Jezuslandem. Jeśli oni obstają przy swoim, nie mamy o czym ze sobą rozmawiać. Możesz mu także powiedzieć, że będę w hotelu do drugiej i jeśli do tego czasu nie usłyszę, że zgodzili się na robienie programu w Jezuslandzie, uznam, że nie mam po co się z nimi spotykać i pojedę na lotnisko.

Marcus patrzył zdziwiony. - To zbyt kategorycznie. Nie dajesz mi szans na negocjacje.
- Bo tu nie ma miejsca na negocjacje - powiedział spokojnie Pastor. - Przecież ten program miał być nadawany z Jezuslandu przede wszystkim po to, żeby przyciągnąć do nas więcej ludzi. A tak, to jego wartość spada o pięćdziesiąt procent.
- Do kogo pójdziemy, jeśli nam odmówią? - zmartwił się Marcus.
- Świat się na nich nie kończy - stwierdził Pastor. Zastanowił się. - Taki Pat Boone, dajmy na to. Jest bardzo dobry, a ponadto cieszy się większą popularnością niż Jimmy Hickox kiedykolwiek w swym życiu.
- Nie zaczynałem z nim, bo słyszałem, że jest zajęty na rok do przodu.
Pastor spojrział na niego. - Uprzedzasz fakty. Jeszcze nas nie odrzucili. Najpierw zadzwoń.

*

W hotelu byli o jedenastej trzydzieści. Marcus zaprowadził go do bungalowu, który znajdował się z dala od ulicy, przy Crescent Drive. - Jesteś głodny? - spytał. - Zamówić ci lunch?

Pastor pokręcił głową. - Nie, dziękuję. Jestem natomiast zmęczony. Nie spałem dobrze ostatniej nocy. Czy sądzisz, że zdążyłbym się zdrzemnąć?

- Oczywiście - odparł Marcus. - Ja mam parę spraw do załatwienia, ale ty się połóż. Obudzę cię kwadrans po pierwszej.

- Świetnie.

Po wyjściu Marcusa Pastor poszedł do sypialni, zaciągnął zasłony, a gdy pokój pograżył się w ciemności, zdjął ubranie i wyciągnął się na łóżku tylko w spodenkach. Poleżawszy chwilę, usiadł i sięgnął po słuchawkę telefoniczną.

Telefonista zgłosił się natychmiast. - Tak, doktorze Talbot?

Zamówił połączenie z domem ciotki Jane w Dallas. Już po dwóch dzwonekach usłyszał: - Tu rezydencja Dawsonów.

- Mówi Talbot - powiedział. - Czy jest tam pani Talbot?

- Nie, doktorze Talbot - odpowiedziała służąca. - Pani Talbot pojechała z dziećmi po zakupy. Czy coś przekazać?

- Tak - rzekł Pastor. - Proszę powtórzyć pani Talbot, że niespodziewanie wypadł mi wyjazd do Los Angeles i że później zadzwonię i wszystko wytłumaczę.

- Powtórzę - powiedziała służąca.

- Dziękuję. - Odłożywszy słuchawkę, Pastor położył się na wznak. Wpatrując się w ciemność, zaczął zastanawiać się, czemu wszystko szło nie tak jak powinno? Najpierw posiedzenie rady nadzorczej, potem Jane, a teraz ci Hickoxowie. Dziwne. Od kiedy skończył czterdzieści lat, odnosił wrażenie, że nie jest zdolny dogonić umykającego mu czasu. Był zmęczony. Bardzo zmęczony. Zamknął oczy i zasnął.

Przez sen poczuł słodkawy zapaszek trawki. Nie, nie, to bzdura. Skąd nagle trawka? To tylko sen. Lecz zapach trwał, a nawet się nasilał. Wreszcie otworzył oczy. Jedyne, co zobaczył w ciemnościach, to kontury ciał dwóch dziewczyn, siedzących w nogach łóżka oraz ogniki ich papierosów.

Podniósł się, by zapalić lampę obok łóżka, ale jedna z dziewczyn wychyliła się i przytrzymała jego rękę. - Śpij, Pastorku. Nie chcemy ci przeszkadzać.

Wyjął skręta spomiędzy jej palców. Zaciągnął się

chciwie. - Nie przeszkadzacie mi, Charlie - odrzekł.

- Ale jeśli mam ćpać, to nie chcę robić tego przez sen i pozbawiać się przyjemności.

- Kochamy cię, Pastorku - powiedziała druga dziewczyna.

- I ja was kocham, Melanie - odparł. Oddał skręta Charlie. - Mogę już zapalić światło?

- Ja to zrobię - zaproponowała. Lampa się rozświeciła.

Mrużąc powieki, spojrzął na nie zdziwiony. Dziewczęta się uśmiechnęły. - Skąd wiedziałyście, że jestem tutaj? - Joe dowiedział się od Marcusa i nam powiedział.

Wyruszyliśmy o świcie. Chciałyśmy cię zobaczyć - wyjaśniła Melanie.

- Było nie było, to już prawie rok - zauważyła Charlie.

Milczał. - Zgaście te pety - powiedział po chwili.

- Mam zaraz ważne spotkanie. Nie mogę się zataczać. Charlie była rozżalona. - Nie cieszysz się, że nas widzisz, Pastorku?

- Zawsze się cieszę, gdy was widzę - odparł. Wstał z łóżka. - Wezmę teraz zimny prysznic, to mnie otrzeźwi.

- A nie wolałbyś najpierw małego ciepłego rżnięt-ka? - spytała Melanie. - Zrelaksowałbyś się i zapomniał o wszystkim, co zatruwa ci życie.

Uśmiechnął się do nich. - Obie jesteście piękne. I nic się nie zmieniacie. Ale ja nie mam czasu.

- Wykrój trochę czasu, Pastorku - rzekła Charlie i zaczęła się rozbierać. - Twoje pulsowanie mówi nam, że nas potrzebujesz.

- Każ jej przestać - powiedział, odwracając się do Melanie. Naga Melanie czołgała się w jego kierunku. Odwrócił się więc znowu do Charlie, żeby

zaprotestować, ale za późno, bo Charlie zdążyła się już rozebrać. - Hej! - krzyknął. Śmiejąc się, przewróciły go na łóżko i napały na niego ciałami, żeby się nie podniósł. Leżał nieruchomo, mając nad sobą ich twarze. Przenosił wzrok z jednej na drugą. Wreszcie odetchnął głęboko. - Nic z tego nie będzie, dziewczęta.

- Bo nie chcesz, żeby było, Pastorku - powiedziała Charlie, a jej oczy zwilgotniały. Odwrócił twarz do Melanie. W jej oczach też błyszczały łzy. - Prosimy cię, Pastorku - wyszeptwała. - Nie starzej się dla nas. Milczał.

Otarła nos grzbietem dłoni. - Bo jeśli ty się zestarzejesz, to my również. Poczuł, że mu do oczu również napływają łzy, więc przyciągnął do siebie ich głowy i leżeli tak, roniąc łzy, przez długą chwilę. W końcu wyswobodził ręce, wyciągnął je wzdłuż ciała. Dziewczęta wstały z łóżka, a on jeszcze jakiś czas leżał, patrząc w milczeniu, jak się ubierają. - Przepraszam - powiedziała Charlie, odwracając się do niego twarzą. - Nie powinniśmy były przyjeżdżać.

- Myślałyśmy, że będzie jak za dawnych czasów
- usprawiedliwiała się Melanie. - Ale pomyliłyśmy się. Wszystko się zmieniło. Nawet ty. Teraz już wiemy.

- Nie wracamy do komuny - oświadczyła Charlie.
- Komuna też już nie jest taka, jak była.
- To dokąd pojedziecie? - spytał Pastor siadając. Melanie wzruszyła ramionami. - Myślałyśmy, że jeśli nas zechcesz, to wrócimy z tobą do Jezuslandu. Teraz już wiemy, że to niemożliwe.
- Znajdziemy sobie jakieś miejsce - powiedziała

Charlie. - Gdybyś rozmawiał z Joe'em, powiedz mu, że jak się gdzieś zaczepimy, to podamy mu adres, żeby mógł przesłać nasze rzeczy.

Pastor zastanawiał się nad czymś. - Najlepiej będzie, jak od razu do niego zadzwonisz - rzekł z uśmiechem.

- Jak to? - zdumiała się Melanie.

- Wieczorem polecicie razem ze mną do Jezuslandu - oznajmił. Widząc zdziwienie na ich twarzach, uśmiechnął się drugi raz. - Czy teraz panie pozwolą, żebym wziął zimny prysznic?

- Ile trwa lot? - spytała Charlie.

- Trzy godziny - odpowiedział.

Podeszły do niego i pocałowały go w policzki.

- Zatem niech ten prysznic nie będzie zbyt zimny

- powiedziała Charlie.

11

Otworzył im Jimmy Hickox. Sądząc z wyglądu, mógł mieć najwyżej trzydzieści parę lat, ale Pastor wiedział, że stuknęła mu już pięćdziesiątka. - Witam, doktorze Talbot - powiedział wyciągając dłoń. - To wielka przyjemność pana poznać.

Uścisk dłoni Jimmy'ego był silny i entuzjastyczny. Pastor uśmiechnął się. - Cała przyjemność po mojej stronie, panie Hickox. Od dawna jestem pańskim fanem.

- Miło mi to słyszeć - rzekł Jimmy. - Bo ja również należę do pana wielbicieli. Jestem pod głębokim wrażeniem tego, w jaki sposób wypełnia pan

swą służbę Bogu. Ten kraj potrzebuje więcej takich ludzi jak pan, ludzi gotowych poświęcić swe życie walce z grzechem, który grozi rozpadem tradycyjnej rodziny amerykańskiej i naszego stylu życia.

Pastor zerknął na Marcusa. Dostrzegł w jego oczach skrywane rozbawienie. To oczywiste, że Jimmy nigdy w życiu nie oglądał żadnego ich programu, w przeciwnym razie wiedziałby, że Pastor zajmował się zupełnie czym innym. - Dziękuję - odparł. - Staramy się wszyscy jak najlepiej wywiązywać ze swych zadań, panie Hickox.

- Na imię mi Jimmy. Kim i pozostali oczekują nas w salonie.

Oprócz Kim w salonie znajdowali się ich trzech współpracownicy - agent, menadżer oraz prawnik. Jimmy przedstawił Pastorowi najpierw mężczyzn. Przywitawszy się z każdym po kolei, Pastor odwrócił się do Kim Hickox. Wyciągnął do niej rękę, zanim Jimmy zdążył zapoznać ich ze sobą. Była zmuszona wstać z krzesła. Pastor przytrzymał jej dłoń nieco dłużej, niż wymagała tego sytuacja. - Pomyślałem, że Jimmy nie chce, żebyśmy się poznali - powiedział, patrząc jej w oczy. - Ale teraz już rozumiem. Najlepsze chował na koniec. Bardzo mi miło.

Zarumieniła się pod makijażem. Puścił jej dłoń. - Mnie również jest miło pana poznać, doktorze Talbot. Nie umiem nawet powiedzieć, jak bardzo czuliśmy się zaszczytzeni, kiedy zwrócił się pan do nas, żebyśmy pomogli panu w pracy dla Jezusa Chrystusa.

- Cieszę się, że wszystkie problemy zostały rozwiązane. Bóg życzy sobie, żebyśmy razem mu służyli. Jestem o tym głęboko przekonany - powiedział. Dostrzegł, że jej policzki znowu lekko się zarumieniły. A więc zrozumiała aluzję.

- Czy ktoś miałby ochotę na coś zimnego? A może **na** kawę lub herbatę? - spytała, z trudem odrywając od niego oczy.

- Ja dziękuję, pani Hickox - odparł prędko. - Mam mało czasu. Wieczorem muszę być w Dallas. - Przykro mi to słyszeć, doktorze Talbot - zmartwiła się. - Myślałam, że porozmawiamy trochę o programie.

- Ależ oczywiście, że porozmawiamy - obiecał. - Gdyby pani znalazła trochę czasu, żeby spędzić ze mną kilka dni w Jezuslandzie, to obejrzałaby pani wyposażenie naszego studia i moglibyśmy zrobić coś naprawdę konstruktywnego.

Skinęła głową. - Zgoda, doktorze Talbot. To bardzo ważne. Chciałabym zabrać się do tego jak najprędzej. Może w przyszłym tygodniu? - Mnie to odpowiada - odparł.

- Chwileczkę, Kim - zaprotestował Jimmy. - Zapomniałaś, że w przyszłym tygodniu obiecałem wziąć udział w krucjacie Billy'ego Grahama w Kanadzie?

- W porządku, kochanie - powiedziała z uśmiechem, ale stanowczo. - Dla nas wszystkich będzie jednak lepiej, jeśli ja w tym czasie, zamiast siedzieć w domu i nic nie robić, popracuję nad programem.

- No tak - przyznał Jimmy, kiwając głową. - Nie pomyślałem o tym.

- Czy mogę zaproponować, żebyśmy teraz zajęli się papierami? - powiedział Marcus. - Im szybciej je podpiszemy, tym szybciej doktor Talbot będzie mógł udać się na lotnisko. On naprawdę musi być wieczorem w Dallas.

Radca prawny rozdał wszystkim dokumenty. Pastor oddał swoją kopię Marcusowi. -

Nigdy nie czytam kontraktów. Zostawiam to panu Lincolnowi i tylko podpisuję tam, gdzie on mi każe.

Odwrócił się do Kim. - Jestem pewien, że pani zachowa się podobnie, pani Hickox. Niech pani odda te sprawy w odpowiedzialne ręce męża i doradców.

- Oczywiście, doktorze Talbot - zgodziła się Odłożyła papiery na stolik i stała tam niezdecydowanie

- Mają państwo piękny dom - Uśmiechnął się, Czy jest prawdą to, co słyszałem, a mianowicie, że jedna ściana w tym domu zawieszona jest złotymi płytami pani męża?

- To prawda - odparła. - W bibliotece. Chciałby pan je obejrzeć?

- Bardzo - powiedział. - Czy uwierzy pani, że nigdy w życiu nie widziałem złotej płyty¹?

- Proszę mi mówić Kim - rzekła. Odwróciła się do prawnika. - Dajcie znać, gdy będziecie gotowi. Pastor wyszedł za nią z pokoju do foyer. Zaczęła wchodzić po schodach. W pewnej chwili odwróciła się i spojrzała w dół. - Biblioteka jest na piętrze - wyjaśniła.

Pastor unosił głowę. - Wiem o tym, z tego samego artykułu, z którego dowiedziałem się o złotych płytach.

Zarumieniła się. Gdy w milczeniu doszli do drzwi biblioteki, otworzyła je, weszła do środka, ale zatrzymała się zaraz za progiem. - Płyty wiszą na ścianie za biurkiem.

Minąwszy ją, przeszedł przez pokój. Rzucił niedbałe spojrzenie na płyty. - Zamknij drzwi - powiedział, odwracając się.

Zawahała się, ale spełniła jego polecenie

Obszedł biurko. Miał je teraz za sobą. - Jesteś za daleko - stwierdził.

Jak zahipnotyzowana przeszła powoli przez pokój nie odrywając od niego wzroku.

Zatrzymała się tuż

przed nim. - Dlaczego uwziąłeś się na mnie? - spytała przestraszona.

Położył ręce jej na ramionach. Drżała. - Odpowiem ci, ale najpierw wysłucham, co ty masz mi do powiedzenia. Spuściła oczy. - Nigdy nikomu tego nie mówiłam.

- Ale mnie powiesz - rzekł.

- Nie zawsze tak było. Kiedyś dużo się śmiałam i lubiłam się bawić. Jak wszyscy. Ale któregoś dnia obudziłam się i odkryłam, że jestem żoną kukły, alkoholika, który zniszczył wszystko, na co ciężko pracowaliśmy: pozycję zawodową i bezpieczne życie. Musiałam wziąć sprawy w swoje ręce. Próbowałam różnych sposobów, ale nic nie pomagało, dopóki się nie nawrócił. Wtedy zrozumiałam, że jest to sposób na odbudowanie jego kariery, na wykorzystanie jego wciąż znanego nazwiska. Dla Chrystusa. - Podniosła wzrok. - Czy to chciałeś usłyszeć?

- Na wieki wieków, amen - powiedział z lekką kpina w głosie. - Ta historyjka świetnie nadawałaby się do programu Robertsona lub Bakker'a.

- Nie wierzysz mi? - spytała.

- Wierzę - odparł. - Ale powiedziałaś mi tylko to, co według ciebie chciałem usłyszeć.

- Nie rozumiem - rzekła.

Spojrzał na nią. - Kiedy się pobieraliście, wiedziałaś, że jest pedalem? Pokręciła głowę. - Nie - odpowiedziała cicho.

- Czy z tego właśnie powodu chcesz robić program w Los Angeles? - spytał. - Bo boisz się, że w takim małym miejscu, jak Jezusland, mogłoby to wyjść na jaw?

Ponownie spuściła oczy. - Tak. Podniósł jej brodę, zmuszając do spojrzenia mu w oczy. - Może to jednak zbyt ryzykowne - powiedział

z namysłem. - Gdyby się wydało, to moi wrogowie zeby się na mnie odegrać, rozerwaliby go na strzepy.

- Nie wyda się - zapewniła go energicznie. - Potafię go upilnować. Czy zaszlibyśmy tak wysoko? Nigdy nie padło na ten temat ani jedno słowo.

- Twarda z ciebie baba – stwierdził.

- Musze byc twarda, ale nie zawsze taka bylam - powiedziała. - Zresztą dalej jestem kobietą o bardzo kobiecych pragnieniach. Nie zawsze byłam taka, jak powinnam.

- Jestem pewien, że Pan Bóg cię rozumie i wybacza ci. On ma litość nie tylko dla grzeszników

- Ależ ja jestem grzesznicą - powiedziała.

- Wszyscy jesteście - rzekł cicho. - Dlatego właśnie uwzięłem się na ciebie. Cofnęła się. – A ja myślałam, że z innego powodu. Nie odpowiedział.

- Jest pan dziwnym człowiekiem, doktorze Talbot.

Nie znalazłam jeszcze takiego kaznodziei. - Odetchnęła głęboko. - Od razu powinnam była wiedzieć, że nie z panem te numery. - Ruszyła do drzwi. - Idę do swego pokoju - powiedziała. - Niech pan im powie że me udało nam się dojść do porozumienia. Ja nie mam odwagi stanąć przed nimi. - Kim, nie podpisałbym kontraktu, nie znając prawdy o każdym z was. Ale teraz już mogę. Wiedziałem, że mnie nie zawiedziesz. Nie posiadała się ze zdziwienia. – Chcesz powiedzieć, że....?

- Tak - uśmiechnął się, podchodząc do niej. Zejdźmy na doł i posuńmy sprawę naprzód. Kiedy przypomniał sobie, że miał zadzwonić do Jane, siedział już w samolocie lecącym do Jezuslandu. Godzina też była późna.

Napisy nakazujące założenie pasów zgasły, gdy samolot osiągnął już wysokość lotu.

Pastor odpiął pas i spojrzał na Marcusa siedzącego po przeciwnej stronie stolika. - Dzięki, że pomyślałeś o wysłaniu drugiego samolotu po Joe'ego. Całkiem o tym zapomniałem i żeby nie ty, to on by pewnie nie przyjechał na posiedzenie.

- Masz tyle na głowie - powiedział Marcus.

- Podać coś do picia? - spytał steward. Marcus spojrzał na niego. - Gdyby to był lot komercyjny, zamówiłbym podwójną whisky. Ale że nie jest, to poproszę o czarną kawę.

Pastor uśmiechnął się. - A ja napiję się mojej Z lodem. To oczywiście wbrew przepisom - rzekł do Marcusa - ale w każdym z tych samolotów mam niewielki sejfik.

Marcus odwzajemnił uśmiech. - A w nim coś dla zdrowia.

Pastor przytaknął. - Właśnie. Żeby jakoś przeżyć podróż.

Roześmieli się. Marcus rzucił okiem za siebie na siedzące twarzą do lotu dwie dziewczyny.

- Stary nie ucieszy się z ich powrotu.

Pastor przytaknął. - Pewnie nie.

- A wiesz chociaż, gdzie będą pracowały? Pastor odczekał, aż steward postawi na stoliku ich napoje i oddali się. Podniósł szklankę i przez kilka sekund studiował złotawy kolor alkoholu. - Może w recepcji dla VIP-ów. Kto jak kto, ale one potrafią traktować człowieka tak, żeby czuł się bardzo ważny.

- Myślałem, że ważni są teraz w gestii Biura Badania Opinii Publicznej i że zamknęli ten wydział.

- Otworzymy go ponownie. Stać nas.

Marcus pił powoli. - Byłem zdumiony, jak prędko

przystał na twoją propozycję włączenia Joe'ego do rady nadzorczej. Ty nie?

Pastor pokręcił głową. - Ani trochę. Jake jest sprytnym handlarzem. Jedno oddał, żeby wziąć cztery. Wyszedł na swoje.

- A jak, według ciebie, odniesie się do programu Hickoxa?

- Nie sądzę, żeby to miało jakieś znaczenie - odparł Pastor. - Kontrakt już podpisany.

Randle'owi nie pozostaje nic innego, jak go uznać.

- Czy kontrakt nie musi być zatwierdzony przez radę?

- W zasadzie tak. Ale ponieważ jestem pastorem i prezesem rady, to każdy kontrakt, który podpiszę, jest ważny i dla nas zobowiązujący.

Marcus łyknął kawy. - Nawet jeśli nie będzie miał nic przeciw temu programowi, to na pewno nie spodoba mu się, że pracowałem nad tym z tobą, a jego o niczym nie poinformowałem. Wszakże formalnie jestem prezesem spółki „Randle - Radio i Telewizja.” - Ile czasu antenowego kupiłeś od jego stacji na ten program?

- Mnóstwo - odparł Marcus.

- No to nie będzie się sprzeciwiał - stwierdził Pastor. - Zawsze możesz mu powiedzieć, że ja cię w to wrobiłem i że uratowałeś go wykupując cały czas antenowy. Pokaż mu, ile zarobi. To dla niego najważniejsze. Nie będzie walczył.

- Obaj wiemy, że jeśli zrobimy ten program, tak jak planujemy, to znaczy bez jakichkolwiek bezpośrednich próśb o wsparcie finansowe, to nie zarobimy na nim ani centa.

- Ja mu tego nie powiem - odparł Pastor. - Odkryje to oglądając program. Założywszy, że w ogóle będzie go oglądał.

Marcus nagle roześmiał się. - Sanforda Carrola szlag trafi. Już od roku usiłował namówić Hickoxów na występ w Sieci Rozgłośni Chrześcijańskich, ale nie miał dość forsy.

- Co to za facet? - spytał Pastor. - Dobry?

- Bardzo dobry - odparł Marcus. - Szalenie zdolny. Profesjonalista. Zanim przeniósł się do Sieci Rozgłośni Chrześcijańskich, przez dziesięć lat pracował w Amerykańskim Radiu.

- Proponuję więc, żebyś jeszcze przed posiedzeniem rady odbył z nim krótką rozmowę. Nie widzę powodu, żebyśmy nie mieli wejść z nim w spółkę. Powinien się zgodzić, skoro tak marzył o tym programie.

Marcus wybałuszył na niego oczy. - Jesteś pewny, że nie minąłeś się z powołaniem?

- Najzupełniej - odparł Pastor. - Jestem pastorem, który czasem bawi się w biznesmena.

Wstała Melanie i podeszła do nich. W palcach trzymała zapalonego skręta. - Nie będzie wam przeszkadzało, jeśli sobie zapalimy?

Pastor spojrział na nią lekko ubawiony. - Po co pytasz? Przecież już zapaliłyście.

- Chciałam być uprzejma - odrzekła Melanie, wyciągając do niego skręta. - Sztachniesz się? - To jest właściwe pytanie - odparł Pastor, biorąc od niej papierosa. - Pewnie, że tak. - Zaciągnął się bardzo głęboko i powoli wypuścił dym. Pokiwał głową z aprobatą. - To jest to.

Poczekala, aż zaciągnie się drugi raz, po czym odebrała od niego skręta. - A ty, Marcus? - spytała.

Przez chwilę przyglądał się papierosowi. - Czemu nie? - rzekł wyciągając rękę.

Zaciągnął się umiejętnie dwa razy. - Hej - powiedziała z podziwem, odbierając mu skręta.

- Przez te

wszystkie lata uważałam cię za snoba, a tymczasem równy z ciebie facet.

Roześmiał się. - Co jest w tym pecie? Dwa zaciągnięcia i jestem naćpany. - Pogrzebawszy w kieszeni kamizelki wyjął coś w zaciśniętej dłoni. - Nie będę egoistą. Pastor poczęstował mnie szkocką, dziewczęta trawą, to ja też muszę z czymś wystąpić. - Otworzył dłoń, na której leżała mała brązowa fiolka. - Czy ktoś miałby ochotę sobie powąchać? - Uśmiechnął się.

Melanie gapiała się przez kilka sekund na fiolkę, po czym odwróciła się i krzyknęła do przyjaciółki. - Charlie! Chodź tutaj. Robimy balangę!

Kiedy samolot wylądował w Jezuslandzie, żadne z nich nie odczuwało nawet najmniejszego bólu.

12

Budzik zadzwonił o siódmej rano. Pastor usiadł na łóżku z jękiem. Bolały go oczy, w głowie mu tętniło od tego kaca nad kacami, wargi miał spierzchnięte.

Z trudem wydostał się z łóżka, poszedł do łazienki, aby odszukać w szafce alka seltzer.

Gdy znalazł, wrzucił do szklanki z wodą cztery tabletki. Syczący odgłos musowania wydał mu się rykiem lwów. Wypił duszkiem i, oparłszy ręce na umywalce, żeby nie upaść, spojrzął w lustro. Zobaczył swoje nabiegłe krwią oczy. Ze smutkiem pokręcił głową. Nie powinien być w takim stanie w dniu, w którym otwiera zebranie rady nadzorczej.

Wrócił do sypialni i zadzwonił na dół, żeby przynieśli mu duży dzbanek czarnej kawy.

Siedząc na

brzegu łóżka czekał, kiedy wreszcie skończy się to pulsowanie w skroniach. Na próżno usiłował sobie przypomnieć, jak dostał się do domu. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał, było wysiadanie z samolotu. Rozległo się pukanie do drzwi, a następnie weszła służąca z sokiem pomarańczowym oraz kawą. Ustawwszy tacę na nocnym stoliku, odwróciła się do niego ze szklanką soku w ręce. - Czuje się pan dziś lepiej, panie Talbot?

Odebrał od niej sok, starając się ocenić ton jej głosu. Nie potrafił rozstrzygnąć, czy powiedziała to uprzejmie, chłodno, czy z dezaprobatą. - Jeszcze nie wiem - odparł, gdy odwróciła się, żeby nalać kawę do wielkiego śniadaniowego kubka.

Wzięła od niego szklankę, podała mu kawę. - Panie ulokowałam w pokoju gościnnym - oznajmiła głosem pozbawionym wyrazu. - No wie pan, te dwie panie, które kiedyś pracowały w recepcji - dodała prędko, widząc, że nie rozumie, o czym ona mówi. - Powiedziały, że nie jest pan w najlepszej formie.

W milczeniu pił gorącą czarną kawę małymi łykami. Miały rację z tą formą, choć może ujęły to zbyt elegancko. - Udało nam się razem wwindować pana na górę, u następnie do łóżka. - Dzięki - odrzekł. Ta gorąca kawa dobrze mu robiła. - Czy te panie obudziły się już? Pokręciła głową. - Jeszcze się nie odezwały.

- Aha. A czy są dla mnie jakieś wiadomości?

- Wczoraj kilkakrotnie dzwonił pan Randle, ale nie prosił, żeby pan do niego zadzwonił - powiedziała. - I jeszcze, no tak, dzwoniła pani Talbot.

- Co mówiła?

- Nie wiem, bo nie ja z nią rozmawiałam - odrzekła. Pani zadzwoniła akurat wtedy, kiedy usiłowaliśmy

dotransportować pana do łóżka. Telefon odebrała jedna z tych pań. Kiedy powiedziała pani Talbot, kim jest, pani odłożyła słuchawkę.

Jęknął w duchu, dopijając kawę. Podstawił kubek, by mu jeszcze naląa i pił dalej.

- Nie zjadłby pan gorącego śniadania, doktorze Talbot? - spytała służąca. - Mając w żołądku trochę jedzenia, od razu poczułby się pan lepiej.

Pokręcił głową. Nie mógłby nawet spojrzeć na jedzenie. - Nie, dziękuję. To mi wystarczy.

- Wstał z łóżka. - Może potem, jak zejde na dół. Golenie i prysznic powinny mnie obudzić.

Począł, aż służąca wyjdzie z pokoju i dopiero wtedy ostrożnie odstawił kawę, trzymając kubek oburącz. Nie chciał, żeby zobaczyła, jak mu się trzęsą ręce. Wrócił do łazienki i odkręcił zimny kurek prysznic. Wstrzymując oddech, wszedł prędko pod lodowaty strumień.

Zimna woda kłuła go niczym sople lodu. Pozwolił, żeby spływała po nim dopóty, dopóki zimno nie przeniknęło go na wskroś i nie rozjaśniło mu się w głowie. Wówczas stopniowo zaczął odkręcać ciepłą wodę, namydlając się jednocześnie. Gorącą już wodą spłukał ciało, ale zanim wyszedł spod prysznic, jeszcze raz oblał się lodowatym strumieniem.

Wytał się energicznie olbrzymim tureckim ręcznikiem kąpielowym i, czując się znowu człowiekiem, wyciągnął rękę po słuchawkę telefonu, umieszczonego obok kibelka.

Zadzwoił do kuchni, bowiem nabrał nagle ochoty na jedzenie. - Poproszę dużą porcję płatków, dwa sadzone jajka z bekonem i parówkami oraz dużo, dużo kawy - powiedział kucharce. - Zejde za dziesięć minut.

Dopiero gdy skończył śniadanie i, siedząc przy kawie, palił papierosa, sięgnął do telefonu, który

zawsze stał na stole jadalnym obok jego nakrycia. Zadzwoił do Jane.

Odebrała służąca jej ciotki. - Pani Talbot jeszcze śpi.

- Więc ją obudź - powiedział niezbyt grzecznie.

- Tak, proszę pana - odrzekła pospiesznie służąca.

Niemal w tej samej chwili, w której służąca położyła słuchawkę, Jane ją podniosła. Po brzmieniu jej głosu zorientował się, że służąca kłamała. Jane nie robiła wrażenia zaspanej.

- Zdaje się, miałeś tu być wczoraj.

- Nie przekazano ci wiadomości, którą zostawiłem?

- Przekazano. - Jej głos był zimny jak prysznic, który wziął przed chwilą. - Dlaczego ten wyjazd do Los Angeles był taki ważny? Czy te dziwki są takie ważne dla ciebie, że musiałeś osobiście pojechać po nie do Los Angeles?

- Chodziło o interes - rzekł. - Podpisaliśmy kontrakt z Jimmym i Kim Hickoxami na codzienny program z Jezuslandu.

- Chyba nie sądzisz, że w to uwierzę - powiedziała sarkastycznie. - O pierwszej w nocy telefon w naszej sypialni odebrała Melanie. Bardzo się starałeś, żeby łóżko nie ostygło po moim wyjeździe.

Poczuł, że narasta w nim złość, ale starał się nad nią zapanować. Mówił powoli i stanowczo. - Jane, powtórzę ci to jeszcze raz. Ponieważ nigdy już do tego nie wrócę, więc lepiej wysłuchaj, choć mi nie wierzysz.

Między mną a tymi dziewczynami nic nie było ostatniej nocy. Pomagały Susie położyć mnie do łóżka. Byłem kompletnie nieprzytomny. W tej chwili obie śpią w pokoju gościnnym. W naszym łóżku nie leżały nawet przez moment.

Powód, dla którego pojechałem do Los Angeles, był taki, jak ci podałem. Beze mnie nie chcieli podpisać kontraktu, a mnie bardzo zależało, żeby go mieć na dzisiejsze posiedzenie rady nadzorczej. Z dziewczynami nie umówiłem się, nie spodziewałem się też, że je tam zastanę. Przyjechały, bo chciały spytać, czy mogą wrócić do Jezuslandu. Ot i cała historia.

- Ciekawe, dlaczego chciały wrócić? - spytała z przekąsem. - Może nagle odkryły, że nie potrafią żyć bez ciebie?

- Słuchaj, powiedziałem ci wszystko, co było do powiedzenia na ten temat - rzekł cicho. - Czeka mnie dziś ciężki dzień, więc nie mogę osobiście po ciebie przyjechać, ale mógłbym wysłać samolot.

- Zbyteczny trud. Ja nie wracam. - Zachnęła się. - Nie jestem jedną z tych dziwek. Potrafię żyć bez ciebie.

- Przepraszam - powiedział - naprawdę przepraszam. - Jednocześnie usłyszał szcęknięcie. W słuchawce zapanowała martwa cisza i nigdy się nie dowiedział, czy Jane to usłyszała.

* * *

Kiedy Pastor przyszedł do biura o ósmej, starszy pan już na niego czekał. Siedział z policzkiem opartym na dłoniach, splecionych na ręczce ciężkiej pozłacanej laski. Minę miał marsową. Pastor obszedł biurko i usiadł.

- Dzień dobry, Jake - powiedział. - Masz ochotę na filiżankę kawy?

Randle nie odpowiedział.

Pastor nacisnął guzik interkomu. - Czy mógłbym dostać trochę kawy? - W chwilę potem sekretarka

postawiła filiżankę na biurku i wyszła. Pastor wypił łyk. - Co cię dręczy? - zapytał.

- Świetnie wiesz, co mnie dręczy - odrzekł chrapliwie Randle.

- W grę mogłoby wchodzić parę rzeczy, ale ponieważ nie należę do ludzi czytających w cudzych myślach, może więc byłoby lepiej, żebyś mi powiedział.

- Co, do ciężkiej cholery, robi Jane z dziećmiakami w Dallas? - spytał Randle.

- Nie rozmawiałeś z nią? - zdziwił się Pastor.

- Rozmawiałem - odparł starszy pan niechętnie.

- No to wiesz - rzekł Pastor. Łyknął kawy. - Opuściła mnie.

- Psiakrew! - wybuchnął starszy pan. - Jak mogłeś do tego dopuścić? Dlaczego jej nie zatrzymałeś? - Byłem tak samo zaskoczony jak ty - stwierdził Pastor. - Nie uprzedziła mnie, że ma taki zamiar. - Musisz sprowadzić ją z powrotem - stwierdził Randle.

Pastor spojrzał pytająco. - Czemu?

- Czemu? - powtórzył starszy pan. - Powiem ci czemu. Jesteś pastorem tej parafii, ot czemu! Nie możesz pozwolić, żeby zaczęli o tobie gadać, bo stracisz wiarygodność. Nie tylko ty, ale parafia również. Czy sądzisz, że ludzie będą zwracać się do ciebie o radę, jeśli zobaczą, że nie potrafisz rozwiązać własnych problemów? A niech ona wystąpi o rozwód, to leżymy. Pamiętasz chyba, jakie trudności miał Oral Roberts, kiedy rozwiódł się jego syn? W całej parafii wrzało. My nie możemy pozwolić sobie na coś podobnego, bo daleko nam do jego pozycji.

Pastor patrzył na niego zdziwiony. - Co jest dla ciebie ważniejsze: parafia czy córka?

Randle wstał. - Parafia i córka są dla mnie równie ważne. Natyrałem się jak wół, żeby ta parafia ożyła.

A co do Jane, to nie podoba mi się, że zachowuje się tak samo głupio, jak jej matka.

- Nic nie mówiła o rozwodzie - zauważył Pastor.

- Jeszcze nie mówiła. To dopiero początek. Rozwód będzie następnym krokiem.

Zapewniam cię. Wiem, bo przecież przez to przeszedłem - rzekł Randle. I po chwili ciężkiego milczenia: - No więc sprowadzisz ją, czym sam mam się tym zająć?

Pastor uniósł głowę. - A niby jak miałbym to zrobić?

Randle wbił w niego gniewne spojrzenie. - Istnieje mnóstwo sposobów. Wzięła zę sobą dzieci, tak? Nie zostanie tam, jeśli dzieci wrócą.

- Nie - powiedział Pastor zimno. Podniósł się i oparł na biurku tak, żeby jego twarz była na tej samej wysokości, co twarz starszego pana. - Tym razem, Jake, trzymaj się od tego z daleka. Może zapomniałeś, bo rządysz wszystkimi od tak dawna, ale ludzie mają prawo żyć według własnego upodobania. Ona jest twoją córką, ale jest również moją żoną i jej dzieci są moimi dziećmi, więc to, co się dzieje, jest moją sprawą, nie twoją. Jeśli w jakikolwiek sposób wtrącis się w nasze prywatne życie, to pokażę ci, jak prędko potrafię rozwalić tę parafię.

Starszy pan patrzył na niego, ciężko oddychając. - Jesteś głupcem!

- Być może. - Pastor opadł na fotel i uśmiechnął się do niego. - Odpreż się, Jake i trochę nam zaufaj. Pan Bóg to wszystko widzi, więc sprawiedliwości stanie się zadość. Obaj mamy mnóstwo roboty, więc lepiej weźmy się do niej, zamiast się kłócić, bo to tylko przeszkadza nam w wykonaniu zadania wyznaczonego nam przez Boga.

- Nie możesz pozwolić jej, żeby wystąpiła o rozwód - powiedział starszy pan.

- Postaram się - obiecał Pastor. - Tak samo jak ty, nie chcę rozwodu, ale ona też ma coś do powiedzenia.

- A gdybyś pojechał tam i znowu zrobił jej brzuch - zaproponował starszy pan. - To by ją powstrzymało.

Pastor roześmiał się i, obszedłszy biurko, stanął przed starszym panem. - Jeśli to taki dobry pomysł, to czemu nie wprowadziłeś go w czyn, kiedy matka Jane wystąpiła o rozwód?

Starszy pan podniósł wzrok na Pastora. Jego brwi zmarszczyły się. - Próbowałem - przyznał niechętnie.

- I co?

- Nie chciała rozsunąć nóg.

Pastor znowu się roześmiał. - Sądzisz, że ja miałbym więcej szczęścia?

13

Pastor zastukał w stół małym drewnianym młotkiem. - Niniejszym otwieram nadzwyczajne posiedzenie rady nadzorczej kościoła Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki. Przewodniczący zebrania wnosi o zrezygnowanie z czytania protokołu z poprzedniego posiedzenia, żebyśmy od razu mogli przystąpić do spraw bieżących. W wyniku głosowania, które nie trwało nawet minuty, wniosek został przyjęty jednogłośnie. Pastor ponownie zastukał w stół. - Wniosek przeszedł - oznajmił. Wstał i powiódł wzrokiem po zgromadzonych.

- Przewodniczący chciałby serdecznie przywitać - zaczął po upływie kilku sekund - tak oficjalnie, jak

prywatnie, nowych członków rady nadzorczej. Wiem, że wnosicie do parafii swoje doświadczenie, zapał oraz wiarę w Pana naszego Jezusa Chrystusa, dzięki czemu dotrzemy do większej liczby zbłąkanych dusz ludzkich. Co do mnie, to osobiście uważam, że przybywacie w nader odpowiedniej chwili. Bowiem brzemie prowadzenia tej parafii jest za ciężkie, by mógł je udźwignąć jeden człowiek. Przez sześć lat od jej powstania starałem się podołać licznym problemom, ale teraz muszę przyznać, że stało się to trudniejsze i bardziej złożone, niż przewidywałem. I podobnie jak Jezus, który potrzebował uczniów, by głosili Jego ewangelię, ja potrzebuję was. Nie jako uczniów jednak, lecz jako towarzyszy pracy w boskich winnicach. Razem nadamy imieniu Jezusa ogromną moc. Zmówmy teraz modlitwę. Schylił głowę, splótł przed sobą dłonie. Pozostali poszli za jego przykładem, o czym świadczył cichy szmer, jaki się rozszedł po sali.

- O, Panie - powiedział silnym głosem - wejrzyj na to zgromadzenie mężczyzn mniejszych od najmniejszego ze świętych i ześlij na nas, jak na apostoła Pawła, łaskę zwiastowania niezgłębionego bogactwa Chrystusowego. Abyśmy na światło wywiedli tajemniczy plan, ukryty od wieków w Bogu, a stworzony w Jezusie Chrystusie. Abyśmy mogli poznać miłość Chrystusową, która przewyższa wszelkie poznanie, abyśmy zostali wypełnieni całkowicie pełnią bożą. Abyśmy doznali chwały w Kościele i w Chrystusie Jezusie po wszystkie pokolenia na wieki wieków. Amen.

- Amen, amen, amen - obiegnęło stół. Podniósł głowę i uśmiechnął się na widok ich poważnych twarzy. - Wierzę, że święty Paweł mi wybaczy, że posłużyłem się jego Listem do Efezjan.

Uśmiechnęli się i wygodnie usiedli na swoich

krzesłach. Lody zostały przełamane. - A teraz przechodzimy do sprawy numer jeden - powiedział. - Jak wiecie, od dłuższego czasu pragnęliśmy zwiększyć naszą obecność na antenie telewizyjnej poprzez nadawanie codziennego programu telewizyjnego, podobnie jak czynią to inne parafie. Wszelako do tej pory nie dysponowaliśmy odpowiednimi ludźmi, a tym bardziej kimś utalentowanym, kto poprowadziłby taki program. Otóż mam przyjemność zakomunikować radzie, że wczoraj podpisaliśmy kontrakt, posuwający tę sprawę znacznie naprzód. Pozwólcie, że oddam głos bratu Marcusowi Lincolnowi, który lepiej ode mnie zaznajomi państwa ze szczegółami. Proszę bardzo, bracie Marcusie. Marcus podniósł się z krzesła. - Dziękuję, doktorze Talbot. - Rozejrzał się po zebranych. - Zanim zacznę, chciałbym państwa poinformować, że przez cały czas konsultowaliśmy nasz projekt z nowo wybranym członkiem rady, bratem Sanfordem Carrolem, który odniósł się do niego entuzjastycznie oraz dokonał ekspertyzy. Marcus przerwał na moment, żeby informacja mogła lepiej zapaść im w pamięć. Pastor uśmiechnął się do siebie, bo zauważył, że Carrol kiwa głową z aprobatą. Marcus zabezpieczył się na wszystkie strony. Po dyskusji trwającej niecałe piętnaście minut jednomyślnie zgodzono się na zaangażowanie Hickoxów. Randle podniósł rękę. - Panie przewodniczący. Pastor skinął głową. - Oddaję głos panu Randle'owi. Starszy pan pozostał w pozycji siedzącej. - Wysłuchałem uważnie zagajenia dokonanego przez doktora Talbota i muszę powiedzieć, że zgadzam się z nim w każdym słowie. To prawda, że parafia ta rozrosła się i pod wieloma względami stała się zbyt

wielkim ciężarem dla jednego człowieka. Otóż chciałbym zaproponować, żeby rada wyznaczyła komitet, który by podjął niezależne badania wszelkiej działalności prowadzonej przez tę parafię - duszpasterskiej, administracyjnej oraz finansowej - w celu usprawnienia jakości naszych usług dla wspólnoty w szerokim pojęciu. Komitet ten przedstawiałby wyniki swych badań, jak również zalecenia doktorowi Talbotowi i tej radzie.

- Sądzę, że propozycja brata Randle'a spotka się z dobrym przyjęciem - stwierdził Pastor. - Dodałbym do tego jedną sugestię. Mianowicie, żeby do komitetu weszło pięciu nowych członków naszej rady, ponieważ wniosą oni do jego pracy świeży i obiektywny punkt widzenia, nie obciążony przyzwyczajeniami i metodami z przeszłości. Jeśli brat Randle zgodzi się, że sugestia ta odpowiada interesom kościoła, to przewodniczący poprosi go, żeby przedstawił radzie propozycję powołania komitetu w formie wniosku formalnego. Starszy pan wykonał gest wyrażający aprobatę dla sugestii Pastora. Zostało to prędko poparte przez pana Craiga i panią Lacey, a następnie przyjęte jednogłośnie, przy czym pięciu zainteresowanych członków rady wstrzymało się od głosu.

Pastor wstał. - Sądzę, że oficjalny porządek naszego posiedzenia został wyczerpany, lecz nim ogłoszę zakończenie obrad, chciałbym jeszcze poinformować radę, że w najbliższych tygodniach zamierzam poprosić zastępców pastora o wystąpienie w moich kolejnych programach, żeby nasza szeroka widownia dowiedziała się o ich istnieniu. Według mojego osobistego przekonania, pokazanie się na antenie moich zastępców ujawni naszą siłę i głębię talentu naszego duszpasterstwa oraz udowodni, że Kościół Wspólnoty

Bożej jest kościołem z prawdziwego zdarzenia; takim, który będzie kontynuował swe posłannictwo bez względu na to, co stanie się z nami, jako że dla Kościoła Wspólnoty Bożej naprawdę niezbędny jest tylko Bóg i Jego jedyny Syn, nasz Zbawiciel Jezus Chrystus.

- Amen, amen, amen - obiegiło stół. Pastor postukał młoteczką. - Kto jest za zakończeniem obrad?

Joe spacerował wściekły w tę i z powrotem przed biurkiem Pastora, podczas gdy Beverly siedziała, nic nie mówiąc, na kanapie pod oknem. W końcu Joe przystanął i popatrzył na siedzącego za biurkiem Pastora. - Czyś ty upadł na głowę, Pastorku? - I nie czekając na odpowiedź kontynuował: - Wiesz, co ty zrobił? Oddałeś się w łapy filistrów. Nie jest dla ciebie tajemnicą, że stary chce ci przytrzeć rogów. I co robisz? Dajesz mu potrzebne do tego narzędzia.

Pastor patrzył na niego w milczeniu.

- Jeśli naprawdę chodzi ci o to, żeby się z tego wycofać, to wycofaj się. Oddaj im ten cały chłam. Bo i tak w końcu do tego dojdzie. Pozbędą się ciebie i przejmą kościół.

Pastor odwrócił się do Beverly. - Ty też tak sądzisz?

Zawahała się, potem skinęła głową. - To bardzo prawdopodobne - rzekła w zamyśleniu.

- Co byś zrobił na moim miejscu? - spytał Pastor Joe'ego.

- Kazałbym im się odpieprzyć. Powiedziałbym, że to mój kościół, ja go zbudowałem i nie zamierzam nikomu go oddać.

- To nie jest mój kościół - zaprotestował Pastor łagodnie. - Ten kościół nie należy do człowieka, lecz do Boga.

- Bóg nie miał tego kościoła, póki go dla Niego nie zbudowałeś - stwierdził Joe.

- Bóg miał ten kościół długo przed naszym przyjściem na świat i będzie go miał, gdy już nie będzie nas na świecie - powiedział Pastor. - Ja tylko wypełniłem Jego wolę.

- Nie powiesz mi chyba, że teraz wolą Boga jest, żebyś oddał Jego kościół tym żadnym pieniądzy i władzy filistrom - zdenerwował się Joe.

- Ależ ja nic takiego nie mówię - uspokoił go Pastor. - Zanim jednak ich osądzisz, zastanów się, czy przypadkiem my sami nie mamy na sumieniu tego, do czego oni, twoim zdaniem, dążą. - Odetchnął głęboko. - Odnoszę wrażenie, że więcej czasu poświęciliśmy na wymyślanie sposobów zebrania dużego plonu w postaci dóbr ziemskich niż plonu dusz.

- A co innego można robić na tym świecie, jeśli się nie ma pieniędzy - zauważył Joe. - Ty zresztą wiesz, lepiej niż ktokolwiek inny, jak kosztowną sprawą jest praca dla Boga. - Zerknął przez ramię na Beverly. - Może już nie pamiętasz, jak to było, kiedy nie mieliśmy pieniędzy, ale my pamiętamy. Zapomniałeś, jak wywalili nas z komuny? I jak trudno było nam związać koniec z końcem, kiedy jeździliśmy z namiotem i ile razy nie jedliśmy, żeby wystarczyło forsy na opłacenie robotników? A mało to razy poszlibyśmy z torbami, gdyby nie Beverly, która co i rusz wyciągała coś z pończochy?

Pastor pokiwał głową. - Pamiętam - odparł cicho. - I zawsze będę waszym dłużnikiem. Nigdy wam tego nie zapomnę. Ale wtedy to było wtedy, a teraz to teraz. Pamiętam również, że to Jake Randle wyłożył forsy na kościół. Bóg przyprowadził go do nas, nie bacząc na kierujące Randle'em motywy.

- Jego motywy były dla nas zawsze jasne - powiedział Joe. - Ani na chwilę nie oderwał wzroku od piłki. Chodziło mu o zdobycie władzy nad ludźmi i teraz chce ją wykorzystać. Po to są ci nowi faceci. Będą tańczyć, jak im zagra.

- Nie czuję się upoważniony do osądzania kogokolwiek. - stwierdził Pastor. - Niezbadane są wyroki boskie. Może się okaże, że oni są lepiej predestynowani to tej pracy niż ja. Jeśli tak, to chętnie przekażę im pałeczkę. - A jeśli okaże się, że oddają cesarzowi, co boskie? - spytał Joe. - Wtedy będziemy musieli coś z tym zrobić - powiedział Pastor.

- Może być już za późno - zauważył Joe kwaśno.

- Słuchaj, jesteś w komitecie - rzekł Pastor. - Zorientujesz się, co kombinują. Joe pokręcił powątpiewająco głową. - Będą mnie informować tylko o tym, o czym zechcą. Będę czarnym Danielem w klatce z białymi lwami.

- To się zmieni, gdy wystąpisz w państwowej telewizji - powiedział Pastor. - Słyszałem, jak wygłaszasz kazanie. Oni nie. Pokażesz im, gdzie raki zimują. Jeden program i będą się łączyć jak psy.

- Nie oszukuj się - skrzywił się Joe. - Wiem, co stary czuje do Murzynów. Mnie toleruje tylko dlatego, że jestem jak forsa w banku. Ale na antenę mnie nie puści, bo mógłbym stać się zbyt ważny.

Pastor uśmiechnął się. - Tu się mylisz. On nie może cię nie puścić.

- Co? - Joe spojrzał na niego krzywo.

- Słyszałeś, co powiedziałem na zebraniu? - spytał Pastor cicho. - Że przedstawię was wszystkich w telewizji w ciągu najbliższych paru tygodni. Ale nie powiedziałem, że ty wchodzisz na antenę w najbliższą niedzielę. Nikt oprócz ciebie jeszcze o tym nie wie

i nie mam zamiaru nikogo w tę sprawę wtajemniczać. Nawet dyrektora programowego. Co oznacza, że dowiedzą się dopiero wówczas, gdy już będziesz na antenie.

Joe wyszczerzył zęby od ucha do ucha. Klepnął się w kolano i wybuchnął śmiechem. - Na kogo jak na kogo, ale na ciebie można zawsze liczyć.

- Zawsze liczyć możesz tylko na Boga - stwierdził Pastor - a nie na słabych, głupich ludzi.

- Wstał, podszedł do okna. - Poza tym - rzekł wracając do nich po chwili - wypowiedziałem w sekrecie starszemu panu wojnę. Niebawem się przekonam, że zamierzam prowadzić tę parafię tak, jak, moim zdaniem, Bóg sobie tego życzy. A jeśli Randle'owi się to nie podoba, musi powiedzieć o tym otwarcie.

- To twarde. Będzie walczył - stwierdził Joe.

- A jeśli przegrasz?

Pastor popatrzył na niego z góry. - To ja przegram

- rzekł powoli. - Ale nie Bóg.

14

- Skończyło się - oświadczyła Jane kategorycznym tonem. - Myślałam i myślałam, ale to bez sensu. Nie uda się. Wiem o tym.

- Słyszałaś, co tu się dzieje - odparł Pastor siedzący naprzeciw niej na kanapie. - Będziemy mieli więcej czasu. Teraz będę robił tylko jeden program na miesiąc.

Popatrzyła na niego uważnie, podniosła do ust kieliszek z białym winem. - Nie rozumiesz, Pastorku

- stwierdziła. - Nie o czas tu chodzi, lecz o to, że ja chyba nie nadaję się na żonę pastora. Nigdy naprawdę nie rozumiałam, jakiego zaangażowania wymaga rola żony pastora i jakie ograniczenia nakłada twoja praca na nasze życie. W Jezuslandzie nigdy nie czułam się wolna. Wydawało mi się, że żyję w akwarium i nie mam nic do roboty poza pływaniem w tę i z powrotem.

- Nie jest tam aż tak źle - zaproponował Pastor.

- Może dla ciebie - odparła. - Ty jesteś bardzo zajęty swoją pracą. Nigdy nie robisz przerwy. Podróżujesz, kręcisz się po kraju. Ludzie zwracają na ciebie uwagę, na twoją działalność. Ja tam nie mam nic do roboty. Siedzę w domu i czekam, żebyś wrócił i poszedł spać. Pastor milczał.

- Zamierzam kupić tu dom - powiedziała. - A jak się urządzę i dzieci pójdą do szkoły, wrócę do pracy. Muszę czuć, że robię coś pożytecznego. Nie zniosę myśli, że mój mózg przekształca się w galarete. - Czy będziesz znowu pracować u swego ojca?

- zainteresował się.

- Nie - odparła. - Mam dość jego wtrącania się w moje życie. Sądzę, że bez kłopotu znajdę odpowiednią pracę. Jestem dobra w tym, co robię. - Wiem - odparł.

Upiła wina. - Uprzedziłam go już o moich planach i nie dyskutował. Prosił mnie tylko o jedno. - Co takiego?

- Żebym na razie nie występowała o rozwód. Powiedział, że kościół przechodzi trudny okres i że rozwód mógłby bardzo mu zaszkodzić. - Przerwała na chwilę i przyjrzała się mu uważnie. - Czy tobie też na tym zależy?

- Tak, choć nie z tego samego powodu - od-

powiedział. - Kościół powinien być na tyle mocny, żeby przetrwać kłopoty któregokolwiek z jego członków, czy to duchownych, czy świeckich. Nie chciałbym rozvodu, bo trudno byłoby mi przyznać się do porażki.

- Ależ my ponieśliśmy porażkę - powiedziała Jane bez złośliwości. - Tak naprawdę nigdy nie tworzyliśmy małżeństwa, nie byliśmy prawdziwym małżeństwem. Mieliśmy ze sobą dzieci, mieszkaliśmy w jednym domu. Ale rozumieliśmy się tylko wtedy, gdy ćpaliśmy i szliśmy razem do łóżka. Poza tymi chwilami żyliśmy w różnych światach. Twój świat był gdzie indziej. Tego świata nie mogłam z tobą dzielić, w tym świecie nigdy nie istniałam. Milczał. Z paczki leżącej na niskim stoliku między nimi wyjął papierosa. Zapaliwszy go, obserwował rozptywanie się dymu. - Przepraszam - powiedział w końcu.

- Nie przepraszaj - odrzekła. - Nigdy mnie nie okłamywałeś. Przecież powiedziałaś mi wprost, żebym się pozbyła tego dziecka. To ja chciałam, żebyśmy się pobrali. Ty nigdy nie mówiłeś, że mnie kochasz, w każdym razie nie tak, jak ktoś naprawdę zakochany.

Palił papierosa, nie odpowiadając.

- Jakież to było głupie - ciągnęła. - Może nawet naiwne. Byłam w ciąży, więc sądziłam, że się kochamy, bo przecież inaczej nie doszłoby do tego. Teraz jestem mądrzejsza.

- Jak się mają dzieci? - spytał.

- Dobrze. Podoba się im tutaj. Mają tu więcej do roboty, jest gdzie się wybrać.

- Czy pytają o mnie?

- Raczej nie - odparła. - Czasami, gdy zobaczą cię w telewizji, pokazują i mówią „To tatuś” i na tym

chyba koniec. Pytają za to o dziadka. Było nie było, spędzał z nimi więcej czasu niż ty. I tym razem się nie odezwał.

- Dzieci są jak zwierzęta. Instynktownie wyczuwają, gdzie jest ich miejsce w danym związku. Odpowiadają na okazywaną im czułość czułością, na uwagę uwagą.

Zgasił papierosa. - Wygłosiłaś akt oskarżenia. Chyba nie masz już więcej mi nic do powiedzenia. - Tak sądzisz? - spytała. - Zastanawiam się. Słuchałam twoich kazań wystarczająco długo. Zapamiętałam, jak cytowałeś Pismo święte i mówiłeś, że Bóg, w którego wierzysz, jest Bogiem wymagającym, absorbującym i że nic na świecie nie jest w stanie odciągnąć cię od niego. Czy nigdy cię nie zastanowiło, że Jezus umarł, nie powiedziawszy żadnej kobiecie, że ją kocha?

- Jezus mówił, że kocha cały świat i wszystkich ludzi, którzy na nim żyją - rzekł Pastor. - Umarł za to, byśmy mogli żyć wiecznie. - Tego nie kwestionuję - zastrzegła się. - Ale czy to możliwe, że Jezus miał dla wszystkich tyle miłości, a nie miał jej dla jednej choćby kobiety? - Czy chcesz przez to powiedzieć, że jestem jak Jezus? - oburzył się Pastor. - Toż to wierutna bzdura.

- Nie, nie - zaprzeczyła prędko. - Mówię tylko, że całą swą miłość rozdajesz ludziom w imię Chrystusa i nic ci nie zostaje, żebyś mógł dać jej trochę komuś od siebie. Dla siebie i od siebie.

- Nie możesz pojąć, że mam tyle pracy i tak mało na nią czasu.

- Mylisz się, Pastorku - stwierdziła. - Ja to rozumiem. Aż za dobrze. I dlatego czuję to, co czuję. W końcu uzmysłowiłam sobie, że tylko będąc wolnym, możesz wykonywać swą pracę. Życie osobiste ciąży ci jak kamień u szyi.

Teraz jego głos był cichy. - W twoich oczach jestem potworem. I samolubem.
- Nic podobnego, Pastorku - powiedziała. - Po prostu za wszelką cenę usiłujesz być wszystkim dla wszystkich, bo sądzisz, że Bóg od ciebie tego wymaga. Może to prawda. Ale ja nie mogę uwierzyć, że Jezus Chrystus w łaskawości swojej wymaga od ciebie, żebyś się siebie wyparł. Podniósł się i spojrzał na nią z góry. Zaczerpnął tchu. - Będę się modlił, Jane - rzekł tonem pełnym smutku - żeby diabeł przestał przemawiać przez ciebie i nie usiłował odciągnąć mnie od służby bożej. Wytrzymała jego spojrzenie. - Ja też będę się modliła, Pastorku. Żeby Jezus Chrystus w łaskawości swojej pozwolił ci się zobaczyć takim, jakim naprawdę jesteś. Istotą ludzką. Jak każdy z nas. A nie człowiekiem starającym się być Bogiem na tej ziemi.

*

Pastor stał na swej ruchomej ambonie, znajdującej się jeszcze pod audytorium, i przysłuchiwał się śpiewającemu nad nim chórowi. Ekran małego monitora telewizyjnego, który miał przed sobą, zamigotał, po czym ukazał się na nim Jezusland widziany z helikoptera, ustępując zaraz obrazowi tłumów torujących sobie drogę do kościoła, tłumów wypełniających nawy, po czym kamera skierowała się powoli na scenę, w głębi której wisiał olbrzymi złoty krzyż.

Chór przycichł. Jednocześnie z głośnika rozległ się profesjonalny głos konferansjera, a na ekranie zaczęły się pokazywać rozmaite napisy. - Panie i panowie. Z Jezuslandu w Teksasie wita was Kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki razem z kościołami stowarzyszonymi, których liczba wynosi obecnie cztery tysiące dziewięćset siedemdziesiąt jeden. Zapraszamy na nasz cotygodniowy

program „Niedzielny Poranek w Jezuslandzie”.

- Konferansjer zrobił przerwę na oklaski, a kiedy zaczęły przycichać, podjął swą kwestię:-
Panie i panowie, przed wami wasz pastor, doktor C. Andrew Talbot!

Aplauz wzmógł się, w słuchawce Pastora zaś zaskrzeczał głos reżysera: - Odjazd, doktorze Talbot - i winda ruszyła w górę. Pastor trochę nieprzytomnie pokiwał głową. W asyście głośnych braw wjechał na scenę.

Odczekał chwilę, po czym uniósł obie ręce prosząc o ciszę. Oklaski stopniowo milkły. - Bracia i siostry - zaczął, a głośniki wzmocniły jego głos - witam was w imię Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa! - Ludzie znowu zaczęli klaskać, ale prędko ich uciszył, Ciągnąc dalej. - Dzisiejszy dzień jest dla mnie szczególnie i mam nadzieję, że dla was również. Dziś po raz pierwszy nie jestem sam w naszej parafii. Znalazłem bowiem trzech braci, trzech dobrych ludzi, trzech mądrych ludzi, trzech ludzi, których wiara w naszego Pana Jezusa Chrystusa doda siły - mnie i kościołowi - którą spożytkujemy w służbie dla Boga.

W słuchawce Pastora zaskrzeczał przerażony głos reżysera: - Ja tego nie mam w scenopisie, doktorze Talbot! Pokręcił pan cały początek! Rzucić panu scenopis na monitor? Pastor wcisnął czerwony guzik na pulpicie, który łączył go z kabiną sterowniczą, umieszczoną z tyłu nad widownią. - Nie potrzeba - szepnął. - Dziś musi się pan obejść bez scenopisu.

Zwolnił przycisk i rozejrzał się po wiernych.

- Mam dziś przyjemność przedstawić wam pierwszego z owych trzech mądrych ludzi, którzy poprowadzą ze mną parafię. Jest nim człowiek, którego znam od bardzo dawna. Człowiek, który wiernie

towarzyszył mi przez długie lata tworzenia tego kościoła. Człowiek, który podróżował ze mną po kraju i głosił ewangelię najpierw z ciężarówki, później w namiocie; w deszczu i śniegu zimą, w upale i spiekocie latem. Człowiek, którego wiara w Jezusa i miłość do Niego nie wyrażała się tylko słowami, ale walką ze złem oraz odwagą, by stanąć twarzą w twarz z szatanem. Człowiek, który bardziej od innych pomógł w przebudowie kościołów stowarzyszonych tak, by były w stanie gromadzić przed Panem naszym i Zbawicielem Jezusem Chrystusem setki i tysiące dusz. Człowiek, pod którego kierunkiem nasza gazeta, *Biuletyn Miarodajnej Mniejszości*, zwróciła uwagę na prawdziwe potrzeby członków naszego zgromadzenia, dzięki czemu mogą oni obecnie przeżyć, nakarmić i ubrać swe rodziny, zwalczać krzywdy, które ludzie za namową szatana wyrządzają sobie wzajemnie, potrafią poradzić sobie z realiami życia w zgodzie z nauką Jezusa Chrystusa, zamiast nabierać się na czcze obietnice gwiazdki z nieba, głoszone przez bezbożników.

Bracia i siostry, mam wielką przyjemność przywieść przed wasze oblicza mojego ukochanego brata w Chrystusie, który wygłosi dzisiejsze kazanie. Przedstawiam wam wielbnego Josephusa Washingtona. - Zrobiwszy krok do tyłu, Pastor jedną rękę wyciągnął w kierunku skrzydła sceny, drugą zaś w stronę parafian, dając nią sygnał do oklasków.

Zebrani posłusznie zastosowali się do jego gestu i zaczęli bić brawa, które po chwili rozbrzmiewały w całym audytorium. Oklaski zaczęły słabnąć, gdy pokazał się Joe, ale Pastor na to nie pozwolił. Rozkazującym gestem zmusił parafian do klaskania. W akopaniamentach braw Joe kroczył przez gigantyczną scenę. Powiewający ciemnoniebieski habit z białą

lamówką, znikającą pod jego pastorskim kołnierzem oraz specjalny rozjaśniający makijaż na jego ciemnej twarzy, czyniły z niego idealny obraz wysłannika Boga.

Podali sobie ręce, objęli się, a potem Pastor odprowadził go do kazalnicy, sam zaś usiadł na krześle z tyłu, nieco na prawo, by zostać w kadrze i manifestować swą aprobatę i akceptację.

Parafianie ucichli pod spojrzeniem Joe'ego, który stał wyprostowany, wysoki, z twarzą wysoko nad amboną, jakby dla niego za małą. Nic nie mówiąc, zajął się wpinaniem w sutannę bezprzewodowego mikrofonu wielkości szpilki, a gdy wreszcie skończył, obszedł kazalnicę i stanął przed nią. Znowu przez chwilę patrzył na nich w milczeniu. Kiedy w końcu się odezwał, usłyszeli dźwięczny, melodyjny głos, przywodzący na myśl wielkich kaznodziejów z przeszłości.

- Bracia i siostry, inspiracją dla mojego dzisiejszego kazania jest Psalm Pierwszy.

Pozwólcie, że zanim je zacznę, przypomnę wam te święte słowa.

Szczęśliwy mąż, który nie idzie za radą bezbożnych Ani nie stoi na drodze grzeszników, Ani nie zasiada w gronie szyderców. Lecz ma upodobanie w zakonie Pana I zakon jego rozważa dniem i nocą. Będzie on jak drzewo zasadzone nad strumieniami wód,

Wydające swój owoc we właściwym czasie,

Którego liść nie więdnie,

A wszystko, co uczyni, powiedzie się.

Nie tak jest z bezbożnymi! Są oni bowiem jak plewa,

Którą wiatr roznosi.

Przeto nie ostoją się bezbożni na sądzie Ani grzesznicy w zgromadzeniu sprawiedliwych. Gdyż Pan troszczy się o drogę sprawiedliwych, Droga zaś bezbożnych wiedzie do nikąd. Jego głos stopniowo cichł, aż zamilkł zupełnie. Wówczas Joe wrócił do pulpitu. Położył swoje wielkie dłonie na jego krawędziach i rozejrzał się wokół. Donośny, mocny głos ponownie rozszedł się echem po sali:

- Żyjemy dziś w świecie, w którym pełno jest ludzi bezbożnych, ludzi, którzy niszczą nasze życie i próbują odebrać nam nasze prawa, nasze swobody i naszą wspaniałą wolność. Bezbożnicy ci usiłują skłócić brata z bratem, sąsiada z sąsiadem, rasę z rasą, wyznanie z wyznaniem. Straszą nas, że zabiorą jedzenie naszym dzieciom, pozbawią skromnych wygód osoby starsze. Bezbożnicy ci pragną po prostu ukraść świat ciesząc się łaską naszego ukochanego Jezusa Chrystusa i oddać go we władanie szatana!

Teraz oklaski zaczęły się od niezdecydowanego szmeru, po czym tak długo narastały, aż skończyły się huraganem braw. Siedzący z tyłu na krześle Pastor pozwolił sobie na nieznaczny uśmiech. Joe ich zdobył.

15

Gdy Joe skończył i odstąpił od kazalnicy, zerwał się istny huragan braw. Pastor wstał z krzesła, podszedł do niego. Uścisnęli sobie dłonie i teraz Joe usiadł, Pastor zaś zajął miejsce przy mównicy. Podniósł rękę prosząc o ciszę. Zgromadzeni uspokoili się.

Pastor uśmiechnął się i pokiwał głową. - W imieniu Wspólnoty Bożej, jak również w swym własnym, pragnę wyrazić podziękowanie i głęboką wdzięczność wielebnemu Washingtonowi za jego dzisiejsze wzruszające i pokrzepiające kazanie. Wiem, że słowa wielebnego Washingtona zachęcą nas, byśmy jeszcze bardziej poświęcili się dla naszego Pana Jezusa Chrystusa. Jestem przekonany, że przykład i oddanie dla ewangelii wielebnego Washingtona będą pozytywnie oddziaływać na nas w przyszłości. Jak pamiętacie - kontynuował po krótkiej przerwie - na początku tego nabożeństwa wspomniałem o trzech mądrych ludziach, którzy dołączyli do naszego kościoła, by wesprzeć nas w pracy dla Pana. W tym tygodniu przedstawiłem wam wielebnego Josephusa Washingtona, pierwszego z tych dobrych ludzi. W nadchodzących tygodniach zaproszę doktora Thomasa Soresena, byłego zastępcę pastora w kościele Wolnych Baptystów oraz doktora Marka L. Rykera, byłego zastępcę dziekana wydziału studiów religijnych na Uniwersytecie Orała Roberta. Każdy z nich wniesie do naszego kościoła bogactwo swojej wiary w Pana i razem stworzymy największą w historii świata armię chrystusową.

W słuchawce zaskrzypiał głos reżysera: - Trzy minuty, doktorze Talbot.

Pastor uniósł dłoń, by powstrzymać oklaski, które tu i ówdzie zaczęły się rozlegać. - Pierwszy raz od czasu powołania do życia tej parafii - kontynuował, nie czekając, aż całkiem umilkną - dzięki temu, że będę mógł podzielić się z kimś obowiązkami, zaistniała realna możliwość planowania naszej działalności duszpasterskiej i zaangażowania się w jeszcze większym niż dotychczas stopniu w sprawę szerzenia wiary w Jezusa Chrystusa.

Na początek planujemy zorganizowanie Pierwszej Krucjaty dla Chrystusa. I tak za trzy miesiące, w Święto Pracy, które przypada na pierwszy poniedziałek września, o wyznaczonej godzinie, we wszystkich Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej, w kościołach, zborach, na stadionach, dzięki boskiemu wynalazkowi, jakim jest telewizja satelitarna, setki i tysiące, a nawet miliony ludzi, braci i siostr w Chrystusie, wzniesie - w hołdzie naszemu Panu i Zbawcy, Jezusowi Chrystusowi - do nieba modlitwę i jeszcze raz ofiaruje siebie i swoje życie Temu, który umarł na krzyżu za grzechy całej ludzkości.

Głos reżysera ponownie zatrzeszczał w jego uchu: - Trzydzieści sekund.

Pastor uniósł do góry obie ręce. - Dobiega już końca nasz program „Niedzielny Poranek w Jezuslandzie”. Żegnając się z wami do następnej niedzieli, o tej samej porze i na tych samych kanałach, napominam was, żebyście żyli w duchu ewangelii. A na razie do widzenia, zostańcie z Panem Bogiem.

Uśmiechnięty, z uniesionymi do góry rękoma, pozostał przy kazalnicy, stojący zaś za nim chór ponownie podjął śpiew. Pastor rzucił dyskretne spojrzenie na monitor - na ekranie przesuwały się napisy na tle zbliżenia jego twarzy.

W słuchawce zaskrzeczał głos reżysera: - Dzwoniła pańska sekretarka i prosiła, żeby przyszedł pan do biura natychmiast po programie.

Wciąż uśmiechając się, skinął głową. Nie było to takie nieoczekiwane. W szeregach bezbożników musiało już rozszaleć się piekło. Poczekał, aż obraz ulegnie ściemnieniu, a zebrani zaczną opuszczać kościół i wtedy dopiero zszedł ze sceny.

*

Na jego biurku leżały kartki z informacjami, kto do niego telefonował. Jake Randle. Marcus Lincoln. Szef ośrodka „Telefon do Wspólnoty Bożej” w Fort Worth, John Connors. Helen Lacey. Richard Craig. Matka. Jeszcze dwa razy Jake Randle. Najpierw zadzwonił do matki. - Sądzę, że to, co zrobiłeś w dzisiejszym programie, Constantine, było cudowne - powiedziała matka.

- Dziękuję ci, mamó - odrzekł. - Obawiam się jednak, że tutaj mało kto się z tobą zgodzi. Roześmiała się do słuchawki. - Czy ty kiedykolwiek liczyłeś się ze zdaniem innych? - spytała. - Czy nie słuchałeś zawsze tylko swego Boga?

- Nie mojego Boga, matko - oburzył się. - Boga wszystkich ludzi.

- Oczywiście, Constantine - zgodziła się - tylko, że ty słyszałeś Go, a inni ludzie nie słyszeli. - Może nie chcieli usłyszeć.

- Tego nie wiem - odrzekła. - W każdym razie chciałam ci powiedzieć, że jestem z ciebie dumna i Jane na pewno też.

Milczał przez chwilę. - Trudno mi powiedzieć, co czuje Jane, matko, bo Jane mnie opuściła. - O, jakże mi przykro, Constantine. - Po jej głosie poznał, że jest bardzo zaskoczona. - Kiedy to się stało?

- Jakiś tydzień temu. Wzięła dzieci i wyjechała do Dallas. Ma zamiar kupić tam dom i wrócić do pracy. - Rozmawiałaś z nią? - Tak.

- Może wróci, jak wszystko gruntownie przemyśli - powiedziała matka.

- Nie sądzą, mamó. Wydaje się, że już zdecydowała. Powiedziała mi, że nie jest stworzona na żonę

pastora i nie lubi Jezuslandu, bo czuje się w nim jak ryba w akwarium.

- Nie może to być jedyna przyczyna - zauważyła.

- Powiedziała, że całą swą miłość rozdaje mym parafianom w imię Jezusa Chrystusa i nie zostaje mi nic dla innych, również dla siebie samego.

Matka przez chwilę milczała. - Ona ma trochę racji, synu.

- Nie powiedziałem, że nie ma, matko - rzekł zmęczonym głosem.

- Możesz to zmienić, Constantine. Inni duszpasterze zostawiają sobie trochę czasu na życie prywatne.

- Nie mogę, matko. - Czuł, że za chwilę głos odmówi mu posłuszeństwa. - Przez całe życie miałem tylko jedno marzenie. Urealnić Boga. Pokazać światu, że Bóg naprawdę istnieje.

Nie umiem żyć inaczej. Jeśli zabiję w sobie to marzenie, by zrobić miejsce na własne, egoistyczne potrzeby, to moje życie straci sens. Równie dobrze mógłbym nie żyć. Gdybym nie należał do Chrystusa i nie oddawał mu całej swej miłości, to do kogo bym należał?

- Należysz także do tych, którzy cię kochają, Constantine - powiedziała łagodnie.

- Wiem, matko, ale miłość jakiegokolwiek człowieka nie umywa się nawet do miłości boskiej.

- Często się zastanawiałam, Constantine - powiedziała z lekkim smutkiem - czy ty naprawdę jesteś moim synem.

- Zawsze byłem twoim synem - odparł cicho - i zawsze byłem dzieckiem Boga. Tak jak my wszyscy.

Zawahała się na moment. - Miałbyś coś przeciwko temu, żebym porozmawiała z Jane?

- Ależ skąd, mam - odrzekł. - Prawdę mówiąc myślę, że ona się bardzo z tego ucieszy. Ona też potrzebuje kogoś, kto okazałby jej trochę przyjaźni.

Gdy odłożył słuchawkę, podyktował numer telefonu Jane w Dallas, przez kilkanaście sekund wpatrywał się w aparat. Potem znowu podniósł słuchawkę i poprosił sekretarkę, żeby go połączyła z Connorem z ośrodka w Fort Worth.

- Przepraszam, że panu przeszkadzam, doktorze Talbot - zaczął Connors. - Sądziłem jednak, że powinien pan wiedzieć, co się tutaj dzieje. - Cieszę się, że zadzwoniłeś, John - odparł Pastor. - Słucham cię.

- Jak pan wie, w czasie transmisji programu mamy zawsze dodatkowy personel przy telefonach, ale tym razem dzwoniło tyle osób, że nie można było nadać. Telefony zaczęły się urywać, jak tylko przemówił wielebny Washington. Pod koniec programu mieliśmy na koncie tysiąc połączeń. Pięćset wciąż czeka na przyjęcie.

- A jak je oceniasz, John? Życzliwe czy nieżyczliwe?

- Komputer jeszcze je rozpracowuje - odparł John.

- Niestety, z powodu takiego natłoku, wielu telefonów nie udało nam się przyjąć i te zostały bezpowrotnie stracone. Ponadto pierwszy raz w naszej praktyce zdarzyło się wiele telefonów anonimowych, dzwoniący odmawiali podawania swych nazwisk.

- Przerwał na moment, po czym znowu się odezwał.

- Za chwilę będzie komunikat. Może go pan odczytać na swoim komputerze. Numer kodu brzmi: FW-800-316-248. Pastor włączył komputer, wystukał na klawiaturze podany kod. Na ekranie pojawiły się dane, jednocześnie Connors zaczął je na głos odczytywać.

Liczba połączeń telefonicznych zarejestrowanych w czasie transmisji
 i w 30 minut po transmisji..... 6 142
 Liczba utraconych połączeń..... 2 961
 Liczba przyjętych połączeń..... 3 181 = 100%
 Liczba przyjętych anonimowych połączeń..... 1 060 = 33% N
 Liczba przyjętych normalnych połączeń.....2 121 = 67%
 w tym (do chwili komunikatu)..... 320 = 10% N
 w tym (do chwili komunikatu).....1 801 = 57% Ż

N - nieżyczliwe; Ż - życzliwe

Koniec komunikatu.

Pastor wyłączył komputer i dane zniknęły z ekranu.

- Ile czasu potrzeba na ustalenie, z jakich rejonów dzwoniono, John? - spytał.
- Jeśli chodzi o normalne połączenia, to parę minut, proszę pana - odparł Connors. - Co zaś do połączeń anonimowych, to musimy poprosić o informacje centralę telefoniczną, ale nie sądzę, żebyśmy coś od nich otrzymali wcześniej niż pojutrze. Będą musieli sprawdzić, które połączenia były na nasz koszt. - Zajmij się tym - powiedział Pastor. - Chciałbym się dowiedzieć, z jakich rejonów kraju pochodziły te anonimowe telefony.
- Ja też, proszę pana - odparł John. - Nasi pracownicy jeszcze nie otrząsnęli się z szoku. Nie uwierzyłby pan, jakiego języka ci ludzie używali. To były najbardziej plugawe i obraźliwe słowa, jakie kiedykolwiek słyszeliśmy.
- Zdobądź tę informację, John - powiedział Pastor.

- Ludzie, którzy używają takiego języka, są chorzy. Poza tym dobrze jest wiedzieć, gdzie mamy wrogów.

- Zaraz się za to wezmę, doktorze Talbot.

- Dziękuję ci, John - rzekł Pastor. - Zrobiłeś dobrą robotę i chcę, żebyś wiedział, że jestem ci osobiście wdzięczny. - Dziękuję, doktorze Talbot. - John wydawał się zadowolony. - Do widzenia. - Do widzenia, John. - Pastor odłożył słuchawkę. Zapisawszy parę liczb na kartce, przyglądał się im w zamyśleniu. Zastanawiał się, ilu z anonimowych abonentów należało do jego kościoła i jak by to sprawdzić. Ale już same liczby były dość przerażające. Niezyczliwa reakcja 43 procent wszystkich abonentów nie wróżyła dobrze kościołowi. Następny telefon był do Marcusa Lincolna. - Zażyłeś go z lewej flanki, Pastorku - powiedział. - Już po dziesięciu minutach audycji stary zadzwonił do mnie, krzycząc, żebym cię zdjął z anteny. - Ładne kwiatki. - To dopiero początek - ciągnął Marcus. - Żebyś słyszał, jak się wściekł, gdy mu powiedziałem, że absolutnie nie wolno nam tego zrobić. Bo co najmniej sto rozgłośni na terenie całego kraju dobierze się nam do tyłka, jeśli zostawimy ich z pustymi ekranami i na pewno wygrają. W dodatku z wielką radością skorzystają z okazji, żeby zerwać z nami kontrakty na transmisje, które muszą jeszcze prowadzić przez trzy lata, po kosztach z siedemdziesiątego dziewiątego roku, a które by natychmiast sprzedali po dzisiejszych cenach, czyli co najmniej trzykrotnych. Pastor roześmiał się. - To mu przyłożyłeś.

- Faktycznie - potwierdził Marcus. - Wtedy przyczepił się do mnie, dlaczego, do diabła, cię nie przypilnowałem i jak to się stało, że nie wiedziałem o twoich zamiarach zrobienia takiego programu, a jeśli wiedziałem, to dlaczego go nie poinformowałem.

Wy tłumaczyłem mu, że scenariusz, który my widzieliśmy, nie miał nic wspólnego z tym, co poszło na antenę i że skonsultowałem to z reżyserem w kabinie kontrolnej, który powiedział mi, że wyłączyłeś go zaraz po wejściu na wizję.

- To prawda - przyznał Pastor. - Przepraszam, że postawiłem cię w tak niezręcznej sytuacji, ale gdybym uprzedził, co zamierzam, nie pozwoliliby mi tego zrobić. Zamęcziliby mnie na śmierć naradami. - Przerwał na chwilę. - W każdym razie, co się stało, to się nie odstanie. - On jest innego zdania. Powiedział, że - cytuję

- dobierze się temu czarnuchowi do dupy, a potem weźmie się za ciebie. I jeszcze jeden cytat. Woda sodowa uderzyła ci do głowy, zapominasz, że on cię wywindował na ten piedestał i że on może cię stamtąd ściągnąć, kiedy tylko zechce. Nie będzie stał z boku i spokojnie patrzył, jak paru gachów, narkomanów, którzy porzucili swe żony i dzieci, gwałci święte reguły moralności chrześcijańskiej.

- To wszystko? - spytał Pastor cicho.

- Nie - odparł Marcus. - Powiedział, że mogę uważać się za zwolnionego, jeśli jeszcze raz coś takiego przegapię. Spytałem, czy nie woli, żebym już złożył rezygnację i wtedy spuścił trochę z tonu. - Dziękuję ci, Marcus - rzekł Pastor szczerze.

- Byłeś dzielny.

- Wcale nie - obruszył się Marcus. - Doszedłem już do takiego punktu, że nie będę więcej wysłuchiwać jego głupich pretensji. Świat nie kończy się na tej jednej robocie.

- Tak czy owak, wymagało to odwagi - stwierdził Pastor.

- Bo ja wiem - odrzekł Marcus. - Nie jestem głupi. Czuję pismo nosem. Prędzej czy później i tak

mnie wywali. W przeciwnym razie, po co wprowadzałby Sanforda Carrola? Po co mu dwóch ludzi do tej samej roboty? Sądzę, że on już się domyślił, że przeszedłem na twoją stronę. - Może ty tego nie wiesz, Marcus - rzekł Pastor

- ale to nie jest żadna moja strona. Po prostu obaj jesteśmy po stronie Boga.

- Niech będzie - odparł Marcus.

- Świetnie - ucieszył się Pastor. - A proszę cię, żebyś w trybie nagłym zdobył dla mnie pewne informacje. Chcę natychmiast znać ostateczne notowania Nielsensa na głównych rynkach. Pierwsze pół godziny programu w stosunku do drugiej części. Interesuje mnie, czy po pojawieniu się Joe'ego na antenie straciliśmy widownię.

- Spodziewasz się kłopotów? - spytał Marcus.

- Raczej tak - odrzekł Pastor poważnie. - Ale może się myłę.

- Postaram się zdobyć te dane do jutrzejszego południa.

- Doskonale. Wtedy sobie porozmawiamy - powiedział Pastor.

- Aha, jeszcze jedno - wtrącił Marcus. - Nie zapominaj, że jutro o trzeciej po południu *jezuslan-dem-1* przylatuje Kim Hickox. Obiecałeś, że po nią wyjedziesz.

- Wyjadę - rzekł Pastor. - Jeszcze raz dzięki, Marcus.

Jak tylko odłożył słuchawkę, zabrzączał interkom.

- Pani Talbot na linii, doktorze Talbot.

- Proszę powiedzieć pani Talbot, że już oddzwaniam z prywatnego telefonu - rzekł Pastor. Odczekał chwilę, żeby Jane zdążyła odłożyć słuchawkę na Widelki, po czym wykręcił jej numer.

Odebrała od razu. - To ty?

- Tak - odparł.

- Właśnie skończyłam rozmawiać z ojcem - oznajmiła. - Tak krzyczał i wściekał się, że z trudem rozumiałam, o co mu chodzi. Otóż zmienił zdanie. Chce, żebym wystąpiła o rozwód, a on dostarczy mi wszelkich dowodów, bym mogła oskarżyć cię o zdradę w dowolnym sądzie na świecie, póki jeszcze nie zdążyłeś oddać całego kościoła Murzynom.

- Murzynom? - zdziwił się Pastor. - Tak powiedział?

- No nie. Wiesz, jakich słów on używa, ale ja przecież nie muszę - powiedziała. - Coś zrobił, że się tak wściekł?

- Widziałaś dzisiejszą audycję?

- Nie - odparła.

- Pozwoliłem Joe'emu wygłosić kazanie.

- Nie widzę w tym nic złego.

- Ja też nie - odparł. - Ale twój ojciec najwyraźniej patrzy na to inaczej niż ty czy ja. Milczała przez chwilę. - A dzwonię dlatego, żebyś wiedział, że nie mam zamiaru występować o rozwód. Bez względu na to, co będą mówić. To dotyczy też mojego ojca.

- Dziękuję ci, Jane - powiedział pokornie.

- Nie masz za co mi dziękować - stwierdziła. - To prawda, że nie możemy razem żyć, ale nie zwalnia mnie to od obowiązku postępowania w taki sposób, jaki uważam za słuszny. Poza tym, było nie było, jesteś ojcem moich dzieci, a ja nie pozwolę pakować ich w bagno. Wyłączyła się, zanim zdążył coś odpowiedzieć. Powoli odwrócił się w stronę okna. Popatrzył w dal, odkładając słuchawkę. Nagle poczuł się bardzo zmęczony. Jeszcze przez dłuższą chwilę patrzył tak, zanim w końcu wstał.

Wyszedł z gabinetu. - Idę na plebanie trochę się zdrzemnąć - powiedział, przystając przy biurku sekretarki. - Proszę zapisać, jeśli będą jakieś telefony. Wrócę za kilka godzin.
- Ależ, doktorze Talbot - wykrzyknęła. - Nie zadzwonił pan jeszcze do pana Randle'a, a on dzwonił tu z pół tuzina razy. Co mam powiedzieć, jeśli znowu zadzwoni?
- Prawdę - rzekł. - Proszę mu powiedzieć, że poczułem się zmęczony i poszedłem się trochę przespać, a jak wrócę, to do niego zadzwonię.

16

Czuł wielkie zmęczenie. Przewracał się na łóżku z boku na bok, ale żadna pozycja nie przynosiła mu oczekiwanej ulgi. Na moment jakby się zdrzemnął i wtedy wydało mu się, że ciemność pokoju przecina cienka strużka światła. Ponieważ światło to stawało się coraz intensywniejsze, otworzył oczy, by sprawdzić, gdzie jest jego źródło. Nie potrafił jednak go umiejscowić, jako że żaluzje w oknach były całkowicie spuszczone. A mimo to robiło się wciąż jaśniej i jaśniej, pokój skąpany był w złotawym blasku, pochodzącym, jak się wydawało, od wypełniającego go powietrza. Zamiast zmęczenia Pastor poczuł teraz przypływ jakiejś dziwnej siły.

Usiadł z szeroko otwartymi oczyma i usiłował wyłowić coś ze złotej poświaty wokół łóżka. Wstrząsnął nim dreszcz. - To ty, Ojczy? - spytał.

Głos, który usłyszał, nie był dźwiękiem fizycznym;

te słowa jakby kształtowały się w jego mózgu. - Synu mój.

- Czuję się zagubiony, Ojciec - poskarżył się. - Zgrzeszyłem i nie wiem, w którą stronę się teraz zwrócić.

- Wiem, mój synu. Droga, którą wybrałeś, jest długa i samotna. - Złota poświata teraz się do niego zbliżyła i otoczyła go. - Lecz droga do prawdy zawsze była ciernista i usłana kamieniami. - Próbowałem, Ojciec. Nic jednak nie układa się tak, jak chciałem. Wiem, Ojciec, że popełniłem wiele błędów. Ale nie wiem jakich.

- Szukałeś ich w sobie, mój synu?

- Tak, Ojciec. I wielokrotnie modliłem się o twoją radę, szukałem odpowiedzi na pytania w twoich słowach. A jednak, kiedy już mi się zdawało, że znalazłem to, czego szukałem, okazywało się, że nie jest to dokładnie to, o co się modliłem. - Wciąż drżał. - Czy to możliwe, Ojciec, że grzechy, których tak się obawiałem, zawładnęły właśnie mną? Że te miliony dolarów, które ukryłem, ukryłem nie po to, by uratować Kościół, lecz po to, by osiąść władzę? Że moje dzieci zostały poczęte z żądzy, a nie z miłości, a ożeniłem się z chciwości? Gdy w jego mózgu formowały się odpowiedzi, złote światło zdawało się wirować, przyplływać i dopływać. - Odpowiedzi nie zawsze są zawarte w moich słowach. Czasami znajdują się gdzie indziej. Bywa, że nawet w słowach wrogów. Wprawdzie oni mogą udzielić swego głosu słowom szatana, ale mogą też odsłonić przed tobą lęki samego szatana.

- Jestem niegodnym ignorantem, Ojciec. W ich słowach słyszę tylko zło i grzech, które starają się zawładnąć całym światem. Ciągłe nie rozumiem.

- Wsłuchaj się jeszcze raz, bardzo uważnie, w sło-

wa swoich wrogów, mój synu. A najgłębsze lęki szatana same się przed tobą odkryją. A kiedy w końcu pojmiesz, niech twoje postępowanie będzie zgodne ze światłem, które nosisz w sobie, i miłością, którą darzymy siebie nawzajem.

Złota poświata zaczęła słabnąć, rozplywać się w ciemności pokoju. Pastor przeraził się. - Ojczy! Ojczy! Nie opuszczaj mnie!

Słowa w jego mózgu teraz dochodziły z daleka.

- Nigdy cię nie opuszczę, mój synu.

Złoty blask zniknął, a Pastor opadł z powrotem na poduszkę z uczuciem dziwnego i błogiego spokoju, a także siły wewnętrznej. Zaniknąwszy oczy, zasnął.

Gdy wchodził do biura, sekretarka uniosła głowę.

- W pańskim gabinecie czekają pan Randle, doktor Sorensen oraz doktor Ryker.

Przystanął. - Pani Hill - powiedział marszcząc brwi. - Na przyszłość proszę łaskawie pamiętać, że mój gabinet jest miejscem prywatnym i nikt, absolutnie nikt, bez mego zezwolenia nie powinien mieć do niego wstępu. Do czekania służy poczekalnia.

Zmieszała się. - Ależ, doktorze Talbot, przecież pan Randle zawsze...

Przerwał jej. - Słyszała pani, co powiedziałem. Dotyczy to także pana Randle'a.

Gdy wkroczył do gabinetu, obaj pastory poderwali się z krzeseł, Jake Randle pozostał jak zwykle na swoim miejscu. Obszedłszy w milczeniu biurko, Pastor usiadł. Obaj duszpasterze stali dalej, nie wiedząc, jak się zachować. Wskazał im krzesła. - Witam panów - powiedział do nich chłodnym tonem, gdy usiedli.

- Nie odpowiedziałeś na moje telefony - wyrzucił Z siebie starszy pan.

Przeniósł spojrzenie na niego. - Miałem inne zajęcia.

- Na przykład drzemkę? - spytał zjadliwie Randle.

- Wszystko we właściwej kolejności - odparł cicho.

Randle zaczerwienił się. - Dlaczego postanowiłeś zataić przed radą, że dziś rano wprowadzisz na antenę tego czarnucha?

Ich oczy spotkały się. - Domyślam się, że mówisz o wielbnym Washingtonie?

- Świetnie wiesz, do cholery, o kim mówię - odrzekł ze złością Randle. - Taki sam on wielbny jak ja. - Panie Randle - zaczął zimno Pastor. - Wielbny Washington został oficjalnie wyświęcony przez kościół. A więc należy mu się ten tytuł, cokolwiek pan o tym sądzi. - Jakie on spełnia wymagania, żeby być pastorem?

- Boskie wymagania, panie Randle. Nasz Pan Jezus pytał swych uczniów jedynie o to, czy w Niego wierzą i czy pójdą w świat głosić Jego ewangelię. Jeśli chodzi o wielbnego Washingtona, to jego wiara w Jezusa Chrystusa i zdolność głoszenia ewangelii są bezprzykładne. Do tego jeszcze dochodzi fakt, że osobiście nawrócił wiele dusz, jak również to, że zawdzięczamy mu zebranie dla naszego kościoła ponad sześciu milionów dolarów w ciągu dwóch lat.

- To jednak w dalszym ciągu nie wyjaśnia, czemu nie uprzedziłeś rady o swych zamiarach - warknął Randle.

- Panie Randle - głos Pastora stał się nagle twardy

1 zimny - nie uprzedziłem rady, ale jako pastor tego kościoła nie mam obowiązku zawiadamiania was o wszystkim, co będę robił czy czego nie będę robił. Nie muszę się liczyć z żadnymi działaniami rady

podejmowanymi w imieniu tego kościoła ani też z jej rekomendacjami. Gdyby zechciał pan zadać sobie trud i przeczytać ustawę o stowarzyszeniach oraz ustalenia szczegółowe tego kościoła, to wiedziałby pan, że ja, jako jedyny, jestem upoważniony do podejmowania działań w imieniu tego kościoła i że każda osoba mianowana do tej rady, jak również sama rada, podporządkowuje się mojej woli.

Twarz starszego pana zrobiła się czerwona i zła. - Pan zdaje się zapominać, doktorze Talbot, że to ja umożliwiłem panu utworzenie tej parafii!

- Nie zapominam o tym, panie Randle, i zawsze jako pierwszy przyznam, że kościół ten zawdzięcza panu bardzo wiele. Niejednokrotnie dawałem temu publicznie wyraz.

- A co do umowy dzierżawnej, na mocy której parafia ta zajmuje nieruchomości objęte nazwą Jezus-land, to zawiera ona klauzulę umożliwiającą zerwanie jej w dowolnym momencie bez podania przyczyny zgodnie z *moją* wolą. - Starszy pan wciągnął triumfująco powietrze i spojrzał na dwóch duszpasterzy, którzy przez cały czas zachowywali się tak, jakby ich tam wcale nie było.

- Panie Randle - rzekł Pastor, przechodząc do meritum - jeśli sugeruje pan, że życzy sobie, by Kościół Wspólnoty Bożej Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki zwolnił zajmowane nieruchomości, to wystarczy, żeby przysłał pan nam to na piśmie, a my bezzwłocznie się stąd wyniesiemy.

Randle gapił się na Pastora w milczeniu. Zrozumiał, że Pastor odkrył jego blef.

Rzeczywiście, gdzież znalazłby innego kaznodzieję, posiadającego środki finansowe na przejęcie Jezuslandu? Same w sobie budynki były równie bezwartościowe, jak ziemia, na której zostały zbudowane. - Wcale tego nie

sugerowałem, doktorze Talbot - rzekł w końcu.

- Przytoczyłem tę informację jedynie jako argument w dyskusji na temat naszych uprawnień. Nie mam zamiaru zrywać umowy dzierżawnej.

- Miło mi to słyszeć, panie Randle - powiedział cicho Pastor.

- Nie oznacza to bynajmniej, że zamierzam stać z boku, doktorze Talbot - rzekł starszy pan schrypniętym głosem - i przyglądać się beczynnemu, jak oddaje pan parafię czarnuchom.

- Panie Randle, myślę, że pora zauważyć, który mamy wiek - odparł Pastor tonem pełnym irytacji. - Moim zdaniem używanie tego określenia jest całkiem nie na miejscu, podobnie uważają nasi parafianie, telewidzowie i, tego jestem pewien, obecni tu moi koledzy.

Wolałbym, żeby w przyszłości mówił pan o Murzynach z naszej parafii z większym respektem, używając określeń możliwych do przyjęcia.

Randle odwrócił się do dwóch kaznodziejów. Trwali w swym uporczywym milczeniu.

Przeniósł wzrok na Pastora. - Ja z kolei jestem pewien, że obecni tu pańscy koledzy zgodzą się ze mną, że wprowadzenie do programu tego czar..., znaczy Murzyna przed nimi nie było fair. Postawiłeś ich w bardzo niezręcznej sytuacji.

- Czy zgadzacie się, panowie, z panem Randle'em? - spytał Pastor milczących kaznodziejów.

Doktor Sorensen łypnął na Rykera, a następnie przemówił łagodnym, pojedynczym tonem. - Uważam, doktorze Talbot, że gdybyśmy mieli możliwość przeanalizowania tej sprawy wcześniej, to niewykluczone, że prezentacja nowego pastora odbyłaby się w sposób bardziej wyważony.

- Co pan rozumie przez „sposób bardziej wyważony”, doktorze Sorensen?

- Można było jakoś złagodzić szok, jakiego doznała biała widownia, widząc i słysząc czarnego duszpasterza w tak ważnym, jak ten, programie.

Pastor pokiwał głową. - Rozumiem. - Zwrócił się do drugiego kaznodziei. - Chciałbym usłyszeć także pańską opinię, doktorze Ryker. Po głosie doktora Rykera od razu można było poznać, że ma się do czynienia z zawodowym mówcą. - Jedną z ważnych składowych naszej pracy w chrześcijańskich szkołach i college'ach - mówił tonem starego belfra - były badania nad tym, co się zwykło określać mianem szoku kulturowego. Tutaj mamy klasyczny przypadek niewłaściwego człowieka w niewłaściwym miejscu w niewłaściwym czasie. Narzucenie zgromadzeniu, składającemu się prawie wyłącznie z białych ludzi, aby słuchało, jak Murzyn mówi im o Bogu, który stworzył człowieka na wzór i podobieństwo swoje, nie może spotkać się z akceptacją. Dla człowieka oglądającego się codziennie w lustrze jest to psychologiczny afront. - A odwrotna sytuacja nie stwarza tego rodzaju problemów? - spytał zdawkowo Pastor. - W żadnym wypadku, doktorze Talbot - odparł Ryker. - Wieloletnia tradycja sprawia, że sytuacja taka jest w pełni akceptowana.

- Czy jest to jednak uzasadnione, doktorze Ryker?

- spytał Pastor. - Pismo święte, owszem, mówi, że Bóg stworzył człowieka na wzór i podobieństwo Swoje. Ale nigdzie w Piśmie świętym nie jest powiedziane, że człowiek, którego Bóg stworzył, był biały, czarny, żółty, czerwony czy zielony.

- Staramy się być praktyczni, doktorze Talbot

- powiedział Sorensen łagodnie - a nie „teologiczni”.

- Zacerpnął powietrza. - Jedno jest pewne, a mianowicie to, że doprowadziwszy do poczucia wyobcowania

u dużej części naszej białej widowni, spowodujemy znaczny spadek dochodów.

- Doktorze Sorensen - zaczął Pastor sucho, odwracając się do niego - to jest parafia, a nie Harvardzka Szkoła Biznesu. Naszym głównym zadaniem jest ratowanie dusz, nie zaś akumulacja wielkich sum na kontach bankowych.

- Pan wie z własnego doświadczenia, doktorze Talbot - odezwał się Randle - jak trudno jest bez tych sum dotrzeć do dusz, które najbardziej owego ratunku potrzebują.

Pastor popatrzył na każdego z nich po kolei, po czym zaczął powoli mówić: - Panowie, ponad siedemdziesiąt procent kościołów stowarzyszonych z Kościołem Wspólnoty Bożej stanowią parafie murzyńskie. Nie mogę uwierzyć, że dusza jednego człowieka różni się od duszy innego z powodu różnych kolorów ich skóry. Póki ludzie ci będą należeć do Wspólnoty Bożej, póty, moim zdaniem, mają prawo do swego reprezentata w naszej parafii.

- Tylko ich wpuść - warknął Randle - a zanim się obejrzysz, przejmą cały kościół. Wiesz, jacy oni są. Sprzedasz im jeden dom, a za kilka miesięcy wszystkie domy w okolicy będą się od nich roić. Dick Craig i Helen Lacey już zagrozili, że cofną nam wsparcie swych organizacji. W ten sposób ponad dwa miliony ludzi odwróci się od naszej parafii. Ci ludzie stanowią trzon konserwatywnej większości chrześcijańskiej i nie ma mowy, żeby zgodzili się siedzieć w jednej ławce z czar... Murzynem.

- Tracimy niepotrzebnie czas, panowie, na te sprzeczki - stwierdził Pastor. - Jakże utrudniamy sobie tym pracę. W czasie ogólnokrajowej Krucjaty dla Chrystusa, którą planuję na najbliższe Święto Pracy, jednym z naszych najważniejszych zadań bę-

dzie przekonanie każdego chrześcijanina, że Bóg, którego on kocha, jest tym samym Bogiem, który kocha wszystkich ludzi.

- No chyba nie wyjedziesz z czymś takim? - oburzył się Randle.

- Niech pan tylko pomyśli, panie Randle - rzekł Pastor. - Będziemy mieli okazję zebrać jednego dnia miliony dusz dla Chrystusa. I, tegoż właśnie dnia, ta właśnie okazja przyniesie nam jakieś pięćdziesiąt milionów dolarów, które umożliwią nam dalszą służbę Bogu. Randle gapił się na niego przez chwilę. - Wytłumacz nam to - powiedział, sadowiając się wygodniej. - To całkiem proste. - Pastor uśmiechnął się.

- Jeśli jeden mecz bokserski o pieniądze potrafi dać dochód rzędu dwudziestu pięciu milionów dolarów, to niech pan spróbuje obliczyć, ile milionów dolarów można ściągnąć organizując mecz między Jezusem Chrystusem a Szatanem?

Randle nie odpowiedział, ale Pastor niemal słyszał, jak w jego głowie zadziałał komputer.

- Dzięki właściwej organizacji i umiejętnemu zaplanowaniu akcji moglibyśmy sterować przez satelitę widownią telewizyjną liczącą pięćdziesiąt milionów ludzi, a ponadto zapłacić wszystkie większe stadiony sportowe.

- To niesłychanie ambitny plan, doktorze Talbot

- zauważył Sorensen - i ja go popieram. Zastanawiam się jednak, czy nie jest to projekt przerastający możliwości pojedynczej parafii? Przeczuwam, że odnieśliśmy większy sukces, gdybyśmy namówili na przyłączenie się do nas kilka innych telewizyjnych parafii.

- Bardzo słuszna uwaga, doktorze Sorensen - pochwalił go Pastor. - Byłbym wdzięczny, gdyby zechciał pan jak najprędzej powołać komitet do prowadzenia rozmów z innymi parafiami na temat

przyłączenia się do Krucjaty. Myślę, że można im obiecać sprawiedliwy udział w całkowitym zysku.

- Jeśli mamy podjąć takie rozmowy, to uważam, że powinniśmy zaproponować kaznodziejom tamtych parafii ważne stanowiska w programie - rzekł Ryker.

- Świetny pomysł, doktorze Ryker. Czułbym się ogromnie zaszczycony, gdyby ci kaznodzieje, których działalność i oddanie Chrystusowi od dawna podziwiam, zechcieli towarzyszyć mi w tej wielkiej Krucjacie.

Ryker zerknął na Sorensena. - Jestem pewny, że doktor Sorensen zgodzi się ze mną, kiedy powiem, że projekt ten na pewno spotka się z wielkim zainteresowaniem takich wybitnych kaznodziejów, jak Jeny Falwell, Oral Roberts, Rex Humbard, Bob Shuller i być może nawet doktor Billy Graham. - Nie zapominałbym także o Paulu Crouchu i Fredzie Price w Kalifornii - wtrącił Pastor. - Cieszę się tam dużym posłuchem. - Czekał na ich reakcję.

Wielebny Price był murzyńskim kaznodzieją w Los Angeles, transmitowało go trzydzieści pięć stacji, a jego kościół w Crenshaw nie był na tyle duży, by pomieścić tych wszystkich dobrze sytuowanych Murzynów z klasy średniej, którzy z tego właśnie powodu w niedziele stawali w ogonku pod kościołem, na długo przed otwarciem drzwi kościoła.

- Oczywiście - zgodził się bez wahania Sorensen. - To nadzwyczaj podniecający projekt i im więcej gwiazd uda nam się pozyskać, tym lepiej.

Pastor uśmiechnął się. Nikt nawet nie zająknął się o tym, że wielebny Price to Murzyn.

Najwyraźniej pieniądze znosiły bariery rasowe. Naraz doznał olśnienia. Co dokładnie powiedział głos w jego dziwnym śnie? „Wysłuchaj się jeszcze raz, bardzo uważnie, w słowa twoich wrogów, mój synu”.

Przestał się uśmiechać. - Słucham, Ojczy - szepnął do siebie. - Modlę się tylko, żebym wiedział, jaki powinienem zrobić z nich użytek.

- Pan coś mówił, doktorze Talbot? - spytał Ryker. Pastor pokręcił głową. - Nie, nie. Głośno myślałem. Randle powstał z miejsca. Nie mógł nie wziąć

udziału w dyskusji. - Jestem przekonany, że moje stacje telewizyjne też mogą namówić wiele gwiazd telewizyjnych i filmowych do wystąpienia w tym programie. Już to widzę.

Najwięksi na świecie kaznodzieje, obok siebie, w jednym programie. To przejdzie do historii telewizji religijnej. - Przerwał, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. - To musi

trwać dwie godziny - powiedział. - Nie zrobi się takiego programu w jedną godzinę. A może nawet trzeba będzie go jeszcze przedłużyć. ,

- Taka możliwość istnieje - zgodził się Pastor.

- Trzeba tylko znaleźć czas.

- Czas to pieniądze - rzekł Randle lekceważąco.

- Co znaczy milion czy dwa, kiedy się sięga po księżyc? Pastor spojrział na nich i uśmiechnął się. - Czy nie

lepiej, panowie, pracować razem w spokoju i harmonii twórczej, zamiast się kłócić i rzucać na siebie kalumnie, co działa tak destruktywnie?

17

- To, że udało ci się wymóc na nim, żeby nie nazywał nas czarnuchami, nie oznacza, że go zmieniłeś - rzekł Joe. - Ten facet ma nienawiść we krwi. Nie uspokoi się, póki nie zobaczy mnie dyndającego

na suchej gałęzi, a ciebie smażącego się na płonącym krzyżu.

Wpakował do ust ponad połowę ogromnej buły z serem i połknął ją prawie bez żucia.

Pastor zerknął na Beverly, która dziobała wytwornie sałatkę. Przeniósł wzrok na Joe'ego. -

Cieszę się, że te ponure perspektywy nie odebrały ci apetytu - powiedział z uśmiechem.

Pół butelki piwa zniknęło w gardle Murzyna.

- Wiesz, że mówię prawdę. Randle to wredny facet. Jeśli nie wywalił nas od razu, to tylko

dlatego, że węszy forszę. - Zgadza się z tobą, Joe - rzekł Pastor. - Ale gdybym miał się

ciągle przejmować wszystkimi łajdakami na świecie, to zabrakłoby mi czasu na moją

pracę. - Zapamiętaj moje słowa - powiedział Joe posepnie. - On poczeka do końca

Krucjaty, a potem wytnie jakiś numer. - Tu się akurat mylisz - Pastor pokręcił głową.

- On to zrobi dużo wcześniej.

Joe spojrzał na niego pytającym wzrokiem. - Wiesz o czymś, o czym ja nie wiem?

- Nie - odparł Pastor. - Ale to logiczne. Nie będzie tak długo czekał. Pozbędzie się nas, jak

się upewni, że Krucjacie już to nie przeszkodzi. On dobrze wie, że jeśli my zbierzemy

zasługi za zorganizowanie Krucjaty, to już nigdy nie będzie mógł nam nic zrobić.

- Niech to cholera! - skrzywił się Joe. - Myślałem, że mam przed sobą przynajmniej trzy

miesiące bezpiecznego życia.

Pastor uśmiechnął się. - Nie ma żadnych przeciw-skazań, żebyśmy się przygotowali na

jego atak.

- Jak możemy się przygotować, jeśli nie wiemy, co kombinuje? - spytał Joe. - Ten facet jest

przebiegły jak lis. Nigdy nie wiadomo, z której strony zaatakuje.

- To prawda - przyznał Pastor. - Możemy jedynie wzmocnić naszą obronę, żebyśmy byli gotowi na atak z każdej strony.
 - Zupełnie jak w Wietnamie - zauważył Joe.
 - Otoczymy się ze wszystkich stron drutem kolczastym. Gdzieś się na niego napatoczy.
 - Miejmy nadzieję - powiedział Pastor.
 - Słuchaj, wymyśliłem coś o wiele prostszego
 - rzekł Joe. - Pozwól mi włożyć pod tylne siedzenie tej jego landary małe pastikowe ciasteczko. Wsiądzie, posadzi tyłek na tym siedzeniu, a tu bum! Poskręca skurwielowi kiszki ma amen. Pastor roześmiał się, kręcąc głową. - Czy ty się nigdy nie zmienisz, Joe? Nie zapominaj, że teraz jesteś sługą bożym. A tego słudzy boży nie robią.
 - No dobra - zgodził się Joe. - Wymyśl więc coś lepszego.
 - Zajmijmy się sobą - zdecydował Pastor - a jego zostawmy łasce niebios.
 - Amen - zakończył Joe. - Powiedz, co mamy robić.
 - Po pierwsze, zamknij drzwi na klucz - polecił Pastor. - Nie chciałbym, żeby ktoś nam tu włazł. Drugie śniadanie jedli w bibliotece parafialnej. Pastor odczekał, aż Joe zamknie drzwi i wróci do stołu. Teraz z kolei on wstał i odsunął segment regału, za którym ukryty był sejf. Prędko wykręcił numer, otworzył drzwiczki sejfu, wyjął jakieś papiery, po czym doprowadził wszystko do poprzedniego stanu. Wrócił do stołu i wręczył papiery Beverly. - Poznajesz to? - spytał.
- Beverly pokiwała głową w milczeniu.
- Dawno dawno temu postanowiliśmy przygotować się na wypadek, gdyby zdarzyło się coś takiego, jak ta wojna - powiedział. - No i właśnie zdarzyło się.

Znowu pokiwała głową.

- O czym wy, do diabła, mówicie? - zniecierpliwił się Joe.

Pastor spojrzał na niego. - Chcę przekazać Kościół Wspólnoty Bożej kościołom stowarzyszonym.

Joe wytrzeszczył oczy. - No nie, ty rzeczywiście postradałeś rozum. Chcesz pozbyć się pięćdziesięciu milionów dolarów? Albo i więcej?

- Nie potrzebuję tych pieniędzy - stwierdził Pastor. - Chcę to tak urządzić, żeby każdy kościół, który dostanie ich część, utworzył fundusz pomocy dla biednych parafian.

- A co ty z tego będziesz miał? - spytał Joe.

- Jeśli wszystko potoczy się zgodnie z moim planem - rzekł Pastor - to będę miał to, co miałem na początku. Czyli nic.

Joe pokręcił głową ze smutkiem. - Oj, Pastorku, Pastorku, ty też się nie zmieniłeś. Masz akurat tyle oleju w głowie, co wtedy w Wietnamie. Czyli nic.

Pastor spojrzał na Beverly. - Czeka cię kupa roboty. Najpierw musisz tak to zorganizować, żeby kościoły stowarzyszone dostały forszę. Potem trzeba będzie utworzyć fundusz, za który zostaną nabyte udziały Wspólnoty. Myślę, że wiesz, jak to zrobić.

- Tak - odparła Beverly. - Pieniądze z tego konta prześlemy kościołom w postaci anonimowych darowizn. Jednocześnie fundacje kościelne zwrócą nam te pieniądze, kupując za nie udziały Wspólnoty.

- Właśnie - potwierdził Pastor.

- A co dalej z tą forszą? - spytała. - Ma wrócić do ciebie?

- Otworzymy w banku konto depozytowe dla moich dzieci, mianując ich matkę administratorką - powiedział. - Chcę też, żebyście wy z Joe'em mieli swoje udziały. - Zwrócił się do Joe'ego. - Będziesz musiał uzyskać zgodę kościołów stowarzyszonych - powiedział. - Nie sądzę jednak, żebyś miał z tym jakieś kłopoty.

- Kłopoty? - roześmiał się Joe krótko. - No wiesz? Jeszcze zanim skończę rozdawać tę forszę, ogłoszą mnie świętym Mikołajem.

- Jest jednak pewna trudność - rzekł Pastor.

- Chcę, żeby to wszystko zostało podpisane, zalakowane i dostarczone tutaj przed Krucjatą. - Zostało mało czasu - zmartwiła się Beverly.

- Czyli że przez najbliższe trzy miesiące Joe i ja musimy się zajmować tylko tą sprawą.

- Tak - przyznał Pastor. Popatrzył na nich badawczo. - Dacie radę?

Beverly i Joe wymienili spojrzenia. Joe pokiwał głową. - Damy radę.

Pastor uśmiechnął się. - Wspaniale.

Nagle oczy Beverly zaszyły mgłą. Podbiegła do niego i rzuciła mu się w ramiona. Kiedy pocałowała go, poczuł wilgoć na policzku. - Wiesz, że cię kochamy, Pastorku.

Podszedł Joe i objął ich oboje swymi długimi rękoma. - To prawda, ty wariacie - rzekł ochryłym głosem. - My naprawdę cię kochamy. Więc powiedz mi, stary, dlaczego. Dlaczego wszystko rozdajesz? Będziesz miał z tym cholernie dużo kłopotów, a nikt tego nie doceni. Pastorowi też łzy zakręciły się w oczach. Tak chciał, żeby go zrozumieli.

- Pamiętacie nasze dawne sprzeczki o oddawanie pieniędzy miejscowym kościołom? - spytał, ale nie czekał na ich odpowiedź. - Nie widzicie, że historia się powtarza? My po prostu zwracamy kościołom i parafiom pieniądze, które tak naprawdę do nich należą.

*

Gdy wrócił do biura po posiłku, w poczekalni zastał Marcusa, który oznajmił mu: - Mam dla ciebie te liczby.

- Wejdź do środka - rzekł Pastor, wprowadzając go do gabinetu. Zamknąwszy za nim drzwi, obszedł biurko. Spojrzał na niego badawczo. - Było bardzo źle, co?

- Oberwaliśmy - potwierdził Marcus. - Normalnie tracimy w drugiej połowie dziesięć procent widzów w skali całego kraju, tym razem wyniosło to dwadzieścia trzy procent. Chcesz usłyszeć raport rynkowy?

Pastor skinął głową. Marcus zajrzał do danych przepisanych na maszynie.

- Będę się posuwał od najgorszych notowań do najlepszych. I tak, Południe - normalny spadek pięć procent, tym razem czterdzieści sześć; Południowy-Zachód - normalnie piętnaście procent, tym razem trzydzieści siedem; Środkowy-Zachód - normalnie dwa procent, teraz trzydzieści jeden; Wybrzeże - normalnie dwa procent, teraz dwadzieścia; Środkowy Atlantyk - normalnie siedem procent, tym razem dziewiętnaście; Północny-Wschód - normalny spadek piętnaście procent, tym razem siedemnaście. Jedyne jasne miejsca na tej mapie, to ośrodki wielkomiejskie. Filadelfia, Nowy Jork, Boston, Detroit, Chicago i Los Angeles na ogół zachowywały się normalnie, przy czym Detroit i Chicago wykazały nawet nieduży wzrost. Pastor pokiwał głową. Liczby te zgadzały się z danymi cytowanymi w innych raportach, sprawozdaniem ośrodka w Fort Worth, z nadchodzącymi listami i wpływami pieniężnymi. Na podstawie raportu na temat wpływów pieniężnych z pierwszego dnia komputer ekstrapolował spadek na około czterdzieściprocent w ciągu całego tygodnia. Pastor spojrział na

Marcusa i uśmiechnął się smutno. - Być może zanadto się pośpieszyłem - stwierdził. -
Może należało stopniowo przygotować widzów. Wybór najszlachetniejszej drogi nie zawsze się opłaca. - Sądzę, że wyniki byłyby takie same bez względu na to, jak byś się do tego zabrał - stwierdził Marcus. - Pełno psychopatów i szaleńców tylko czekających, żeby cię rozerwać na strzępy. Tak czy inaczej, zrobiłeś to, i z głowy. Zobaczymy, co się zdarzy w przyszłym tygodniu. Kogo przedstawiasz? - Sorensena - odparł Pastor.

- Świetny wybór - potwierdził Marcus. - To ulubieniec skrajnej prawicy, farbowanych konserwatystów i Moralnej Większości. Proponuję, żebyśmy przez cały tydzień trąbili o tym w telewizji i przez radio, ile się tylko da. Sorensen nabije ci liczby.

Pastor pokiwał głową. - Zajmij się tym.

- Puściłem już maszynę w ruch - odparł Marcus.

- Doskonale - ucieszył się Pastor. - Jak myślisz, ile czasu upłynie, zanim te wyniki dotrą do innych?

- Jak znam Carrolla - powiedział Marcus - to już jest w drodze na ranczo Randle'a.

Pastor pokręcił głową. - Nie pomoże nam to.

- W telewizji mamy takie powiedzenie, które przejęliśmy od dziennikarzy - rzekł Marcus. - Do diabła z tym. To wczorajsza wiadomość. A my musimy już zabrać się do nowej roboty.

- Trudno z tym dyskutować - stwierdził Pastor. Naraz zadzwonił telefon na biurku. Pastor podniósł słuchawkę. Po chwili podał ją Marcusowi. - To do ciebie.

- Słucham - powiedział Marcus. Posłuchawszy przez moment, odłożył słuchawkę i spojrzał znacząco na Pastora. - Dzwonili z wieży kontrolnej. Nasza pani ląduje za sześć minut. Czas chyba wyruszać.

- Chyba tak - zgodził się Pastor bez entuzjazmu.
- Nie rób takiej miny - rzekł do niego Marcus, gdy wsiadali do windy. - Niewykluczone że trochę się rozerwiesz. Na mój gust ta kobieta aż pali się do tych rzeczy. Być żoną pedała to nic przyjemnego.

Pastor łypnął na niego okiem. A więc nie była to wcale taka tajemnica, jak jej się wydawało, albo może zachowywano dyskrecję tylko przed publicznością. - Jeśli rzeczywiście tak się pali - powiedział - musisz dotrzymać jej kroku.

- Stary, ona mną się nie interesuje - roześmiał się Marcus. - To ty wpadłeś jej w oko.

Wysiedli z windy i wyszli bocznym wyjściem, przy którym czekała na nich limuzyna z szoferem. - Chyba się zawiedzie - rzekł Pastor, gdy wsiadli do samochodu. - Ja i bez niej mam dość kłopotów.

Ale się pomylił. Pojęcia nie miał, jak to się stało, ale jeszcze tego samego wieczora zaprosił Kim do domu na kolację. Wypili kawę w bibliotece, paląc jej doskonałego skręta. Przed północą byli już w łóżku.

18

Kiedy następnego dnia wszedł do biura, dwóch mężczyzn akurat je opuszczało. - Co to za jedni? - spytał, przystając przy biurku sekretarki.

- Telefoniarze, doktorze Talbot - odparła bardzo podniecona. - Nasze biuro jako pierwsze otrzymało nowe telefony. Teraz poszli założyć instalacje na plebanii.

- Stare telefony bardzo mi odpowiadały - stwierdził.
- Te panu się bardziej spodobają, doktorze Talbot - rzekła. - Są całkowicie zautomatyzowane i łatwe w obsłudze. I, co najważniejsze, mają wzmacniacz głosu. Gdy taki telefon zadzwoni, nie trzeba podnosić słuchawki, wystarczy się odezwać, natomiast gdy chce pan porozmawiać dyskretnie, bo ktoś jest w biurze, to wtedy podnosi pan słuchawkę. Zaopatrzone są w ekranik, na którym wyświetla się wystukany przez pana numer, a jeśli okaże się zajęty, to aparat automatycznie będzie go wystukiwał co piętnaście sekund, aż do uzyskania połączenia. To urządzenie spełnia wszystkie funkcje. Pod pana nieobecność nawet samo odbierze telefon i zarejestruje, kto dzwonił. Inne sekretarki też bardzo się cieszą, bo to niesłychanie ułatwi nam pracę.
- Świetnie - stwierdził. - A tak przy okazji, pani Hill, kto to zamówił?
- Nowy skarbnik, pan Duncan - odparła. - Jakies dziesięć dni temu był tu zespół ekspertów od badania wydajności pracy, a w piątek otrzymaliśmy zawiadomienie, że od dziś zaczną instalować nowy system telefoniczny i że wszystkie biura zostaną do niego podłączone w ciągu niecałych dwóch tygodni. - Wspaniale - powiedział bez entuzjazmu. - Połączy mnie pani z panem Duncanem? A może wystarczy, żebym strzelił palcami?
- Nie, doktorze Talbot - zachichotała. - Zostawiono jeszcze to i owo sekretarkom. Wszedł do gabinetu, usiadł za biurkiem. Nowy instrument wyglądał jak zminiaturyzowany interkom. Kiedy tak mu się przyglądał, telefon zadzwonił. Nie tknął go, zgodnie z zaleceniami sekretarki. - Tak?
- Pan Duncan na pierwszej linii.
- Dobrze - rzekł. - Proszę go dać. - I po krótkiej chwili: - Sutter?

Wskaźnik linii numer jeden przestał błyskać; świecił teraz ciągle. - Jak się panu podoba to nowe urządzenie, doktorze Talbot?

- Nie w tym rzecz - odparł Pastor. - Ile to kosztowało?

- Blisko milion dolarów - odparł Duncan. - Ale urządzenie to tak poprawi wydajność pracy, że koszty zwrócą się w niespełna osiemnaście miesięcy, a późniejsze oszczędności wyniosą trzysta pięćdziesiąt do pięciuset tysięcy dolarów na rok. Do tej pory sama tylko opłata za wynajęcie urządzeń od firmy telefonicznej wynosiła rocznie ćwierć miliona, kontrakt na wynajem i konserwację nowego systemu opiewa na sto tysięcy.

- Brzmi to interesująco - zgodził się Pastor - ale jaką mamy gwarancję, że firma ta będzie jeszcze funkcjonować, kiedy będzie nam potrzebna?

Duncan roześmiał się. - Nie wyobrażam sobie, żeby pan Randle przyjął jakąś niepewną ofertę. Pan Randle posiada wyłączne prawo sprzedaży i dystrybucji tej linii na cały Teksas, ponadto negocjuje z wytwórcą w Japonii prawa na cały Południowy Zachód.

- To mi wystarczy, Sutter - stwierdził Pastor. - Dzięki, że wstawiłeś mnie na pierwsze miejsce.

- Inaczej nie mogłem, doktorze Talbot. Prawdę mówiąc, to pan Randle nalegał na taką kolejność.

- W każdym razie dziękuję, Sutter. Do widzenia.

- Do widzenia, doktorze Talbot. - Światelko zgasło.

Pastor odchylił się w fotelu. Starszy pan nie był głupcem. Jeśli zamierzał zawrzeć milionowy kontrakt, musiał się najpierw upewnić, że Pastor go nie zakwestionuje. Jak już nowe urządzenia zostaną zainstalowane w biurach, nikt ich stamtąd nie wyrzuci.

Kontrakt na taką sumę powinien być przedstawiony zarządowi do zatwierdzenia, ale starszy pan wyliczył sobie chytrze, że w razie czego się wycofa i powie, że mogą zatrzymać nowe telefony za tę samą sumę, jaką płacili firmie telefonicznej.

Zadzwoił znowu telefon. - Przyszli pani Hickox, pan Lincoln oraz pan Carrol. Byli umówieni. - Poproś ich do środka - odparł wstając. Drzwi się otwały i weszła Kim, za nią mężczyźni. Pastor wyszedł zza biurka, pocałował Kim w policzek i zaprowadził całą trójkę w drugi koniec gabinetu, który był umeblowany jak salonik. Zachęcił ich do zajęcia miejsc na kanapie, sam usiadł w fotelu naprzeciwko. - A więc? - Uśmiechnął się. - Jak poszło? - Niewiarygodnie dobrze, doktorze Talbot - odparła ona. - Marcus i Sanford byli nadzwyczaj mili, zaś zespół techniczny przez nich stworzony nie ma sobie równego, nawet w Hollywood. Jestem tak tym podekscytowana, że jeśli pan chce, to mogę zacząć szybciej, niż było umówione.

- To świetna wiadomość - ucieszył się. - Co ty o tym sądzisz? - zwrócił się do Marcusa. - Obaj z Sanfordem jesteśmy zdania, że to wcale nie taki zły pomysł - odparł Marcus. - Mamy za sobą fantastyczny tydzień. Opracowaliśmy ramówkę audycji i pchnęliśmy ją już do realizacji. Ponadto dwóch pisarzy Kim współpracuje z trzema naszymi w zakresie adaptacji i scenariusza. W dodatku Kim wymyśliła coś tak genialnego, że to będzie bomba. Najlepiej niech ci sama opowie.

Pastor zwrócił się do Kim. - To musi być naprawdę coś niezwykłego, skoro go tak poruszyło.

Zrobiła skromną minę. - Bez przesady. Pomysł sam w sobie jest tak prosty i oczywisty, że prędzej czy później któreś z nas musiałyby na niego wpaść.

- Być może - zgodził się Sanford. - Ale ty byłaś pierwsza.

Pastor uśmiechnął się. - No więc powiedz mi.

- Jak wiesz, planujemy kręcić pięć programów w dwa dni. Dwa pierwszego dnia i trzy drugiego - zaczęła. - Istnieje wiele powodów, włączając koszty, by podejść do tego praktycznie. Potrzebujemy też więcej czasu, by zaplanować programy na następny tydzień. To naprowadziło mnie na pewien pomysł. Skoro w grę wchodzi tylko dwa dni pracy, to czemu nie mielibyśmy zaproponować jakiejś gwiazdki, by była naszym gościem tygodnia? Po pierwsze, na dwa dni łatwiej będzie namówić kogoś dużego kalibru, bo to o wiele krócej niż tydzień, po drugie, nasza propozycja może wydać się tym gwiazdom atrakcyjna, ponieważ płacilibyśmy im ekstra, a to na pewno pochlebiłoby ich próżności. Na utrzymanie kogoś takiego przez cały tydzień nie byłoby nas stać.

- Fantastyczny pomysł - przyznał. - A o jakich gwiazdach myślisz?

- Nie o tych, które widuje się normalnie w audycjach religijnych. Dzwoniłam już do moich agentów w Hollywood, jak również do wielu przyjaciół i możliwe, że uda nam się ściągnąć takiego człowieka, jak Charlton Heston, którego najszynniejszą rolą był Mojżesz w *Dziesiorgu Przykazań*, żeby przeczytał nam fragmenty scenariusza tego filmu, następnie Carol Burnett, by opowiedziała o wojnie z narkomanią prowadzonej wśród dzieci i o swoich osobistych zmaganiach, by wyzwolić własną córkę z tego nałogu, dalej... Danney'go Thomasa, by opowiedział o swojej pracy dla Szpitala Dziecięcego pod wezwaniem świętego Judy, no i pieśniarzy, na przykład Arethę Franklin, Johnny'ego Casha, Tammy'ego Wynette'a, by

przypomnieli piosenki, które śpiewano niegdyś podczas nabożeństw.

- Poddaję się - rzekł Pastor z uśmiechem. - Kiedy zaczynamy?

- Z naszym szczęściem i bożą pomocą - powiedziała - za tydzień będę gotowa do nakręcenia programu-pilota. Poważnym problemem będzie chyba, o ile zdecydujemy się zacząć wcześniej, czas antenowy.

- To nie moja działka - rzekł Pastor. - Co panowie o tym sądzą?

- Sanford lepiej ode mnie orientuje się w sytuacji na rynku - wymigał się od odpowiedzi Marcus. Sanford odchrząknął. - Być może uda nam się lepiej, niż przewidujemy. Przed nami miesiące letnie, a sprzedaż czasu antenowego jest dotknięta przez recesję tak samo, jak wszystko. Dajcie mi parę dni na dokładne zbadanie sytuacji, to będę mógł powiedzieć coś więcej. Muszę jednak podejść do tego ostrożnie. Nie chcę, żeby jakieś stacje pomyślały, że my koniecznie musimy mieć ten czas, bo wtedy podniosą ceny.

- Więc nie spiesz się z nadto - rzekł Pastor. - My tymczasem będziemy pracować tak, jakby rzecz miała pójść na antenę latem. Zadzwonił telefon. - Doktorze Talbot - usłyszeli głos sekretarki - przyszli kolejni umówieni goście. - Niech wejdą do poczekalni - odpowiedział. - To potrwa tylko kilka minut. - Odwrócił się do Kim i mężczyzn. - Nie potrafię wyrazić, jak się cieszę, że okazaliście tyle entuzjazmu dla tego projektu i że sprawa jest już tak zaawansowana. Wiem, że mamy w rękach coś, co zrobi furorę. Wstał, oni też. - Proszę, żebyście mnie o wszystkim informowali. Chcę przez cały czas wam towarzyszyć.

Odprowadził ich do drzwi. - Niebawem znowu sobie porozmawiamy - obiecał, otwierając drzwi.

Odczekawszy, aż Marcus i Sanford wyjdą z gabinetu, Kim odwróciła się do Pastora: - Jutro rano lecę do Los Angeles - powiedziała cicho. - Czy sądzisz, że udałoby się nam zjeść dziś razem kolację? - Czemu nie? - uśmiechnął się. - O ósmej na plebani?

- Przyjdę - szepnęła. - Już czuję w ustach smak twego ptaka.

Oddaliła się, zanim zdążył odpowiedzieć. W chwili gdy Kim opuszczała sekretariat, w drzwiach poczekalni ukazały się Melanie i Charlie. Począł na nie. Gdy weszły do gabinetu, zamknął drzwi, pocałował każdą z dziewcząt w policzek.

Zaprosił je na kanapę, sam znowu usiadł w fotelu naprzeciwko. - Znaleźli wam jakąś robotę, panienki?

- Nie za dużo - odparła Charlie. - Nie wiem, czy to dlatego, że ktoś coś na nas nagadał, czy dlatego, że nie ma roboty.

Nie odpowiedział.

- Często widzisz się z tą panią, Pastorku? - spytała Melanie.

- Nie bardzo - odrzekł. - Od czasu do czasu.

- Lepiej bądź z nią ostrożny - poradziła Melanie.

- Ma złą reputację.

- To prawda - dodała Charlie. - Mówią, że nie przepuści żadnemu kaznodziei. Podobno uwodzi każdego, z którym robi program, a pozbycie się jej potem kosztuje kupę szmalu.

Milczał przez chwilę, po czym nagle się poderwał.

- Nie przeszłybyście się ze mną? Mam ochotę zaczerpnąć świeżego powietrza.

Z telefonu odezwał się głos panny Hill. - Doktor Sorensen na linii. Chciałby z panem porozmawiać.

- Oddzwonię do niego za piętnaście minut - powiedział. Spojrzał na dziewczęta. - Chcę raz porozmawiać z wami bez tych ciągłych telefonów.

Pokiwały głowami ze zrozumieniem. - My też chętnie się dotlenimy, Pastorku.

Wyszli przez jego prywatne drzwi i ruszyli ścieżką prowadzącą ku fontannie. - Jakie to ładne, prawda? - powiedział patrząc na promienie słoneczne załamywane w kropelkach rozpylanych przez wodotrysk. - Och, piękne - zachwyciła się Melanie.

- Jeszcze przyjemniej będzie tam na wzgórzu

- stwierdził.

W milczeniu przeszli pięćset metrów. Gdy już byli na górze, odwrócił się, spojrzął w dół na fontannę, przeniósł wzrok na budynek. Trudno było cokolwiek dojrzeć za jego ciemnymi szybami. - Za tą kępą drzew stoi ławka - powiedział.

Z budynku ławka nie była widoczna. Usiadł, dziewczęta obok. Zwrócił się do nich z bardzo poważną miną. - Chcę wam powierzyć bardzo ważne zadanie. Pokiwały głową z uwagą, nic nie mówiąc. - Muszę się streszczać - rzekł - bo mam tyle spotkań, że o mało nie zwariuję. Słuchajcie mnie uważnie. Chcę, żebyście stąd wyjechały, ale nie razem. Jedna jutro, druga parę dni później. Nikomu nic nie mówcie, po prostu spakujcie się i wyjedźcie. Umówcie się w San Antonio i bez względu na to, gdzie się zatrzymacie, podajcie fałszywe nazwiska. Kiedy już będziecie razem, zadzwońcie do Beverly. Jest w domu, w Los Altos. Ona przyśle wam telegraficznie pięćdziesiąt tysięcy dolarów na te nazwiska, które jej podacie. Za forszę od Beverly kupcie samochód kempingowy winnebago z najlepszym wyposażeniem, jakie znajdziecie i wystarczająco duży, żebyśmy mogli mieszkać w nim we trójkę. Zarejestrujcie go na fałszywe nazwisko i wstawcie na parking

dla przyczep kempingowych. Zadzwońcie do Beverly, zawiadomcie ją, gdzie jesteście i czekajcie tam na mnie.

- Ale o co tu chodzi, Pastorku? - spytała Charlie zatroskanym głosem.

- Nie mam teraz czasu wchodzić w szczegóły, ale nie denerwujcie się. Nie grozi nam żadne niebezpieczeństwo. - Spojrzał na nie poważnie. - Czy rozumiałyście, co macie zrobić?

- Jasne, że rozumiałyśmy, Pastorku - potwierdziła Melanie. - Chcesz, żebym powtórzyła? - Proszę.

Pospiesznie powtórzyła jego instrukcje, nie opuszczając żadnego szczegółu. - Dobrze? - spytała, skończywszy.

- Doskonale - potwierdził, wyjmując z kieszeni kopertę. - Macie tu tysiąc dolarów gotówką na pokrycie pierwszych wydatków. Jeszcze jedno. Jedźcie okreśną drogą i nie zapomnijcie przekazać sobie nawzajem, jakimi nazwiskami się posłużycie.

Roześmiały się jednocześnie. - Nie zapomnimy, Pastorku - zapewniła go Charlie. Wstał, spojrzał na nie z góry. - Dzięki - rzekł.

- A teraz jeśli się nie obrazicie, zostawię was tutaj, moje panny. Muszę już wracać do biura.

- Pastorku - zawołała Melanie, gdy odchodził.

- Czy w twoim gabinecie jest podsłuch? Obejrzał się. - Myślę, że tak. Zainstalowali mi dziś nowe telefony. A ja ich nie zamawiałem.

Milczała przez chwilę. - Kiedy możemy się ciebie spodziewać?

Potrząsnął głową. - Nie wiem, ale mam przeczucie, że już niedługo.

Oddalił się ścieżką, odprowadzany przez nie wzrokiem. Gdy zniknął za kępą drzew, powoli wstały.

19

- Zebranie rady nadzorczej rozpocznie się za dziesięć minut, doktorze Talbot - rozległ się z telefonu głos pani Hill.
- Przeglądam papiery, pani Hill. Za parę minut będę gotów do wyjścia.
- Proszę nie zapomnieć, że przed przystąpieniem do obrad mają państwo obejrzeć film pilotujący program Hickoxow.
- Pamiętam, pani Hill - odparł. - Dziękuję. - Właśnie kończył wkładanie papierów do skoroszytu, kiedy znowu rozległ się dzwonek telefonu. - Tak?
- Mam na linii panią Washington, która dzwoni z Los Altos - oznajmiła sekretarka. - Twierdzi, że musi koniecznie z panem porozmawiać przed zebraniem.
- Odbiorę. - Nacisnął guzik. Tym razem podniósł słuchawkę. - Słucham cię, Beverly.
- Przed chwilą byli tu jacyś ludzie i zabrali Joe'ego - powiedziała zdyszczanym głosem. Była wyraźnie przestraszona.
- O czym ty mówisz? Jacy ludzie?
- Nie wiem - odparła, tłumiąc łkanie. - Kiedy otworzyliśmy drzwi, powiedzieli, że są z policji. Było ich trzech. Jeden wyjął z kieszeni jakiś papier i powiedział, że jest to nakaz aresztowania wydany na podstawie oskarżenia o czyny terrorystyczne, które Joe popełnił przed wielu laty, a także na podstawie oskarżenia o bigamię wniesionego przez jego byłą żonę w Południowej Kalifornii. Joe im na to, że mogą się wypchać, bo, po pierwsze, on nigdy nie był

legalnie żonaty, a po drugie, te dwa oskarżenia nie mogą być na jednym nakazie aresztowania, jako że podlegają różnym sądom. Facet, który powiedział o tym nakazie, wyjął z kieszeni kajdanki, kazał Joe'emu zamknąć czarną jadaczkę i wyciągnąć przed siebie ręce. „Wy dranie, nie jesteście glinami, bo nie poinformowaliście mnie, jakie przysługują mi prawa” - wrzasnął Joe, rzucił się na tego z kajdankami i powalił go na ziemię. Jeden z pozostałych rąbnął Joe'ego w głowę rękojeścią pistoletu tak, że Joe stracił przytomność. Wtedy ten pierwszy wstał, założył Joe'emu kajdanki i powlekli go do drzwi. Zaczęłam krzyczeć. Wówczas jeden z nich wrócił i uderzył mnie w twarz. „Zamknij się, ty kitajska dziwko - powiedział. - Zadzwoń do swojego przyjaciela, doktora Talbota. To jedyny człowiek, który może załatwić, żeby twój mąż wrócił do ciebie żywy”. Wywlekli Joe'ego z domu, wrzucili go na tylne siedzenie samochodu i odjechali.

- Zauważyłaś może markę tego samochodu albo tablicę rejestracyjną?

- To był czarny samochód - odparła. - Nie potrafię określić, jakiej marki. Co zaś do tablicy rejestracyjnej, to była zasmarowana błotem. - Beverly rozplakała się do słuchawki. - Co się dzieje, Pastorku?

- Nie mam pojęcia - odrzekł. - Uspokój się i zostań w domu. Nie denerwuj się. Dowiem się, o co chodzi. Joe na pewno do ciebie wróci.

- Ale on krwawił. Krew z rany na głowie zalewała mu twarz.

- Nic mu nie będzie - uspokoił ją Pastor. - Znam go. Ma czaszkę z kutego żelaza. Czekaj na mój telefon.

Odłożywszy słuchawkę, sięgnął po skoroszyt. Oto wystrzelił pierwszy pistolet, pomyślał. Co dalej? Miał dziwne przeczucie, że niebawem się dowie.

*

Obraz na wielkim ekranie powoli zbladł, zapalono światła. Pastor spojrział na Randle'a siedzącego na drugim końcu długiego dyrektorskiego stołu. Miał zamknięte oczy. W trakcie projekcji Pastor kilkakrotnie na niego zerkał i odnosił wrażenie, że starszy pan prawie przez cały czas spał.

- Myślę, że to bardzo dobry program, panowie. Hickoxowie zaprezentowali się jako serdeczni, sympatyczni ludzie. A co najważniejsze, to naprawdę daje się oglądać. Ten program zawiera wszystko, co gwarantuje sukces w telewizji. Nieco rubasznego humoru, parę dobrych piosenek w wykonaniu Jimmy'ego, wzruszającą historię kobiety, której Jezus dał siłę, gdy jej synek umierał na raka, delikatny akcent komediowy w skeczu o hydrauliku zakładającym zmywarę u Hickoxów. Program powinien dostać dobre oceny.

- Przerwawszy na moment, Pastor powiódł wzrokiem po zebranych. - Chciałbym wystartować z nim latem. - Jeżeli o mnie chodzi, doktorze Talbot - powiedział Sorensen - to jestem zawiedziony. Osobiście wolałbym, żeby większy nacisk położono na religię, mniejszy na gry i dowcipy. W końcu jest to program sponsorowany przez Kościół.

- O to właśnie nam chodzi, doktorze Sorensen

- rzekł Pastor. - Programów religijnych bazujących na czyjejś osobowości, jest obecnie aż nadto. Myślę, że widzowie mają ich dość i wyłączają telewizor. W dzisiejszych trudnych czasach ludzie nie chcą wysłuchiwać morałów, potrzebna jest im rozrywka. Proszę nie zapominać, że w każdym programie mamy pełne cztery minuty reklam. To rozpowszechni nasze posłanie. - Nie jestem tego taki pewien - rzekł Sorensen.

- Spróbujmy zrobić parę programów w ten sposób. Jeśli się nie sprawdzi, zmienimy go.

- A czy istnieje możliwość włączenia do tych programów pewnych informacji na temat Krucjaty?
 - spytał Sorensen. - Gdyby istniała, byłbym skory pójść panu na rękę.
 - To zależy od naszych ekspertów - stwierdził Pastor. - Udzielam głosu panom Lincolnowi i Carrolowi.
 - Uważam, że dałoby się to zrobić, nie zakłócając toku programu - oświadczył Carrol.
 - Zgadzam się - przytaknął Marcus. - Rzecz będzie wymagała trochę dodatkowej pracy, ale jest to możliwe.
 - Doskonale - zakończył Pastor. - Teraz, jeśli doktor Sorensen pozwoli, prezydium przyjmie wniosek, o pokazaniu programu w najbliższym możliwym terminie.
- Doktor Sorensen sformułował wniosek, który następnie został poparty przez doktora Rykera i panią Lacey oraz przyjęty jednogłośnie przy dwóch osobach
- Lincolnie i Carrolu - wstrzymujących się. Tak nakazywała przyzwoitość, jako że program był ich dziełem. Prezydium nie głosowało; robiło to tylko w przypadku remisu, gdy potrzebny był głos rozstrzygający.
- Pastor zajrzał do notatek. - Doktor Ryker zgodził się, żeby doktor Sorensen zdał nam sprawozdanie z przygotowań do Krucjaty.
- Doktor Sorensen wstał. - Mam wielką przyjemność poinformować radę, że z piętnastu głównych religijnych programów telewizyjnych jednaście zadeklarowało chęć przyłączenia się do nas. Pięciu kaznodziejów zgodziło się wystąpić na naszej scenie w Jezuslandzie, pozostali, nie mogąc przyjechać do nas osobiście z racji zobowiązań w swoich parafiach, dostarczą nam krótkie nagrania wideo, które włączy-

my do programu. Zawarliśmy kontrakty z dysponentami trzydziestu głównych sal koncertowych i teatrów, dzięki czemu w naszej imprezie weźmie udział „na żywo” ponad dwa miliony ludzi. Bilet wstępu będzie kosztował średnio pięć dolarów, z czego my mamy otrzymać czterdzieści procent. Z tego zatem tylko źródła możemy spodziewać się czterech milionów dolarów. Co zaś do kościołów stowarzyszonych, to wstęp oczywiście będzie bezpłatny.

Poza stacjami regularnie z nami współpracującymi, zainteresowanie transmisją Krucjaty wyraziły rozmaite telewizje w systemie kablowym oraz normalne stacje telewizyjne i obecnie negocjujemy z nimi warunki finansowe. Na pewno mogę stwierdzić jedno, mianowicie, że z tych źródeł otrzymamy, ostrożnie licząc, dziesięć milionów dolarów. Otrzymujemy też oferty pośrednictwa od rozmaitych firm telewizyjnych, zajmujących się nadawaniem audycji religijnych w kraju i za granicą, więc z tego źródła możemy mieć dodatkowy milion dolarów. Oczywiście, żadna z podanych tu kwot nie uwzględnia wpływów, które będziemy mieli z normalnej transmisji Krucjaty, przy naszej potencjalnej widowni liczącej ze czterdzieści milionów osób. Nie muszę chyba państwa przekonywać, że możemy oczekiwać przynajmniej po dolarze od osoby tytułem datku.

Komitet organizacyjny otrzymał już ponad sześćset akceptacji zaproszeń do wzięcia udziału w Krucjacie tu na miejscu, w Jezuslandzie, od ważnych osób reprezentujących wysokie urzędy na szczeblu państwowym, stanowym i lokalnym i innych znanych powszechnie osób. Komitet programowy już pracuje i lada moment spodziewamy się decyzji co do przydziału czasu na poszczególne części Krucjaty, czyli

ile dla mówców, a ile na muzykę i rozrywkę. - Soren-sen usiadł i rozległy się brawa. Wstał Pastor. - Przewodniczący wyraża swoje osobiste podziękowania dla doktora Sorensena za to szczegółowe sprawozdanie, a także wdzięczność dla doktora Sorensena, doktora Rykera, komitetów i asystentów za ich wspaniałą i bezinteresowny trud na rzecz naszej parafii. - Przerwał na moment. - Jeśli nie mamy żadnych innych spraw, zgłaszam wniosek o zakończenie posiedzenia.

Zebranie dobiegło końca i członkowie rady zaczęli opuszczać salę. Pastor skończył wkładanie papierów do skoroszytu i już wstawał z krzesła, kiedy usłyszał głos Randle'a: - Możesz poświęcić nam chwilę?

Spojrzał zdziwiony. Z jednej strony starszego pana siedział Dick Craig, z drugiej pani Lacey. Doktor Sorensen i doktor Ryker siedzieli tam, gdzie poprzednio. - Oczywiście - odrzekł. Randle wskazał na drzwi i Ryker, który siedział najbliżej, rzucił się je zamknąć. Wrócił na miejsce. Randle przez dłuższą chwilę patrzył poprzez stół na Pastora. W końcu przemówił głosem, w którym pobrzmiwały to triumf, to poczucie siły. - Doszły nas pewne informacje, doktorze Talbot, co stawia pod znakiem zapytania pańską przydatność dla tej parafii, jak również wielebnego Washingtona. Właściwie źle się wyraziłem. Informacja, o której mówię, utwierdza nas w przekonaniu, że pan i pana kolega nie nadajecie się do pracy w naszej parafii. Gdyby wieść ta przedostała się do opinii publicznej, kościół poniósłby niepowetowane straty i raz na zawsze straciłby możliwość głoszenia Amerykanom ewangelii.

- Rozumiem, że ma pan przy sobie informację, na którą się pan powołuje - powiedział Pastor ze spokojem.

- Oczywiście - odparł Randle. Otworzył swój skoroszyt i pchnął do Rykera jakieś złożone na pół kartki, które ten z kolei podał Pastorowi.

Pastor rozłożył je. Miał przed sobą raport znanej prywatnej firmy detektywistycznej. Obiektem dochodzenia był wielebny Josephus Washington vel Ali Elijah. Streszczenie raportu zawierało paragraf mówiący, że Joe, będąc członkiem Czarnych Muzułmanów, dopuścił się aktów przemocy, za co jest ścigany przez FBI listem gończym i że w owym czasie żył z kobietą o nazwisku Leah Turner, z którą ma dwoje dzieci. Obecnie jest mężem Beverly Lee.

Przeczytawszy to, Pastor zamknął raport. - Czy to ci sami - tu pokazał na raport - którzy porwali wielebnego Washingtona wczoraj rano z jego domu i nielegalnie go więżą?

- Nie porwali, doktorze Talbot - odparł Randle. - Zatrzymali z zamiarem przekazania władzom.

- W takim razie dlaczego tego dotąd nie uczynili?

- Ponieważ uświadomiłem im, z jaką szkodą byłoby to dla naszej parafii - rzekł Randle. - To przyzwoici chrześcijanie i nie chcieliby, żeby z powodu przestępstw jednego człowieka, nawet tak nikczemnego, cierpiało wielu.

- Ach, jacy szlachetni - zauważył Pastor ironicznie. - Pan, rzecz jasna, nie maczał palców w tej sprawie?

Randle popatrzył na niego wrogo. Przygryzł wargi i wydawało się, że prawie nie oddycha.

- Czy pana milczenie należy rozumieć jako potwierdzenie, że maczał pan w tym palce?

- Niech pan je rozumie, jak pan chce - wydusił z siebie Randle. Sięgnął po leżącą przed nim tekturową teczkę. Ryker wziął ją od niego i podał Pastorowi.

Pastor spojrział na nią z zainteresowaniem. Napis na zielonej urzędowej okładce informował, że są to materiały do sprawy rozwodowej małżeństwa Tal-botów. Otworzył teczkę. Powodem rozwodu miały być powtarzające się akty zdrady małżeńskiej ze strony męża oraz jego okrutne, nieludzkie traktowanie żony. Zamknął teczkę. - Moja żona oświadczyła mi, że w żadnym wypadku nie wystąpi o rozwód bez względu na to kto próbowałby ją do tego skłonić. Dotyczy to również ciebie.

- I nie wystąpiła... na razie - rzekł starszy pan.

- Ale może zmieni zamiar, kiedy to zobaczy. - Wziął ze stołu kasetę wideo i podał ją Rykerowi, który umieścił kasetę w odtwarzaczu. - Jeśli pani woli

- Randle zwrócił się do pani Lacey - może pani wyjść. Nie chciałbym, żeby się pani zmuszała do oglądania tego rodzaju perwersji.

- Nie - powiedziała pani Lacey twardo. - Jako jeden z członków założycieli tej parafii uważam za swój obowiązek poznać wszystkie fakty bez względu na to, jak są odrażające. Pastor zachowywał się beznamiętnie. Wiedział już, co to będzie. Randle nie tylko założył podsłuch do jego telefonów, ale zamontował także kamerę wideo w jego sypialni.

Starszy pan skinął głową. Ryker uruchomił wideo. Zgasiwszy wszystkie światła w pokoju, wrócił na swoje miejsce.

Ekraa pokrył się biało-czarnymi plamami, potem strzelił kolorem. W chwilę później pojawił się obraz. Ale niewiele było widać, tylko słabe zarysy ciał poruszających się w ciemności. Naraz usłyszeli damski głos: - Twój ptak ledwo mieści mi się w buzi. Muszę koniecznie go obejrzeć.

Światło rozlało się po ekranie. Teraz postacie były

już dobrze widoczne. On nagi klęczał na łóżku plecami do kamery, zasłaniając sobą Kim, która leżała na wznak z głową na poduszce, z rękoma skrytymi pod jego miednicą. Kim uczyniła gwałtowny ruch i odwróciła go tak, że teraz jego twarz zwrócona była do kamery, ona zaś obejmowała dłońmi jego nabrzmiąły członek. Po chwili znowu opadła na łóżko i, unosząc wysoko nogi, wprowadziła go w siebie. Zamknęła oczy, gdy zaczął się w nią wsuwać. - Może pan zatrzymać - rzekł Randle. - Myślę, że zobaczyliśmy już dość. Pastor milczał. Zrozumiał, że Kim go wystawiła. Taką przyjęła pozycję, że on znalazł się twarzą do kamery, musiała więc dokładnie wiedzieć, gdzie ją umieścili.

Randle podniósł na niego wzrok. - Uważasz, że twoja żona nie wystąpi o rozwód, gdy to zobaczy?

- Nie mogę mówić za Jane - odparł Pastor. - Chciałbym natomiast wiedzieć, co obiecałeś za to Kim Hickox?

Randle tym razem też nie odpowiedział.

- A może ona, jako wzorowa chrześcijanka, poświęciła się dla dobra parafii? - Pastor roześmiał się krótko. - Ostrzegano mnie przed tą panią. Najwyraźniej nie po raz pierwszy szukała Boga w łóżku kaznodziei.

Randle przerwał milczenie. - Nie zamierzamy obejść się z tobą zbyt surowo. Poza tym zależy nam na parafii. Więc jeszcze w tej chwili nie prosimy ani ciebie, ani twojego przyjaciela o ustąpienie ze stanowiska. Umówimy się tak: obaj złożycie oficjalne rezygnacje nazajutrz po Krucjacie. Oczywiście, list zapowiadający wasze odejście życzymy sobie otrzymać natychmiast.

- A jeśli ja nie zechcę odejść?

- To twoja żona otrzyma taśmę - odparł Randle.
- A ten czarnuch zostanie przekazany policji. Pastor zastanawiał się przez chwilę. - A jeśli ci powiem, że mam to gdzieś? No jazda, zrób to. Randle popatrzył na niego z niedowierzaniem.
- Zniszczysz kościół.
- Nie - odparł Pastor. - Ja go nie zniszczę. To ty go zniszczysz. Od samego początku było jasne, że nie o Boga ci idzie, ale o forszę i władzę, które chciałeś zdobyć na eksploataowaniu Jego nauki. - Jeden z tych ludzi, którzy pilnują teraz twego przyjaciela, stracił dwie osoby z rodziny w zamachu bombowym dokonany przez Czarnych Muzułmanów - powiedział Randle, ignorując słowa Pastora. - Żona twojego przyjaciela będzie miała szczęście, jeśli skończy się na oddaniu go policji. Mogłaby już nigdy nie ujrzeć go żywego. Pastor popatrzył mu w oczy. - Jesteś dziwnym facetem, Jake. Jedno morderstwo, drugie. To dla ciebie nic nie znaczy, prawda? - Dla mnie liczy się tylko kościół - rzekł Randle.
- A twoja córka? - To ona wybrała sobie ciebie za męża. Nie ja
- odparł Randle. - Musi zapłacić za swoje grzechy.
- A za czyje grzechy ty zapłacisz, Jake? - spytał Pastor. - Jakoś nie kwapisz się, żeby zapłacić za swoje. Randle nie odpowiedział.
- Powiem ci, co zrobisz, Jake - rzekł pastor.
- W przyszłą niedzielę ogłosisz na antenie, że do dnia Krucjaty będę odpoczywał i medytował. - Nie mam nic przeciwko temu - stwierdził Randle.
- Wielkie dzięki - odparł Pastor ironicznie.
- A co z tym pismem, w którym zapowiadasz swą rezygnację?

- Dostaniesz - rzekł Pastor. Wstał, podszedł do drzwi. Otworzył je. Zanim wyszedł, obejrzał się. - Ta ekipa telefoniczna naprawdę ci się udała, Jake. Co wyście tu jeszcze zainstalowali, o czym nie wiedzą nawet twoi przyjaciele?

Randle wzruszył ramionami. - To kiedy możemy oczekiwać tego listu?

- Jak tylko Beverly mnie zawiadomi, że Joe, cały i zdrowy, wrócił do domu - powiedział Pastor i zamknął drzwi za sobą.

20

Zielony osobowy buick skręcił na parking dla samochodów kempingowych przy Pacific Coast Highway, położony nieco na północ od San Diego. Zjechał w dół wąską brukowaną dróżką ku miejscu, gdzie na skraju urwistego cypla, skąd rozciągał się widok na plażę i ocean, parkował srebrno-czarny winnebago. Zielony buick zatrzymał się. Najpierw wysiadł kierowca, czyli Joe, a za moment dołączyli do niego Beverly i Tarz.

Joe przyjrzał się badawczo pojazdowi. - To musi być ten. Jedyne srebro z czernią, jakie tu widzę.

- Zapukajmy do drzwi, to się dowiemy - poradziła Beverly.

Podeszli do samochodu kempingowego. Joe zapukał delikatnie do drzwi. Nie było odpowiedzi. Zapukał ponownie. Tym razem trochę głośniej.

W chwilę później zza zamkniętych drzwi odezwał się stłumiony głos kobiety: - Kto tam?

Joe go rozpoznał. - Charlie, to Joe. Otwórz.

Drzwi otworzyły się z impetem i ukazała się w nich Charlie. Zbiegła po schodkach, rzuciła się Joe'emu w ramiona. - Jesteście! - Roześmiała się. - Naprawdę jesteście! Wprost nie mogę uwierzyć! - Pastor nie zapowiedział naszego przyjazdu?

- Zapowiedział, zapowiedział - odparła. - Ale czekamy tutaj ponad tydzień. Zaczynałam już myśleć, że się nie zjawicie.

- Zebranie wszystkiego do kupy trochę trwało

- wyjaśnił Joe. W drzwiach winnebago pojawiła się Melanie. - Hej, dziewczynko! - zawołał do niej. - Doskonale wyglądasz.

Melanie rzuciła się w ramiona Joe'ego, Charlie tymczasem już się witała z Beverly, obejmując ją i całując. Na końcu przyszła kolej Tarza. Przez chwilę mówili wszyscy jednocześnie. - A gdzie Pastor? - spytał Joe, rozglądając się.

- Tam w dole, na plaży - odparła Melanie. - Co rano udaje się na medytacje.

- A z nim wszystko w porządku? - spytała Beverly.

- W jak najlepszym - odrzekła Charlie. - Podejdźcie tutaj, to go zobaczycie.

Podeszli za nią do samej krawędzi urwiska i spojrzeli w dół. Na skale, plecami do nich, siedział nieruchomo Pastor i patrzył na ocean. - Zapuścił znowu włosy - zauważyła Beverly. - Tak - potwierdziła Charlie. - Brodę także. Odmłodniał. Przypomina teraz tamtego dawnego Pastorka. - Bardzo przeżył swój rozwód w zeszłym miesiącu? - spytała Beverly.

- Nie - odparła Melanie. - Myślę, że się tego spodziewał, bo kiedy Jane zatelefonowała do niego

z tą wiadomością, nie był wcale zdziwiony. Powiedział nam: Bardzo dobrze, że tak się stało. - Ale dziwne, że w gazetach nic o tym nie napisali

- powiedziała Charlie.

- To jej stary zatuszował sprawę - wyjaśnił Joe. Odwrócił się i znowu spojrział w dół na Pastora. - Długo tam będzie?

- Jeszcze z pół godziny - odrzekła Charlie.

- Chcesz, to zejdę po niego.

- Nie - odparł Joe. - Czekaliśmy na to spotkanie dwa miesiące, to poczekamy jeszcze pół godziny. - No to wchodźcie do winnusia. W lodówce mam trochę zimnego piwa - powiedziała Charlie. W domu na kólkach panował chłód; uspokajająco mrucał wiatraczek. - A co wy tutaj porabiacie? - spytał Joe, powoli sącząc piwo. - Trochę wiem z waszych telefonów. Zdaje się, że co tydzień byliście w innym stanie.

Melanie łyknęła mrożonej herbaty. - Przeważnie chodziliśmy do kościoła. Codziennie do innego. Po nabożeństwie Pastor rozmawiał z ludźmi. Sam dużo nie mówił. Raczej słuchał. A następnego dnia to samo w innym mieście, w innym kościele. - Nie nauczał? - zdziwił się Tarz. - Wcale. Powiedział, że tym razem, po raz pierwszy w życiu, robi to, co wielokrotnie doradzała mu matka. Rozmawia z ludźmi i ich wysłuchuje. Beverly pokiwała głową. Spojrzała na Joe'ego. - On zaraz tu przyjdzie. Czy nie powinniśmy wyjąć z bagażnika dokumentacji, o którą prosił? Joe skinął głową. Wstał. - Chodź, Tarz - powiedział. - Nie wypada, żeby Murzyn odwalał całą ciężką robotę. Tarz roześmiał się i wyszedł za nim.

Beverly zwróciła się do dziewcząt. - Naprawdę z Pastorem jest wszystko w porządku?

Melanie pokiwała twierdząco głową. - Tak. Tyle, że nigdy przedtem nie był taki cichy. Wydaje się, że prawie przez cały czas mówi do kogoś, kto jest jakby w nim, w środku.

- Tak, to bardzo dziwne - potwierdziła Charlie.

- Mówisz do niego, ale masz wątpliwości, czy cię słucha. Dopiero kiedy ci odpowie, wiesz, że jednak słuchał.

- A przez resztę czasu - dodała Melanie - czyta Biblię. Już tyle razy ją przeczytał, że chyba litery się wytarły.

Beverly milczała chwilę. - Mnisi buddyjscy - odezwała się cichym głosem - mówią, że każde słowo ma tysiące znaczeń, ale dla każdego człowieka tylko jedno z tych znaczeń jest tym właściwym. Może Pastor właśnie poszukuje właściwego dla siebie znaczenia.

*

Skoroszyty i papiery leżały ułożone w kupki na stole. Pastor siedział w milczeniu między Beverly i Joe'em, mając Tarza i dziewczęta naprzeciw siebie.

Beverly otworzyła pierwszy skoroszyt. - To są wydruki komputerowe z Jezuslandu do piętnastego czerwca. Potem już nie udało nam się ściągnąć żadnych informacji.

- Dlaczego? - spytał Pastor. - Zmienili kod - odrzekła. - Myślę, że zaczęli podejrzewać, że ktoś się podłącza do ich linii. - Czy w jakiś sposób mogli stwierdzić, że to ty?

- spytał Pastor. Pokręciła głową. - Nie. Za każdym razem wchodziliśmy do nich z innego miejsca. A komputer nie zapamiętuje, kto pyta o informacje.

Pastor pokiwał głową. - Czy muszę to wszystko czytać? A może wystarczy, jeśli mi powiesz, o co tu z grubsza chodzi?

- Wystarczy - zgodziła się Beverly. - Więc, po pierwsze, Randle zadbał o siebie. Sprzedał Jezusland Wspólnocie wraz z wszystkimi budynkami za dwadzieścia pięć milionów dolarów gotówką. Umowa miała być zrealizowana trzydziestego czerwca.

- Zrobił niezły interes, zważywszy, że budynki są warte około sześciu milionów dolarów, a tysiąc akrów nieużytków nie ma żadnej wartości - zauważył Pastor.

- Pięćset akrów - poprawiła Beverly. - Lotnisko i tereny za lotniskiem zatrzymał. Jezusland je dzierżawi za dwieście tysięcy rocznie. Pastor milczał.

- W przybliżeniu osiem milionów dolarów zostało podarowane Fundacji Jake'a Randle'a z przeznaczeniem dla rozmaitych parafii oraz organizacji polityczno-społecznych. Po jednym milionie dolarów przekazano organizacjom „Amerykanie w Poszukiwaniu Lepszej Drogi” pana Craiga i Chrześcijańskiej Radzie Kobiet pani Lacey. Zawarto także nowe kontrakty z doktorami Sorensenem i Rykerem, podnosząc ich pensje oraz fundusze na dodatkowe wydatki do stu pięćdziesięciu tysięcy rocznie, natomiast pani Kim Hickox wypłacono dwieście pięćdziesiąt tysięcy tytułem premii za jej usilne starania o zaangażowanie do Krucjaty na rzecz Chrystusa ludzi wybitnie uzdolnionych. - Beverly przerwała na moment, łyknęła mrożonej herbaty, po czym kontynuowała. - W dniu, w którym zostaliśmy odcięci, czyli piętnastego czerwca, zapłacono około siedmiu milionów dolarów tytułem zaliczki za czas antenowy i reklamę Krucjaty.

Pastor spojrział na nią. - A jaka była suma na koncie nadwyżkowym?

- Około siedmiu milionów dolarów - odpowiedziała. - Jeśli się weźmie pod uwagę, ile teraz wpływa i wypływa, to do dnia Krucjaty suma ta powinna

zmałeć przynajmniej do połowy, ale, o ile przewidywania komputera są prawidłowe, oni zarobią na Krucjacie ze dwadzieścia pięć milionów dolarów albo więcej.

Pastor sięgnął po skoroszyt z wydrukami komputerowymi i przekartkował je szybko. - Każdy coś ala siebie wyszarpał - stwierdził.

- Nie, jeszcze nie - rzekł Joe.

- Jeszcze nie? - zdziwił się Pastor.

- Nie, bo ty wiesz zbyt dużo - rzekł Joe. - Stary na pewno wziął to pod uwagę. On nie zaryzykuje, bo miałbyś go w garści. - Zwrócił się do Tarza - Opowiedz mu tę historię.

- W zeszłym tygodniu któregoś dnia wybrałem się do kina w Los Altos. Kiedy wyszedłem, zachciało mi się pic wobec czego wstąpiłem do baru. Przy kontuarze był straszny tłok, więc usiadłem przy stoliku zamówiłem piwo. Ale zanim je podano, przysiadło się dwóch facetów. Tylko na nich spojrzałem i już wiedziałem że to tajniaki. Póki kelner nie przyniósł mi piwa, zaden z nich sie nie odezwał. Ja tez milczałem. W koncu jeden z nich przemowil.

- Jesteś asystentem kaznodziei z tej całej Wspólnoty Bożej, tak?" Zgadza się - odparłem. „Jesteś kumplem tak zwanego Pastorka, tak?" „Jednym z najstarszych." Miałeś ostatnio jakieś wiadomości od niego?" – spytał. „Od czasu, kiedy wyjechał na urlop, nie miałem zadnych.”

„Na urlop? I ty w to wierzysz?" - zdziwił się on na to. „Wierzę w to, co mi mówią." „No to uwierz mi, ze z tym urlopem to bujda - powiedział. - Ten facet nawiał z połową forsy kościoła." „Nie może być – udalem zaszokowanego. – Taki porzadny facet, kto by pomyslal?"

„Nie wiesz przypadkiem, gdzie on teraz jest, co?”

- spytał świdrując mnie oczyma. „Nie wiem. Skąd mogę wiedzieć?” Spojrzał na tego drugiego, tamten skinął głową. „Pan Randle - powiedział ten pierwszy - chciałby z nim pogadać i ułożyć po cichu całą sprawę. Nie chce skandalu, bo to zaszkodziłoby kościołowi.” „Ja też nie chcę” - rzekłem. „Pan Randle zapłaci dziesięć tysięcy dolarów każdemu, kto wskaże miejsce jego pobytu.”

Wzięłem głęboki oddech i łyknąłem piwa. „Dziesięć tysięcy dolców to kupa szmalu” - powiedziałem. „Panu Randlewi bardzo na tym zależy, bardzo.” „A sprawdzaliście u jego matki?” - spytałem, wiedząc, że cię tam nie ma. „Nie spuszczaamy oka z jej domu przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, a poza tym założyliśmy podsłuch. Pudło - odpowiedział. - Pilnujemy nawet jego byłej żony, ale ona ostatnio rozmawiała z nim miesiąc temu, kiedy zawiadomiła go o rozwodzie.” „No to ja już sam nie wiem”

- powiedziałem. „A wiesz coś o tym czarnym kaznodziei, który kręci się po małych kościołach?” - spytał. „Nie kontaktowaliśmy się ze sobą ostatnio - odrzekłem.

- Małe kościoły to nie moja sprawa.” Milczał przez chwilę. „Nie chciałbyś dostać dziesięć kawałków?” „Pewnie, żebym chciał - ja mu na to. - Kto by nie chciał?”

Wyjął z kieszeni wizytówkę i pchnął ją ku mnie. „Jeśli coś usłyszysz, zadzwoń pod ten numer. Jak go złapiemy, zarobisz dziesięć kawałków.” „To pewne, że dziesięć?” - pytam.

„Dziesięć - odparł i wstał.

- Kupa szmalu. Nie zgub wizytówki.”

„Nie zgubię” - odparłem i schowałem ją do kieszeni. No i nie zgubiłem. - Wyjął z portfela wizytówkę, podał ją Pastorowi.

Pastor spojrział uważnie. Specjalna Służba Bezpieczeństwa, zarejestrowana w Houston, w stanie Teksas. Dzwonić pod 800, numer wolny od opłat.

- To ta sama banda, która była u mnie - rzekł Joe.

Pastor pokiwał głową w milczeniu i schował wizytówkę do kieszonki na piersi. Spojrzął na Tarza. - Dzięki.

Tarz się uśmiechnął. - Za co?

- Za twoją serdeczność. I opiekę - odparł Pastor. Zwrócił się znowu ku Joe'emu i Beverly. - A jak z naszymi planami odnośnie kościołów stowarzyszonych?

Joe uśmiechnął się. - Ponad dziewięćdziesiąt procent umów mamy już podpisanych, zalakowanych, dostarczonych. Reszta powinna nadejść w ciągu najbliższych paru tygodni. Te dziesięć skoroszytów, które się tu piętrzą przed tobą, to kopie umów.

- Świetnie - ucieszył się Pastor. Spojrzął na Beverly. - A konto dla dzieci?

- To też już załatwione - rzekła. Pchnęła w jego kierunku szarą urzędową kopertę. - Wszystko jest w środku. Podpisane przez notariusza, zaakceptowane przez bank.

Pozostało tylko wysłać kopię do twojej żony.

- Ty to do niej wyślesz listem poleconym w przeddzień Krucjaty - rzekł, oddając jej szarą kopertę. - Dobrze - zgodziła się.

- A co z petycjami kaznodziejów do sądu? - spytał.

- Też już są gotowe - rzekł Joe. - Podpisali je w chwili, kiedy otrzymali udziały. Jednak nasi prawnicy doradzają nam skierować to do sądu federalnego w Kalifornii. Po pierwsze dlatego, że jesteśmy zarejestrowani tu w Kalifornii, a po drugie, jeśli skierujemy sprawę do sądu w Teksasie, to Randle ma

tam takie chody, że utnie jej łeb. W tej chwili sprawdzają dla nas sędziów federalnych tu w San Diego, żeby wybrać takiego, który ich zdaniem będzie dla nas najłaskawszy. Pastor pokiwał głową. - Radzą nam także, żebyśmy skierowali sprawę do sądu w piątek przed Krucjatą, to wyrok sądu nabierze mocy nazajutrz po Krucjacie, bo Święto Pracy jest legalnym świętem. W ten sposób zamrozimy wszystko, łącznie z wpływami z Krucjaty, i Pastor wziął głęboki oddech. - Będziesz musiał pójść za mnie do sądu. Mnie tu nie będzie.

- A gdzie, do diabła, będziesz? - zdziwił się Joe. - Gdzie mam być, jeśli nie w Jezuslandzie – odparł Pastor. - Przecież wciąż mnie pokazują w tych swoich reklamach. Mam odprawić nabożeństwo na zamknięcie Krucjaty.

- Zwariowałaś? - Po głosie Joe'ego można było poznać, że jest zaszokowany. - Czy po tym wszystkim, co usłyszałeś od Tarza, wierzysz, że pozwolą ci się zbliżyć do kościoła?

- Nie mogą mi tego zabronić - stwierdził chłodno Pastor.

- No to ja z tobą pojedę i namówię jeszcze paru braci, żeby nam towarzyszyli - oświadczył Joe. - Najlepiej niech od razu złączą przygotowywać mały poczęstunek.

- Nikt ze mną nie pojedzie - uciął chłodno Pastor.

- Nie chcę, żeby z mojego powodu kogoś spotkała krzywda. Ani tych, którzy są za mną, ani tych, którzy są przeciw mnie. Nie uznaję zabijania.

- I co? Może sądzisz, że i oni nie uznają zabijania?

- spytał ze złością Joe.

- Wobec tego żal mi ich.

- Dużo ci z tego przyjdzie, kiedy będziesz martwy.

Pastor pokiwał głową. Kiedy przemówił do nich, w jego głosie zabrzmiało zdecydowanie, jakiego nigdy jeszcze nie słyszeli. Nieodwołalna decyzja nie dopuszczająca żadnych kontrargumentów. - Jezus też to wiedział, kiedy szedł stawić czoło Rzymianom, a jednak nie bał się. Trzeba było jednak Poncjusza Piłata, żeby skazać go na śmierć. - Popatrzył po kolei na każde z nich. - Nie bójcie się o mnie, moje dzieci. Przetrwam choćby w ten sposób, co nasz Pan.

21

Usłyszał przez sen przeraźliwy dzwonek telefonu. Przewrócił się na drugi bok, usiłując zignorować to natrętne przywoływanie do przytomności. Wreszcie otworzył oczy. Elektroniczny budzik obok jego łóżka pokazywał piątą pięćdziesiąt pięć. Jęknął i spojrzał w stronę okna. Szare światło wschodzącego słońca nie rzucało jeszcze cienia. Jęknął po raz drugi. Nawet trzech godzin nie przespał, a znowu zawracają mu głowę. Z trudem się ruszał. Musiał użyć całej swojej energii, żeby odebrać telefon. - Lincoln - zachrypiął do słuchawki.

- Abraham? - spytał ktoś szeptem, który wydał się mu znajomy.

Nie znosił tego żartu. Prześladował go od najwcześniejszego dzieciństwa. - Marcus Lincoln, do jasnej cholery!

- Co z tobą, Marcus? Czyżbym cię obudził? - roześmiał się głos w słuchawce.

Nagle oprzytomniał. Znał ten śmiech. - Czy to...?

Głos mu przerwał. - Bez nazwisk, proszę. Pójdź do budki telefonicznej na rogu. Zadzwoń do ciebie za trzy minuty.

- Dobra.

W trzy minuty później Lincoln stał w ciasnej budce telefonicznej. Rozległ się dzwonek.

Odebrał. - Czy to ty? - spytał wstrzymując oddech. - Jak się masz?

- Doskonale. - Gdzie się, do diabła, podziewałeś? Szukałem cię wszędzie.

- To tu, to tam. Uczyłem się. Rozmyślałem. Modliłem się.

- Czemu do mnie nie zadzwoniłeś? - spytał Marcus z wyrzutem. - Jestem twoim przyjacielem.

- Wiem. Nie mogłem. Byłem pochłonięty wydobywaniem się z tego gówna. Słuchaj, potrzebne mi są pewne informacje. A poza tym mam do ciebie prośbę.

- Wal.

- Czy bezprzewodowe mikrofony są w dalszym ciągu na tej samej częstotliwości?

- Tak, nigdy tego nie zmienialiśmy.

- Czy mikrofon szpilkowy zasilany z dwudziestu czterech woltów jest w stanie zagłuszyć wszystkie pozostałe mikrofony?

- Bez problemu. Tamte są na półtora wolta. Mikrofon szpilkowy bez trudu unieszkodliwi bezprzewodowe, trzymane w ręku. Dwadzieścia cztery wolty załatwią wszystko w promieniu pół mili. - W dalszym ciągu używacie tylko jednej tablicy rozdzielczej dla mikrofonów przewodowych? - Zgadza się.

- I osobnej jednostki retransmisyjnej dla bezprzewodowych?

- Tak.

- Ile jest kamer?
- Dwadzieścia. Stół dostosowany jest do ośmiu. Będziemy musieli przełączać kamery zgodnie ze scenariuszem. - Czy możesz skierować swoją najlepszą kamerę ze zmienną ogniskową na krzyż i tak to jakoś urządzić, żeby nie dało się jej wyłączyć?
- Mogę. Na co ma być nastawiona ostrość? - Masz kogoś zaufanego?
- Sam ją będę obsługiwał.
- Sam środek krzyża. Tam gdzie są te rozsuwane płyty, zza których wyjeżdża pomost z baterią reflektorów. - Zrobione.
- Czy możesz wyłączyć wszystkie monitory poza tym jednym, jak tylko zaczną się rozsuwać płyty? - Łatwo.
- A tablicę mikrofonów przewodowych? - Jasne.
- No dobra. To już wszystko wiesz.
- Zaraz, zaraz. Kiedy to ma się zacząć? - Kiedy mnie zobaczysz.
- Nie dostaniesz się tu.
- A to dlaczego? Jestem przewidziany w programie, czyż nie?
- Oczywiście, że tak. Ale sam najlepiej wiesz, że oni nigdy nie zamierzali puścić cię na antenę. W scenopisie już zastąpili cię Sorensenem.
- No to facet będzie cholernie zawiedziony.
- Stary sprowadził tu trzystu tajniaków, którzy wszędzie węszą. Rozdali im twoje fotografie. Jak tylko gdzieś się pokażesz, choćby za bramą, natychmiast cię przyskrzynią.
- Nie zobaczą mnie.
- Nie liczylibym na to. Bez czapki niewidki nie

uda ci się tu dostać. Proszę cię, zrób to dla mnie i nie próbuj tu wejść. Z takimi jak oni nie ma żartów. Dostali rozkaz, żeby cię nie oszczędzać.

- A niech to. Czyli że nawet nie będę mógł się wydostać.

- O czym ty, do cholery, mówisz?

- Ja już od trzech dni jestem w środku. - Ciepły znajomy śmiech zadźwięczał mu w uchu. - Zostań z Bogiem, Marcus.

Słuchawka zamarła w jego dłoni. Powoli opuścił budkę. Słońce już wschodziło.

Zapowiadał się ładny dzień na Krucjatę.

Do południa, cztery godziny przed rozpoczęciem Krucjaty, amfiteatr liczący dziesięć tysięcy miejsc siedzących, wzniesiony na parkingu przed głównym budynkiem, pękał już w szwach. Wszystkie parkingi wypełnione były samochodami, a każda zielona połać trawnika roiła się od ludzi. W powietrzu czuło się świąteczny nastrój. Sprzedawcy prażonej kukurydzy, gorących parówek i zimnych napojów robili już swoje interesy pod gołym niebem. Nawet ludzi stojących w kolejkach do setki wygódek nie opuszczał dobry humor. Cierpliwie czekali na moment, w którym mogli wreszcie sobie ulżyć.

Marcus popatrzył w dół z kabiny reżyserskiej, umieszczonej wysoko na tyłach amfiteatru. Nic szczególnego się tam nie działo, poza falowaniem morza kolorowych ciał. Na dachu budynku o przyciemnionych szybach dostrzegł strażników. Na szyjach mieli lornetki, a w rękach karabiny z teleskopowymi celownikami. W oknach budynku, jak w lustrze, odbijali się strażnicy chodzący po dachu kabiny reżyserskiej nad jego głową.

Przed budynkiem zbudowano rodzaj sceny, na tyle dużej, by mogła pomieścić ponad sześćset specjalnych gości pod nowiutkim płóciennym dachem w białe, czerwone i niebieskie pasy. Uniósł głowę ku zawieszonemu między wieżami budynku olbrzymiemu złotemu krzyżowi, który zdawał się dotykać nieba. Zmrużył oczy, chcąc dojrzeć prowadnice ruchomych płyt. Przez chwilę patrzył na nie, po czym wrócił do pulpitu rozdzielczego. Cicho włączył zdalnie kierowaną kamerę numer jeden, zawieszoną na zewnątrz, tuż pod występem budki reżyserskiej. Ze wzrokiem utkwionym w monitor wyostrzył ją na ruchome płyty, a następnie tak długo ustawiał zbliżenie, aż płyty wypełniły cały ekran. Zatwierdził ustawienie kamery, przez chwilę jeszcze patrzył w monitor, po czym przekreślił wyłącznik. Ekran zgasł. Poczul się nagle ogromnie znużony. Wszedł do małej łazienki i zamknął się w niej na klucz. Popatrzył w lustro. Nigdy nie myślał, że jego oczy mogą wyrażać tyle bólu. Po kilku sekundach wyjął z kieszeni fiolkę kokainy, przytknął ją do nozdrzy i energicznie pociągnął dwa razy nosem. Zamknął fiolkę, klasnął w dłoń. Schylił głowę i z zamkniętymi oczyma pomodlił się. - Proszę cię, dobry Boże, nie pozwól mu tego zrobić.

*

Marcus spojrzal na zegar na tablicy rozdzielczej. Do zakończenia dwugodzinnego programu pozostało jeszcze sześć minut, minuta do ostatniego wejścia. Jedno było bezsporne. To naprawdę było największe przebudzenie religijne w historii ludzkości. Napływające przez cały czas stukającym teleksem raporty mówiły, że w całym kraju obserwowano to samo zjawisko. Cała Ameryka pokochała Boga. Największe marzenie Pastora stało się rzeczywistością.

Podszedł bliżej do tablicy rozdzielczej. - Zajmę się tym - rzekł do inżyniera. - Pewnie jesteś wykończony.

Inżynier pokiwał głową. - Jeszcze jak. I muszę się odlać, bo pęknę.

Marcus założył na głowę pałąk z mikrofonem. - Kamera siedem - powiedział - zbliżenie na Randle'a. To ten facet w białym garniturze i ciemnych okularach, po lewej stronie od pulpitu. - Na monitorze pojawił się Randle z goryłami sterczącymi zza jego pleców. Siedział ze wzrokiem utkwionym w podłogę, jego twarz była ukryta za okularami. Zdawał się nie interesować tym, co działo się przy kazalnicy, do której właśnie podchodził konferansjer.

Marcus rzucił okiem na zegar na tablicy rozdzielczej. Zostało trzydzieści sekund. Gdy konferansjer wypowiadał pierwsze słowa, z ekranu kinowego umieszczonego za nim zaczął stopniowo znikać olbrzymi obraz uśmiechniętej twarzy najśłynniejszego kaznodziei Kalifornii nachylnego nad pulpitem kazalnicy.

Marcus włączył zdalnie sterowaną kamerę numer jeden i słuchając konferansjera obserwował jednocześnie płyty w środku krzyża. Głos i obraz konferansjera szły poprzez przekaźnik. Marcus położył obie ręce na przełącznikach. Profesjonalny głos konferansjera dudnił mu w uszach.

- ...człowiek, którego umiłowanie Jezusa Chrystusa doprowadziło do tej pierwszej, zakrojonej na skalę całego kraju, Krucjaty dla Chrystusa, wspaniały duszpasterz kościoła Bożej Wspólnoty Triumfującego Chrześcijaństwa Ameryki, doktor C. Andrew Talbot nieste...

Marcus szybkim ruchem przestawił przełączniki,

wyłączając głos konferansjera. W tej samej chwili rozsunęły się płyty, a z wnętrza krzyża między wieżami kościoła wysunął się oświetlony reflektorami pomost. Reflektory częściowo były ukryte za ciemnym, drewnianym krzyżem, liczącym dwa metry wysokości. Na środek pomostu wyszedł powoli mężczyzna w luźnej białej wełnianej szacie, sięgającej prawie do bosych stóp, przewiązanej w pasie białym sznurem. Położył dłonie na otaczającej pomost barierce.

Ujrawszy go na monitorze, Marcus wytrzeszczył oczy ze zdumienia. Mężczyzna ten miał długie, opadające na ramiona włosy i brodę sięgającą niemal do piersi. Przez kilka sekund wodził wzrokiem po zgromadzonych. Dopiero kiedy przemówił, Marcus uwierzył, że ten człowiek to Pastor. Uderzył więc w przełącznik, kierując obraz na olbrzymi ekran, umieszczony nad sceną. Pastor mógł być teraz widziany na tym właśnie ekranie, jak też w całym kraju.

Głos Pastora popłynął ze wszystkich głośników w amfiteatrze:

- Bracia i siostry w Chrystusie...

Odpowiedział mu entuzjastyczny ryk tłumu, zagłuszając jego dalsze słowa.

Przerażony głos reżysera rozległ się w słuchawce Marcusa. - Co się tam, do diabła, dzieje?

Pokrećleś scenopis. Dawaj z powrotem doktora Sorensena!

Marcus spojrział na monitor wskazujący scenę. Ran-dle stał i wykrzykiwał coś do swych goryli z tyłu, wskazując jednocześnie na ekran. Po chwili rzucił się wściekły ku kazalnicy i wrzasnął coś do Sorensena, którego wypadki wyraźnie obezwładniły. - Mam cię gdzieś, Jake - szepnął Marcus do siebie i przeniósł wzrok na Pastora.

Pastor uniósł dłonie, prosząc o ciszę. Tłum zaczął się uspokajać, wielu ludzi padło na kolana, by się modlić, niektórzy mdleli z miłości do Chrystusa. Przez głośniki rozległ się znowu głos Pastora.

- Dziś nie przyszedłem prosić was, żebyście pokochali Boga. Wy już Go kochacie. Nie przyszedłem przekonywać was, że Bóg was kocha. Wy to już wiecie. Przyszedłem, żeby opowiedzieć wam o Judaszu. Ale nie o tym nieszczęśniku, który zdradził naszego Pana i Zbawcę, Jezusa Chrystusa. Przyszedłem, żeby powiedzieć wam o tych setkach rozmaitych Judaszów, którzy wykorzystują waszą miłość do Jezusa Chrystusa, a sami zdradzają was i Jego.

Zajrzyjcie w serca ludzi, którym ufacie; ludzi, którzy za pieniądze obiecują zaprowadzić was do nieba, sami zaś wzbogacają się, obejmują nad wami władzę, która jest ich celem. Znam tych ludzi dobrze, bo sam byłem jednym z nich.

Przez ostatnie miesiące przebywałem wśród was, wysłuchiwałem, co was boli, co smuci, z czym walczyacie, o czym marzycie. I pojąłem, że grzeszyłem. Nie tylko przeciw Jemu, którego kocham, ale również przeciw wam, którzy jesteście moimi braćmi. Grzeszyłem podwójnie. I modlę się do Zbawiciela naszego Jezusa Chrystusa, który zmarł na krzyżu za moje i wasze grzechy, żeby wysłuchał mojej spowiedzi i zlitował się nade mną.

Parafia ta, podobnie jak wiele innych, została zbudowana z małych dolarowych cegiełek, które wy, chcąc okazać swą miłość Bogu, dawaliście nam. A co my zrobiliśmy z tymi pieniędzmi, by okazać naszą miłość do Boga? Kupiliśmy sobie

luksusowe samochody, samoloty, wspaniałe domy, eleganckie ubrania i wyszukane jedzenie. My to wszystko mamy. Wy nie. Chociaż to dzięki waszym pieniądзом mogliśmy żyć tak dostatnio. Ale nam było jeszcze za mało. Zaczęliśmy więc wznosić sobie pomniki; naszymi imionami nazywaliśmy szkoły i szpitale, kościoły i katedry. A kiedy nasze zasoby już się wyczerpały, znowu zwróciliśmy się do was. Sprzedaliśmy wam kawałki ziemi, których właścicielami jesteście tylko symbolicznie. Obiecywaliśmy wam do tego duże sumy pieniędzy, choć wiedzieliśmy, że nigdy ich nie dostaniecie; prosiliśmy was, żebyście zostali naszymi partnerami, żebyście przysyłali nam dziesięcinę, upominki, byście utrzymywali nasze programy radiowe i telewizyjne, które miały za zadanie

- jak wszystkie programy w radiu i telewizji
- sprzedaż produktu. Tylko że tym razem my byliśmy naszym własnym produktem - w opakowaniu będącym ostatnim krzykiem mody, czyli religijnym. Połowę pieniędzy, jakie od was dostawaliśmy, przeznaczaliśmy na nakłanianie was, żebyście dali nam ich jeszcze więcej.

Robimy z waszych pieniędzy także inny użytek. Kupujemy władzę. Dajemy prezenty tym politykom, którzy umożliwiają nam zdobycie władzy nad waszymi umysłami, myślami, życiem. Przez ostatnich parę lat pomogliśmy dojść do władzy ludziom, którzy odbierają wam wasze jedzenie, wasze miejsca pracy, możliwość zdobycia wykształcenia, tak wam przecież potrzebnego, należne wam prawo do opieki medycznej i emerytury, na którą pracowaliście przez całe życie. Finansujemy ludzi, którzy z powodu wa-

szej rasy, waszej wiary, waszego koloru skóry czy płci odmawiają wam danych przez Boga praw do równości. Dajemy pieniądze ludziom, którzy wydają niewyobrażalne sumy dolarów na narzędzia niszczenia, a nam mówią, że musimy zacisnąć pasa, znosić głód, bo w przeciwnym razie grozi nam komunizm. Bo budżet musi być zbilansowany.

Ale czy postępując w ten sposób, wspierając finansowo polityków z pieniędzy, które bierzemy od was w imię Jezusa Chrystusa, zapewniając sobie władzę w naszych strukturach społecznych, różnimy się od komunistów, których odsądzamy od czci i wiary? Gdybyśmy mieli znaleźć dla siebie nazwę, to czy nie powinna ona brzmieć „religijni komuniści”? Czy nasza wiara nie powinna nosić nazwy „religijnego komunizmu”? Czy nie postępujemy tak samo, jak ci, którzy głoszą ateistyczny komunizm?

Mam w ręku komputerowy wydruk stanu konta finansowego naszego kościoła. Z pieniędzy należących do Boga, z waszych pieniędzy, wydaliśmy w ciągu ostatnich paru miesięcy dwadzieścia pięć milionów dolarów na kupno ziemi, na której w tej chwili się znajdujemy. Ta sama ziemia i stojące na niej budynki sześć lat temu kosztowały niecałe sześć milionów dolarów. Kolejne dziesięć milionów dolarów z waszych datków poszło na politykę, która bynajmniej nie broni waszych interesów oraz na propagandę, czyli tak zwane programy edukacyjne, mające na celu zagwarantowanie pewnym ludziom, że ich pozycja społeczna nie będzie zagrożona przez niechrześcijan - których modlitw, jak nam się mówi, Bóg nie słucha - przez istoty ludzkie innego koloru skóry, stanowiące

zagrożenie dla czystości naszej rasy; przez mężczyzn i kobiety, których zwyczaje seksualne są inne niż nasze. Jeśli działalność tego kościoła nie jest religijnym komunizmem, to ja nie rozumiem znaczenia tego słowa.

Ale największym chyba naszym grzechem jest to, co wciąż robimy. Codziennie wiele kościołów nam podobnych powstrzymuje was od pójścia do waszych lokalnych domów modlitwy, dając wam w zamian fałszywego boga. Bożka, którym jest ekran telewizyjny. Pomyślcie. Bóg zabronił nam tworzenia fałszywych obrazów i modlenia się do nich. A czy to, co widzimy na ekranie telewizyjnym, nie jest obrazem?

Będąc świadomym tego, co zrobiłem i wszystkich grzechów, jakie popełniłem, trzy dni temu w waszym imieniu i imieniu stowarzyszonych kościołów, będących prawowitym właścicielem kościoła Wspólnoty Bożej, wystąpiłem do sądu federalnego z prośbą o wyznaczenie odbiorcy majątku tego kościoła i stwierdzenie, czy użycie danych nam przez was pieniędzy dla wzbogacenia się niektórych z nas i do zdobycia nielegalnej władzy było właściwe, legalne. Wiem, że sąd wyznaczył już odbiorcę i że ja także zostanę pociągnięty do odpowiedzialności przez odpowiednie organa za wszystkie przestępstwa, jakich się dopuściłem.

Przerwał na chwilę. Od strony tłumu nie dobiegł ani jeden dźwięk. Oparł ręce na barierce.
- Bracia i siostry w Chrystusie, pomódlmy się razem do Boga o zmiłowanie...

Marcus przekręcił włącznik, by nagłośnić modlitwę zgromadzonych. Z głośników rozlegał się czyjś chrap-

liwy krzyk. Marcus spojrział na monitor pokazujący scenę. Randle wrzeszczał: - Gównu mnie obchodzi, co o tym myślicie! Macie zabić skurwysyna!

Trzy wystrzały oddane z karabinów zabrzmiały niemal jednocześnie. Marcus spojrział z trwogą na ekran. Pierwsza kula rozerwała szatę Pastora i przebiła mu bok. Zatoczył się. W tym samym momencie druga kula przeszła przez jego dłonie, złożone do modlitwy. Złapał się drewnianego krzyża za sobą, żeby nie upaść, a wówczas trzecia kula zbiła go z nóg. Stracił równowagę i poleciał do tyłu na poprzeczkę, trzymając się wciąż krzyża. Spadając, obrócił się dwa razy w powietrzu, aż wreszcie runął, z krzyżem pod sobą, na płócienny dach. Zabrzmiało to jak grzmot pioruna. Lewe ramię krzyża przebiło płótno, częściowo przez nie przechodząc. Pastor bezwładnie przewrócił się na plecy i znieruchomiał z ramionami rozrzuconymi na krzyżu.

Marcus machinalnie skierował kamerę na Pastora. W tej samej chwili spomiędzy wież kościoła padły promienie słońca. Dziwny bolesny jęk wydobył się z trzewi ludzi, którzy zobaczyli na olbrzymim ekranie Pastora skapanego w blasku słonecznym. Wielu z nich opadło na kolana i modliło się przez łzy.

Marcus patrzył jak zahipnotyzowany. Pastor miał przebite kulą obie dłonie, w boku ziejącą ranę, z której wyciekło kilka ostatnich kropel krwi. Przebite były również skrzyżowane w kostkach nogi, zaś tkwiąca w nich kula jakby je spinała. Marcus przesunął kamerę na twarz Pastora i poczuł łzy w oczach. Z piersi wydarł mu się stłumiony szloch.

Nigdy za życia twarz Pastora nie miała w sobie tyle łagodności, co teraz.

10. Albowiem korzeniem wszelkiego zła jest miłość pieniędzy; niektórzy, ulegając jej, zboczyli z drogi wiary i uwikłali się sami w przeróżne cierpienia.

11. Ale ty, człowiecze Boży, unikaj tego, a zabiegaj

o sprawiedliwość, pobożność, wiarę, miłość, cierpliwość, łagodność.

12. Staczaj dobry bój wiary, uchwyc się żywota wiecznego, do którego też zostałeś powołany i złożyłeś dobre wyznanie wobec wielu świadków.

13. Nakazuję ci przed obliczem Boga, który wszystko ożywia, przed obliczem Chrystusa Jezusa, który przed Poncjuszem Pilatem złożył dobre wyznanie,

14. Abyś zachował przykazanie bez skazy i bez nagany aż do przyjścia Pana naszego Jezusa Chrystusa,

15. Które we właściwym czasie objawi błogosławiony i jedyny władca, Król królów, Pan panów,

16. Jedyny, który ma nieśmiertelność, który mieszka w światłości niedostępnej, którego nikt z ludzi nie widział i widzieć nie może; jemu niech będzie cześć

I moc wieczna.

Amen.

Pierwszy List św. Pawła do Tymoteusza 1